ROBERTO SAVIANO

GOMORRA

PODRÓŻ PO IMPERIUM KAMORRY

KSIĄŻKA, KTÓRA NARAZIŁA ŻYCIE AUTORA
NA TAK POWAŻNE NIEBEZPIECZEŃSTWO,
ŻE MUSI NIEUSTANNIE
ZMIENIAĆ MIEJSCE ZAMIESZKANIA.

WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ROBERTO SAVIANO

GOMORRA

Z języka włoskiego przełożyła:
Alina Pawłowska-Zampino

WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
GOMORRA

Copyright © 2006 Arnoldo Mondadori Editore S.p.A., Milano
Copyright © 2014 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2014 for the Polish translation by Alina Pawłowska-Zampino

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Korekta: Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-8110-251-3

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:
virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Motta

Część pierwsza

- Port
- Angelina Jolie
- System
- Wojna w Secondigliano
- Kobiety

Część druga

- Kałasznikow
- Beton zbrojony
- Don Peppino Diana
- Hollywood
- Aberdeen, Mondragone
- Ziemia płomieni

Posłowie

Przypisy

dla S., niech to diabli

Zrozumienie to stawianie czoła rzeczywistości
i przeciwstawianie się jej, jakakolwiek może lub mogłaby być.

Hannah Arendt

Ci bowiem, co zwyciężają, w jakikolwiek sposób zwyciężają, nie podlegają nigdy wstydowi.

Niccoló Machiavelli

Ludzie to robaki i robakami muszą pozostać.

(*fragment podsłuchanej rozmowy telefonicznej*)

Świat należy do ciebie.

Człowiek z blizną, 1983

W motcie wykorzystano fragmenty: Hannah Arendt, *Korzenie totalitaryzmu*, tłum. Mariola Szawiel i Daniel Grinberg, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1993, s. 28; Niccoló Machiavelli, *Historie florenckie*, tłum. Karol Estreicher, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa–Kraków 1990, s. 160.

Część pierwsza

Port

Kontener kołysał się w powietrzu, zawieszony wysoko na żurawiu, który przenosił go na statek. Spreader, urządzenie sprzęgające zaczepy skrzyni z dźwigiem, nie był w stanie zamortyzować wahadłowego ruchu. Niedokładnie zamknięte drzwi otworzyły się i z kontenera zaczęły się sypać dziesiątki ciał. Wyglądały jak manekiny. Ale przy uderzeniu o beton głowy rozbijały się jak ludzkie czaszki. To były ludzkie czaszki. Z kontenera wysypywały się ciała kobiet i mężczyzn. Wśród nich także kilkoro dzieci. Martwe. Zamrożone, ułożone jedne na drugich. Rzędami, ciasno jak sardynki w puszce. To byli ci Chińczycy, którzy nigdy nie umierają. Nieśmiertelni, bo ich dokumenty przekazuje się po śmierci innym Chińczykom. Oto gdzie znajdowały się ich ciała. Ciała, które w makabrycznych wizjach wyobrażano sobie przyrządzone jako restauracyjne dania, zakopane w przyfabrycznych ogródkach czy na dnie krateru Wezuwiusza. A tymczasem one były tutaj. Sypały się dziesiątkami z kontenera, na szyjach miały zawieszone karteczki z nazwiskami. Należały do ludzi, którzy długo oszczędzali na pochówek w swoich rodzinnych stronach. Zatrzymywano im część zarobków w zamian za gwarancję podróży powrotnej po śmierci do ojczyzny. Miejsce w kontenerze i dziura w chińskiej ziemi. Kiedy operator portowego dźwigu opowiadał mi o tym, zakrył sobie twarz rękami i patrzył na mnie przez szparę między palcami. Jak gdyby maska utworzona z dłoni dodawała mu odwagi. Widział, jak ciała wypadły z kontenera, i nie musiał nawet wszczynać alarmu, nie musiał nikogo powiadamiać. Gdy tylko obniżył ramię dźwigu i kontener dotknął ziemi, natychmiast, nie wiadomo skąd, pojawiły się dziesiątki robotników, którzy szybko włożyli ciała z powrotem do środka, a resztę spłukali wodą. Tak się to odbyło. Ciągle jeszcze nie mógł w to uwierzyć, łudził się, że może miał halucynacje na skutek przepracowania w godzinach nadliczbowych. Zsunął palce, zakrywając sobie całkiem twarz i dalej coś mówił, płacząc, ale już nie rozumiałem jego słów.

Wszystko, co istnieje, przechodzi tędy. Tędy, przez port w Neapolu. Nie ma na rynku przedmiotu: zabawki, kawałka plastyku, młotka, butów, śrubokrętu, gry wideo, kurtki, śruby, spodni, wiertarki czy zegarka, który nie przeszedłby przez port. Port w Neapolu jest jak rana. Szeroka. Punkt docelowy nieskończenie długich podróży towarów. Statki przypływają, cumują w zatoce, pchają się do doku jak szczeniaki do sutków matki, z tą tylko różnicą, że one nie mają ssać, a wręcz przeciwnie: mają zostać wydojone. Port w Neapolu jest jak dziura w mapie świata, przez którą wychodzi wszystko to, co zostało wyprodukowane w Chinach, na Dalekim Wschodzie – jak dziennikarze z upodobaniem nazywają ten region. Daleki Wschód. Bardzo daleki. Prawie niewyobrażalny. Gdy zamkniesz oczy, widzisz kimono, brodę Marca Polo i podskok z kopniakiem Bruce'a Lee... W rzeczywistości Daleki Wschód jest związany z portem w Neapolu bardziej niż jakiekolwiek inne miejsce na świecie. Tutaj Wschód nie jest daleki. Wschód jest bliziutko, jest malutki i swojski, można powiedzieć. Wszystko, co produkuje się w Chinach, tutaj właśnie jest wyładowywane. Jak wylana z wiadra do dziury w piasku woda, która spływając, powiększa dziurę i przenika głęboko do gruntu. W porcie neapolitańskim rejestruje się 20 procent wartości importu wyrobów tekstylnych z Chin, ale wiadomo, że przechodzi tędy ponad 70 procent towaru. To dziwne zjawisko, które trudno zrozumieć. Wydaje się, że wyroby włókiennicze ulegają tutaj działaniu jakiejś magii: są, choć ich nie ma; przybywają, nie docierając do celu; mogą być drogie, choć podłej jakości albo wręcz przeciwnie: w urzędzie podatkowym ich wartość ustalana jest na najniższym poziomie, podczas gdy w rzeczywistości są bardzo cenne. Jest to możliwe, ponieważ tekstylia kwalifikują się do kilku różnych kategorii towarowych i wystarczy byle kreska na kwicie celnym postawiona w odpowiednim miejscu, by koszty i VAT zostały radykalnie obniżone. W próżni portowej czarnej dziury molekuły produktów rozpadają się, by połączyć się na powrót natychmiast po opuszczeniu strefy nabrzeża. Towar musi jak najszybciej opuścić port. I rzeczywiście, wszystko odbywa się tak szybko, że często znika, zanim ktokolwiek to zauważy. Jakby nic się nie stało albo jakby to, co zaszło, zdarzyło się tylko na niby. Nieodbyta podróż statku widma, który tylko pozornie przycumował w porcie, a jego ładunek rozpłynął się w powietrzu. Nic się nie wydarzyło. Wszystko zniknęło. Towar powinien znaleźć się w rękach nabywcy, nie pozostawiwszy po drodze najmniejszego śladu;

musi dotrzeć do hurtowni natychmiast, zanim upływający czas umożliwi kontrolę. Tony towarów przerzucane są z miejsca na miejsce, jakby to była mała przesyłka polecona, doręczona przez listonosza do rąk własnych adresata. W porcie neapolitańskim, na jego 1 336 000 metrach kwadratowych rozciągających się na długości 11,5 kilometra, czas płynie z inną szybkością niż gdziekolwiek indziej. To, co poza nim trwałoby godzinę, w porcie zajmuje niewiele więcej niż minutę. Przysłowiowa opieszałość neapolitańczyków, zawsze obecna w wyobrażeniach o mieszkańcach tego miasta, tutaj nie znajduje potwierdzenia. Wręcz przeciwnie: wszystko temu przeczy. Urząd celny nie nadąża z kontrolą chińskich wyrobów, bo one prześcigają czas. Bezlitośnie szybko. Każda minuta kończy się, zanim się zacznie. Rzeź minut, masakra sekund wykreślonych z dokumentów, przyśpieszonych pedałem gazu ciężarówek, zepchniętych dźwigami, wywiezionych na wózkach, za pomocą których rozładowuje się kontenery.

W porcie w Neapolu działa największy chiński armator, COSCO Container Lines, właściciel trzeciej co do wielkości floty na świecie, który zarządza największym terminalem kontenerowym. Tworzy konsorcjum z Mediterranean Shipping Company, właścicielem drugiej na świecie floty, z siedzibą w Genewie. Szwajcarzy i Chińczycy utworzyli spółkę i zdecydowali zainwestować większą część swych kapitałów właśnie w Neapolu. Dysponują tutaj ponad 950 metrami nadbrzeża, 130 tysiącami metrów kwadratowych powierzchni terminalu kontenerowego i 30 tysiącami metrów kwadratowych powierzchni na zewnątrz portu. Przejęli kontrolę nad prawie całym tranzytem towarów przez port neapolitański. Trudno sobie wyobrazić, jak to możliwe, by cały ten bezmiar chińskiej produkcji mógł zostać wyładowany na tym kawałku betonu nad Zatoką Neapolitańską. Pasuje do tego obraz z Ewangelii: ucho igielne jest portem, a statki wielbłądem, który przez nie przechodzi. Statki zderzają się dziobami, ogromne kontenerowce w chaosie kołyszących się ruf stoją w kolejkach poza zatoką, by po długim oczekiwaniu, przy wtórze zgrzytu blachy i śrub, wejść powoli w niewielką dziurę Neapolu. Jak w odbyt morza rozszerzający się z wielkim bólem okalających go mięśni.

Jednak nie. Wcale tak nie jest. Nie ma żadnego zamieszania. Statki wpływają i wypływają z portu według ustalonego porządku, a przynajmniej tak się wydaje, jeśli obserwować to z brzegu. A przecież przechodzi tędy

150 tysięcy kontenerów. Kontenerowe miasta budowane są na brzegu, po czym transportowane do innych miejsc. Wydajność i szybkość. Jakiekolwiek biurokratyczne procedury, jakakolwiek dokładniejsza kontrola zmienia tego geparda transportu morskiego w ociężałego leniwca.

Na pirsie Bausan zawsze się gubię. Wygląda jak budowla z klocków Lego. Pomimo ogromnych rozmiarów jego powierzchnia użytkowa jest niewystarczająca, co zmusza do tworzenia nowych, dodatkowych przestrzeni. Jest tam między innymi takie miejsce, które kojarzy mi się zawsze z gniazdami os. Bękarcie ule pokrywają całą ogromną ścianę. To tysiące gniazd wtyczkowych służących do podłączania agregatów kontenerów *reefer,* chłodni z zamrożoną żywnością, każda z ogonem zespojonym z gniazdem os. Wszystkie paluszki rybne świata są upchane w tych zamrożonych prostopadłościanach. Kiedy jestem na pirsie Bausan, mam wrażenie, jakbym znajdował się w miejscu, którędy przechodzą wszystkie przedmioty wyprodukowane dla całej ludzkości. Spędzają tam ostatnią noc, zanim zostaną sprzedane. To tak, jakby odkryć, gdzie zaczyna się świat. W ciągu kilku godzin przez port w Neapolu przechodzą koszulki, w które przez miesiąc będzie się ubierać młodzież w Paryżu, paluszki rybne, które mieszkańcy Brescii będą konsumować przez rok, zegarki, które zapnie sobie na przegubie co drugi Katalończyk, jedwabie, w które Anglicy będą się ubierać przez cały sezon. Gdyby metka na towarze informowała nie tylko o tym, gdzie został wyprodukowany, ale także jaką drogę przebył, zanim dotarł do rąk nabywcy, byłaby to ciekawa lektura. Towary mają niejedno obywatelstwo, to hybrydy i bękarty. Połowa z nich rodzi się w środkowych Chinach, następnie jest kompletowana na prowincji jakiegoś słowiańskiego kraju, udoskonalana na północy Włoch i pakowana w Apulii bądź na północ od Tirany, aż wreszcie kończy swą drogę w którejś z europejskich hurtowni. Towary cieszą się swobodą przemieszczania, jaka nigdy nie będzie dana człowiekowi. A wszystkie drogi, trasy oficjalne i przypadkowe stykają się w jednym punkcie w Neapolu. Statki, olbrzymie *fullcontainers,* widziane z daleka, wydają się lekkimi zabawkami, ale kiedy wchodzą do zatoki i są już blisko pirsu, widać, że w rzeczywistości są ciężkimi mamutami z blachy, z łańcuchami, z ociekającymi wodą zardzewiałymi szwami spawów. Ich załogę wyobrażasz sobie jako liczną, silną ekipę, a wysiada z nich kilku niepozornych ludzi, o których nigdy nie pomyślałbyś, że są w stanie ujarzmić te bestie na otwartym oceanie.

Kiedy po raz pierwszy w życiu widziałem chiński statek przybijający do pirsu, wydawało mi się, że mam przed sobą całą produkcję świata. Oczy nie radziły sobie z liczeniem kontenerów, które się na nim znajdowały. Gubiłem się. To brzmi nieprawdopodobnie, ja jednak naprawdę gubiłem się w rachunkach, liczby stawały się zbyt wysokie i wszystko mi się mieszało.

Do Neapolu przypływa właściwie wyłącznie towar z Chin. 1,6 miliona ton. Mam tu na myśli import zarejestrowany. Co najmniej jeszcze jeden milion ton przechodzi tędy, nie zostawiając śladu. W jednym tylko porcie neapolitańskim, według danych Urzędu Celnego, 60 procent importu omija kontrolę celną, 20 procent kwitów przewozowych nikt nie ogląda, a 50 tysięcy jest sfałszowanych. 99 procent z tego pochodzi z Chin i szacuje się, że skarb państwa traci na tym 200 milionów euro w ciągu pół roku. Kontenery, które muszą zniknąć jeszcze przed inspekcją, stoją w pierwszych rzędach. Wszystkie kontenery są ponumerowane, ale na wielu numery powtarzają się. W ten sposób jeden skontrolowany kontener kryje swoich nielegalnych imienników. To, co wyładowuje się w poniedziałek, już w czwartek można kupić w Modenie i Genui lub zobaczyć w witrynach sklepów w Bonn albo Monachium. Przeznaczeniem dużej część produktów, które dostają się na rynek włoski, był tranzyt, ale dzięki czarom w punktach celnych nigdy nie opuszczą Italii. Gramatyka towarów ma inną składnię dla dokumentów, a inną dla handlu. W kwietniu 2005 roku, podczas czterech akcji przeprowadzonych wyrywkowo w krótkich odstępach czasu, służby nadzoru przeciwprzemytniczego Urzędu Celnego dokonały sekwestru 24 tysięcy par dżinsów przeznaczonych na rynek francuski, 51 tysięcy produktów z metką „made in Italy” wytworzonych w Bangladeszu, nie mówiąc o 450 tysiącach sztuk lalek: barbie, spidermanów i innych oraz 46 tysiącach sztuk plastykowych zabawek o łącznej wartości 36 milionów euro. Całkiem spory kawałek tortu gospodarki państwa w ciągu niewielu godzin znalazł się w neapolitańskim porcie. A z portu miał iść w świat. I nie ma godziny ani nawet minuty, w której tak by się nie działo. I tak, dzień po dniu, nie mamy już do czynienia ze skromnym kawałkiem tortu, ale z tortu ćwiartką, potem z połową, aż wreszcie z ofertą całej cukierni.

Port oddzielony jest od miasta. Jak zainfekowany wyrostek robaczkowy, który jednak nie spowodował na razie zapalenia otrzewnej, więc nie wycina się go z jamy brzusznej wybrzeża. Istnieją zupełnie puste obszary między lądem a morzem, które nie przynależą ani do lądu, ani do morza. Amfibia, metamorfoza morza. Kompost i śmieci, resztki naniesione przez fale utworzyły nową formę terenu. Statki spuszczają do morza zawartość latryn i spłukują żółtą pianę pozostałą po czyszczeniu ładowni, motorówki i jachty odkrztuszają motory, a brudy po sprzątaniu pokładów wrzucane są do morskiego śmietnika. Wszystko to potem zbiera się na brzegu, najpierw jako miękka masa, która z czasem przekształca się w twardą skorupę. W blasku słońca ulega się złudzeniu, że to woda. W rzeczywistości powierzchnia zatoki błyszczy jak worki na śmieci. Te czarne. I bardziej niż morze przypomina olbrzymi zbiornik na ścieki. Nabrzeże z tysiącami poukładanych na nim kontenerów zdaje się być granicą nie do przejścia. Neapol jest otoczony murami towarów. Murami, które nie stanowią dla miasta obrony, ale wręcz przeciwnie – których miasto musi bronić. Nie istnieją straże rozładunku ani nawet romantyczny motłoch, szumowiny portowe. Port wyobrażamy sobie jako miejsce, w którym panuje chaos i bezustanny ruch, zgiełk egzotycznych języków, różnorodność tatuaży, ludzka rozmaitość. A tymczasem tutaj panuje absolutna cisza, jak w zautomatyzowanej fabryce. Wydaje się, że w porcie nie ma żywej duszy, jakby kontenery, statki i ciężarówki poruszały się dzięki działaniu perpetuum mobile. Ruch bez hałasu.

Do portu chodziłem, żeby zjeść ryby i frutti di mare. Bliskość morza nie jest gwarancją jakości restauracji, na talerzu można często znaleźć kawałki pumeksu, piasek, a nawet ugotowane algi. Małże wyławiane z morza trafiają w swej naturalnej postaci bezpośrednio do garnka. Świeżość gwarantowana, szansa złapania choroby zakaźnej jak w rosyjskiej ruletce. Przyzwyczailiśmy się już do smaku ryb hodowlanych, do tego, że trudno odróżnić kalmara od kurczaka. Jeżeli masz ochotę poczuć ten jedyny, nieokreślony smak morza, musisz ryzykować. Ja to ryzyko podejmowałem dość często. Któregoś dnia podczas obiadu w portowej restauracji zapytałem, czy ktoś nie słyszał o mieszkaniu do wynajęcia w okolicy.

– Nie, nie słyszałem. Tutaj jest coraz mniej pustych mieszkań, bo wszystkie zajmują Chińczycy...

Przy stoliku na środku sali siedział mężczyzna o potężnej posturze, choć nie tak potężnej jak jego głos, który usłyszałem zaraz po tym, jak zmierzył mnie uważnie spojrzeniem:

– Może coś by się znalazło.

Nic więcej nie powiedział. Kiedy obydwaj skończyliśmy obiad, skierowaliśmy się na drogę przylegającą do portu. Nie musiał mi nawet mówić, żebym szedł za nim. Dotarliśmy do budynku widma, który wyglądał, jakby nikt w nim nie mieszkał; typowa kamienica służąca jedynie za sypialnię. Weszliśmy na trzecie piętro, gdzie już tylko jedno z mieszkań zajmowali studenci. Inne zostały opróżnione – nie tylko z lokatorów, ale także z szaf, łóżek, obrazów czy stolików nocnych. Nie było w nich nawet ścian, a wszystko po to, żeby zostawić jak najwięcej wolnej przestrzeni na paki i paczki, miejsce na towar.

Udostępniono mi wolny pokój, a raczej pokoik, w którym ledwie mieściły się łóżko i szafka. Nie było mowy o czynszu, o opłatach za prąd i gaz, o podłączeniu telefonu. Przedstawiono mnie czterem chłopcom, studentom, moim współlokatorom, i na tym się skończyło. Powiedzieli mi, że w kamienicy jest tylko to jedno mieszkanie z prawdziwego zdarzenia i mieszka w nim Xian, Chińczyk, który zarządza kilkoma kamienicami. Byłem zwolniony z czynszu, ale za to miałem pracować w weekendy w mieszkaniach-magazynach. Tak oto, szukając mieszkania, znalazłem pracę. Rano burzyłem ściany, wieczorem uprzątałem zdarte tapety, rozbity tynk i cegły. Gruz ładowałem do zwykłych worków na śmieci. Burzeniu ścian towarzyszą niesamowite hałasy. Nie kojarzą się z rozbijaniem cegieł, raczej z roztrzaskiwaniem się kryształowego wazonu strąconego ze stołu. Jedno po drugim, wszystkie mieszkania zamieniały się w magazyny bez ścian działowych. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, że kamienica, w której pracowałem, jeszcze stoi. Zburzyliśmy niejedną ścianę nośną, będąc tego w pełni świadomi. Najważniejsza jednak była przestrzeń do przechowywania towarów i nikt nie przejmował się ubytkiem cementu, jeżeli dzięki temu mogło przybyć towaru.

Pomysł, żeby paczki z towarem składować w mieszkaniach, narodził się w głowach kilku chińskich hurtowników po tym, jak dyrekcja portu w Neapolu przedstawiła delegacji Kongresu Amerykańskiego plan *security.*

Przewidywał on podział portu na cztery strefy – na strefę obsługi statków wycieczkowych, żeglugi przybrzeżnej oraz port towarowy i terminal kontenerowy – i określał niebezpieczeństwa związane z funkcjonowaniem każdej z tych stref. Po podaniu planu do wiadomości publicznej chińscy przedsiębiorcy w obawie, że policja może wzmóc aktywność, prasa nadmiernie zainteresuje się portem, a ekipy telewizyjne zaczną krążyć w poszukiwaniu smakowitej historyjki, zdecydowali, że w tej sytuacji trzeba zrobić wszystko, by jak najmniej rzucać się w oczy. Do tego dochodził problem wciąż rosnących kosztów. Należało więc sprawić, by towar stał się niewidoczny. Można było składować go daleko od portu, w halach magazynowych wybudowanych gdzieś na polach między wysypiskami śmieci a polami tytoniu, to jednak wiązało się z transportem tirami. Tymczasem dzięki nowemu systemowi z portu codziennie wyjeżdżało nie więcej niż dziesięć małych ciężarówek zapchanych po brzegi paczkami. Po pokonaniu krótkiego dystansu furgonetki zatrzymywały się w garażu jednego z pobliskich domów i zaraz potem wracały do portu. Wystarczyło więc tylko wjechać i wyjechać, tylko tyle.

Ruch prawie nieistniejący, nie do zauważenia w codziennym miejskim chaosie. Wynajmowane mieszkania ze zburzonymi ścianami. Garaże połączone między sobą, piwnice aż po sufity zapchane towarem. Żaden właściciel nie odważył się poskarżyć. Zresztą Xian za wszystko dobrze zapłacił. Czynsz i odszkodowanie za wyburzenia. Tysiące paczek transportowano specjalną windą towarową, stalową klatką wmontowaną w środek kamienicy, w której jeździła bez przerwy w górę i w dół platforma obciążona górami paczek. Pracę należało wykonać w ciągu zaledwie kilku godzin. Wybór tych, a nie innych paczek nie był przypadkowy. Mnie przypadło rozładowywać i załadowywać windę na początku lipca. Praca była dobrze płatna, ale wymagała dużej wytrzymałości fizycznej. Panował straszny upał, powietrze nasycone było wilgocią, ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby poprosić o klimatyzator. Nie ze strachu, ani też dlatego, że pracownicy mieli we krwi posłuszeństwo i uległość wobec zwierzchników. Robotnicy pracujący przy rozładunku pochodzili z najróżniejszych zakątków świata, z różnych kręgów kulturowych. Z Ghany, z Wybrzeża Kości Słoniowej, z Chin, z Albanii, a także z Neapolu, Kalabrii i Bazylikaty. I wszyscy zgodnie podzielali przekonanie, że jeżeli towary nie

ponoszą żadnego szwanku na skutek gorąca, to nie ma sensu marnować pieniędzy na klimatyzatory.

Nosiliśmy paczki z kurtkami, płaszczami przeciwdeszczowymi, wiatrówkami, swetrami i parasolami. Był środek lata i wydawało się szaleństwem sprowadzać jesienne ubrania zamiast kostiumów kąpielowych, bawełnianych sukienek i plastykowych klapek. Wiedziałem, że w mieszkaniach zamienionych na magazyny nie przechowuje się towarów, a tylko umieszcza produkty z natychmiastowym przeznaczeniem na rynek. Jednak chińscy przedsiębiorcy przewidzieli, że w sierpniu pogoda będzie zmienna. Nigdy nie zapomniałem teorii Johna Maynarda Keynesa na temat wartości krańcowej – o tym, jak się zmienia cena butelki wody w zależności od tego, czy sprzedaje się ją na pustyni, czy też przy wodospadzie. Tego lata firmy włoskie wystawiały na sprzedaż butelki z wodą przy wodospadach, podczas gdy Chińczycy na czas wykopali studnie na pustyni.

Po kilku dniach pracy we wnętrzach kamienicy poznałem Xiana. Przyjechał akurat i spędził noc w naszym mieszkaniu. Po włosku mówił doskonale, tyle tylko, że zamiast „r” wymawiał „w”, jak zubożali arystokraci odgrywani przez Totò w jego komediach. Xian Zhu kazał się nazywać Nino. W Neapolu prawie wszyscy Chińczycy, którzy mają kontakty z tubylcami, przybierają któreś z imion typowych dla tego miasta. Jest to praktyka tak rozpowszechniona, że nikt już się nie dziwi, gdy jakiś skośnooki Chińczyk przedstawia się jako Tonino, Nino, Pino czy Pasquale. Xian Nino noc spędził przy stole kuchennym, na rozmowach telefonicznych, przy włączonym telewizorze. Leżałem w łóżku, ale nie mogłem spać. Głos Xiana nie milkł nawet na chwilę. Wypluwał zza zębów chińskie słowa jak serie z pistoletu maszynowego. Mówił bez przerwy, nie nabierając powietrza, w słownym bezdechu. Przeszkadzały mi też wiatry wypuszczane przez jego goryli, napełniające mieszkanie słodkawym smrodem, który przesiąknął nawet do mojego pokoju. Wstręt budził nie tylko ten smród, ale także obrazy, jakie mi się z nim kojarzyły: krokieciki wiosenne gnijące w ich żołądkach oraz ryż po kantońsku marynowany w sokach trawiennych. Inni współlokatorzy byli do tego przyzwyczajeni. Po zamknięciu drzwi pokoju nie istniało dla nich nic oprócz snu. Tymczasem dla mnie nie istniało nic oprócz tego, co działo się za moimi drzwiami. Poszedłem zatem do kuchni, która była przecież pomieszczeniem

wspólnym, a więc i moim. Przynajmniej w teorii. Xian odłożył telefon i zabrał się do gotowania. Smażył kurczaka. Miałem w głowie dziesiątki pytań, które chciałem mu zadać. Żeby zaspokoić ciekawość, wyrobić sobie własne zdanie oraz pozbyć się myślenia stereotypami. Zacząłem mówić o triadzie chińskiej. Xian nie przerywał smażenia. Przygotowałem sobie parę szczegółowych pytań, zawsze jednak w kontekście ogólnym, nie mogłem przecież wymagać od niego wyznań na temat jego osobistych powiązań. Dałem mu odczuć, że sporo wiem na temat organizacji chińskiej mafii, tak jakby znajomość aktów dochodzeniowych mogła pomóc w poznaniu prawdy. Xian postawił talerz z kurczakiem na stole, usiadł i nic nie powiedział. Nie wiem, czy zainteresowało go to, co mówiłem. Nie wiem, czy sam należał do tej organizacji. Napił się piwa, po czym uniósł się nieco na krześle i z tylnej kieszeni spodni wyciągnął portfel. Przebierał w nim przez chwilę palcami, nie patrząc, i wyciągnął trzy monety. Położył je obok siebie na obrusie i zakrył odwróconą szklanką.

– Euro, dolar, yuan. Oto moja triada.

Wydawał się szczery. Żadnej ideologii, żadnej symboliki, hierarchii wartości. Zysk, interes, kapitał. Nic więcej. Uważa się, że niektóre mechanizmy ekonomiczne napędza jakaś nieznana siła, stąd powstaje przekonanie, że kryje się za nimi tajna organizacja: mafia chińska. Jest to uproszczenie, w którym nie bierze się pod uwagę zjawisk pośrednich: transferów finansowych, inwestycji różnego rodzaju, wszystkiego, co umacnia przestępcze grupy finansowe. Od co najmniej pięciu lat każde sprawozdanie Komisji Antymafijnej sygnalizuje „rosnące zagrożenie ze strony mafii chińskiej”, ale w ciągu dziesięciu lat pracy policja zajęła majątek wartości zaledwie 600 tysięcy euro w Campi Bisenzo w pobliżu Florencji. Kilka motocykli i kawałek fabryczki. Nic, w porównaniu z potęgą finansową, która według raportów amerykańskich analityków rynkowych obraca setkami milionów euro. Xian uśmiechnął się do mnie:

– Rynek ma swój dół i swoją górę. My weszliśmy na niego od dołu, a wychodzimy górą.

Zanim położyliśmy się spać, Nino Xian zrobił mi pewną propozycję.

– Czy rano wstajesz wcześnie?

– Zależy...

– Jeżeli jutro uda ci się być o piątej rano na nogach, pojedziesz z nami do portu. Pomożesz nam.

– W czym?

– Załóż bluzę z kapturem, jeżeli masz jakąś. Tak będzie lepiej.

Niczego więcej mi nie powiedział, a ja nie nalegałem. Nazbyt mi zależało na uczestnictwie w porannej wyprawie. Gdybym zaczął zadawać za dużo pytań, Xian mógłby się rozmyślić. Pozostało mi niewiele godzin snu, a co gorsza byłem zbyt podniecony, by zasnąć spokojnie.

Punktualnie o piątej byłem gotowy, przy wyjściu z kamienicy dołączyli do nas także inni mężczyźni. Oprócz mnie i jednego z moich współlokatorów było dwóch szpakowatych Marokańczyków. Wsiedliśmy do furgonetki i pojechaliśmy do portu. Nie wiem, ile czasu zajęła ta droga i jakimi zaułkami jechaliśmy. Zasnąłem z głową opartą o okno samochodu. Wysiedliśmy przy falochronach, w miejscu, gdzie zaczynało się małe molo. Była do niego przycumowana łódź z motorem tak dużym, że wyglądał jak monstrualny ogon przytwierdzony do delikatnego, wydłużonego kadłuba. Z naciągniętymi na głowy kapturami wyglądaliśmy jak grupa żałosnych raperów. Kaptury nie były nam potrzebne, jak podejrzewałem wcześniej, by ukryć twarze, tylko po to, by osłonić się przed bryzgami zimnej wody i zapobiec bólowi głowy, który rano na otwartym morzu atakuje okolice skroni. Załoga składała się z dwóch neapolitańczyków, wyglądali, jakby byli braćmi, mieli prawie identyczne twarze. Młodszy włączył motor, starszy kierował łodzią. Xian nie popłynął z nami. Po około półgodzinie zbliżyliśmy się do jakiegoś statku, przez chwilę miałem wrażenie, że nie unikniemy zderzenia. Był ogromny. Z trudem udało mi się odchylić głowę wystarczająco mocno do tyłu, by zobaczyć w górze koniec burty. Podobnie jak drzewa, które zdają się krzyczeć, gdy walą się na ziemię, statki na morzu wydają metaliczny krzyk i jedyne w swoim rodzaju głuche dudnienie, które sprawia, że musisz co chwila przełykać słoną ślinę.

Ze statku spuszczano na krążku linowym sieć pełną paczek. Tobół uderzył w drewnianą burtę naszej łodzi, powodując tak silne kołysanie, że widziałem już siebie w wodzie. Ale nie wypadliśmy z łodzi. Paczki nie ważyły dużo, jednak kiedy ułożyłem około trzydziestu na rufie, bolały mnie przeguby rąk, a przedramiona, otarte kantami kartonów, były ogniście czerwone. Łódź zawróciła do brzegu, przy statku zostały dwa inne kutry, by zabrać następne paczki. Nie przypłynęły z naszego mola i nie wiadomo, kiedy do nas dołączyły. Za każdym razem, gdy dziób łodzi zderzał się z powierzchnią wody, odczuwałem wstrząs w żołądku. Położyłem głowę na

jakiejś paczce. Próbowałem odgadnąć po zapachu, co mogła zawierać. Przywarłem uchem do kartonu, by usłyszeć jakiś dźwięk, który zaspokoiłby moją ciekawość. Miałem poczucie winy. Kto wie, w czym właśnie wziąłem udział? Jeżeli mam się wplątać w jakieś ciemne sprawy, niech to przynajmniej będzie mój świadomy wybór. Tymczasem ja na ślepo, z czystej ciekawości wziąłem udział w przemycie. Ludziom się wydaje, że przestępstwa są bardziej przemyślane niż normalne, codzienne zajęcia. W rzeczywistości nie ma żadnej różnicy. Ludzkie działania charakteryzują się elastycznością, której brakuje osądom etycznym. Kiedy dobiliśmy do mola, Marokańczycy zaczęli wynosić paczki, po dwie na raz. Mnie wystarczył ciężar własnego ciała, by chwiać się na nogach. Na falochronie czekał na nas Xian. Podszedł do jednej z ogromnych paczek i scyzorykiem przeciął szeroką taśmę oklejającą karton. W środku były buty. Buty sportowe, oryginalne, najlepszych firm. Modele tak nowe, że nie weszły jeszcze do sprzedaży we Włoszech. Xian, obawiając się kontroli celnej, wolał przejąć towar na otwartym morzu. W ten sposób jego część mogła zostać wprowadzona na rynek bez obciążenia podatkiem, a hurtownicy unikną płacenia za cło. Z konkurencją wygrywa się dzięki rabatom. Ta sama jakość produktów, ale z cztero-, sześcio- czy dziesięcioprocentowym rabatem. Ze zniżką, której nie mógłby zaoferować żaden pośrednik handlowy, a to właśnie zniżki decydują o przetrwaniu lub bankructwie sklepów, pozwalają na otwieranie nowych centrów handlowych, gwarantują stały dochód, a dzięki niemu – kredyty bankowe. Ceny trzeba obniżać. Wszystko musi odbywać się bardzo szybko i dyskretnie, a najlepiej, jeżeli ogranicza się do samego kupna i sprzedaży. Nieoczekiwany haust świeżego powietrza dla włoskich i europejskich handlowców. A to świeże powietrze napływa z portu w Neapolu.

Załadowaliśmy paczki do furgonetek. Wkrótce przypłynęły także inne łodzie. Ciężarówki skierowały się do Rzymu, Viterbo, Latiny, Formi. Xian polecił odwieźć nas do domu.

W ostatnich latach wszystko się zmieniło. Wszystko. Raptownie i niespodziewanie. Niektórzy zauważają te zmiany, ale ich nie rozumieją. Jeszcze przed dziesięciu laty po wodach Zatoki Neapolitańskiej pływały dziesiątki motorówek przemytników, rano port zapełniał się kupcami detalicznymi. Przychodzili po papierosy z kontrabandy, które sprzedawali potem na mieście. Ożywiony ruch na okolicznych ulicach, samochody

załadowane kartonami papierosów, na każdym rogu krzesełko i stolik dla ulicznego sprzedawcy. Między strażnikami ze służby celnej i policją a przemytnikami rozgrywały się często prawdziwe bitwy. Płaciło się papierosami, by uniknąć aresztowania, albo wręcz przeciwnie: ludzie sami zgłaszali się do aresztu, by umożliwić ucieczkę jakiejś łodzi z podwójnym dnem zapchanym kwintalami papierosów. Nocami na ciemnych ulicach stały czujki, co jakiś czas słychać było krótkie, ostre gwizdy ostrzegające przed nieznanymi samochodami, niebezpieczeństwo sygnalizowano błyskawicznie przez stale włączone walkie-talkie, ludzie ustawiali się w szeregu wzdłuż brzegu morza i szybko podawali sobie z rąk do rąk kartony. Samochody pędziły z wybrzeża Apulii w głąb lądu, a stamtąd dalej, do Kampanii. Oś Neapol–Brindisi była najważniejsza dla kwitnącego biznesu przemycanych papierosów. Przemyt, ważny dla Południa jak fabryka FIAT-a dla Północy, *welfare* dla obywateli obywających się bez państwa, pracodawca dający zatrudnienie 20 tysiącom ludzi między Apulią i Kampanią. Przemyt był zarzewiem wewnętrznej wojny kamorry na początku lat 80.

Klany Apulii i Kampanii wprowadzały papierosy na rynek europejski, omijając monopol państwa. Importowały co miesiąc tysiące skrzyń z Czarnogóry, zarabiając na każdym transporcie 500 milionów lirów. Teraz to się skończyło, wszystko się zmieniło. Ta działalność już nie opłaca się klanom. Jednak także w tym wypadku potwierdziło się prawo zachowania masy Lavoisiera: nic w naturze nie ginie, tylko się zmienia. W naturze, a także w mechanizmach kapitalizmu. Przemytnicy zrezygnowali z klientów uzależnionych od nikotyny, a skoncentrowali się na przedmiotach codziennego użytku. Rozpętała się bezlitosna wojna cen. Wysokość rabatu stała się kwestią życia i śmierci dla pośredników handlowych, hurtowników i handlowców. Podatki, VAT, ograniczenia wagowe załadunku tirów są balastem zmniejszającym zysk, są hamulcem dla obrotu towarów i pieniędzy. Wielkie firmy przeniosły więc produkcję na wschód: do Rumunii, Mołdawii, na Daleki Wschód, do Chin, by zagwarantować sobie tanią siłę roboczą. Ale to nie wystarczy. Produkty wytworzone niskim kosztem muszą wejść na rynek, na którym coraz więcej konsumentów jest bez stałej pracy, ma minimalne oszczędności i maniakalnie przywiązuje się do każdego grosza. Coraz więcej towaru nie sprzedaje się, w związku z czym należy szukać nowych rozwiązań. I tak

nowe produkty – oryginalne czy podrobione, półprawdziwe czy półfałszywe – wchodzą na rynek dyskretnie, nie pozostawiając żadnych śladów. To bardzo obniża koszty. Nie rzucają się w oczy tak jak papierosy, bo nie mają nielegalnych punktów sprzedaży. Wchodzą na rynek tak, jakby nie były transportowane, jakby same z siebie urosły na polach i jakby zerwała je stamtąd jakaś niewidzialna ręka. O ile pieniądz nie śmierdzi, o tyle towar wręcz pachnie. Nie pachnie morzem, które przepłynął, ani rękoma, które go wyprodukowały, nie pachnie też smarem z maszyny, która go zmontowała. Towar pachnie tym, czym pachnie. Nabiera zapachu na sklepowej ladzie i oddaje go w domu nabywcy.

Zostawiliśmy morze za sobą, wróciliśmy do domu. Furgonetka zatrzymała się tylko na tyle, byśmy z niej wysiedli, po czym natychmiast wróciła do portu, żeby dalej przewozić paczki. Wjechałem półprzytomny ze zmęczenia windą towarową na moje piętro. Zdjąłem koszulkę mokrą od potu i wody morskiej i rzuciłem się na łóżko. Nie wiem, ile paczek przeniosłem, ale czułem się, jakbym rozładowywał buty dla połowy włoskiej populacji. Byłem tak zmęczony, jakbym miał za sobą cały dzień ciężkiej pracy. Moi współlokatorzy właśnie się budzili. Był wczesny ranek.

Angelina Jolie

W następnych dniach towarzyszyłem Xianowi w jego biznesowych spotkaniach. W rzeczywistości najął mnie, żebym dotrzymywał mu towarzystwa podczas podróży oraz obiadów. Mówiłem za dużo albo za mało, i to właśnie spodobało się Xianowi. Dzięki temu mogłem obserwować, jak zasiewa się pieniądze, jak przygotowuje się pod uprawę obszary gospodarki, które dotąd leżały odłogiem. Dotarliśmy do Las Vegas. Leży na północ od Neapolu. Tę okolicę zwykło się tak nazywać z kilku powodów. Podobnie jak Las Vegas w Nevadzie, które zostało zbudowane na pustyni, także tutaj osady ludzkie wyrosły z niczego. Dojeżdża się tutaj pustynią dróg. Kilometry szeroko rozlanego asfaltu w kilka minut doprowadzają do autostrady wiodącej do Rzymu, prosto na północ. Tych dróg nie wybudowano dla samochodów osobowych, ale dla ciężarówek; nie po to, by mogli nimi podróżować ludzie, ale żeby przewozić ubrania, buty i torby. Osiedla ludzkie pojawiają się przy drodze z Neapolu niespodziewanie, jedno przy drugim. Skrzepy cementu oplatane wstążkami ulic, które zaczynają się i kończą na głównej trasie na północ: Casavatore, Caivano, Sant'Antimo, Melito, Arzano, Piscinola, San Pietro a Patierno, Frattamaggiore, Frattaminore, Grumo Nevano. Plątanina dróg. Ulice, na których wystarczy przejść na drugą stronę, by znaleźć się w innej miejscowości. Miasteczka tak bardzo do siebie podobne, że zdają się tworzyć jedno wielkie miasto.

Setki razy słyszałem, jak okolice Foggii nazywa się Califoggią, południową Kalabrię przemianowuje na Kalafrykę lub Kalabrię Saudyjską, Salę Consilinę na Saharę Consilinę, a część Secondigliano nazywa się Terzo Mondo, czyli Trzecim Światem. Ale tutejsze Las Vegas jest naprawdę jak Las Vegas. Ktokolwiek w minionych latach zapragnął otworzyć i rozwinąć jakiś biznes, tutaj mógł to zrobić. Zrealizować swoje marzenia. Trochę oszczędności, odprawa pieniężna, pożyczka i już można było otworzyć zakład produkcyjny. Stawiało się na ślepo na przedsiębiorstwo; kto miał

szczęście – uzyskiwał wydajność, szybkość, efektywność, dyskrecję i tanią robociznę. Wygrywał, jak wygrywa się w ruletce: przypadkiem, obstawiając kolor czerwony lub czarny. W razie przegranej po kilku miesiącach zamykał firmę. Las Vegas. Nie istniał żaden projekt regionalny, żaden administracyjny plan gospodarczy. Liczyły się buty, ubrania, konfekcja, które na pewniaka można było umieścić na światowym rynku. Miasta nie chwaliły się głośno tą cenną produkcją. Dawała tym więcej zysku, im dyskretniej przebiegała. Na tych terenach od dziesiątków lat realizowano najlepsze projekty największych włoskich projektantów, a tym samym mody światowej. Nie istniały tutaj zrzeszenia przedsiębiorców ani szkoły zawodowe, nie istniało nic poza pracą: maszynami do szycia, warsztatami krawieckimi, zapakowanymi kartonami, wysyłką towaru dla odbiorców. Nic poza powtarzaniem w kółko poszczególnych etapów produkcji. Wszystko inne było zbyteczne. Zawodu uczono przy stanowisku pracy, kwalifikacje do prowadzenia przedsiębiorstwa weryfikował dopiero rezultat przedsięwzięcia, wygrana lub przegrana. Bez kredytów bankowych, bez biznesplanu, bez stażu. Ważne, żeby jak najwięcej towaru znalazło się jak najszybciej na rynku. Albo sprzedasz, albo przegrasz. Rosły zyski, przeprowadzano się do coraz wygodniejszych mieszkań, jeżdżono najdroższymi samochodami. Nie zmieniał się jednak poziom zamożności regionu. Bogactwo zrabowane, zgromadzone nie bez wysiłku przez nielicznych, którzy składali je w prywatnych sejfach. Przybywano zewsząd, by inwestować w produkcję koszul, spódnic, marynarek, kurtek, rękawiczek, czapek, butów, toreb i portmonetek dla firm włoskich, niemieckich czy francuskich. Nie przypadkiem. W tych stronach od lat 50. nikt nie kontrolował zezwoleń, kontraktów czy warunków pracy. Wystarczył garaż, przestrzeń pod schodami, komórka, by otworzyć zakład przemysłowy. W ostatnich latach chińska konkurencja odebrała pracę manufakturom, które wytwarzały wyroby średniej jakości. Nie można tracić czasu na rozwijanie umiejętności pracowników. Albo natychmiast przestawisz się na produkcję najwyższej jakości, albo zniszczy cię ten, kto w produkcji towarów o średnim standardzie będzie szybszy i tańszy. Wiele osób straciło pracę. Właściciele zakładów wpadli w długi, znaleźli się w rękach lichwiarzy. Wielu z nich uciekło.

Są miejsca, które w momencie gdy skończyły się inwestycje w produkcję tanich towarów, przestały oddychać, przestały się rozwijać, nie

utrzymały się przy życiu. Są symbolem degradacji peryferii wielkich ośrodków miejskich. W tych miejscach domy i podwórka są zawsze pełne ludzi, w oknach nie gasną światła, a samochody stoją zaparkowane na ulicach. Wszyscy pozostają na miejscu, panuje zawsze zgiełk, domy nie pustoszeją o żadnej porze dnia, jak to zwykle bywa, gdy ludzie wychodzą rano do pracy i do szkoły. Jedno z takich miejsc nazywa się Parco Verde a Caivano.

Na tę miejscowość można się natknąć na początku szosy odchodzącej od głównej osi komunikacyjnej, asfaltowego ostrza, które przecina na pół peryferie Neapolu. Bardziej niż osiedle przypomina zbiór wybrakowanych prostopadłościanów z cementu, z balkonami krytymi aluminiowymi dachami, które wyglądają jak gruczoły spuchnięte od dżumy. Jak gdyby architekt, który je projektował, inspirował się babkami, które dzieci stawiają na plaży, odwracając wiaderko z piaskiem. Szare konstrukcje bez jakichkolwiek zbędnych elementów. Wśród tych budynków stoi kapliczka, mała, prawie niezauważalna. Ale kiedyś wyglądała inaczej. Kiedyś w Parco Verde stała duża, biała kaplica, prawdziwe mauzoleum poświęcone pewnemu chłopcu. Na imię miał Emanuele, zginął przy pracy. Wykonywał pracę, która pod pewnymi względami jest gorsza od pracy na czarno w fabryce. Ale zawsze to jakieś zajęcie. Emanuele napadał na ludzi i rabował. Robił to każdej soboty, od dłuższego już czasu. I zawsze w tym samym miejscu. Ta sama godzina, to samo miejsce, ten sam dzień tygodnia. Sobota była bowiem dniem jego ofiar, dniem samochodowych kochanków. A ustronne miejsce, które obrali sobie za scenerię romantycznych spotkań, znajdowało się przy drodze państwowej S 87. Miejsce parszywe, z połatanym asfaltem, przy nielegalnych wysypiskach śmieci. Za każdym razem, gdy tamtędy przejeżdżam i widzę pary w samochodach, myślę sobie, że potrzeba naprawdę dużej namiętności, żeby odczuwać przyjemność w tak odrażającej scenerii. Tutaj właśnie każdej soboty Emanuele wraz z dwoma kolegami zaczajał się w krzakach i czekał, aż jakiś samochód zaparkuje i zgasi światła. Chłopcy dawali kochankom jeszcze kilka minut na pozbycie się zbędnych części garderoby i dopiero w momencie gdy ich ofiary były zupełnie bezbronne, przystępowali do akcji. Rozbijali okno kolbą pistoletu i podstawiali lufę pod nos mężczyzny. Zabierali pieniądze i w ten sposób rozpoczynali swój weekend, z kilkoma

napadami na koncie i z 500 euro w kieszeni. Łup niewielki, mimo to chłopcom wydawał się skarbem.

Zdarzyło się jednak, że pewnego razu złapał ich patrol karabinierów. Emanuele i jego koledzy byli na tyle niemądrzy, że nie przewidzieli, iż rabować zawsze w tym samym miejscu i w ten sam sposób, to jakby prosić się o aresztowanie. Chłopcy zaczęli uciekać swoim samochodem, karabinierzy rzucili się w pościg, najechali na auto uciekinierów, padły strzały. I nagle wszystko się zatrzymało. W samochodzie chłopców Emanuele dostał śmiertelny postrzał. Miał w ręce pistolet, który wycelował w karabinierów, dlatego wystrzelili do niego jedenaście naboi w kilka sekund. Wystrzelić w tak krótkim czasie jedenaście naboi może tylko ktoś, kto jest przygotowany do strzału na najmniejszy sygnał i kto jest gotowy zabić. I kto wie, jak się potem tłumaczyć obroną własną. Chłopcy zatrzymali samochód. Naboje przeszyły karoserię samochodu, jakby ciało Emanuele było magnesem, który je przyciągnął. Jego koledzy próbowali otworzyć drzwi, żeby uciec, ale kiedy zorientowali się, że Emanuele nie żyje, zrezygnowali. Wysiedli spokojnie, nie stawiając oporu, nie broniąc się nawet przed ciosami w twarz, które zwykle poprzedzają aresztowanie. Emanuele leżał zwinięty na siedzeniu, w ręce trzymał fałszywy pistolet. Był to jeden z tych straszaków, których używa się na wsiach, aby odganiać bezpańskie psy od kurników. Emanuele używał tej zabawki w funkcji prawdziwego pistoletu; zresztą Emanuele zachowywał się jak dorosły mężczyzna, potrafił nadać swemu przerażonemu spojrzeniu pozory bezwzględnego okrucieństwa, a jego chłopięce pragnienie posiadania kilku drobniaków można było łatwo wziąć za żądzę bogactwa. Emanuele miał tylko piętnaście lat. Wszyscy nazywali go Manù. Miał szczupłą twarz, ciemną i kanciastą. Archetyp chłopca, od którego lepiej się trzymać z daleka. Emanuele urodził się w miejscu, gdzie nikt nie darzy cię szacunkiem za to, że masz pieniądze, ale za to, jak je zdobyłeś. Emanuele był częścią Parco Verde. Jest to jedno z tych miejsc, które jak pieczęć naznaczają człowieka na całe życie i w których poczucie wspólnoty jest tak silne, że nie ma takiego błędu życiowego czy nawet zbrodni, które mogłyby spowodować wykluczenie ze społeczności któregoś z jej członków. Wszystkie rodziny z Parco Verde zrobiły składkę i za uzbierane pieniądze wybudowano małe mauzoleum. W środku znalazł się obrazek neapolitańskiej Madonny dell’Arco i fotografia uśmiechniętego Manù. I tak

obok ponad dwudziestu kapliczek, wybudowanych przez wiernych w Parco Verde za każdy rok bezrobocia, każda dla innej Madonny, pojawiła się także kapliczka poświęcona Emanuele. Jednak burmistrz nie mógł ścierpieć, że stawia się ołtarze bandycie, posłał więc spychacz, żeby ją zburzyć. W jednej chwili cegły sklejone cementem rozsypały się jak domek z klocków. Wiadomość rozniosła się natychmiast po całym osiedlu. Do miejsca, gdzie pracował spychacz, przyjechała gromada chłopców na motorach i skuterach. Żaden z nich nie odezwał się nawet słowem, wpatrywali się tylko nieruchomo w robotnika, który kierował maszyną. Pod ciężarem tych spojrzeń robotnik zatrzymał spychacz i wskazał ręką na sierżanta policji, jakby chciał powiedzieć, że to on wydał mu polecenie. Chciał skierować złość chłopców na kogoś innego, zdjąć tarczę strzelniczą ze swojej piersi. Był przerażony. Zamknął się w kabinie. Otoczono go. W jednej chwili rozpętała się walka uliczna. Robotnikowi udało się uciec w samochodzie policyjnym. Chłopcy wyładowali złość na spychaczu, potem puste butelki po piwie napełnili benzyną, przelewając ją bezpośrednio z baków swoich skuterów. Obrzucili kamieniami okna szkoły niedaleko Parco Verde. Zburzono im kapliczkę Emanuele? Niech wszystko inne też będzie zburzone. Z okien rzucano talerzami, sztućcami i wazonami. Następnie poszły w ruch butelki z benzyną. Ze śmietników ustawili barykadę i podpalili wszystko, co tylko się dało podpalić. Przygotowali się do długiej bitwy. Było ich kilkuset, mogli długo wytrzymać. Rozruchy rozszerzały się, zaczynały dochodzić do niektórych dzielnic Neapolu.

I wtedy pojawił się pewien człowiek, ktoś z niedaleka. Wszystkie drogi dojazdowe były zablokowane przez policję i karabinierów, a jednak ten czarny samochód terenowy przedostał się do samego centrum konfliktu. Kierowca skinął ręką, ktoś otworzył drzwi i paru chłopców weszło do środka. Nie minęły dwie godziny, a w Parco Verde został przywrócony całkowity porządek. Chłopcy zdjęli chustki z twarzy, zgasili płonące śmieci, rozebrali barykady. Zainterweniował któryś z klanów mafijnych. Parco Verde jest zagłębiem młodej siły roboczej dla kamorry. Ktokolwiek zechce, może zwerbować tutaj pracowników najniższego szczebla, siłę roboczą tańszą nawet niż nigeryjscy czy albańscy dealerzy narkotyków. Wszystkie klany posługują się chłopcami z Parco Verde: Casalesi, Mallardo z Giugliano, „tygrysy” z Crispano. Zostają dealerami i płaci im się stałą pensję, bez procentu od zysku z rozprowadzonych narkotyków. Pracują

często na terenach bardzo odległych od miejsca zamieszkania, lecz w obawie przed utratą pracy nigdy nie żądają zwrotu wydatków na benzynę. Na tych chłopcach można polegać, sumiennie wykonują swoje obowiązki. Niektórych wykańcza heroina, narkotyki ubogich. Niewielu ratuje się przed takim losem; niektórzy chłopcy wstępują do szkoły wojskowej i przenoszą się daleko, niektóre dziewczęta wyjeżdżają i nigdy więcej nie wracają w rodzinne strony. Nikt prawie z nowej generacji nie zostaje przyjęty do żadnego z klanów. Pracują dla kamorry, ale nigdy nie staną się kamorystami. Klany nie chcą ich w swoich szeregach, wykorzystują tylko ich pracę. Chłopcy nie są fachowcami i nie mają zmysłu handlowego. Wielu spełnia funkcję kurierów: jeżdżą do Rzymu z plecakami pełnymi haszyszu. Wciskają pedał gazu do deski i po półtorej godziny docierają do przedmieść stolicy. Nie otrzymują za to dodatkowego wynagrodzenia, ale bywa, że po dwudziestu takich podróżach dostają w prezencie skuter. Odbierają to jako cenny, z niczym nieporównywalny zarobek, nie do osiągnięcia przy żadnym innym zajęciu, które mogliby znaleźć w rodzinnych stronach. Faktem jest, że przewożą towar o wartości co najmniej dziesięć razy wyższej niż cena motoru. Oni o tym nie wiedzą, nie mogą sobie tego nawet wyobrazić. Jeżeli noga im się powinie, dostaną dziesięcioletni wyrok, a ponieważ nie należą do klanu, nikt nie opłaci im wydatków sądowych ani nie otoczy opieką rodziny. Ale gdy jeżdżą do Rzymu, myślą tylko o tym, by dotrzeć tam jak najszybciej i nie dać się złapać.

Przy niektórych barykadach walki potrwały trochę dłużej, w zależności od ładunku gniewu i agresji rebeliantów, ale szybko wszystko się skończyło. Klany nie obawiały się rozruchów ani nawet szumu, jaki podniósł się wokół nich. Dla nich chłopcy mogli równie dobrze pozabijać się i spalić wszystko w okolicy; nie kiwnęliby palcem. Problem polegał na tym, że z powodu walk nie mogli dla nich pracować i Parco Verde straciło swą funkcję magazynu siły roboczej, do którego można w razie potrzeby sięgnąć minimalnym kosztem. Wszystko więc powinno wrócić jak najszybciej do poprzedniego stanu. Chłopcy muszą zabrać się z powrotem do pracy, a raczej muszą być znowu gotowi podjąć każdą pracę na każde wezwanie. Zabawa w rozruchy musi się skończyć.

Byłem na pogrzebie Emanuele. Piętnaście lat na niektórych szerokościach geograficznych jest liczbą jak każda inna. W tych stronach śmierć w wieku piętnastu lat uważana jest raczej za egzekucję wyroku niż za odebranie życia. W kościele widziałem wielu chłopców o ponurych twarzach. Co jakiś czas któryś z nich coś krzyknął, na placu przed kościołem wielu skandowało rytmicznie: „na za-wsze z na-mi... na za-wsze z na-mi...”. Tak zwykle wołają ultrasi na stadionie, gdy popularny piłkarz schodzi z boiska po swoim ostatnim meczu. Tutaj nie byli na stadionie, a skandowane hasło było przesycone gniewem. W kościele znajdowali się też policjanci w cywilnych ubraniach, trzymali się z daleka od bocznych naw. Wszyscy od razu ich rozpoznali, ale to nie była odpowiednia pora na załatwianie porachunków. Ja też zwróciłem na nich uwagę, a i oni wyodrębnili mnie w tłumie wypełniającym kościół, nie znalazłszy mojej twarzy w archiwum pamięci. Jeden z nich zagadnął mnie, jak gdyby chciał zmniejszyć moje przygnębienie: „Wszyscy ci, których tu widzisz, byli już karani. Handel narkotykami, kradzieże, napady rabunkowe... Kilku z nich prostytuuje się... Nie ma nikogo, kto byłby całkiem czysty. Im więcej ich zginie, tym lepiej dla wszystkich...”.

Na takie słowa należałoby odpowiedzieć prawym sierpowym albo uderzeniem głową w nos, ale w rzeczywistości tak myśleli wszyscy. I może nawet mieli rację. Patrzyłem na tych chłopców, którzy zarobią sobie na dożywocie kradzieżą 200 euro – szumowiny, namiastki ludzi, dealerzy. Żaden z nich nie skończył jeszcze dwudziestu lat. Ojciec Mauro, proboszcz, który odprawiał mszę pogrzebową, wiedział, kogo ma przed sobą, wiedział, że żaden z tych chłopców nie jest niewinny.

„Chłopak, który zginął, nie był bohaterem...”

Nie trzymał otwartych dłoni, jak to zwykle robią księża wygłaszający kazania podczas niedzielnych mszy. Jego ręce były zaciśnięte w pięści. Nie przemawiał też tonem, jakim zwykle wygłasza się homilię. Był dziwnie zachrypnięty, jak ktoś, kto zbyt długo rozmawiał sam ze sobą, kto trzymał słowa w środku. Mówił głosem nasyconym gniewem, jakby z góry założył sobie, że dla nikogo nie będzie miał zmiłowania, niczego nie przemilczy.

Był jak ci południowoamerykańscy księża podczas ruchów protestacyjnych w Salwadorze, którzy nie mogli dłużej znieść odprawiania mszy za ofiary rzezi, przestawali mówić o miłosierdziu Bożym i zaczynali krzyczeć. Ale tutaj nikt nie wie, kim był Romero. Z ojca Mauro emanowała

niesamowita energia. „Nikt nie może zaprzeczyć, że Emanuele ponosi odpowiedzialność za swoje czyny, ale pozostaje faktem, że miał tylko piętnaście lat. W innych częściach Włoch piętnastoletni chłopcy chodzą na basen i na lekcje tańca towarzyskiego. Tutaj jest inaczej. I Pan Bóg na pewno będzie miał na uwadze, że te straszne grzechy popełnił piętnastolatek. Ale jeżeli w południowych Włoszech piętnaście lat wystarczy, żeby pracować, a także kraść, zabijać i umierać od kuli, wystarczy też, by ponosić odpowiedzialność za wszystkie te czyny".

Wciągnął głęboko nosem duszne powietrze kościoła i mówił dalej: „Mimo wszystko piętnaście lat to tak niewiele, iż musimy bardzo głęboko zastanowić się nad przyczynami tego, co się stało, i rozłożyć odpowiedzialność za czyny Emanuele także na innych. Piętnaście lat tego chłopca puka do sumień tych, którzy mają usta pełne słów o praworządności, pracy, zobowiązaniach. A raczej nie tyle puka, ile wali pięścią...".

Proboszcz skończył kazanie. Nikt nie zrozumiał tak całkiem, do końca, co chciał powiedzieć. Nie było przy tym przedstawicieli władz ani żadnych instytucji. Chłopcy obecni w kościele robili coraz większe zamieszanie. Trumna została wyniesiona z kościoła przez czterech mężczyzn, ale w pewnej chwili, zamiast opierać się na ich barkach, zaczęła unosić się nad głowami tłumnie zebranych ludzi. Każdy wyciągał ręce w górę, żeby podtrzymać ją choć przez chwilę, jak publiczność koncertów rockowych, gdy idol rzuca się do nich ze sceny. Trumna kołysała się na morzu rąk. Chłopcy na motorach otoczyli karawan gotowy do przewiezienia Manù na cmentarz, tworząc swoisty kondukt pogrzebowy. Grzali silniki, zwiększali obroty, przyspieszali przy wciśniętych hamulcach. Huk motorów był muzyką, która towarzyszyła Emanuele w jego ostatniej drodze. Opony ślizgały się, tłumiki wyły. Wydawało się, że chłopcy mają zamiar towarzyszyć mu, odprowadzić go na tamten świat. Gęsty dym spalin i benzyny napełnił powietrze, przesiąknęły nim ubrania. Skierowałem się do zakrystii, pragnąłem porozmawiać z księdzem, który wypowiedział tyle palących słów. Uprzedziła mnie jakaś kobieta. Chciała koniecznie powiedzieć księdzu, że przecież ten chłopak jest sam sobie winny,

a w rodzinie nie otrzymał żadnego wychowania. Potem, dumna z siebie, dodała:

– Moi wnukowie, choć i oni są bezrobotni, nigdy by nikogo nie okradli – i jeszcze, głosem drżącym ze zdenerwowania:

– Czego się w życiu nauczył ten chłopak? Niczego?

Ksiądz miał wzrok wbity w ziemię. Ubrany był w dres. Przez dłuższy czas nic nie mówił, nie spojrzał jej nawet w twarz. Po chwili, dalej patrząc na swoje adidasy, powiedział cicho:

– Tutaj można się nauczyć tylko umierać.

– Słucham?

– Nic, proszę pani, nic.

Ale nie wszyscy są pod ziemią. Nie wszyscy skończyli w bagnie porażki. Jeszcze nie. Istnieją zakłady produkcyjne, w których dalej toczy się praca. Niektóre nawet wygrywają z chińską konkurencją, ponieważ pracują dla wielkich, sławnych projektantów mody. Szybkość i jakość. Najwyższa jakość. Monopol na produkcję najpiękniejszych, ekskluzywnych modeli należy wciąż do nich. Dobre imię „made in Italy” tworzy się właśnie tutaj. Caivano, Sant’Antimo, Arzano i tak dalej, całe Las Vegas Kampanii. Włoska twarz znana światu jest obramowana elegancką materią udrapowaną na gołej czaszce prowincji neapolitańskiej. Sławne firmy nie mają aż takiego zaufania do Azjatów, by wysyłać wszystko na wschód i tam zlecać wykonanie prac. Otwiera się więc manufaktury w pomieszczeniach pod schodami szeregowych domków albo w halach wzniesionych na obrzeżach osiedli. W nich na przykład kroi się skórę na buty, zszywa i przykleja podeszwy. Pracuje się w rzędzie, jeden za drugim. Masz plecy kolegi przed oczami, twoje plecy są przed oczami kolegi z tyłu. Dzień roboczy trwa około dziesięciu godzin. Pensja wynosi między 500 a 900 euro. Nadgodziny są zwykle dobrze opłacane, nawet o 15 euro więcej niż zwykła stawka godzinowa. Rzadko się zdarza, żeby taki zakład zatrudniał więcej niż dziesięciu pracowników. W pracowni na półce zawsze stoi radio lub telewizor. Słucha się muzyki, czasem ktoś zawtóruje śpiewem, ale kiedy terminy gonią, wszyscy milczą i słychać tylko stuk igieł w maszynach. Ponad połowa pracowników to kobiety. Są bardzo sprawne, urodziły się przy maszynie do szycia. Oficjalnie nie ma tu żadnych zakładów

produkcyjnych, nie ma też zatrudnionych. Gdyby ta sama praca, o tak wysokim standardzie wykonania, została zadeklarowana zgodnie z prawem, jej koszty wzrosłyby znacznie i ceny gotowych produktów także musiałyby wzrosnąć. Produkcja musiałaby zostać przeniesiona do innego kraju. Przedsiębiorcy z tych stron dobrze zdają sobie z tego sprawę. Zresztą w tych zakładach najczęściej nie ma rozdźwięku między właścicielem a robotnikami. Tutaj konflikt klasowy rozmiękł jak wilgotny herbatnik. Właściciel zwykle sam jeszcze do niedawna był robotnikiem i pracuje w jednym pomieszczeniu z ludźmi, których zatrudnia, siedząc na takim samym stołku, jak wszyscy. Jeżeli zdarza mu się popełnić jakiś błąd, płaci z własnej kieszeni, hipoteką i pożyczką. Wśród podwładnych ma ojcowski autorytet. Można się z nim wykłócić o dzień wolnego czy o parę groszy podwyżki. Nie istnieją umowy o pracę, nie ma biurokracji. Wszystko odbywa się bezpośrednio, opiera na stosunkach międzyludzkich i poczuciu obowiązku, które zastępują kodeks pracy oraz wykształcenie. Rodzina właściciela mieszka zwykle na piętrach nad pracownią. Robotnice często powierzają swoje dzieci opiece córek właściciela, swoistych baby-sitter, albo jego matce, która staje się ich przyszywaną babcią. Dzieci robotnic wychowują się z dziećmi właścicieli. Spełnione marzenie postfordyzmu o zastępowaniu w przedsiębiorstwie relacji pionowych przez poziome – prości robotnicy jedzą obiad wraz z kadrą kierowniczą, po pracy spotykają się na gruncie prywatnym, czują, że są częścią jednej wspólnoty.

W tych zakładach nikt się nie obija. Wszyscy są świadomi, że produkują wyroby najwyższej jakości, wiedzą też, że dostają najniższe wynagrodzenia. Ale albo, albo. Pracuje się po to, żeby zarobić na życie, więc pracuje się jak najlepiej, żeby nikomu nie przyszło do głowy zastąpić cię kimś innym. Nie istnieje system ochrony pracownika, nie ma specjalnych uprawnień, wypowiedzeń, przepustek, świadczeń zdrowotnych, urlopów. Uprawnienia sam sobie musisz wywalczyć, urlop wyprosić. Nie ma się co skarżyć. Wszystko dzieje się tak, jak dziać się musi. Ważne są zdrowe, zręczne ręce, maszyna, przy której pracujesz, i zarobek. Nie ma dokładnych danych na temat liczby pracowników zatrudnionych „na czarno” w tych rejonach. Nie wiadomo też, ilu legalnie zatrudnionych pracowników podpisuje każdego miesiąca listę płac, na której figurują sumy, jakich nigdy nie otrzymali.

Xian miał wziąć udział w przetargu. Weszliśmy do budynku szkoły podstawowej, bez dzieci, bez nauczycielek. Tylko na korytarzach wisiały plansze z bristolu z wyrysowanymi ogromnymi literami. W sali czekało już około dwudziestu osób reprezentujących różne firmy. Xian był jedynym cudzoziemcem. Przywitał się tylko z dwiema osobami obecnymi w sali, a i to raczej zdawkowo. Na szkolnym podwórku zaparkował samochód. Weszło troje ludzi: dwóch mężczyzn i kobieta. Kobieta miała na sobie skórzaną spódniczkę i lakierowane pantofle na wysokim obcasie. Wszyscy oczekujący wstali, żeby się z nią przywitać. Trójka przybyłych zajęła miejsca i rozpoczął się przetarg. Jeden z mężczyzn narysował na tablicy trzy pionowe linie i w pierwszej kolumnie, pod dyktando kobiety, zapisał: 800. Liczbę sztuk odzieży do wyprodukowania. Kobieta wymieniła gatunki materiału i określiła rodzaj ubioru. Do okna podszedł przedsiębiorca z Sant’Antimo i, odwrócony do wszystkich plecami, zaproponował swoją cenę i czas wykonania 800 sztuk odzieży:

– 40 euro za sztukę w dwa miesiące...

Jego oferta znalazła się na tablicy: 800/40/2. Na twarzach reszty zebranych nie było widać zaniepokojenia. Nie przekroczył swoją propozycją granicy niemożliwego. Ewidentnie było to po myśli wszystkich. Tylko zleceniodawcy nie byli usatysfakcjonowani tą propozycją. Licytacja szła dalej.

Przetargi organizowane przez sławne włoskie firmy są przedziwne. Nikt ich nie wygrywa ani nie przegrywa. Ważne, aby uczestniczyć w wyścigach. Zawsze znajdzie się ktoś, kto rzuci się do przodu z ofertą, którą zaakceptują zleceniodawcy, ale nie będzie on jedynym zwycięzcą przetargu. Jego propozycja jest jak początek wyścigu, w którym udział może wziąć każdy, kto się na to zdecyduje. Jeżeli prowadzący licytację przyjmie ofertę, wszyscy obecni przedsiębiorcy mogą zdecydować się wziąć zamówienie. Każdy, kto zgodzi się na proponowane warunki, dostanie materiały do produkcji. Będą przysłane prosto do portu w Neapolu i stamtąd każdy przedsiębiorca może je odebrać. Ale tylko jeden z nich dostanie zapłatę po zakończeniu pracy. Ten, który jako pierwszy odda produkt, pod warunkiem, że jakość będzie bez zarzutu. Wszyscy inni przedsiębiorcy, którzy wzięli udział w przetargu, będą mogli zatrzymać materiały, ale nie dostaną ani grosza. Wielkie domy mody zarabiają tak dużo, że stać je na straty materiałów. Jeżeli któryś z przedsiębiorców parę razy z rzędu nie odda

wykonanego zamówienia i wykorzysta udział w przetargu dla uzyskania materiałów, zostanie pozbawiony prawa udziału w następnych licytacjach. Tym sposobem wielkie firmy świata mody zapewniają sobie szybkość realizacji zamówień, bo jeżeli ktoś ociąga się z wykonaniem pracy, inny zrobi to za niego. W świecie mody nie można się spóźniać.

Ku zadowoleniu kobiety siedzącej za biurkiem następna ręka podniosła się w górę. Ręka bardzo eleganckiego biznesmena.

– 20 euro w 25 dni.

Skończyło się na tym, że przyjęto tę właśnie ofertę. Tylko dziewięciu spośród dwudziestu przedsiębiorców, którzy wzięli udział w przetargu, zadeklarowało chęć uczestnictwa w tych wyścigach. Nawet Xian nie odważył się na tak ryzykowne przedsięwzięcie. Uznał za niemożliwe wykonanie tej pracy w tak krótkim czasie, za tak niską cenę. Po przetargu kobieta zapisała nazwiska biznesmenów, adresy ich zakładów, numery telefonów. Zwycięzca zaprosił wszystkich na obiad do swojego domu. Miał zakład krawiecki na parterze, on z żoną zajmowali pierwsze piętro, na drugim mieszkał syn. Opowiadał wszystkim z dumą:

– Chcę dobudować drugie piętro, już złożyłem wniosek o pozwolenie. To dla młodszego syna, będzie się żenił.

Prowadząc nas po schodach, opowiadał o swojej rodzinie, która rozbudowywała się podobnie jak jego dom.

– Jeżeli macie synów, nie powierzajcie im kontroli szwaczek, bo z tego wynikają same kłopoty. Ja mam dwóch synów i obaj związali się z dziewczętami, które u mnie pracowały. Przy kontroli stawiajcie pedałów, tak jak robiło się to kiedyś...

Pojawili się także pracownicy z warsztatu, żeby wznieść toast za nowe zamówienie. Dla nich oznacza to wytężoną pracę na dwie zmiany: pierwsza od szóstej rano do dziewiątej wieczorem, z półgodzinną przerwą na obiad, druga, nocna, od dwudziestej pierwszej do szóstej rano. Robotnice miały staranny makijaż i duże kolczyki, fartuchy chroniły ich ubrania przed kurzem i smarem maszyn. Niby Superman, który zdejmuje koszulę i już jest gotowy do akcji w swoich niebieskich trykotach, wszystkie dziewczęta pod fartuchami były wystrojone na wieczorne wyjście. Natomiast mężczyźni wyglądali dość niechlujnie, w sportowych bluzach i spodniach roboczych. Po toaście gospodarz domu odszedł na stronę z jednym z gości. Zaraz dołączyli do nich inni przedsiębiorcy, którzy zaakceptowali warunki

przetargu. Nie dlatego, żeby mieli coś do ukrycia przed resztą zebranych, ale by uszanować stary zwyczaj, który zabrania rozmawiać o pieniądzach przy stole. Xian wytłumaczył mi, kim jest ten człowiek. Wyglądał dokładnie tak, jak wyobrażamy sobie bankowego kasjera. Miał przekazać gotówkę i umówić się z gospodarzem w sprawie stopy procentowej. Ale nie reprezentował żadnego banku. Sławne domy mody płacą dopiero za skończoną pracę, a raczej za pracę przyjętą. Pensje, koszty produkcji, a nawet transportu – na wszystko producent musi wyłożyć z własnej kieszeni. I tutaj z pomocą przychodzi kamorra: pożycza pieniądze, zgodnie z geografią wpływów poszczególnych klanów. W Arzano pomoże klan Di Lauro, w Sant'Antimo rodzina Verde, a rodzina Cennamo w Crispano. I tak dalej. Przedsiębiorstwa dostają od kamorry tanie pożyczki, od 2 do 4 procent. Wydawałoby się, że dla banku nie może być lepszego kredytobiorcy niż przedsiębiorstwo współpracujące z wielkimi kreatorami mody włoskiej. Przecież pracują dla najsławniejszych firm, produkują to, co na rynku najlepsze! Ale te zakłady działają w mroku półlegalności, a dyrektorzy banków nie przyjmują duchów w swoich gabinetach. Dyspozycyjność zasobów finansowych gwarantowana przez kamorrę jest jednocześnie dla pracowników zatrudnionych w tych zakładach jedyną szansą na kredyt. Tylko dzięki niej w rejonach, w których ponad 40 procent mieszkańców żyje z pracy „na czarno", sześć rodzin na dziesięć stać na zakup mieszkania. Poza tym zakłady, których produkcja zostanie odrzucona przy kontroli jakości, znajdą dzięki kamorze kupca na wyprodukowane wyroby. Sprzedają wszystko klanom, które umieszczą je na rynku podróbek. To, co widzimy na wybiegach pokazów mody, na światowych premierach i czerwonych chodnikach festiwali filmowych, pochodzi stąd. Z okolic Neapolu i Salento. Z głównych ośrodków przemysłu odzieżowego działających w szarej strefie, z Las Vegas Kampanii oraz z Apulii. Casarano, Tricase, Taviano, Melissano niedaleko Capo di Leuca, południowe Salento. Stąd pochodzą, z tych dziur na końcu świata. Tutaj mogły zostać wyprodukowane z pominięciem zwykłych, legalnych procedur. Tak już jest, to normalne, takie są prawa kapitalizmu. Ale gdy przyglądasz się tym dziurom z bliska, gdy widzisz, jak to wszystko działa, doznajesz dziwnego uczucia. Uczucia ciężaru i stałego niepokoju. Tak jakbyś miał prawdę w żołądku.

Wśród pracowników zatrudnionych u przedsiębiorcy, który wygrał przetarg, był jeden szczególnie zdolny. Pasquale. Długi jak tyczka, bardzo szczupły, lekko zgarbiony. Jego wysoki wzrost ciążył mu najbardziej w okolicach ramion, przy karku. Jednym słowem, sylwetką przypominał hak. Szył na podstawie rysunków i projektów, które przychodziły prosto od projektantów mody. Realizował zamówienia na szczególnie ekskluzywne modele. Zamówienia skierowane bezpośrednio do niego. Jego uposażenie pozostawało zawsze takie samo, ale zmieniały się zadania do wykonania, a on sam czerpał z tego pewną satysfakcję. Pasquale od razu wzbudził moją sympatię, gdy tylko zauważyłem jego wydatny nos. Miał starą twarz, choć był jeszcze całkiem młody. Miał twarz kogoś, kto cały czas spędza z nożyczkami w ręce, nad wykrojami i skrawkami materiałów, kto ma opuszki palców pokłute igłą i otarte szwami. Pasquale był jednym z tych nielicznych pracowników, którzy mogli samodzielnie wybierać tkaniny. Niektóre domy mody miały tak wielkie zaufanie do jego gustu, że zlecały mu zamawianie tkanin bezpośrednio z Chin i on sam sprawdzał potem ich jakość. Przy takiej właśnie okazji Xian i Pasquale poznali się kiedyś w porcie. W tym samym porcie spotkaliśmy się z nim któregoś dnia w restauracji. Po obiedzie Xian i Pasquale pożegnali się, wsiedliśmy do samochodu i skierowaliśmy się w stronę Wezuwiusza. O wulkanach zwykło się myśleć, że są szare, tymczasem Wezuwiusz jest zielony. Z daleka wygląda, jakby pokrywała go jednolita warstwa mchu. Zamiast kontynuować podróż drogą prowadzącą do miejscowości położonych u stóp góry, samochód wjechał na plac przed jakimś domem. Czekał tam na nas Pasquale. Nie rozumiałem, co się dzieje. Wysiadł ze swego auta i wszedł do bagażnika samochodu Xiana. Spróbowałem dowiedzieć się, co to wszystko znaczy:

– Co się dzieje? Dlaczego on jedzie w bagażniku?

– Bądź spokojny. Pojedziemy teraz do Terzigno, do zakładu krawieckiego.

Za kierownicą usiadł człowiek przypominający Minotaura. Siedział przedtem w samochodzie Pasquale i widać było, że doskonale wie, co ma robić. Wrzucił tylny bieg, przejechał przez bramę i zanim jeszcze wjechał na drogę, wyjął pistolet. Półautomatyczny. Odbezpieczył go i włożył sobie między uda. Nie odezwałem się ani słowem, ale Minotaur w lusterku wstecznym zauważył, że patrzę na niego lekko wystraszony.

– Kiedyś chcieli nas załatwić.

– Ale kto? – bardzo pragnąłem, żeby wytłumaczyli mi wszystko od początku.

– Ci, którzy nie chcą, żeby Chińczycy nauczyli się pracować przy ekskluzywnej modzie. Jednym słowem ci, którzy z Chin chcą tylko towaru, nic więcej.

Dalej nic z tego nie rozumiałem. Odezwał się Xian, swoim zwykłym, uspokajającym głosem:

– Pasquale nam pomaga. Uczy nas pracy przy ubiorach najwyższej jakości, do których nas jeszcze na razie nie dopuszczają. Uczymy się od niego mistrzowskiego krawiectwa...

Po tym wyjaśnieniu Minotaur starał się usprawiedliwić pistolet:

– Pewnego razu jeden taki wyjechał nagle, widzisz, tam, na tamtym placu i strzelił do naszego samochodu. Trafił w silnik i wycieraczkę. Gdyby nas chcieli wtedy zabić, zabiliby nas, ale to było tylko ostrzeżenie. Jeżeli przyjdzie im do głowy zrobić to znowu, jestem przygotowany.

Minotaur wytłumaczył mi jeszcze, że kiedy prowadzi się samochód, najlepiej trzymać pistolet między udami. Gdyby leżał na tablicy rozdzielczej, trzeba by więcej czasu, żeby po niego sięgnąć. Droga do Terzigno była bardzo stroma, sprzęgło wydzielało wstrętny zapach. Obawiałem się nie tyle serii z automatu, ile tego, że przy którymś szarpnięciu samochodu pistolet wystrzeli kierowcy prosto w mosznę. Przybyliśmy na miejsce bez przeszkód. Gdy tylko samochód się zatrzymał, Xian otworzył bagażnik. Pasquale wyszedł. Przypominał zmiętą chusteczkę higieniczną, która powoli się rozprostowuje. Podszedł do mnie i powiedział:

– Za każdym razem to samo. Jakbym się ukrywał przed policją. Ale rzeczywiście lepiej, że nikt mnie nie widzi w tym samochodzie. W przeciwnym razie... – i gwałtownym gestem przejechał sobie ręką po szyi.

Hala fabryczna była duża. Nie ogromna, ale duża. Należała do Xiana, był z niej bardzo dumny. W środku mieściło się dziewięć niezależnych warsztatów prowadzonych przez dziewięciu chińskich przedsiębiorców. Od wejścia wyglądało to wszystko jak wielka szachownica. Każdy warsztat miał własne stanowiska pracy, przy których siedzieli ludzie, i mieścił się na ograniczonej, kwadratowej przestrzeni. Xian tak podzielił halę, że każdy

warsztat dysponował powierzchnią podobnej wielkości jak zakłady w rejonie Las Vegas. Zamówienia rozdzielał drogą przetargu, systemem, który zdążyłem już poznać. Zdecydował, że nie pozwoli dzieciom wchodzić na teren hali, a pracę na zmiany zorganizował tak samo, jak we włoskich zakładach krawieckich. Poza tym przy realizacji zewnętrznych zamówień nie wymagał zaliczek gotówką. Jednym słowem, Xian stawał się rasowym przedsiębiorcą w branży mody włoskiej.

Chińskie fabryki w Chinach stanowiły konkurencję dla chińskich fabryk we Włoszech. I dlatego dzielnice Chinatown w Prato, Rzymie i całej reszcie Włoch przechodziły głęboki kryzys. W swoim czasie przeżyły tak gwałtowny boom ekonomiczny, że obecny upadek był tym bardziej bolesny. Istniał tylko jeden sposób na uratowanie chińskich warsztatów krawieckich: wdrożyć robotników w tajniki pracy przy ekskluzywnej modzie. Nauczyć się zawodu od Włochów, od drobnych przedsiębiorców z Las Vegas, skończyć z produkcją tandety i przestawić się na produkcję ubiorów najwyższej jakości. Zająć miejsce, wejść w układy, przejąć metody pracy włoskich producentów z szarej strefy i wykonywać tę samą robotę. Tyle tylko, że trochę taniej i szybciej.

Pasquale wyjął z walizki ciemny materiał. Miał z niego wykroić i uszyć ubranie w zakładzie, w którym był zatrudniony. Tymczasem robił to tutaj, na biurku, przed kamerą rejestrującą jego ruchy i przekazującą obraz na ogromny ekran powieszony za jego plecami. Stała przed nim dziewczyna z mikrofonem przy ustach, która tłumaczyła na język chiński komentarze Pasquale. To była piąta lekcja.

– Musicie zwrócić szczególną uwagę na szwy. Szew powinien być bardzo lekki, ale nie niewidzialny.

Chiński trójkąt. San Giuseppe Vesuviano, Terzigno, Ottaviano, to główne ośrodki chińskiej produkcji odzieżowej. Wszystko, co dzieje się w chińskich społecznościach w całych Włoszech, zdarzyło się już w Terzigno. Pierwsze warsztaty, pierwsza produkcja, pierwsze zabójstwa. Tutaj został zamordowany Wang Dingjm, czterdziestoletni imigrant, który przyjechał samochodem z Rzymu, zaproszony przez znajomych na jakąś uroczystość. Zaprosili go, a potem strzelili mu w skroń. Wang był jednym z tych, których nazywa się głową węża – był przewodnikiem. Pracował dla

kryminalnej organizacji z siedzibą w Pekinie, która przerzucała nielegalnie do Włoch obywateli chińskich. Często „głowy węża” wchodzą w konflikt z przedsiębiorcami poszukującymi taniej siły roboczej, dzieje się tak wtedy, gdy nie dostarczą zamówionej liczby ludzi. I tak jak zabija się dealera narkotyków, gdy zatrzymuje dla siebie część zysku, tak samo likwiduje się „głowę węża”, gdy oszukuje na ludzkim towarze. Ale nie tylko mafiosi kończą w ten sposób. Na drzwiach zakładu przyczepione było zdjęcie drobnej dziewczyny o miłej buzi, różowych policzkach i rzęsach pociągniętych tuszem. Znajdowało się w miejscu, gdzie tradycyjnie można by się spodziewać żółtej twarzy Mao. Ta dziewczyna to Zhang Xiangbi, zamordowana i wrzucona do studni. Parę lat temu pracowała właśnie tutaj. Była w ciąży. Pewien mechanik z tych stron zwrócił na nią uwagę; często przechodziła obok jego warsztatu, spodobała mu się i to był dla niego wystarczający powód, żeby ją mieć. Chińczycy pracują jak mrówki, poruszają się bezgłośnie jak węże, są bardziej milczący niż głuchoniemi, nie mają wolnej woli i na wszystko się zgadzają. Tak przynajmniej wszyscy albo prawie wszyscy o nich myślą. A jednak Zhang stawiła opór i próbowała ucieczki, kiedy mechanik stał się zbyt nachalny. Nie mogła jednak nigdzie się poskarżyć. Była Chinką i musiała pozostać niewidzialna. Mężczyzna spróbował po raz drugi i tym razem nie ścierpiał oporu dziewczyny. Zmasakrował ją kopniakami, po czym podciął jej gardło i wrzucił ciało do studni artezyjskiej, gdzie potem długo leżało, puchnąc od wilgoci. Pasquale słyszał tę historię, wstrząsnęła nim. Za każdym razem, gdy przyjeżdżał na lekcje, odwiedzał brata zamordowanej dziewczyny i pytał, jak mu się powodzi, czy mu czegoś nie potrzeba. Za każdym razem słyszał tę samą odpowiedź: „Nie, dziękuję”.

Bardzo się przywiązałem do Pasquale. Kiedy mówił o tkaninach, przypominał proroka. W sklepach był bardzo pedantyczny, zwracał uwagę na najmniejszy szczegół. Nie można było z nim spacerować, bo zatrzymywał się przed każdą wystawą sklepową, krytykując krój marynarki czy też wstydząc się za krawca, który zaprojektował spódniczkę. Był w stanie przewidzieć wytrzymałość spodni, sukienki czy męskiego ubrania. Wiedział, ile razy będzie można wyprać tkaninę, zanim ubiór straci fason. Pasquale wprowadził mnie w skomplikowany świat tekstyliów. Zacząłem

odwiedzać go w domu. Jego rodzina, żona i troje dzieci, wprawiała mnie w dobry nastrój. Byli zawsze zawsze czymś zajęci, lecz nie było w ich domu chaosu ani rozgardiaszu. Także tego wieczoru młodsze dzieci biegały po mieszkaniu na bosaka, nie robiąc hałasu. Pasquale włączył telewizor, zmienił kilka kanałów, po czym zatrzymał się na jednym i patrzył nieruchomo w ekran, mrużąc oczy jak krótkowidz, chociaż przecież miał doskonały wzrok. Przedtem też nikt się nie odzywał, ale teraz cisza wydawała się gęsta i ciężka. Luisa, żona Pasquale, czegoś się domyśliła, zbliżyła się do telewizora i podniosła rękę do ust, jak ktoś, kto jest świadkiem strasznego wydarzenia i próbuje powstrzymać się od krzyku. W telewizji transmitowano uroczystość rozdania Oscarów. Angelina Jolie szła powoli po czerwonym chodniku, ubrana w przepiękny kostium z białego gładkiego jedwabiu. Model szyty na miarę, jeden z tych, które najsławniejsi włoscy dyktatorzy mody ofiarowują wielkim gwiazdom. Ten kostium uszył Pasquale w Arzano, w zakładzie krawieckim z szarej strefy. Powiedziano mu tylko: „To pojedzie do Ameryki”. Pasquale szył już wiele razy dla amerykańskich klientów. Ten komplet pamiętał doskonale. Pamiętał dokładnie wszystkie wymiary. Wycięcie przy szyi, obwód nadgarstka. I spodnie. Pamięta, jak wygładzał ręką szwy po wewnętrznej stronie nogawek, wyobrażając sobie ciało, które będą okrywać. Ciało absolutnie pozbawione erotyzmu, jak wyobraża je sobie każdy krawiec: kinetyka mięśni, rzeźba kości. Ciało, które należy okryć, znajdując wspólny mianownik między mięśniami, kośćmi a postawą. Po tkaninę pojechał do portu, jeszcze pamiętał ten dzień. Zamówiono wtedy u niego trzy ubiory, nie dając mu żadnych bliższych informacji. Zleceniodawcy wiedzieli, dla kogo są przeznaczone, ale nikt nie powiedział mu na ten temat ani słowa.

W Japonii krawiec, który uszył suknię ślubną żony następcy tronu, został zaproszony na oficjalne przyjęcie; berlińska gazeta poświęciła sześć stron krawcowi pierwszej niemieckiej pani kanclerz. Chwalono jego umiejętności, doskonałe rzemiosło, fantazję i gust. Pasquale był przepełniony gniewem; gniewem, który dławił go w środku. Bo przecież każdy ma prawo do satysfakcji, zasługi powinny być uznane i docenione. Czuł w sobie, w jakiejś części wątroby czy żołądka – nie potrafiłby tego określić – że zrobił świetną robotę, i pragnął, żeby ktoś mu to przyznał. Wiedział, że na to zasługuje. Ale nikt mu niczego nie powiedział. Dowiedział się przez przypadek. Gniew dla samego gniewu, bezcelowy, po

którego stronie są wszystkie możliwe racje, ale nic z tego nie wynika. Pasquale nie będzie mógł się nawet nikomu pochwalić. Nie będzie mógł powiedzieć, oglądając następnego dnia gazetowe zdjęcia z oscarowej gali: „To ja uszyłem ten kostium”. Nikt by w to nie uwierzył. Ceremonia rozdawania Oscarów, Angelina Jolie ubrana w kostium uszyty w Arzano przez Pasquale. Szczyty i niziny. Miliony dolarów i 600 euro na miesiąc. Kiedy zrobiłeś wszystko, co mogłeś, kiedy twoje zdolności, talent, zręczność i poczucie obowiązku połączyły się i wydały wspaniałe owoce, i kiedy wszystko to niczego nie zmienia, masz ochotę położyć się z twarzą zanurzoną w nicości, pogrążyć się w próżni. Zniknąć, pozwolić, żeby nad tobą mijały minuty i godziny, zanurzyć się w ruchomych piaskach. I nic już nie robić. Tylko oddychać, nic więcej. I tak nic nigdy nie zmieni twojego życia. Nawet kostium uszyty dla Angeliny Jolie na ceremonię rozdania Oscarów. Pasquale wyszedł z domu, nie zamykając nawet za sobą drzwi. Luisa wiedziała, gdzie się skierował. Pojechał do Secondigliano. Wiedziała też, z kim się tam spotka. Rzuciła się na tapczan i zanurzyła twarz w poduszce jak mała dziewczynka. Nie wiem dlaczego, ale kiedy Luisa zaczęła płakać, przyszły mi do głowy słowa Vittoria Bodiniego o tym, co robili chłopi z Południa, żeby nie powołano ich do wojska, żeby nie zapełniać okopów pierwszej wojny światowej, nie bronić granic, o których nie wiedzieli nawet, że istnieją. Bodini pisał:

„W czasie wojny chłopi i przemytnicy / wkładali sobie pod pachy liście Xanti-Yaca / wywołujące gorączkę. / Dreszcze udawanej malarii, sztuczna gorączka, / od której dzwoniły zęby / były ich sądem / nad rządzącymi i nad historią”.

Płacz Luisy był jak gorączka tych chłopów: osądzał rząd i historię. To nie był wyraz żalu z powodu doznanej krzywdy. To nie był nawet wybuch rozpaczy. Płacz Luisy był jak uwspółcześniony rozdział *Kapitału* Marksa, jak ustęp z *Bogactwa narodów* Adama Smitha, jak akapit *Ogólnej teorii zatrudnienia* Johna Maynarda Keynesa czy przypis do dzieła Maxa Webera *Etyka protestancka a duch kapitalizmu*. Był ich dodanym albo usuniętym fragmentem. Który zapomniano napisać, a może pisze się go wciąż jeszcze, lecz nie tam, gdzie trzeba. Płacz Luisy nie był desperackim wybuchem, lecz analizą. Surową, drobiazgową, precyzyjną, popartą argumentami. Wyobrażałem sobie Pasquale na ulicy, tupiącego nogami, jakby czyścił buty ze śniegu. Pasquale, który jak dziecko dziwi się, dlaczego życie musi być

tak bolesne. Do tej pory dawał sobie radę. Potrafił się opanować, robił to, co potrafił najlepiej, i czerpał z tego satysfakcję. I wykonywał swój zawód z rzadkim mistrzostwem. Ale w tamtej chwili, gdy zobaczył to ubranie, to piękne ciało okryte tkaniną, którą pieścił własnymi rękami, poczuł się samotny. Bezgranicznie samotny. Bo jeżeli wiedza, jaką posiadamy, zawiera się tylko w granicach naszego ciała, naszego mózgu, to jest tak samo, jak gdybyśmy żadnej wiedzy nie posiadali. I jeżeli praca służy tylko do zaspokojenia podstawowych potrzeb, do utrzymania się na powierzchni, służy sama sobie, jest najgorszą samotnością.

Spotkałem Pasquale dwa miesiące później. Zrobili z niego kierowcę. Transportował wszystkie rodzaje towarów – legalne i nielegalne – dla firm związanych z rodziną Licciardi z Secondigliano. Przynajmniej tak słyszałem. Najlepszy krawiec na świecie jeździł dla kamorry ciężarówką między Secondigliano a Lago di Garda. Zaprosił mnie na obiad, przewiózł mnie swoim ogromnym autem. Jego ręce były czerwone, ze spękanymi knykciami. Jak u każdego kierowcy, który godzinami trzyma kierownicę, dłonie mu marzną i blokuje się krążenie krwi. Nie miał pogodnej twarzy jak kiedyś; wybrał to zajęcie, żeby zrobić na złość swojemu losowi, żeby dać kopniaka w tyłek własnemu życiu. Nie wytrzymał. Nawet jeżeli w jego sytuacji rzucić wszystko w diabły znaczyło żyć gorzej. Podczas obiadu wstał od stołu, żeby przywitać się z jakimś znajomym. Przy talerzu zostawił portfel. Wystawała z niego strona z gazety złożona na czworo. Rozprostowałem ją. Było na niej zdjęcie Angeliny Jolie ubranej na biało. Kostium uszyty przez Pasquale. Marynarka założona na gołe ciało. Potrzeba było dużych zdolności, by tkanina leżała jak druga skóra, żeby nie zmieniała formy w ruchu.

Jestem pewny, że kiedy po kolacji w domu dzieci zasypiają po całym dniu zabawy, a żona, zanim zabierze się do zmywania naczyń, dzwoni do matki, Pasquale w samotności otwiera portfel i ogląda stronę z gazety. I jestem przekonany, że w takich chwilach, gdy patrzy na arcydzieło, które stworzyły jego ręce, Pasquale jest szczęśliwy. Gniewnym szczęściem. Ale o tym nikt się nigdy nie dowie.

System

To System zaopatrywał międzynarodowy rynek odzieżowy, bezkresny archipelag włoskiego stylu. Do każdego zakątka naszego globu dotarły firmy, ludzie i produkcja Systemu. „System” jest wyrażeniem doskonale znanym w tych rejonach, chociaż wszędzie indziej, dla tych, którzy nie pojmują mechanizmów gospodarki kryminalnej, pozostaje niezrozumiały. Tutaj słowo „kamorra” nie istnieje, jest określeniem używanym przez policję. Używanym przez prokuratorów, dziennikarzy i scenarzystów filmowych. Określeniem, które wzbudza śmiech u tych, którzy dla niej pracują, niesprecyzowanym i przestarzałym, dobrym dla badaczy historii tego zjawiska. Termin, jakiego używają członkowie klanów, to „System”. Mówią: „należę do Systemu Secondigliano”. Ten termin wiele mówi i odnosi się raczej do mechanizmu niż do struktury. Organizacja przestępcza łączy się ściśle z gospodarką, kośćcem każdego klanu jest dialektyka handlowa.

System Secondigliano kontrolował całą branżę tekstylną, peryferie Neapolu były miejscem produkcji, prawdziwym centrum przemysłowym. Wszystko, czego nie można było załatwić gdzie indziej wskutek nadmiernej sztywności prawa i przepisów regulujących kontrakty czy z powodu ograniczeń narzucanych przez prawo autorskie, na północnych peryferiach Neapolu uzyskiwano bez problemu. Dzięki autorytetowi klanów i talentom menedżerskim bossów mafijnych można było obracać astronomicznymi kapitałami, niewyobrażalnymi w jakimkolwiek aglomeracie przemysłowym działającym zgodnie z prawem. Rodziny mafijne stworzyły strukturę przemysłu tekstylnego i skórzanego, dzięki której były w stanie wyprodukować ubrania, buty, koszule identyczne z tymi, które wprowadzały na rynek wielkie włoskie domy mody.

Na tym terenie korzystano z siły roboczej o najwyższych kwalifikacjach, wykształconej w ciągu dziesiątek lat na modelach i projektach najsławniejszych dyktatorów mody włoskiej i europejskiej. Ci

sami rzemieślnicy najwyższej klasy, którzy pracowali „na czarno” dla najważniejszych firm, byli angażowani przez klany. Wykonanie było perfekcyjne, a tkaniny takie same. Zamawiano je bezpośrednio w Chinach albo używano tych, które wielkie firmy wysyłały przedsiębiorstwom z szarej strefy, biorącym udział w przetargach. Fałszywki wyprodukowane przez klany z Secodigliano nie były więc żadną tandetą, nędzną imitacją, ledwo podobną podróbką, która udaje autentyk. Można je było nazwać fałszywymi oryginałami. Brakowało im tylko jednego elementu: autoryzacji firmy matki, jej znaku towarowego. Ale klany nikogo nie prosiły o żadną autoryzację, dawały ją sobie same. Zresztą dla klienta w jakiejkolwiek części świata najważniejszy był model ubioru i jego jakość. I wszystko to otrzymywał: markowy ubiór dobrej jakości, nieróżniący się niczym od oryginalnego. Klany z Secondigliano stworzyły sieć handlową obejmującą cały światowy rynek, wykupywały sklepy i krok po kroku opanowały międzynarodowy rynek odzieżowy. Nie stroniły też od dystrybucji poprzez sklepy outletowe. Wyroby o niższej jakości rozprowadzały innymi drogami: powierzały je czarnoskórym sprzedawcom ulicznym i właścicielom straganów. Żadna część produkcji nie marnowała się. Od fabryki do sklepu, od kupca detalicznego po dystrybutora – uczestniczyły w tym setki firm i zatrudnionych w nich ludzi, tysiące rąk do pracy, setki przedsiębiorców, z których każdy dałby wiele za to, by uszczknąć coś dla siebie z wielkiego odzieżowego interesu rodzin z Secondigliano. Zarządzaniem i koordynacją zajmował się Dyrektoriat. Często słyszałem to słowo. Przy każdej dyskusji w barze na temat jakiegoś interesu do zrobienia czy braku pracy słyszałem: „Dyrektoriat tak chciał” albo: „Dyrektoriat powinien coś z tym zrobić”. Wydawało mi się, że przeniosłem się w epokę napoleońską. „Dyrektoriat” to nazwa, jaką prokuratorzy z DDA, czyli Okręgowej Dyrekcji Antymafii (Direzione Distrettuale Antimafia) z Neapolu nadali strukturze finansowej i operacyjnej, w której skład wchodzili przedsiębiorcy i bossowie z różnych klanów działających na północnych peryferiach Neapolu. Ten organ zajmował się wyłącznie obrotem kapitału. Podobnie jak w przypadku pięcioosobowej grupy, do której należała władza we Francji od przewrotu 9 thermidora, Dyrektoriat reprezentował właściwą władzę całej organizacji, o wiele skuteczniejszą niż baterie artylerii i wojsko. Dyrektoriat tworzyli członkowie klanów należących do Przymierza Secondigliano, organizacji, która skupiała różne rodziny: Licciardi, Contini, Mallardo, Lo Russo,

Bocchetti, Stabile, Prestieri, Bosti oraz korzystające z większej autonomii: Sarno i Di Lauro. Pod ich hegemonią znalazło się terytorium obejmujące Secondigliano, Scampię, Piscinolę, Chiaiano, Miano, San Pietro a Paterno, aż do Giugliano i Ponticelli. Federacyjna struktura, która pozwoliła na to, by klany stopniowo zdobywały coraz większą autonomię, przyczyniła się do dezintegracji tradycyjnej, organicznej struktury Przymierza. Kwestiami produkcji zajmowali się w Dyrektoriacie przedsiębiorcy kierujący takimi firmami jak Valent, Vip Moda, Vocos, Vitec, które w Casorii, Arzano czy Melito produkowały podróbki wyrobów Valentina, Ferre, Versacego i Armaniego, sprzedawane potem na całym świecie. W 2004 roku, dzięki dochodzeniu przeprowadzonemu przez prokuratora DDA z Neapolu Filippa Beatrice, udało się oszacować rozmiary imperium finansowego kamorry neapolitańskiej. Zaczęło się od drobiazgu, który mógł równie dobrze pozostać niezauważony. Jeden z bossów z Secondigliano został zatrudniony w sklepie odzieżowym Nenentz Fashion w niemieckim Chemnitz, przy Dresdner Strasse 46. Zdziwiło to śledczych. Podążając tym tropem, odkryli ogromną sieć produkcyjną i handlową zarządzaną przez klany z Secondigliano. W wyniku dochodzenia neapolitańskiego DDA, dzięki przechwyceniu informacji oraz dzięki zeznaniom „skruszonych” członków mafii, odtworzono łańcuch powiązań handlowych klanów, od hurtowni po sklepy.

Nie było miejsca, gdzie nie weszliby ze swoimi interesami. W Niemczech mieli hurtownie i sklepy w Hamburgu, Dortmundzie i Frankfurcie. Do nich należały sklepy „Laudano” w Berlinie przy Gneisanaustrasse 800 i Witzlebenstrasse 15; w Hiszpanii zainstalowali się w Barcelonie, a także w Madrycie przy Paseo de la Ermita del Santo 30; handlowali w stolicach Belgii i Austrii, w portugalskich Porto i Boavista oraz w irlandzkim Dublinie; w Londynie mieli sklep z marynarkami; byli obecni w Finlandii, Danii, w Amsterdamie, w Sarajewie i Belgradzie. Po drugiej stronie Atlantyku klany z Secodigliano zainwestowały zarówno w Kanadzie, jak w Stanach Zjednoczonych, dotarły także do Ameryki Południowej. Byli przy Jevlan Drive w Montrealu i w Woodbridge w Ontario. Ogromna sieć handlowa w USA rozprowadzała miliony par jeansów w sklepach w Nowym Jorku, Miami Beach, New Jersey, Chicago; na Florydzie posiadali praktycznie monopol. Amerykańscy pośrednicy handlowi oraz właściciele centrów handlowych chcieli załatwiać interesy

bezpośrednio z agentami z Secondigliano. Dzięki przystępnym cenom ekskluzywnej mody, ubiorów projektowanych przez sławnych kreatorów, ich centra handlowe i shopping malls były pełne klientów. Znaki towarowe wyglądały perfekcyjnie.

W pewnym warsztacie na peryferiach Neapolu znaleziono matrycę do drukowania gorgony Versacego. W Secondigliano krążyła pogłoska, że rynek USA jest zasypany odzieżą wprowadzoną tam przez Dyrektoriat, co daje szansę młodym ludziom, którzy chcieliby w Stanach spróbować szczęścia w zawodzie pośrednika handlowego. Przykład firmy Vip Moda, której jeansy zapełniały sklepy w Teksasie i sprzedawane były jako spodnie Valentino, pokazał, że sukces jest możliwy i nietrudny do osiągnięcia.

Biznes rozwinął się także na drugiej półkuli. W Australii sklep „Moda Italiana Emporio" w New South Wales przy Ramay Road 28 stał się słynnym magazynem ekskluzywnej mody cenionym za wysoką jakość sprzedawanych ubrań; także w Sydney klany z Secondigliano miały swoje hurtownie i sklepy. Opanowały rynek odzieżowy w Brazylii, w Rio de Janeiro i w São Paulo. Na Kubie zamierzały otworzyć sklep dla turystów z Europy i Stanów Zjednoczonych, zaczęły też inwestować w Arabii Saudyjskiej i w krajach Maghrebu. Głównym elementem dystrybucji, na którym bazował Dyrektoriat, były hurtownie. Tak kamoryści nazywali je między sobą w rozmowach podsłuchanych przez śledczych DDA. W rzeczywistości były to ośrodki sterowania dystrybucją, ludźmi i towarami. Składowano w nich odzież wszelkiego rodzaju, stamtąd pośrednicy handlowi rozprowadzali ją po sklepach należących do klanów lub dostarczali innym kupcom detalicznym. Mechanizm znany z odległych czasów. Po drugiej wojnie światowej wędrowni kupcy z Neapolu, tzw. *magliari,* zasypali pół świata skarpetkami, koszulami i marynarkami, które nosili kilometrami w wyładowanych torbach. Stosując na szerszą skalę ich handlowe doświadczenia, współcześni *magliari* stali się świetnymi agentami handlowymi, zdolnymi sprzedać wszystko i wszędzie: na podmiejskim targu i w centrum handlowym, na parkingu i na stacji benzynowej. Zdolniejsi wspięli się o szczebel wyżej i zaopatrywali bezpośrednio sklepy większymi partiami towaru. Wyniki śledztwa DDA wykazały, że niektórzy biznesmeni, dla zagwarantowania sprawniejszej dystrybucji, zapewniali swoim przedstawicielom, tym współczesnym *magliari,* kompletne zaplecze logistyczne. Zadatkowywali koszty podróży

i noclegów, wyposażali ich w ciężarówki i samochody, w razie aresztowania zapewniali im pomoc prawną. I oczywiście inkasowali dochód ze sprzedaży. W ciągu roku każda rodzina osiągała zysk wysokości około trzystu milionów euro.

Wielkie firmy mody włoskiej zaczęły protestować przeciw zalewaniu rynku podróbkami przez klany z Secondigliano dopiero wtedy, gdy Antymafia odkryła cały ten proceder. Wcześniej nie zrealizowały żadnej kampanii reklamowej przeciw klanom, nie podały ich do sądu, nie poinformowały prasy o szkodach, jakie przynosiła im równoległa produkcja. Trudno zrozumieć, dlaczego sławne domy mody nigdy nie wystąpiły przeciw klanom. Przyczyny mogą być różne. Zgłoszenie przestępstwa byłoby równoznaczne z rezygnacją z taniej siły roboczej w Kampanii i Apulii. Rodziny mafijne bez wątpienia zamknęłyby im dostęp do zagłębia produkcji tekstylnej wokół Neapolu i przeszkadzałyby we współpracy z fabrykami z Europy Wschodniej i Dalekiego Wschodu. Zgłoszenie przestępstwa zaszkodziłoby bezpośrednim kontaktom handlowym, jako że liczne sklepy znajdowały się w gestii kamorry. Dystrybucja, pośrednictwo handlowe i transport w wielu rejonach były pod całkowitą kontrolą mafii. Zgłaszając przestępstwo, sławne domy mody musiałyby się więc liczyć ze wzrostem kosztów dystrybucji. Zresztą równoległa produkcja markowej odzieży przez przedsiębiorców z Secondigliano nie przynosiła szkody wizerunkowi wielkich firm. Klany tylko wykorzystywały ich charyzmę, ich prestiż. Producenci podróbek nie zniekształcali oryginalnych wzorów, nie obniżali standardów jakości. Nie robili konkurencji wielkim firmom, a tylko popularyzowali ubrania, których ceny były i tak zbyt wygórowane dla szerszej klienteli. Popularyzowali markę. Jeżeli mało kto nosi ubiory zaprojektowane przez sławnych kreatorów, jeżeli można je zobaczyć tylko na żywych manekinach podczas pokazów mody, popyt powoli wygasa, a i prestiż słabnie. Poza tym w zakładach krawieckich na peryferiach Neapolu szyto sukienki i marynarki w rozmiarach, których sławne firmy nie produkowały ze względu na image. Dla klanów zaś nie istniał problem image’u, liczył się tylko zarobek. Rodziny mafijne z Secondigliano, dzięki zyskom ze sprzedaży fałszywych oryginałów oraz z handlu narkotykami, mogły sobie pozwolić na kupno nieruchomości: sklepów i centrów handlowych, w których coraz częściej mieszały się ubrania oryginalne i podrabiane, bez

możliwości odróżnienia jednych od drugich. System w jakiś sposób wspierał imperium mody, wykorzystując kryzys rynkowy. Dzięki Systemowi marka „made in Italy” stawała się coraz bardziej popularna w świecie. A System zarabiał na tym kolosalne sumy.

W Secondigliano zrozumiano, że dzięki gęstej międzynarodowej sieci punktów sprzedaży można robić świetne interesy, wcale nie gorsze niż na narkotykach. Zresztą kanały dystrybucji produkcji tekstylnej często przydawały się także do rozprowadzania środków odurzających. Przedsiębiorczość Systemu nie ograniczyła się do przemysłu odzieżowego, zaczęto inwestować także w technologię. Według danych zebranych podczas dochodzenia w 2004 roku klany sprowadzały z Chin sprzęt high-tech, który potem rozprowadzały w swojej sieci w krajach europejskich. Europa miała opakowanie: markę, tradycję, reklamę; Chiny dawały zawartość: gotowy produkt wytworzony przez tanią siłę roboczą z materiałów za śmiesznie niskie ceny. Kamorra połączyła te dwa elementy i stała się bezkonkurencyjna na wszystkich rynkach. Klany zauważyły, że obecny system gospodarczy goni resztkami sił, zaczęły więc śledzić szlaki przetarte przez firmy, które przeniosły swoje inwestycje z południowych włoskich prowincji do Chin. Mafijni przedsiębiorcy wytypowali kilka chińskich ośrodków przemysłowych, które produkowały dla wielkich zachodnich firm. Zdecydowali się zamawiać duże ilości sprzętu dobrej jakości i sprzedawać je w Europie ze znakiem firmowym, oczywiście fałszywym, który podniesie atrakcyjność towaru. Nie od razu zaufali dostawcom; podobnie jak przy większych dostawach kokainy, także w tym wypadku przetestowali najpierw na rynku niewielką ilość towaru produkowanego przez chińskie fabryki, z którymi nawiązali współpracę i dopiero kiedy upewnili się co do jego jakości, rozkręcili najlepiej prosperujący międzykontynentalny interes w historii zorganizowanej przestępczości. Cyfrowe aparaty fotograficzne i kamery wideo, ale także narzędzia i maszyny przemysłowe: wiertarki, młoty pneumatyczne, szlifierki, obrabiarki. Wszystkie były sprzedawane ze znakami „Boscha”, „Hammera”, „Hilti”. Boss z Secodigliano, Paolo Di Lauro, zaczął sprowadzać aparaty fotograficzne z Chin dziesięć lat przed tym, jak Confindustria, czyli włoska izba przemysłowa, zdecydowała się na zacieśnienie stosunków gospodarczych ze Wschodem. Klan Di Lauro wprowadził na rynki Europy Wschodniej tysiące modeli ze znakami

„Canona” i „Hitachi”. W ten sposób przedmioty, na które wcześniej mogła pozwolić sobie jedynie klasa średnia i wysoka, teraz, dzięki kamorze, były w zasięgu każdego. Klany przywłaszczały sobie jedynie znaki firmowe, żeby łatwiej wejść na rynek, ale oferowane przez nich produkty były praktycznie identyczne.

Inwestycje w Chinach klanów Di Lauro i Contini, które wyszły na jaw podczas śledztwa przeprowadzonego w 2004 roku przez DDA, dowodzą dalekowzroczności ich bossów. Skończyła się epoka wielkich struktur mafijnych. Nowa Kamorra Zorganizowana (La Nuova Camorra Organizzata) powołana przez Raffaele Cutola w latach 80. była czymś w rodzaju ogromnego przedsiębiorstwa albo scentralizowanej korporacji. Potem nadeszła epoka Nowej Rodziny (La Nuova Famiglia) Carmine Alfieriego i Antonia Bardellina, o strukturze federacyjnej, w której poszczególne rodziny były finansowo niezależne, związane tylko wspólnymi interesami. Jednak także ta organizacja chorowała na przerost strukturalny.

W obecnych czasach uelastycznienie gospodarki spowodowało rozbicie tych wielkich organizacji na małe, wyspecjalizowane grupy bossów-menedżerów, cieszących się silną pozycją w strefie finansowej oraz prestiżem społecznym, którzy w razie potrzeby mogą liczyć na kolaborację setek ludzi. Kamorra ma strukturę horyzontalną i jest o wiele elastyczniejsza niż cosa nostra, dużo bardziej otwarta na nowe sojusze niż kalabryjska ’ndrangheta, skłonna przyjmować nowe klany w swoje szeregi, gotowa stosować nowe strategie i wchodzić na nowe rynki. Podczas dziesiątek akcji policyjnych w ostatnich latach stwierdzono, że mafia sycylijska i ’ndrangheta korzystały z pośrednictwa kamorry przy zaopatrywaniu się w większe partie narkotyków. Kamorra neapolitańska dostarczała heroinę i kokainę w konkurencyjnych cenach i kupowanie od jej dostawców było często tańsze, a na pewno wygodniejsze, niż bezpośrednie kontakty z handlarzami z Ameryki Południowej czy Albanii.

Mimo zmian w strukturze klanów kamorra jest najliczniejszą organizacją przestępczą Europy. Na jednego członka mafii sycylijskiej przypada pięciu kamorystów, w przypadku ’ndranghety ten stosunek wynosi jeden do ośmiu. Trzy-cztery razy więcej członków niż w innych

organizacjach. Dzięki temu, że uwaga medialna nieustannie skupia się na sycylijskiej cosa nostrze i podkładanych przez mafię bombach, kamorra pozostaje w cieniu i jest praktycznie nieznana. W związku z przekształceniami wewnątrz grup przestępczych w duchu postfordyzmu klany neapolitańskie zaprzestały tradycyjnej praktyki opłacania rzeszy „podopiecznych". Rezultatem jest wzrost drobnej przestępczości w mieście. Rodziny mafijne nie muszą już sprawować ścisłej kontroli na ulicach, a przynajmniej nie zawsze. Kamorra robi swoje najważniejsze interesy poza Neapolem.

Akta dochodzeniowe neapolitańskiej Prokuratury Antymafii wykazują, że zamiana struktury kamorry na federacyjną oraz uelastycznienie jej metod działania wpłynęły także na charakter samych rodzin mafijnych. Obecnie działają raczej jak spółki gospodarcze niż jak grupy związane dyplomatycznym przymierzem czy trwałym paktem. Zmiana strategii działania jest reakcją kamorry na nowe wymogi, jakie stawia przedsiębiorstwom rynek: muszą dysponować mobilnym kapitałem, inwestować w nieruchomości, niezależnie od ich lokalizacji i sytuacji politycznej kraju, w jakim się znajdują, muszą też być przygotowane na szybkie zakładanie i rozwiązywanie spółek. Klany nie mają już potrzeby zrzeszać się w megaorganizacje. Dzisiaj kilka osób może wspólnie kraść, napadać i rozbijać wystawy sklepowe, nie ryzykując, jak to było w przeszłości, że kamorra wessie je lub krwawo się z nimi rozprawi. Członkowie band, które działają w Neapolu, często widzą w przestępstwie nie tylko sposób na napełnienie portfela, zakup luksusowego auta czy zapewnienie sobie na jakiś czas wygodnego życia. Zdają sobie sprawę, że od wielkości ich grupy, liczby i brutalności akcji zależą ich szanse na stałą współpracę z kamorrą – a wtedy mogliby raz na zawsze polepszyć swoją sytuację finansową. W szeregach kamorry znajdziemy zarówno grupy, które dopiero od niedawna przyssały się do niej jak wygłodniałe pijawki, uniemożliwiając prawidłowy rozwój gospodarczy, oraz awangardowe konsorcja prowadzące interesy na najwyższym poziomie. Te dwie krańcowe, choć często uzupełniające się kategorie rozdzierają epidermę miasta. W Neapolu okrucieństwo jest najtrudniejszym, ale i najpewniejszym sposobem na osiągnięcie sukcesu. Atmosfera miasta w stanie wojny, którą wchłania się wszystkimi porami, ma zapach stęchłego potu, jakby ulice były salą treningową pod otwartym niebem, w której

ćwiczy się sztukę kradzieży, rabunku i napadów z bronią w ręku, a także gimnastykę władzy i biegi po sukces finansowy.

System urósł jak ciasto drożdżowe pozostawione w stęchłym cieple peryferii. Władze miasta i regionu sądziły, że przeszkodzą temu, nie robiąc interesów z klanami. Ale to nie wystarczyło. Zlekceważono niebezpieczeństwo, nie doceniono miejscowych rodzin, uznając ich działania za tylko jeden z wielu przejawów degeneracji peryferii, i tym sposobem Kampania stała się regionem o największej ilości gmin znajdujących się pod stałą kontrolą organów bezpieczeństwa z powodu infiltracji przez mafię. Od 1991 do dzisiaj odwołano 71 władz gminnych w Kampanii. W samej tylko prowincji Neapolu rozwiązano rady gminne w Pozzuoli, Quarto, Marano, Melito, Portici, Ottaviano, San Giuseppe Vesuviano, San Gennaro Vesuviano, Terzigno, Calandrino, Sant'Antimo, Tufino, Crispano, Casamarciano, Nola, Liveri, Boscoreale, Poggiomarino, Pompei, Ercolano, Pimonte, Casola di Napoli, Sant'Antonio Abate, Santa Maria la Carita, Torre Annunziata, Torre del Greco, Volla, Brusciano, Acerra, Casoria, Pomigliano d'Arco, Frattamaggiore. To bardzo dużo. O wiele więcej niż w innych regionach Włoch; na przykład na Sycylii rozwiązano 44, w Kalabrii 34, a w Apulii tylko 7 rad gminnych. Tylko 9 gmin na 92 w prowincji Neapolu nigdy nie było administrowanych przez narzucone z zewnątrz komisje, nie doświadczyło okresów stałego monitoringu i nadzwyczajnych kontroli. Klany decydowały o planach zagospodarowania przestrzennego, miały swoich ludzi w miejscowych placówkach służby zdrowia; firmy należące do klanów wykupywały tereny rolnicze na chwilę przed przekształceniem ich w działki budowlane, po czym stawiały na nich centra handlowe, organizowały festyny ludowe pod egidą gminy, monopolizowały sektor usług, od szkolnych stołówek po sprzątanie obiektów publicznych, od komunikacji po wywóz śmieci.

Nigdy jeszcze nie zanotowano tak wszechobecnej i potężnej obecności mafii w życiu gospodarczym regionu, jak w ostatnich dziesięciu latach w Kampanii. Klany należące do kamorry nie potrzebują lokalnych polityków jak mafijne grupy na Sycylii, to politycy potrzebują Systemu. Strategia kamorry w Kampanii zakłada, że do interesów nie miesza się polityków na eksponowanych stanowiskach, którymi interesują się media. Nie zmusza się ich do biernego współudziału czy milczącego przyzwolenia Za to na prowincji, w małych miejscowościach, gdzie klany potrzebują

wsparcia zbrojnego, osłony dla ukrywających się członków kamorry, kamuflażu dla co ryzykowniejszych operacji finansowych, związki między politykami a rodzinami mafijnymi są bliższe. Klany docierają do organów władzy przez swoje imperium gospodarcze. I to wystarczy, żeby panować nad wszystkim.

Twórcami przemiany Secondigliano i Scampii z biednych peryferyjnych osiedli w centrum dowodzenia kryminalną przedsiębiorczością byli członkowie rodziny Licciardi. Ich ośrodek operacyjny w Masserii Cardone to naprawdę niedostępna forteca. Bossem, który rozpoczął dzieło transformacji Secondigliano, był Gennaro Licciardi, ’A Scigna, czyli „małpa”, jak nazywano go w dialekcie neapolitańskim. Fizycznie rzeczywiście podobny był do goryla lub orangutana. Pod koniec lat 80. reprezentował w Secondigliano interesy Luigiego Giulianiego, bossa Forcelli, centralnej dzielnicy Neapolu. Wówczas pracę na peryferiach miasta bez wielkich centrów handlowych i sklepów, z których byłoby można ściągać haracze, uważano za zesłanie. Jednak Licciardi przewidział, że to miejsce może stać się ważnym węzłem handlowym w nielegalnym obrocie narkotykami, bazą transportową organizacji przestępczych oraz zagłębiem taniej siły roboczej. Przewidział też, że wkrótce na tym terenie wraz z rozwojem miasta wyrosną rusztowania i place budowy nowych osiedli mieszkaniowych. Gennaro Licciardi nie zdążył zrealizować wszystkich swoich pomysłów. Zmarł w więzieniu w wieku trzydziestu ośmiu lat na banalną przepuklinę pępkową; wstydliwy koniec dla bossa. Tym bardziej że w młodości wyszedł żywy, pomimo szesnastu ciosów nożem, z bójki między członkami Nowej Kamorry Zorganizowanej Cutola i Nowej Rodziny, która wywiązała się w celi pod specjalnym nadzorem w samym gmachu sądu w Neapolu.
Rodzina Licciardi przekształciła miejsce, które dotąd jedynie dostarczało taniej siły roboczej, w centrum rozprowadzania narkotyków, w prężne przedsiębiorstwo kryminalne o zasięgu międzynarodowym. Tysiące osób zostały zaangażowane do współpracy z kamorrą, wciągnięte w tryby Systemu. Przemysł tekstylny i narkotyki. A przede wszystkim obrót handlowy. Z chwilą śmierci Gennara ’A Scigni władzę nad wojskiem

kamorry przejęli jego bracia, Pietro i Vincenzo, ale o finansach w klanie decydowała Maria, nazywana ’A Piccerella, czyli „malutka”.

Po upadku muru berlińskiego Pietro Licciardi przeniósł większość inwestycji, legalnych i nielegalnych, do Pragi i Brna. Do Republiki Czeskiej weszła kamorra z Secondigliano; przedsiębiorcy z nią związani, powtarzając strategię produkcji na peryferiach, zainwestowali tam, by zdobyć rynek niemiecki. Pietro Licciardi miał wszelkie cechy wytrawnego menedżera, a poza tym zachowywał się tak, jakby uważał cały świat za trochę większe Secondigliano. Ze względu na jego despotyczne, aroganckie zachowanie nazywano go Cesarzem Rzymskim. W Chinach otworzył sklep z ubiorami, handlowy *pied-à-terre* na Tajwanie, który miał mu pomóc w spenetrowaniu tamtejszego rynku, Licciardi nie zamierzał bowiem ograniczać się jedynie do wykorzystywania tamtejszej siły roboczej. W czerwcu 1999 roku został aresztowany w Pradze. Jego metody działania były szczególnie okrutne. W 1998, podczas konfliktu między klanami z peryferii i rodzinami z historycznego centrum miasta, zlecił podłożyć bombę w samochodzie zaparkowanym przy via Cristallini w dzielnicy Sanità. Wybuch bomby miał ukarać mieszkańców dzielnicy, a nie tylko członków klanu. Kiedy samochód wyleciał w powietrze, kawałki blachy i szkła zraniły trzynaście przypadkowych osób. Za to właśnie został zatrzymany, ale zabrakło dowodów, więc uniewinniono go. We Włoszech klan Licciardi przeniósł interesy w branży tekstylnej i odzieżowej do Castelnuovo del Garda w regionie Veneto. Niedaleko stamtąd, w Portogruaro zaaresztowano Vincenza Pernice, szwagra Pietra Licciardiego, a razem z nim kilku współpracowników klanu, między innymi Renata Peluso, zameldowanego właśnie w Castelnuovo del Garda. Miejscowi handlowcy i przedsiębiorcy, mający powiązania z klanem, pomogli Pietrowi Licciardiemu ukrywać się przed wymiarem sprawiedliwości, czym zadeklarowali swoją pełną przynależność do organizacji przestępczej. Oprócz talentu do biznesu, Licciardi dysponowali także siłami zbrojnymi. Po aresztowaniu Pietra i Marii na czele klanu stanął Vincenzo, boss ukrywający się przed wymiarem sprawiedliwości. W jego gestii znajdują się aktualnie zarówno działania finansowe, jak i militarne klanu

Klan Licciardi był zawsze szczególnie mściwy. Krwawo pomścił śmierć Vincenza Esposito, siostrzeńca Gennara Licciardiego zabitego w 1991 roku,

w wieku dwudziestu jeden lat. Stało się to w dzielnicy Monterosa, znajdującej się pod kontrolą rodziny Prestieri należącej do Przymierza Secondigliano. Vincenza Esposito nazywano Il Principino, czyli „książątko” z racji jego powiązań rodzinnych z „monarchią” rządzącą w Secondigliano. Tego dnia przyjechał do Monterosa na skuterze, żeby znaleźć odpowiedzialnych za niewłaściwe potraktowanie na tym właśnie terenie kilku jego przyjaciół. Miał na głowie kask, możliwe więc, że zastrzelono go przez pomyłkę. Licciardi oskarżyli o to zabójstwo klan Di Lauro, z którym rodzina Prestieri miała silne powiązania. Według zeznań „skruszonego” kamorysty, Luigiego Giuliano, to rzeczywiście Di Lauro przyczynił się do zlikwidowania „Książątka”, który przeszkadzał mu w niektórych interesach. Jakikolwiek był motyw tego morderstwa, pozycja rodziny Licciardi była na tyle silna, ze zmusili klany związane z tą sprawą do zlikwidowania osób, które mogły być odpowiedzialne za śmierć Vincenza Esposito. Odbyła się czystka, w wyniku której zginęło czternaście osób w różny sposób zamieszanych w śmierć młodego dziedzica.

System zmienił też stare zasady wymuszania haraczów i lichwy. Bossowie zauważyli, że banki są mało elastyczne, a handlowcy potrzebują gotówki, wyszli więc naprzeciw ich potrzebom i stali się pośrednikami między dostawcami a kupcami. Właściciele sklepów płacą za towar gotówką albo wekslami. Za gotówkę cena towaru jest niższa o połowę lub nawet o dwie trzecie, więc handlowcy, podobnie jak dostawcy, wolą ten sposób zapłaty. I tutaj z pomocą przychodzi klan, udzielając pożyczki oprocentowanej średnio na poziomie 10 procent. W ten sposób automatycznie tworzy się coś w rodzaju spółki, w którą wchodzi kupiec, dostawca towaru oraz ukryty finansista, czyli klan. Dochody z działalności dzielone są po połowie, ale jeśli kupiec popadnie w wielkie długi, sklep przechodzi na własność klanu, a były właściciel zostaje tylko figurantem, który otrzymuje od klanu miesięczną pensję. Klany nie postępują jak banki, które zabierają wszystko zadłużonym. Pozwalają tym, którzy utracili swoją własność, pracować dalej na rzecz klanu, wykorzystując ich umiejętności i doświadczenie. Według zeznań jednego ze „skruszonych” członków mafii zebranych podczas dochodzenia DDA w 2004 roku, 50 procent sklepów w samym Neapolu jest współadministrowanych przez kamorrę.

Obrazki znane z filmu Nanniego Loya *Mi manda Picone* (Przysyła mnie Picone) z posłańcem, który w imieniu mafii chodzi od drzwi do drzwi na Boże Narodzenie, Wielkanoc oraz święto Matki Boskiej Zielnej i zbiera haracze dla swoich bossów, należą do przeszłości. W ten sposób funkcjonują już tylko klany najpośledniejszego gatunku, które nie potrafią robić większych interesów. Wszystko się zmieniło. Rodzina Nuvoletta z Marano, leżącego na północnych peryferiach Neapolu, wprowadziła znacznie sprawniej działający i skuteczniejszy model tego procederu. Opierał się on na obustronnej korzyści, a przede wszystkim na zmonopolizowaniu zaopatrzenia. Giuseppe Gala nazywany Showmanem stał się jednym z najwyżej cenionych agentów handlowych w sektorze spożywczym. Pracował dla tak sławnych firm jak Bauli czy Van Holten i poprzez Vip Alimentari zdobył wyłączność na reprezentowanie Parmalatu w Marano. W rozmowie telefonicznej podsłuchanej przez DDA w Neapolu jesienią 2003 roku Gala chwalił się: „Załatwiłem ich wszystkich, teraz my jesteśmy najsilniejsi na rynku”.

Rzeczywiście, firmy, dla których pracował, miały gwarancję, że będą obecne na całym obsługiwanym przez niego terytorium, i że będą otrzymywać liczne zamówienia. Także dla właścicieli sklepów i supermarketów współpraca z Peppe Galą była bardzo korzystna. Oferował wyższe rabaty na towar niż inni pośrednicy handlowi, miał bowiem swoje metody, by uzyskać je od producentów i dostawców. Dzięki przynależności do Systemu, który kontrolował również transport, Showman mógł zapewnić swoim kontrahentom niskie ceny i szybkie dostawy.

Klan nie narzuca towarów na siłę, nie stosuje zastraszania, tylko kusi popłatnością swoich usług. Firmy, które reprezentował Peppe Gala, twierdziły, że były ofiarami kamorry, że musiały przyjmować narzucone przez nią warunki. Jednak z danych, którymi dysponuje Izba Handlowa, wynika, że przedsiębiorstwa, które w latach 1998–2003 korzystały z usług Gali, nieźle na tym wyszły, zanotowały bowiem roczny wzrost sprzedaży wysokości od 40 do 80 procent. Peppe Gala miał też pomysły na rozwiązanie problemu płynności finansowej klanów. Na przykład w okresie Bożego Narodzenia narzucił dodatkową marżę na tradycyjne świąteczne ciasto panettone, a nadwyżkę przeznaczył na „trzynastkę” dla rodzin uwięzionych członków klanu Nuvoletta. Jego sukcesy przyniosły mu jednak więcej szkody niż pożytku. Według zeznań „skruszonych”

kamorystów, starał się o prawo wyłączności także w handlu narkotykami. Rodzina Nuvoletta nie chciała o tym nawet słyszeć. Znaleziono go w styczniu 2003 roku spalonego żywcem w swoim samochodzie.

Rodzina Nuvoletta jest jedyną spoza Sycylii, która weszła do „kopuły" sycylijskiej cosa nostry. Nie tylko z nią współpracuje, ale jest strukturalnie powiązana z klanem Corleonesi, najpotężniejszym w łonie mafii. Cieszy się też na Sycylii niemałym autorytetem. Może o tym świadczyć fakt, że – jeśli wierzyć zeznaniom „skruszonego" Giovanniego Brusci – kiedy cosa nostra pod koniec lat 90. zaczęła organizować akcję podkładania bomb, poproszono kamorystów z Marano o zdanie na temat tych zamierzeń oraz o konkretną pomoc. Nuvoletta uznali ten pomysł za szaleńczy, służący raczej wyświadczeniu przysługi niektórym politykom niż wymiernym korzyściom militarnym. Odmówili udziału w zamachach bombowych, odmówili także wsparcia logistycznego dla zamachowców. Odmowa uszła im na sucho, bez jakichkolwiek konsekwencji. Później sam Totò Riina prosił bossa Angela Nuvolettę o pomoc w skorumpowaniu prokuratorów jego pierwszego maksiprocesu, ale i tym razem klan z Marano nie pomógł „żołnierzom" z Corleone.

W latach wojny domowej w Nowej Rodzinie, po zwycięstwie nad bossem Cutolo, członkowie klanu Nuvoletta wezwali zabójcę sędziego Falcone, Giovanniego Bruscę, bossa z San Giovanni Jato, by zlecić mu likwidację pięciu osób w Kampanii. Ciała dwóch z nich miały być rozpuszczone w kwasie. Wezwali go, jak wzywa się hydraulika, on sam opowiedział prokuratorom, co musiał zrobić, by po Luigim i Vittoriu Vastarellich nie został najmniejszy ślad:

„Zleciliśmy, żeby kupiono dla nas 100 litrów kwasu solnego, potrzebne nam też były blaszane beczki o pojemności 200 litrów, których zwykle używa się do przechowywania oliwy, tyle tylko że musiały mieć obciętą wierzchnią część. Z naszego doświadczenia wiedzieliśmy, że w każdym pojemniku musi być 50 litrów. Mieliśmy zlikwidować dwóch ludzi, kazaliśmy więc przygotować dwie beczki".

Rodzina Nuvoletta we współpracy z rodzinami Nettuno i Polverino wprowadziła rewolucyjne zmiany do systemu finansowania narkobiznesu. Stworzyli swoisty ludowy akcjonariat. Dochodzenie DDA z Neapolu

w 2004 roku wykazało, że klan poprzez pośredników rozprowadził coś w rodzaju akcji na zakup kokainy. I tak emeryci, urzędnicy czy drobni przedsiębiorcy mogli zainwestować swoje pieniądze w narkoakcje. Kto jednego dnia wykładał na przykład 600 euro na kokainę, po miesiącu dostawał podwójną sumę. Nikt nie otrzymywał żadnych gwarancji poza słowem pośrednika, ale takie inwestycje były zawsze opłacalne. Ryzyko utraty pieniędzy było minimalne, a prawdopodobny zysk ogromny, zwłaszcza w porównaniu z odsetkami w bankach. Jedyna trudność polegała na zorganizowaniu całego tego procederu, ponieważ dla uniknięcia większej wpadki i uniemożliwienia konfiskaty, przechowywanie mniejszych partii kokainy powierzano często samym inwestorom. Tym sposobem kamorra powiększyła kapitał inwestycyjny, a jednocześnie włączyła w swoją działalność reprezentantów klasy średniej, rozgoryczonych miernymi efektami oszczędzania w bankach, którzy nie mieli dotąd nic wspólnego z organizacjami kryminalnymi. Rodziny Nuvoletta i Polverino usprawniły także system detalicznej dystrybucji narkotyków. Na ich terenie nowymi punktami zaopatrzenia w kokainę stały się zakłady fryzjerskie oraz salony piękności. Za pieniądze z handlu narkotykami, na nazwiska figurantów, nabywano mieszkania, hotele, udziały w spółkach usługowych, prywatne szkoły, a nawet galerie sztuki.

Największe operacje finansowe rodziny Nuvoletta koordynował, według zeznań „skruszonych”, Pietro Nocera. Był jednym z najbardziej wpływowych menedżerów na terytorium, jeździł ferrari, latał prywatnym samolotem. Sąd w Neapolu zdecydował w 2005 roku o zajęciu należących do niego nieruchomości i udziałów wartości ponad 30 milionów euro; w rzeczywistości było to tylko 5 procent jego imperium finansowego. Świadek koronny Salvatore Speranza zeznał, że Nocera zarządzał wszystkimi finansami klanu Nuvoletta i zajmował się „inwestowaniem pieniędzy organizacji w tereny i budownictwo”. Nuvoletta lokowali swój kapitał w prowincjach: Emilii-Romanii, Wenecji Euganejskiej, Marche i Lacjum poprzez spółdzielnię pracy o nazwie Enea, którą zarządzał Nocera nawet jeszcze wtedy, gdy ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości. Spółdzielnia miała bardzo wysokie przychody, ponieważ Enea otrzymała zamówienia publiczne na miliony euro w Bolonii, Reggio Emilia, Modenie, Wenecji, Ascoli Piceno i Frosinone. Od lat klan Nuvoletta rozszerzał zasięg swoich interesów także na Hiszpanię. Nocera poleciał na Teneryfę, żeby

porozmawiać z Armandem Orlando, lokowanym przez śledczych na szczycie organizacji mafijnej, na temat budowy kompleksu wypoczynkowego Marina Palace. Nocera zarzucił mu, że wydaje zbyt dużo, bo stosuje za drogie materiały. Marina Palace widziałem tylko w internecie, ale poświęcona mu strona jest bardzo wymowna. To rozległy ośrodek wypoczynkowy – baseny i dużo zabudowań – stworzony przez klan Nuvoletta, żeby wejść na rynek turystyczny w Hiszpanii.

Paolo Di Lauro wyszedł ze szkoły mafijnej w Marano. Swoją karierę kryminalną zaczął na niskim szczeblu hierarchii, ale z czasem oddalił się od rodziny Nuvoletta. W latach 90. stał się prawą ręką bossa z Castellammare, Michela D'Alessandro i pomagał mu ukrywać się przed policją. Zamierzał prowadzić handel narkotykami tymi samymi metodami, które stosował przy zarządzaniu siecią sklepów i zakładów krawieckich. Kiedy Gennaro Licciardi zmarł w więzieniu, Di Lauro zrozumiał, że północne przedmieścia Neapolu mogą stać się największym we Włoszech i w całej Europie rynkiem narkotykowym pod otwartym niebem. A on i jego ludzie mogliby kontrolować ten biznes. Paolo Di Lauro zawsze działał dyskretnie, z ukrycia, posługując się raczej instrumentami ekonomicznymi niż bronią palną. Na pozór nie wchodził na tereny innych bossów; stosunkowo późno natrafiono na ślady jego przestępczej działalności.

Jednym z pierwszych, który przekazał śledczym informacje na temat jego działalności, był „skruszony" Gaetano Conte, mafioso o szczególnej biografii. Zaczął jako karabinier i służył w Rzymie w ochronie Francesca Cossigi. To, że kiedyś należał do eskorty prezydenta republiki, pomogło mu dotrzeć bardzo blisko bossa Di Lauro. Jako członek klanu, Conte zajmował się wymuszaniem haraczy i handlem narkotykami, w pewnym jednak momencie swego życia zdecydował się na współpracę z wymiarem sprawiedliwości. Jego zeznania były szczególnie cenne, przekazywał bowiem informacje bogate w szczegóły, które tylko karabinier mógł zapamiętać.

Paolo Di Lauro jest znany jako Ciruzzo Milioner. To śmieszny przydomek, ale przydomki spełniają określone zadania, a ich nadawanie ma swoją logikę. Gdy mówi się o ludziach należących do Systemu, używa się zawsze ich pseudonimów. Jest to praktyka tak powszechna, że z czasem prawdziwe imiona i nazwiska idą w zapomnienie i kończy się na tym, że mało kto je pamięta. Nikt nie wybiera własnego przezwiska, najczęściej

pojawia się ono niespodziewanie, ktoś wymyśla je przy jakiejś przypadkowej okazji, inni je powtarzają i przekazują dalej. I tak, przez przypadek, powstają przydomki członków kamorry. Paolo Di Lauro został po raz pierwszy nazwany Milionerem przez bossa Luigiego Giuliano, kiedy ten zobaczył go pewnego wieczoru, jak podchodził do stolika, przy którym grano w pokera, a z kieszeni sypały mu się dziesiątki banknotów, każdy wartości stu tysięcy lirów. Na ten widok Giuliano zawołał: „Patrzcie tylko, kto przyszedł! Ciruzzo Milioner!”. Luźna atmosfera, trafiony pomysł, jedna chwila, przypadek.

Lista przydomków jest nieskończenie długa. Carmine Alfieri, boss Nowej Rodziny, zyskał miano ’O N’tufato, czyli „gniewny”, z powodu grymasu niezadowolenia i złości stale obecnego na jego twarzy. Istnieją przezwiska historyczne, odziedziczone po przodkach, jak w przypadku Mario Fabbrocino, bossa, który skolonizował Argentynę za pieniądze kamorry neapolitańskiej, nazwanego ’O Graunar, czyli „węglarz”, tylko dlatego, że jego dziadkowie handlowali kiedyś węglem. Wiele przydomków wiąże się z upodobaniami i pasjami kamorystów. I tak Nicola Lungo, członek mafii oszalały na punkcie samochodów terenowych Wrangler, która zresztą stała się ulubioną marką ludzi Systemu, nazywany jest przez wszystkich właśnie Wranglerem. Duża grupa pseudonimów odwołuje się do cech fizycznych. Giovanni Birra to ’A Mazza, czyli „kij”, bo jest wysoki i szczupły, Costantino Iacomino to Capaianca, „biała głowa”, bo wcześnie posiwiał, Ciro Mazzarella, alias ’O Scellone – „skrzydlaty” – ma wystające łopatki, Nicola Pianese to ’O Mussuto, czyli „sztokfisz” z powodu swojej niezwykle jasnej cery, Rosario Privato – Mignolino, czyli „malutki”, Dario De Simone – ’O Nano, czyli „karzeł”. Są też przezwiska, których pochodzenie trudno wytłumaczyć, jak w przypadku Antonia Di Fraia – ’U Urpachiello, co jest czymś w rodzaju biczyka zrobionego z wysuszonego penisa osła, Carmine Di Girolamo nazywany jest ’O Sbirro, czyli „glina” z powodu niezwykłej łatwości, z jaką wciąga policjantów i karabinierów do swoich działań. Cira Monteriso zwą, nie wiadomo dlaczego, ’O Mago, czyli „czarodziej”. Pasquale Galio z Torre Annunziata dzięki ładnej twarzy zyskał sobie przydomek ’O Bellillo, czyli „przystojniaczek”. Są też przezwiska grupowe, dla całej rodziny, często o długiej tradycji. I tak Lo Russo są nazywani I Capitoni („węgorze”), Mallardo to Carlantoni (od imion Carlo i Antonio), Belforte – Mazzacane („hycle”), Piccolo –

Quaquaroni („gaduły”). Antonio Di Biasi ma przydomek Pavesino, bo do każdej akcji zabierał z sobą do chrupania herbatniki tej właśnie marki, a Vincenzo Mazzarella to ’O Pazzo, czyli „wariat”. Domenica Russo, bossa neapolitańskiej dzielnicy Quartieri Spagnoli, nazywają Mimi dei Cani („psiarz”), bo w dzieciństwie sprzedawał szczeniaki przy via Toledo. O Antoniu Carlu D’Onofrio, nazywanym Carlucciello ’o Mangiavatt („Karolek oprawca kotów”) krąży legenda, że w początku swojej kariery uczył się strzelać, celując do kotów. Gennaro Di Chiara, który gwałtownie reagował za każdym razem, gdy ktoś dotykał jego twarzy, nosił przezwisko File Scupierto („przewód elektryczny bez izolacji”). Wiele przydomków to nieprzetłumaczalne onomatopeje: Pice pocc Agostina Tardiego, Scipp scipp Domenica Ronzy, Qualia qualia rodziny De Simone, Zig zag rodziny Aversano oraz ’O Zuì Raffaele Giuliana czy Zuzù Antonia Bifone.

W przypadku Antonia Di Vicino wystarczyło, że zamówił w barze kilka razy pod rząd ten sam napój i przezwano go Lemon, czyli „cytrynada”, Vincenza Benitozziego z okrągłą twarzą – Cicciobello, jak popularną dziecięcą lalkę, Gennaro Lauro, może z powodu numeru domu, w którym mieszkał, dostał przydomek ’O Diciassette („siedemnaście”). Giovanniego Apreę przezwano Punt ’e Curtiello („ostrze noża”) dzięki dziadkowi, który w 1974 w filmie Pasquale Squitieriego *I guappi* grał rolę starego kamorysty i w jednej ze scen uczył małych chłopców rzucać nożem.

Niektóre przydomki mogą wpłynąć pozytywnie lub negatywnie na wizerunek mafijnego bossa. Sławny jest przypadek Francesca Schiavone przezwanego imieniem dzikiego Sandokana, bohatera książek Salgariego, z powodu fizycznego podobieństwa do Kabira Bedi, aktora grającego jego rolę w ekranizacjach tych przygodowych powieści. Podobieństwu do aktora zawdzięcza swój przydomek także Pasquale Tavoletta, zwany Zorro. Luigi Giuliano znany jest pod pseudonimem Lovigino, który wziął się ze słów: *I love Luigino* szeptanych mu do ucha w intymnych chwilach przez amerykańskie kochanki. Jego brata, Carmine, nazywają ’O Lione, czyli „lew”. Przezwisko Francesca Verde ’O Negus kojarzy się z etiopskim władcą; otrzymał je dzięki swojej wysokiej pozycji w hierarchii, a także długiemu panowaniu. Mario Schiavone wziął przydomek od innego etiopskiego władcy, słynnego Menelika, który stawił opór wojskom włoskim. Vincenzo Carobene, zwany Geddafi, jest niezwykle podobny do syna libijskiego generała. Boss Francesco Bidognetti znany jest jako

Cicciotto di Mezzanotte („Franek północy”), bo wiadomo, że jeżeli ktoś przeszkodzi mu w interesach, ogarną go ciemności nawet w samo południe. Niektórzy twierdzą, że zarobił sobie na ten przydomek już we wczesnej młodości, gdy rozpoczął swą kryminalną karierę jako opiekun prostytutek. Jego rodzina z czasem została nazwana klanem Północy.

Prawie wszyscy ważniejsi kamoryści mają przydomki, niepowtarzalne identyfikatory. Przydomek dla bossa jest jak stygmaty dla świętego. Jest znakiem przynależności do Systemu. Wszyscy mogą nazywać się Francesco Schiavone, ale jest tylko jeden Sandokan; wszyscy mogą nosić nazwisko Carmine Alrieri, ale tylko jeden odwróci się, gdy za plecami usłyszy ’O ’Ntufato; może być wielu Francesców Verde, ale tylko jeden odpowie na zawołanie ’O Negus; każdy może być zapisany przy narodzinach w urzędzie stanu cywilnego jako Paolo Di Lauro, ale jest tylko jeden Ciruzzo Milioner.

Ciruzzo zdecydował, że będzie prowadził swoje interesy w sposób dyskretny, podpierając się co prawda „żołnierzami mafii”, ale korzystając z nich tylko w razie ostatecznej potrzeby. Pozostawał w cieniu, przez długi czas nie znały go nawet organa ścigania. Zanim zaczął się ukrywać przed wymiarem sprawiedliwości, tylko raz wezwała go policja, a i to w sprawie syna Nunzia, który zaatakował swojego nauczyciela, bo ten pozwolił sobie na zwrócenie mu uwagi. Paolo Di Lauro potrafił wejść w bezpośredni kontakt z kartelami południowoamerykańskimi, a także organizować rozległą sieć obrotu narkotykami we współpracy z kartelami albańskimi. Drogi narkotyków w ostatnich latach ustaliły się. Kokaina startuje z Ameryki Południowej, dociera do Hiszpanii i tam albo zostaje rozprowadzona, albo przesłana do Albanii drogą lądową. Heroina wyjeżdża z Afganistanu i przemierza drogi Bułgarii, Kosowa i Albanii; haszysz i marihuana wywożone są z krajów Maghrebu i przechodzą przez ręce Turków i Albańczyków. Paolo Di Lauro zdołał nawiązać bezpośrednie kontakty i przy zaopatrywaniu się w narkotyki obywał się bez pośredników. W wyniku żmudnej pracy stał się jednym z najbardziej wpływowych przedsiębiorców w branży skórzanej oraz w narkobiznesie. W 1989 roku założył sławną firmę Confezioni Valent di Paolo di Lauro & C, która zgodnie ze statutem powinna była zamknąć działalność w 2002 roku, ale

w listopadzie 2001 roku wyrokiem sądu w Neapolu została zajęta. W poprzednich latach spółka Valent prowadziła bardzo różnorodną działalność. Wygrywała przetargi na sklepy *cash and carry* w całych Włoszech, działała w sektorze tekstylnym i odzieżowym, w przemyśle meblowym i przy przetwórstwie mięsa. Rozprowadzała wodę mineralną, zaopatrywała stołówki w placówkach państwowych i prywatnych, zajmowała się ubojem zwierząt hodowlanych, działała w branży hotelarskiej, restauracyjnej oraz rozrywkowej. Spółka miała prawo kupować tereny, uczestniczyć pośrednio lub bezpośrednio w budowie centrów handlowych i domów mieszkalnych. W 1993 roku Urząd Miejski w Neapolu wydał jej zezwolenie na prowadzenie handlu. Spółką zarządzał syn Paola Di Lauro, Cosimo. Z powodu klanu Paolo wycofał się z niej w 1996 roku, przekazując swoje kwoty udziałowe żonie Laurze. Rodzina Di Lauro to dynastia powstała dzięki wyrzeczeniom i poświęceniu. Luisa urodziła dziesięcioro dzieci, rodziła je jedno po drugim, w miarę jak rosło imperium finansowe rodziny. Wszyscy synowie weszli do klanu: Cosimo, Vincenzo, Ciro, Marco, Nunzio, Salvatore, a także ci młodsi, jeszcze niepełnoletni. Paolo Di Lauro miał zawsze słabość do Francji, otworzył więc sklepy w Nicei, w Paryżu przy rue Charenton 129 i w Lyonie przy Quai Perrache 22. Pragnął, żeby moda włoska opanowała francuskie rynki poprzez jego sklepy, żeby najpiękniejsze modele przywoziły jego ciężarówki, żeby na Polach Elizejskich unosił się zapach władzy Scampii.

Jednak w Secondigliano ogromne przedsiębiorstwo rodziny Di Lauro chwiało się w posadach. Urosło pośpiesznie i bez dostatecznej kontroli, w miejscach, gdzie rozprowadzano narkotyki, atmosfera stawała się coraz gęstsza. Tymczasem w Scampii panowało jeszcze przekonanie, że wszystkie problemy uda się rozwiązać podobnie jak podczas ostatniego kryzysu, który został zażegnany przy szklaneczce czegoś mocniejszego. Co prawda to „coś mocniejszego” okazało się napojem dość niezwykłym, a zdarzenie to miało miejsce, gdy Domenico, jeden z synów Paola, umierał w szpitalu po ciężkim wypadku drogowym. Domenico był młodzieńcem o bardzo niespokojnej naturze. Często synowie bossów popadają jakby w delirium władzy i wydaje im się, że mogą wpływać na losy całych miast i ich mieszkańców. Jak wynika z zeznań uzyskanych w trakcie śledztwa, w październiku 2003 roku Domenico ze swoją eskortą i grupą kolegów napadli na miasteczko Casoria, tłukąc szyby w oknach, niszcząc

samochody, podpalając śmietniki, roztapiając ogniem z zapalniczek plastykowe guziki domofonów i pokrywając farbą w sprayu mury, bramy i drzwi. Za wszystkie te szkody ojciec zapłacił bez słowa protestu, jak to bywa w rodzinach, gdzie nieraz trzeba kryć wybryki latorośli, bez uszczerbku dla własnego autorytetu. Domenico prowadził zbyt szybko swój motocykl, na zakręcie stracił kontrolę nad pojazdem, przewrócił się i w wyniku ciężkich obrażeń zmarł w szpitalu po kilku dniach śpiączki. To tragiczne wydarzenie stało się okazją do spotkania na mafijnym szczycie, podczas którego nastąpiła egzekucja kary i zaraz potem wybaczenie. W Scampii wszyscy znają tę historię, obrosła już legendą, może ktoś ją wymyślił, ale świetnie ilustruje mafijne metody mediacji i zażegnywania konfliktów.

Opowiada się mianowicie, że Gennaro Marino, pseudonim McKay, ulubieniec Paola Di Lauro, udał się do szpitala, gdzie leżał chłopak, by podnieść na duchu ojca, a swojego bossa. Dobre intencje McKaya zostały docenione. Di Lauro odszedł z nim potem na stronę i zaprosił go na szklaneczkę. Oddał mocz do szklanki i podał mu ją. Od jakiegoś czasu dochodziły go słuchy o pewnych zachowaniach Gennara, których nie mógł tolerować. McKay podjął parę decyzji finansowych, nie przedyskutowawszy ich uprzednio z bossem, samowolnie zadysponował pieniędzmi klanu. Boss zrozumiał, że jego ulubieniec chciałby się usamodzielnić, ale postanowił mu to wybaczyć, uznać to tylko za nadgorliwość w wykonywaniu swojej pracy. Mówi się, że McKay wypił wszystko, do ostatniej kropli. Potężny haust uryny zażegnał niebezpieczeństwo rozłamu, pierwsze, jakie pojawiło się w łonie klanu Di Lauro. Było to jednak tylko krótkie odroczenie kryzysu, którego wkrótce nic już nie będzie mogło powstrzymać.

Wojna w Secondigliano

McKay i Angioletto już zdecydowali. Chcieli oficjalnie rozpocząć działalność własnej grupy. Otrzymali zgodę wszystkich wyższych rangą członków klanu, zresztą postawili sprawę jasno: nie zamierzali wchodzić w konflikt z klanem, chcieli utworzyć konkurencję. Lojalną konkurencję na ogromnym i bardzo chłonnym rynku. Ramię w ramię, ale osobno, niezależnie. Wysłali więc – jak zeznawał „skruszony" mafioso Pietro Esposito – wiadomość do Cosima Di Lauro, kierującego klanem, że pragną spotkać się z jego ojcem, Paolem, najwyższą instancją, bossem z samego wierzchołka mafijnej hierarchii. Chcieli porozmawiać z nim osobiście i powiedzieć mu, że nie podobają im się zmiany wprowadzone przez jego synów. Chcieli spojrzeć mu przy tym w twarz. Ta wiadomość nie powinna dojść do niego przyniesiona na językach osób trzecich, lepka od ich śliny. A nie ma innego sposobu komunikacji, kiedy superboss ukrywa się przed wymiarem sprawiedliwości, bo przecież nie można używać telefonów komórkowych, które mogłyby naprowadzić na ślad jego kryjówki. Genny McKay pragnie spotkać się z Paolem Di Lauro, który umożliwił mu karierę biznesmena.

Cosimo oficjalnie przystał na propozycję spotkania, powinno się ono odbyć podczas zebrania całego kierownictwa organizacji. Nie można odmówić. Ale Cosimo już poczynił swoje plany, a przynajmniej tak się wydaje. Wygląda na to, że rzeczywiście wie, jak prowadzić swoje interesy i jak ich bronić. Ze śledztwa i z zeznań świadków koronnych wynika, że Cosimo na spotkanie nie wysłał podwładnych. Nie wysłał Giovanniego Cortese zwanego Koniarzem, rzecznika klanu, tego, który zawsze zajmował się kontaktami rodziny Di Lauro ze światem zewnętrznym. Zamiast niego Cosimo posłał swoich braci, Marca i Cira, żeby zbadali sytuację w miejscu planowanego spotkania. Pojechali bez eskorty, może samochodem, nie uprzedziwszy o tym nikogo. Jechali szybko, ale bez przesady, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Wszystko uważnie obserwowali:

przygotowane drogi ucieczki i czujki wystawione po drodze. Przekazali to bratu ze szczegółami. Cosimo zrozumiał, że przygotowano zasadzkę. Zamierzano zabić Paola i towarzyszących mu ludzi. Spotkanie było tylko pretekstem, okazją, żeby wciągnąć go w pułapkę i zamordować, a tym samym rozpocząć nową epokę w historii klanu. To oczywiste – rozluźnienie uścisku dłoni nie wystarczy, by rozpadło się imperium, trzeba tę dłoń odciąć nożem. Tak się o tym opowiada, tak wynika ze śledztwa i ze słów „skruszonych".

Cosimo, syn, któremu Paolo powierzył kontrolę nad biznesem narkotykowym, funkcję o najwyższej odpowiedzialności, musi podjąć szybką decyzję. Wyda wojnę, ale na razie nikomu o tym nie mówi, zatrzymuje to dla siebie, czeka, pragnie lepiej zrozumieć zamiary przeciwników, nie chce ich alarmować. Wie, że wkrótce go dopadną, że może się spodziewać ich szponów na swoim ciele. Ale musi się jeszcze namyślić, opracować precyzyjną strategię, niezawodną i zwycięską. Musi zorientować się, na kogo może liczyć, jakimi siłami dysponuje. Kto jest z nim, a kto przeciwko niemu. Na szachownicy nie ma miejsca dla innych.

Bracia Di Lauro wytłumaczyli nieobecność ojca na spotkaniu tym, że trudno mu się przemieszczać jako poszukiwanemu przez policję. Boss ukrywa się przecież od ponad dziesięciu lat i musi być bardzo ostrożny. Jest jednym z trzydziestu najniebezpieczniejszych przestępców poszukiwanych przez włoski wymiar sprawiedliwości i nikt nie może mu mieć tego za złe, jeżeli nie pojawi się na umówionym spotkaniu. I tak oto, po latach perfekcyjnego funkcjonowania, rozpoczął się śmiertelny kryzys największego holdingu narkotykowego, jednego z największych w skali państwa i na rynku międzynarodowym.

Klan Di Lauro był zawsze doskonale zorganizowanym przedsiębiorstwem. Boss klanu zaprojektował swój biznes narkotykowy w systemie *multilevel*. Poziom najwyższy to promotorzy i organy finansujące całe przedsięwzięcie, czyli członkowie klanu odgórnie kierujący systemem finansowania obrotu narkotykami, zaopatrzeniem i zbytem poprzez swoich bezpośrednich podwładnych. Według Prokuratury Antymafii w Neapolu byli nimi Rosario Pariante, Raffaele Abbinante i Arcangelo Valentino. Drugi poziom to ludzie mafii, którzy materialnie zajmują się narkotykami, to znaczy organizują konkretne zakupy i dostawy, dokonują podziału towaru na mniejsze partie, a także werbują dealerów

i dbają o ich prawną obronę w razie wpadki. W tej grupie najważniejsze nazwiska to: Gennaro Marino, Lucio De Lucia, Pasquale Gargiulo. Trzeci poziom zajmują nadzorcy placów narkotykowych, koordynatorzy poszczególnych punktów sprzedaży, członkowie klanu, którzy mają bezpośredni kontakt z dealerami, wystawiają czujki i wyznaczają drogi ucieczki, którzy dbają też o to, by składy towaru oraz miejsca, gdzie przygotowuje się go do rozprowadzenia, pozostawały niedostępne dla osób niepożądanych. Czwarty poziom, ten najbardziej widoczny, to dealerzy narkotyków. Każdy z poziomów ma precyzyjną organizację wewnętrzną, dzieli się na podpoziomy, które kontaktują się jedynie z bezpośrednim szefem i nie mają styczności z całą strukturą. Taka organizacja zapewnia zysk w wysokości 500 procent w stosunku do zainwestowanego kapitału.

Model narkobiznesu klanu Di Lauro kojarzy mi się zawsze z matematyczną teorią fraktali, z jej podręcznikową ilustracją: kiść bananów, w której każdy banan daje początek nowej kiści bananów, a z każdego z nich wyrasta znowu nowa kiść i tak w nieskończoność. Klan Di Lauro jedynie dzięki handlowi narkotykami zarabia każdego dnia 500 tysięcy euro. Dealerzy, właściciele składów czy kurierzy najczęściej nie należą do organizacji, pracują za miesięczne wynagrodzenie. Handel narkotykami to ogromna machina, jej trybami są setki ludzi, którzy często nie mają pojęcia, kto nimi kieruje. Mogą jedynie domyślać się, dla której rodziny mafijnej pracują, nic więcej. W przypadku, jeżeli któryś z aresztowanych zdecyduje się na współpracę z wymiarem sprawiedliwości, informacje, jakie jest w stanie przekazać, ograniczają się jedynie do małego wycinka działalności organizacji, bo on sam nie wie, jak działa ten potężny i skomplikowany system władzy finansowej i militarnej.

Cały system gospodarczy jest osłaniany przez struktury militarne: grupy ogniowe i sieć współpracowników wynajmowanych na pojedyncze akcje. W skład batalionu killerów wchodzili m.in. Emanuele D’Ambra, Ugo De Lucia zwany Ugariello, Antonio Ferrara zwany ’O Tavano, czyli „ćma”, Salvatore Tamburino, Salvatore Petriccione, Umberto La Monica, Antonio Mennetta. Mieli do swojej dyspozycji koordynatorów poszczególnych obszarów, tzw. *capozona*, wśród których był Gennaro Aruta, Fulvio Montanino, Ciro Saggese, Antonio Galeota, Giuseppe Prezioso, osobisty ochroniarz Cosima, czy Costantino Sorrentino. W razie potrzeby mogli liczyć na około trzystu osób pobierających stałe pensje. Każdy element tej

złożonej struktury militarnej miał swoją precyzyjnie określoną funkcję. „Żołnierze” kamorry mogli korzystać w razie potrzeby z pojazdów zawsze gotowych do użytku. Dysponowali bogatym arsenałem, nad którym sprawowali stałą opiekę ślusarze gotowi błyskawicznie zniszczyć broń użytą do zabójstwa. Killerzy natychmiast po wykonaniu zadania jechali na którąś z legalnie działających strzelnic, gdzie rejestruje się wszystkich wchodzących, by w razie konieczności usprawiedliwić obecność śladów prochu. Próba na obecność prochu strzelniczego jest tą, której killerzy obawiają się najbardziej. Śladów prochu nie można usunąć i ich obecność jest niepodważalnym dowodem winy. Nie zapomniano nawet o magazynie odzieży dla uczestników krwawych akcji, z nierzucającymi się w oczy bluzami sportowymi i motocyklowymi kaskami integralnymi przeznaczonymi do natychmiastowego zniszczenia po wykonaniu zadania. Struktura nienaruszalna, działająca według perfekcyjnego – albo prawie perfekcyjnego – planu. Plan ten zakładał nie tyle ukrycie przestępczej działalności klanu: zabójstw, nielegalnych transakcji itp., jego głównym celem było zapewnienie sobie bezkarności, zniszczenie dowodów winy, by niczego nie dało się udowodnić w sądzie.

Od dłuższego już czasu jeździłem regularnie do Secondigliano. Od kiedy Pasquale przestał wykonywać zawód krawca, często mi opowiadał o nastrojach, jakie panują na tym terenie, które zresztą zmieniały się tak samo szybko, jak kapitały i polityka finansowa klanów.

Jeździłem po północnych peryferiach Neapolu na mojej vespie. W Secondigliano i Scampii najbardziej podobało mi się światło. Szerokie ulice, jasne i pełne powietrza, bardzo się różniły od ciasnych zaułków neapolitańskiej starówki, miało się wrażenie, jakby pod asfaltem oddychały jeszcze rozległe pola Kampanii. Zresztą sama nazwa „Scampia” zawiera w sobie ideę otwartej przestrzeni; w starym, nieużywanym już dialekcie neapolitańskim oznacza ziemie nieuprawne, porosłe chwastami. Na nich w połowie lat 60. wybudowano nowe osiedle, ze słynnymi mrówkowcami w formie żagla, które zaraz ochrzczono: Vele. To smutny symbol niefortunnych pomysłów architektów albo może betonowej utopii, która nie przewidziała narodzin narkobiznesu i tego, że zagnieździ się on w tkance społecznej tej właśnie części świata. Chroniczne bezrobocie i brak jakichkolwiek projektów społecznego rozwoju sprawiły, że ten obszar mógł się stać składem ton narkotyków, miejscem, w którym pieniądze zarobione

na handlu substancjami odurzającymi zamieniają się w kapitał finansowy napędzający gospodarkę. Secondigliano to trampolina, dzięki której dochody uzyskiwane z działalności przestępczej przenoszą się do sfery legalnej przedsiębiorczości.

W publikacji Obserwatorium Kamorry z 1989 można przeczytać, że na północnych przedmieściach Neapolu stosunek liczby dealerów do liczby mieszkańców jest najwyższy w całych Włoszech. Piętnaście lat później stosunek ten był najwyższy w Europie i znajdował się wśród pierwszych pięciu na świecie.

Z czasem w Secondigliano zaczęto rozpoznawać moją twarz, a chłopcy postawieni przez klan na czatach zakwalifikowali mnie do kategorii neutralnej. Nie pasowałem do żadnej z pozostałych dwóch kategorii: ani do tej negatywnej, do której należeli policjanci, karabinierzy i ludzie rywalizujących klanów, ani do pozytywnej – do kategorii klientów. Wszystko, co nie stanowi przeszkody czy zagrożenia, ma wartość neutralną i kto należy do tej kategorii, po prostu nie istnieje. Punkty, w których sprzedaje się narkotyki, robiły na mnie zawsze ogromne wrażenie ze względu na doskonałą organizację, która stoi w sprzeczności z powszechnym przekonaniem o degradacji tych środowisk. Wszystko działa tam jak w mechanizmie zegarka, jakby osoby, które biorą w tym udział, były trybikami, które zazębiając się, posuwają czas do przodu. Ruch jakiegokolwiek elementu tego mechanizmu powoduje automatycznie ruch innego elementu. Obserwowałem to zafascynowany. Pensje wypłaca się raz w tygodniu: 100 euro dla czujek, 500 dla koordynatora i kasjera dealerów, 800 dla dealerów i 1000 dla osób przechowujących narkotyki w swoich mieszkaniach lub pilnujących ich w składach. Każdy punkt działa na dwie zmiany: od trzeciej po południu do północy i od północy do czwartej nad ranem. Rano unika się handlowania, bo zbyt dużo policjantów kręci się po ulicach. Wszyscy zaangażowani przy rozprowadzaniu narkotyków mają prawo do jednego dnia wolnego, za spóźnienie pensja zostaje zredukowana o 50 euro za każdą godzinę.

Na via Baku ruch nigdy nie zamiera. Klienci przyjeżdżają, płacą, biorą swoją działkę i odjeżdżają. Zdarza się nawet, że samochody stoją jeden za drugim w kolejce do dealera. Najwięcej w sobotę wieczorem. Wtedy

przerzuca się dealerów pracujących w innych, mniej popularnych miejscach. Na via Baku inkasuje się pół miliona euro miesięcznie. Oddział policji zajmujący się narkotykami, Squadra Narcotici, zaobserwował, że każdego dnia sprzedaje się tam średnio 400 działek marihuany i tyle samo kokainy. Kiedy pojawiają się policjanci, dealerzy świetnie wiedzą, do których domów wejść i gdzie jak najszybciej ukryć towar. Policyjnemu samochodowi zbliżającemu się do punktu rozprowadzania narkotyków drogę zajeżdża auto lub skuter, by dealerzy zdążyli tymczasem wsiąść na skutery chłopaków ustawionych na czatach i bezpiecznie odjechać. Chłopcy, którzy mają alarmować w razie niebezpieczeństwa, są najczęściej nienotowani i bez broni, więc nawet jeżeli zostaną zatrzymani, niewiele ryzykują. Przy dużych falach aresztowań handlarzy wzywa się rezerwy, to znaczy osoby dotąd niezatrudniane przez klan, które zadeklarowały swoją dyspozycyjność; najczęściej są to narkomani albo w każdym razie stali klienci. Na miejsce każdego zaaresztowanego dealera wzywa się innego, który bez wątpienia pojawi się o wyznaczonej godzinie, na wyznaczonym miejscu. Interes nie może się zatrzymać, nawet w najbardziej krytycznych momentach.

Via Dante jest innym miejscem przynoszącym duże zyski. Tutaj dealerami są sami młodzi chłopcy, to nowy, świetnie prosperujący punkt sprzedaży prochów stworzony przez klan Di Lauro. Słynne jest także viale delia Resistenza, miejsce o dłuższej historii, znane przede wszystkim nabywcom heroiny, gdzie można kupić także kokainę. Koordynatorzy tych punktów działają jak dyspozytorzy w prawdziwym centrum operacyjnym, z którego dozorują całą strefę. Czujki powiadamiają przez telefony komórkowe o tym, co się dzieje w zasięgu ich wzroku. Koordynator punktu zbiera informacje, mając przed sobą mapę terenu i z daleka śledzi ruchy policji i klientów.

Jedną z nowości, jakie klan Di Lauro wprowadził w Secondigliano, jest ochrona klienta. Przedtem system alarmowy osłaniał tylko dealerów przed aresztowaniem czy nawet sprawdzaniem dokumentów, nabywcy prochów mogli być zatrzymani, spisani czy zaprowadzeni na komisariat. Di Lauro uznał, że interesy skorzystają, jeżeli także klienci będą chronieni przed wpadką. Poczucie bezpieczeństwa i maksymalna wygoda, ważne szczególnie dla drobnych konsumentów, którzy przynoszą największe zyski biznesowi narkotykowemu w Secondigliano. W dzielnicy Berlingieri

wystarczy zadzwonić, żeby dostać gotowy narkotyk. Podobnie na via Ghisleri, w parku Ises, w całej dzielnicy don Guanella, na odcinku H ulicy Labriola, w strefie Sette Palazzi. Podmiejskie obszary zamienione w dochodowe narkomarkety pod gołym niebem, z ulicami pilnowanymi przez kamorystów. Ich mieszkańcy nauczyli się korzystać wybiórczo ze zmysłu wzroku, jakby oczy, napotkawszy jakiś straszny widok, automatycznie zasnuwały się mgłą, która uniemożliwia percepcję. Trzeba przyzwyczaić się do selektywnego widzenia, żeby móc jakoś żyć obok tego ogromnego supermarketu, w którym kupuje się wyłącznie narkotyki. Wszystkich rodzajów. Nie istnieje żadna substancja odurzająca wprowadzona do Europy, która nie przeszłaby najpierw przez Secondigliano. Gdyby narkotyki tutaj sprzedawane były konsumowane tylko przez mieszkańców Neapolu i okolic, ze statystyk należałoby wyciągnąć nieprawdopodobne, wręcz absurdalne wnioski. Przynajmniej dwóch członków każdej rodziny musiałoby być uzależnionych od kokainy, a jeden od heroiny. Nie wspominając o haszyszu i marihuanie. I o wszystkich odmianach heroiny, o narkotykach lekkich i tabletkach, nazywanych jeszcze przez niektórych ecstasy, chociaż istnieje już sto siedemdziesiąt dziewięć odmian tej substancji. Tutaj w Secondigliano świetnie się sprzedają, nazywa się je żetonami, cukierkami albo X-file. Tabletki przynoszą ogromny dochód. Za jedno euro wydane na produkcję dostaje się od trzech do pięciu euro w hurcie, a 50–70 euro za tabletki sprzedane w Mediolanie, Rzymie czy Neapolu. W Scampii ta sama dawka kosztuje 15 euro.

Narkobiznes w Secondigliano zmienił niektóre tradycyjne, sztywne zasady handlu narkotykami i postawił na kokainę. W przeszłości był to narkotyk elit, teraz, dzięki nowej polityce finansowej klanu, kokaina stała się ogólnie dostępna, oferowane są różne jej rodzaje, by zadowolić wszelkie wymagania. Według badań Gruppo Abele, stowarzyszenia zajmującego się m.in. problemem uzależnień, 90 procent osób zażywających kokainę to studenci i osoby pracujące. Nie zażywa się jej tylko przy zabawie, żeby mieć odlot; stała się substancją odurzającą codziennego użytku. Sięga się po nią po godzinach nadliczbowych, żeby się zrelaksować i mieć jeszcze siłę na normalne, ludzkie życie, nie tylko na jego substytut po nadmiernym wysiłku. Kokainę zażywają kierowcy ciężarówek pracujący nocą, bierze się ją, by wytrzymać siedzenie godzinami przed komputerem, by pracować

całymi tygodniami, bez przerwy na odpoczynek. Rozpuszczalnik zmęczenia, uśmierzacz bólu, proteza szczęścia. Aby zaspokoić potrzeby rynku, który potrzebuje narkotyków jako codziennej strawy, a nie jako środka odurzającego, należało zmienić metody prowadzenia handlu, uczynić go bardziej elastycznym, odstąpić od tradycyjnych metod grup przestępczych. I na tym właśnie polegają zmiany wprowadzone przez klan Di Lauro: na liberalizacji obrotu narkotykami. Kryminalny kartel włoski tradycyjnie preferował handel większymi ilościami narkotyków, tymczasem Di Lauro skoncentrowali się na obrocie średnimi partiami, by umożliwić działalność drobnym narkobiznesmenom, którzy łatwiej pozyskiwali nowych klientów. Małe, niezależne firmy, które same decydują, jak i gdzie rozprowadzać narkotyki, komu i za jakie ceny. W systemie wprowadzonym przez rodzinę Di Lauro każdy, z każdą ilością towaru mógł wejść na rynek. Nawet bez pośrednictwa klanu. Cosa nostra i ’ndrangheta rozszerzają jak mogą swój narkotykowy biznes, ale chcą mieć absolutnie wszystko pod kontrolą. Nie można zaopatrzyć się w narkotyki do sprzedaży detalicznej, nie mając rekomendacji członków mafii kalabryjskiej czy sycylijskiej, nie otrzymawszy zgody bossów. Ci zaś chcą wiedzieć, jaki obszar będzie obejmować działalność nowego handlarza i z kim ma zamiar współpracować. Jest to podstawowy i niezbędny warunek. System Secondigliano działa inaczej. Główna zasada to *laissez faire, laissez passer.* Liberalizm całkowity i absolutny. Idea nadrzędna opiera się na przeświadczeniu, że rynek sam się reguluje. Ta nowa polityka przyciągnęła w krótkim czasie wszystkich, którzy mieli zamiar rozpocząć mały handelek narkotykami wśród przyjaciół, którzy chcieli kupić towar za piętnaście euro, sprzedać za sto i zarobić sobie w ten sposób na wakacje, na studia podyplomowe, na spłatę kredytu. Liberalizacja rynku narkotykowego spowodowała ogromny spadek cen.

Możliwe, że z czasem znacznie się zmniejszy liczba punktów sprzedaży narkotyków. Są rozprowadzane często drogą prywatnych kontaktów. W kręgu lekarzy, w kręgu pilotów, dziennikarzy, urzędników państwowych... Klasie średniej bardzo odpowiada ten dyskretny i liberalny sposób dystrybucji. Wszystko wygląda jak przyjacielska wymiana, przypomina rozprowadzanie kosmetyków i odkurzaczy „Rainbow” poprzez rekomendację sąsiadek, jakby zaopatrywanie się w narkotyki nie miało nic wspólnego z organizacjami przestępczymi. Doskonały sposób na

uwolnienie się od ciężaru moralnej odpowiedzialności. Niepotrzebni są dealerzy w poliesterowych dresach wystający całymi dniami w ciemnych kątach miasta ani ochraniający ich chłopcy na skuterach. Nie trzeba niczego oprócz towaru i pieniędzy. To wystarczy dla dialektyki handlu. Z danych dostarczanych przez główne komendy policji w całych Włoszech wynika, że na trzech aresztowanych za handel narkotykami jeden jest nienotowany i niezwiązany ze światem przestępczym. Spożycie kokainy według danych zebranych przez Wyższy Instytut Zdrowia (Istituto Superiore delia Sanità) osiągnęło wyżyny i wzrosło o 80 procent w ciągu zaledwie trzech lat (1999–2002). Liczba osób uzależnionych, które szukają pomocy w oddziałach SERT (Servizio Tossicodipendenze, czyli służba pomocy osobom uzależnionym) podwaja się każdego roku. Ekspansja rynku narkotykowego jest ogromna; dzięki uprawom transgenicznym plony zbiera się cztery razy w roku, nie ma więc najmniejszych problemów z zaopatrzeniem, a brak hegemonicznej organizacji sprzyja wolnej inicjatywie. Robbie Williams, sławny piosenkarz uzależniony od kokainy, przez wiele lat twierdził, że „kokaina jest sposobem, jaki wymyślił Bóg, żeby ci powiedzieć, że masz za dużo pieniędzy”. To zdanie, które przeczytałem w jakiejś gazecie, przyszło mi do głowy, kiedy w Case Celesti spotkałem chłopców, którzy chwalili jakość i niską cenę dopiero co nabytego towaru: „Kokaina z Case Celesti świadczy o tym, że dla Boga pieniądze nie mają żadnej wartości”.

Case Celesti, miejsce nazywane tak z powodu bladoniebieskiego koloru stojących tam domów, znajduje się przy via Limitone d’Arzano i jest jednym z najlepszych punktów sprzedaży kokainy w Europie. Kiedyś było inaczej. Według wyników śledztwa to dopiero Gennaro Marino McKay sprawił, że można tam dokonać tak korzystnych zakupów. Był członkiem klanu odpowiedzialnym za ten obszar. A nawet nie tylko odpowiedzialnym – boss Paolo Di Lauro, który wysoko cenił jego zdolności menedżerskie, oddał mu ten punkt we franchising. McKay miał całkowitą wolność działania, musiał tylko przekazywać do kasy klanu pewną miesięczną kwotę. Gennaro i jego brat Gaetano noszą przydomek McKay z powodu podobieństwa ich ojca do kowboja Zeba Macahana, bohatera serialu telewizyjnego *Jak zdobywano Dziki Zachód*, którego nazwisko wymawiano „mekejn”, podobnie jak nazwisko McKay. W związku z tym cała rodzina Marino nazywana jest McKay. Gaetano nie ma dłoni. Nosi dwie drewniane,

sztywne protezy. Pomalowane na czarno. Dłonie stracił w bitwie w 1991 roku na wojnie przeciw rodzinie Puca, sprzymierzonej z bossem Raffaele Cutolo, kiedy wybuchł mu w rękach granat. Gaetanowi towarzyszy zawsze jego osobisty lokaj, który służy mu zamiast rąk. Kiedy jednak musi coś podpisać, jest w stanie zablokować długopis między drewnianymi palcami, po czym przytyka go do papieru i poruszając przegubami, kreśli krzywo nieczytelny podpis.

Według wyników dochodzeń Prokuratury Antymafii w Neapolu, Genny McKay utworzył punkt sprzedaży, który jest zarazem składem towaru, dzięki czemu udało mu się wynegocjować z dostawcami wyjątkowo niskie ceny. Było to możliwe dzięki specyfice tej betonowej dżungli, jaką jest Secondigliano, ze swoimi 100 tysiącami mieszkańców. Ludzie, ich mieszkania, ich życie prywatne stały się Wielkim Murem otaczającym składy narkotyków. W punkcie sprzedaży przy Case Celesti cena kokainy była niższa niż gdziekolwiek indziej. Normalnie ceny wahały się między 50 a 70 euro za gram, a dochodziły nawet do 100–200 euro. Tutaj zeszły do poziomu 25–50 euro, a jakość narkotyku pozostawała wciąż bardzo wysoka. Z lektury akt dochodzeniowych DDA wyłania się obraz Genny’ego McKaya jako świetnego menedżera, któremu udało się osiągnąć ogromny sukces na rynku kokainy w okresie jego niesłychanego wzrostu, nieporównywalnego z żadnym innym. Poradziłby sobie pewnie także z organizacją handlu narkotykami w Posillipo, w rzymskiej dzielnicy Parioli czy w Brerze, ale zrobił to w Secondigliano. Na pewno w jakimkolwiek innym miejscu należałoby opłacać ludzi większymi pieniędzmi. Tutaj zaś głębokie strukturalne bezrobocie i brak możliwości znalezienia innego sposobu na życie niż emigracja sprawia, że pensje mogą być bardzo niskie. Nie ma w tym żadnego sekretu, nie ma sensu szukać wytłumaczenia w socjologii nędzy czy w metafizyce getta. Nie jest gettem terytorium, które przynosi jednej tylko rodzinie mafijnej zyski rzędu 300 milionów euro rocznie. Terytorium, na którym działają dziesiątki klanów, a ich przychody osiągają poziom porównywalny tylko z sumami, jakimi operuje się w ramach budżetu państwa. Praca musi być wykonana skrupulatnie, poszczególne etapy produkcji kosztują niemało. Kilogram kokainy u producenta ma cenę 1000 euro, kupiony u hurtownika kosztuje już 30 tysięcy. Po pierwszej obróbce z 30 otrzymuje się 150 kilogramów, których wartość rynkowa wynosi 15 milionów euro. Jeżeli się postarać,

można dojść nawet do 200 kg. Wszystko zależy od domieszek. Dodaje się glukozę, paracetamol, lidokainę, manitol, kofeinę, benzokainę, amfetaminę. Ale także talk i wapno dla psów, kiedy zajdzie potrzeba. Od jakości i ilości domieszek zależy jakość kokainy, niewłaściwie dobrane proporcje mogą doprowadzić nawet do śmierci, błąd przyciąga policję, powoduje aresztowania. Zamyka arterie biznesu.

Także w tej dziedzinie klany z Secondigliano przodują, co przelicza się na konkretne zyski. Mają do dyspozycji Visitorsów. Są to narkomani uzależnieni od heroiny, nazwani jak bohaterowie serialu telewizyjnego z lat 80., którzy żywili się szczurami, a pod ludzką skórą mieli zielone, śliskie łuski. W Secondigliano Visitorsi są używani jako króliki doświadczalne, wypróbowuje się na nich proszek kokainowy. Sprawdza się moc i szkodliwość nowych mieszanek; sprawdza się, do jakiego stopnia i czym można rozcieńczyć narkotyk. Kiedy ludzie pracujący przy rozcieńczaniu kokainy potrzebują wielu królików doświadczalnych, obniżają ceny. Z dwudziestu euro za działkę schodzą do dziesięciu. Takie wiadomości rozchodzą się daleko, narkomani przyjeżdżają nawet z Bazylikaty czy Marche po zaledwie kilka działek. Rynek heroiny upadł zupełnie. Liczba narkomanów uzależnionych od tego narkotyku stale spada. Ci, którzy pozostali, są zdesperowani i gotowi na wszystko. Wsiadają, chwiejąc się na nogach, do autobusów dalekobieżnych, do pociągów, podróżują nocą, jeżdżą autostopem, przemierzają wiele kilometrów pieszo. Najtańsza heroina na tym kontynencie warta jest każdego poświęcenia. Ludzie odpowiedzialni za preparowanie proszku kokainowego przyjmują Visitorsów z otwartymi ramionami, dają im gratis jedną działkę, po czym czekają na reakcję. W podsłuchanych rozmowach telefonicznych, których stenogramy zostały przedstawione jako dowód przy wydaniu w marcu 2005 roku przez sąd w Neapolu nakazów tymczasowego aresztowania, dwóch mężczyzn porozumiewa się w sprawie próby nowej mieszanki na królikach doświadczalnych. Najpierw umawiają się:

– Możesz mi dostarczyć pięć bluzek... na próby alergiczne?

Po jakimś czasie wracają do tematu:

– Wypróbowałeś samochód?

Mając na myśli działanie proszku.

– Tak... Coś pięknego! Chłopie, jesteśmy *number one*! Wszyscy inni będą musieli zamknąć interes.

Wyrażali w ten sposób radość z faktu, że króliki doświadczalne przeżyły, więcej! – że wysoko oceniły nową mieszankę. Dobry proszek kokainowy podwaja obroty, jeżeli jest wysokiej jakości, znajduje natychmiast klientów na włoskim rynku, popyt rośnie,’ a konkurencja zostaje pokonana.

Dopiero po przeczytaniu zapisu tej rozmowy telefonicznej zrozumiałem znaczenie sceny, której byłem świadkiem jakiś czas wcześniej. Wtedy nie do końca pojmowałem, co działo się przed moimi oczami. W Miano niedaleko Scampii zebrało się około dziesięciu Visitorsów. Wezwano ich na plac przed halami magazynowymi. Znalazłem się tam nie przypadkiem, miałem nadzieję, że jeżeli osobiście poczuję oddech rzeczywistości, gorący, ten najprawdziwszy, zrozumiem wszystko do głębi. Nie uważam, żeby dla poznania rzeczywistości należało koniecznie obserwować ją z bliska, być fizycznie obecnym, ale na pewno trzeba być obecnym, jeżeli pragnie się zostać rozpoznanym przez rzeczywistość. Na placu stał samochód, a przy nim dobrze, a nawet bardzo dobrze ubrany mężczyzna w białym garniturze, niebieskiej koszuli i nowiutkich butach sportowych. Na masce silnika leżała paczka owinięta irchą. Otworzył ją, w środku było kilka strzykawek. Visitorsi podchodzili, przepychając się. Wyglądało to jak jedna z tych dobrze znanych scen pokazywanych od lat w dziennikach telewizyjnych, kiedy głodnym ludziom w Afryce rozdaje się mąkę z ciężarówek. Ale nagle jeden z Visitorsów zaczął krzyczeć:

– Nie, nie wezmę tego! Jeżeli dajecie za darmo, nie wezmę... chcecie nas zabić...

Wystarczyło podejrzenie jednego z nich, żeby inni natychmiast zrezygnowali i oddalili się z tego miejsca. Elegancki mężczyzna nie zamierzał nikogo przekonywać. Czekał. Co chwila spluwał na ziemię, bo kurz, który podniósł się w czasie przepychanki Visitorsów, przyklejał mu się do ust. Na miejscu została para narkomanów. Drżeli, byli już naprawdę na granicy wytrzymałości, na głębokim głodzie. W żyły ramion chłopaka na pewno nie dałoby się już wkłuć igły. Zdjął buty, ale stopy od spodu też były pokłute. Dziewczyna wzięła strzykawkę z zawiniątka i włożyła ją sobie do ust, by ją przytrzymać, podczas gdy rozpinała chłopcu koszulę, powoli, jakby była zapięta na sto guzików. W końcu wbiła igłę w miejsce pod szyją.

W strzykawce była kokaina. Wprowadzenie kokainy bezpośrednio do krwiobiegu pozwala stwierdzić w krótkim czasie, czy mieszanka działa, czy może jest zbyt mocna albo zbyt słaba. Po chwili chłopak zaczął chwiać się na nogach, w kąciku ust pojawiły się bąbelki śliny i zaraz upadł. Na ziemi rzucało nim jeszcze, po czym zamknął oczy i znieruchomiał. Mężczyzna w białym ubraniu sięgnął po telefon komórkowy.

– Dla mnie to trup... Dobra, dobra, zaraz mu zrobię masaż...

Postawił obutą stopę na piersi chłopaka i zaczął gnieść ją rytmicznie. Zginał nogę w kolanie, podnosił ją, a potem opuszczał gwałtownie. Robił masaż serca kopniakami. Dziewczyna stojąca z boku usiłowała coś powiedzieć, ale słowa z trudem odklejały jej się od ust:

– Zrobisz mu krzywdę, zrobisz mu krzywdę. Robisz mu krzywdę...

Słaba jak mucha, starała się odsunąć go od ciała swojego chłopaka. Widać było, że mężczyzna brzydzi się nią, a może nawet boi się jej i Visitorsów w ogóle.

– Nie dotykaj mnie... jesteś ohydna... nie próbuj się do mnie zbliżyć... nie dotykaj mnie, bo cię zastrzelę!

Dalej gniótł butem pierś narkomana, potem, z nogą opartą o jego mostek, rozmawiał przez telefon:

– Ten tutaj to już trup. Ach, chusteczka... poczekaj, zaraz zobaczę...

Wyjął z kieszeni papierową chusteczkę, zmoczył ją wodą mineralną z butelki i rozłożył na ustach chłopca. Gdyby wydobywał się z nich najsłabszy nawet oddech, przedziurawiłby chusteczkę. Użył tej metody, żeby nie dotykać jego ciała. Zatelefonował jeszcze raz:

– Nie żyje. Musimy zrobić słabsze...

Wsiadł z powrotem do samochodu, w którym kierowca ani przez chwilę nie przestał podskakiwać na siedzeniu w rytm muzyki, której nie było wcale słychać, choć poruszał się, jakby grała na cały głos. W kilka minut wszyscy oddalili się z tego miejsca. Został tylko chłopak leżący na wznak na ziemi i płacząca dziewczyna. Jej płacz też wydawał się przyklejony do ust, heroina pozwalała najwyżej na zachrypnięty lament.

Do tej pory nie rozumiem, dlaczego narkomanka to zrobiła: opuściła spodnie, przykucnęła nad twarzą chłopca i oddała mocz. Chusteczka przykleiła mu się do nosa i do ust. Po chwili odniosłem wrażenie, że narkoman odzyskuje przytomność. Rzeczywiście, podniósł rękę i przesunął nią po swojej twarzy, jak ociera się wodę po wyjściu z morza. Potem ten

Łazarz z Miano, zmartwychwstały dzięki nie wiadomo jakim substancjom zawartym w ludzkim moczu, podniósł się powoli na nogi. Przysięgam, że gdybym nie był aż tak zaskoczony całą tą sytuacją, zawołałbym, że to cud. Zamiast tego chodziłem tylko w przód i w tył. Zawsze tak robię, gdy czegoś nie rozumiem, gdy nie wiem, co robić. Nerwowo zajmuję przestrzeń. Ten mój ruch zwrócił uwagę Visitorsów, zaczęli do mnie podchodzić i krzyczeć. Sądzili, że jestem związany z mężczyzną, który prawie zabił tego chłopaka. Krzyczeli do mnie:

– Ty... ty... chciałeś go zabić...

Otoczyli mnie. Wystarczyło, że przyspieszyłem kroku, a zostawiłem ich za sobą. Ale szli za mną dalej, podnosili z ziemi różne świństwa i rzucali we mnie. Nie zrobiłem im nic złego, ale dla nich, jeżeli nie jesteś narkomanem, musisz być handlarzem narkotyków. Niespodziewanie zobaczyłem zbliżającą się ciężarówkę. Wokół hal magazynowych, przed którymi rozegrała się cała ta scena, każdego ranka kręciły się ich dziesiątki. Zatrzymała się niedaleko, usłyszałem znajomy głos i moje imię. W ciężarówce siedział Pasquale. Otworzył drzwi i kazał mi wsiadać. To nie był anioł stróż, a ja nie byłem jego podopiecznym, którego ratuje z opałów; byliśmy raczej jak dwa szczury, które biegną tym samym kanałem i ciągną się wzajemnie za ogony.

Pasquale patrzył na mnie surowo, jak ojciec, który wszystko już wcześniej przewidział. Wyraz jego twarzy wystarczył za wszystkie słowa, nie musiał tracić czasu na reprymendy. Ja natomiast patrzyłem na jego ręce. Stały się jeszcze bardziej czerwone, spierzchnięte i spękane na knykciach. Palcom przyzwyczajonym do dotyku jedwabiów i aksamitów *haute couture* trudno przywyknąć do obejmowania koła kierownicy ciężarówki przez dziesięć godzin dziennie. Pasquale mówił coś do mnie, ale go nie słyszałem, ciągle miałem przed oczami Visitorsów. Małpy. Nie, mniej niż małpy. Króliki doświadczalne. Testuje się na nich prochy, które będą sprzedawane w połowie Europy, by uniknąć ryzyka, że jakiś klient straci przez nie życie. Tutejsze króliki doświadczalne przyczynią się do tego, żeby narkomani w Rzymie, Neapolu, Bazylikacie, Abruzji czy Bolonii nie mieli problemów, żeby nie dostali krwotoku z nosa ani ślinotoku z ust. Zmarły Visitor w Secondigliano jest tylko jeszcze jednym beznadziejnym przypadkiem, z powodu którego nikt nie będzie zaczynał żadnego dochodzenia. I tak dużo, jeżeli podniosą go z ziemi, oczyszczą twarz

z wymiotów i uryny, a potem pochowają. Gdzie indziej nastąpiłyby analizy, badanie śladów, dociekania przyczyn śmierci. Tutaj tylko: *overdose*.

Ciężarówka Pasquale przemierzała drogi oplatające północne peryferie Neapolu. Baraki, magazyny, zsypiska gruzu i porozrzucane rupiecie – zardzewiałe, połamane, wszechobecne. Nie ma zakładów przemysłowych. Śmierdzi dymem, ale brak fabrycznych kominów. Domy stoją wzdłuż drogi, a miejscem spotkań są bary i placyki przed nimi. Bezładna, chaotyczna pustynia. Pasquale zauważył, że go nie słucham i zahamował gwałtownie. Nie skręcił na pobocze, zatrzymał się tylko po to, żeby mną potrząsnąć. Potem spojrzał na mnie poważnie i powiedział:

– W Secondigliano zaczyna się źle dziać... ’A Vichiarella jest w Hiszpanii i ma przy sobie pieniądze ich wszystkich. Przestań jeździć po tych okolicach, czuję wszędzie napiętą atmosferę. Teraz nawet asfalt odkleiłby się od ziemi, żeby wynieść się stąd jak najdalej...

Zdecydowałem, że będę z bliska obserwować to, na co zapowiadało się w Secondigliano. Im bardziej Pasquale ostrzegał mnie przed niebezpieczeństwem, tym głębiej byłem przekonany, że powinienem spróbować zrozumieć przyczyny zbliżającej się katastrofy. A zrozumieć mogłem, tylko uczestnicząc w wydarzeniach. Nie ma wyboru, to jedyny sposób. Dystans i neutralność są mi obce. Raffaele Amato alias ’A Vichiarella („staruszka”), boss drugiego planu, odpowiedzialny za narkotykowy biznes klanu w Hiszpanii, uciekł do Barcelony z pieniędzmi rodziny Di Lauro. Tak się mówiło. W rzeczywistości jego wina polegała na tym, że nie oddał swojej kwoty do kasy klanu, pokazując w ten sposób, że nie chce dłużej podlegać hegemonii ludzi, którzy jego usługi chcieli opłacać jedynie pensją. Tym samym ogłosił oficjalny rozłam organizacji. Do tej pory pracował tylko w Hiszpanii, która od dawna była terenem aktywnej działalności kamorry. W Andaluzji klan Casalesi z okolic Caserty, na wyspach rodzina Nuvoletta z Marano, a w Barcelonie secesjoniści. Tak właśnie dziennikarze zainteresowani tą niezwykłą sytuacją zaczęli nazywać ludzi klanu Di Lauro, którzy się od niego oderwali. Dziennikarze od kronik kryminalnych. Tymczasem w Secondigliano nazywa się ich „Hiszpanami”. Dlatego, że w Hiszpanii przebywa ich lider i że właśnie tam prowadzą działalność, nie tylko w branży lokalnego handlu, ale także

w międzynarodowym przemycie narkotyków. Nie przypadkiem: Madryt jest ważnym punktem przerzutowym kokainy przemycanej z Kolumbii i Peru. Dochodzenia wykazały, że ludzie bossa Amato przez lata używali genialnego fortelu, by bezpiecznie transportować tony narkotyków. Przewozili je mianowicie w śmieciarkach. U góry śmieci, pod nimi prochy. Niezawodny sposób na uniknięcie kontroli. Nikt nie zatrzymuje nocą śmieciarki, która opróżnia uliczne śmietniki, a jednocześnie transportuje narkotyki.

Jak wynika ze śledztwa, Cosimo Di Lauro zorientował się, że bossowie przelewają do kasy klanu coraz mniej pieniędzy. Rzuty robili za pomocą kapitału rodziny, ale potem zatrzymywali dla siebie znaczną część zysku. „Rzuty" to sumy wykładane na zakup partii narkotyków u producentów, w tym przypadku wykładane przez Di Lauro. Rzut. To określenie jest jak najbardziej odpowiednie dla nieregularnego i hiperliberalnego obrotu kokainą i tabletkami, w którym nie można być absolutnie niczego pewnym. Jest jak gra w kości albo ruletka. Jeżeli postawisz 100 tysięcy euro i sprzyja ci szczęście, po dwóch tygodniach dostaniesz 300 tysięcy. Zawsze kiedy spotykam się z danymi dotyczącymi rentowności tego procederu, przypomina mi się przykład, jaki dał Giovanni Falcone podczas szkolnej pogadanki, przepisywany potem do setek szkolnych zeszytów: „Żeby zrozumieć, jak świetnie prosperuje biznes narkotykowy, pomyślcie tylko, że 1000 lirów zainwestowanych 1 września w handel narkotykami 1 sierpnia następnego roku zamieni się w 100 milionów".

Sumy oddawane przez bossów do kasy klanu Di Lauro nadal były astronomiczne, ale stopniowo coraz mniejsze. Na dłuższą metę taka praktyka doprowadziłaby do wzmocnienia jednych ze szkodą dla innych, a następnie ci pierwsi, gdy tylko uzyskaliby wystarczającą siłę organizacyjną i militarną, zadaliby cios Paolowi Di Lauro. Cios ostateczny, nieodwracalny, wymierzony nie instrumentami rynkowej konkurencji, ale ołowianymi kulami. Dlatego właśnie Cosimo zdecydował, że ograniczy udział Hiszpanów w zyskach z handlu narkotykami do regularnych pensji. Chciał mieć nad nimi ścisłą kontrolę. Ta decyzja nie miała wiele wspólnego

z polityką prowadzoną przez ojca, ale była konieczna dla zabezpieczenia własnych interesów, dla zachowania autorytetu, dla ochrony rodziny. Koniec z konsorcjum przedsiębiorców decydujących każdy na własną rękę, ile kapitału zainwestować, jakie narkotyki wprowadzić na rynek i w jakiej ilości. Koniec z przedsiębiorstwem typu *multilevel*, w którym poszczególne poziomy pracują niezależnie od reszty organizacji. Zamiast tego relacja zwierzchnik – podwładny, zarabiający co miesiąc z góry określoną sumę. Mówi się, że wynosiła ona 50 tysięcy euro, była więc ogromna. A jednak była to tylko pensja. Boss był tylko podwładnym. Oznaczało to koniec marzeń o własnym biznesie. Co więcej, reformy administracyjne Cosima na tym się nie kończyły. „Skruszeni" zeznawali, że Cosimo postanowił zastąpić starszych kamorystów młodszymi. Bossowie nie mogli mieć więcej niż 30 lat; chciał natychmiast odmłodzić całe kierownictwo klanu. Rynek nie uznaje wartości czynnika ludzkiego, nie pozwala na sentymenty. Liczy się wygrana, liczy się zysk. Wszelkie więzy – czy to będzie współczucie, prawo, miłość, emocje czy religia – mogą doprowadzić do ustąpienia pola konkurencji, a na dłuższą metę do klęski. Są dopuszczalne tylko wtedy, gdy pamięta się o absolutnym priorytecie sukcesu finansowego i gdy sytuacja jest pod kontrolą. Tradycyjnie wysłuchiwano starych kamorystów, nawet kiedy ich propozycje nie przystawały do współczesnej sytuacji i często akceptowano ich decyzje jedynie przez szacunek dla zaawansowanego wieku. Ale to właśnie starsi kamoryści mogli zagrozić zwierzchniej pozycji synów Paola Di Lauro. Było więc dla nich wygodniej, żeby wszyscy startowali z tej samej pozycji. Nikt już więcej nie mógł się odwoływać do swojej chwalebnej przeszłości i bagażu doświadczeń, podpierać się szacunkiem należnym z racji wieku. Wszyscy powinni wykazać się interesującymi propozycjami, zdolnościami menedżerskimi, charyzmą.

Grupy ogniowe z Secondigliano zaczęły demonstrować swoją siłę, jeszcze zanim nastąpił rozłam, kiedy konflikt dopiero dojrzewał. Jedną z pierwszych ofiar był Ferdinando Bizarro, zwany Bacchettella, czyli „pałeczka", albo też Wujek Fester, jak niski, łysy i oślizły bohater filmu *Rodzina Addamsów.* Bizzarro był rasem w Melito. Słowo „ras" określa etiopskiego dostojnika, używali go także włoscy faszyści. W nomenklaturze mafii oznacza rangę człowieka cieszącego się dużym autorytetem, podległego jednak bossowi. W pewnym momencie Wujek Fester nie chciał

dłużej gorliwie i posłusznie wykonywać obowiązków *capozona*, czyli koordynatora wydzielonego fragmentu obszaru podległego rodzinie Di Lauro. Pragnął sam zarządzać pieniędzmi i podejmować wszystkie decyzje. To nie był klasyczny bunt. Bizzarro chciał tylko awansować na niezależnego współpracownika. Niestety, decyzję tę podjął z własnej inicjatywy. Na terenie Melito jest dużo zakładów produkujących „na czarno" buty najwyższej jakości sprzedawane w sklepach na całym świecie. Te zakłady mają duże znaczenie dla płynności kapitału używanego w lichwie. Właściciel warsztatu produkcyjnego działającego w szarej strefie prawie zawsze popiera lokalnego polityka albo miejscowego bossa kamorry, który doprowadzi do wyboru na ważne stanowisko właściwego człowieka. Ten za to postara się, żeby przedsiębiorcy nie nękały kontrole. Kamoryści z Secondigliano nigdy nie podporządkowywali się politykom, nie lubili nawiązywać kontaktów tego typu, ale w tych stronach dobrze mieć odpowiednich przyjaciół.

I to właśnie lokalny polityk, zaufany człowiek Bizzarra, stał się jego aniołem śmierci. Planując zabójstwo Wujka Festera, klan poprosił o pomoc Alfreda Cicalę, byłego burmistrza Melito i byłego lokalnego przywódcę partii Margherita. Śledztwo DDA w Neapolu wykazało, że to on dostarczył klanowi informacji na temat miejsca pobytu rasa. Z lektury stenogramów podsłuchanych rozmów telefonicznych i przechwyconego faksu nikt nie domyśliłby się, że mowa jest o planowanym morderstwie, odnosi się raczej wrażenie, że chodzi o zastąpienie jednego szefa innym. Bez różnicy. Nic nie powinno przeszkadzać w biznesie, a decyzja Bizzarra o usamodzielnieniu mogła interesom zaszkodzić. Należało więc za wszelką cenę, jakimkolwiek sposobem zlikwidować to ryzyko. Kiedy zmarła jego matka, członkowie klanu Di Lauro postanowili przyjść na pogrzeb i zastrzelić wszystkich: syna, kuzynów i rasa z Melito. Wszystkich. Byli na to przygotowani. Ale ani Bizzarro, ani jego synowie nie pojawili się na pogrzebie. Przygotowania do zabójstwa prowadzone były dalej. Wujek Fester pozostawał pod ścisłą obserwacją, członkowie klanu informowali się wzajemnie faksem, jak rozwijają się wypadki i co postanowiono dalej:

„W Secondigliano nie ma już nikogo, on wszystkich oddalił... wychodzi tylko we wtorki i soboty, z obstawą w czterech samochodach... wam nie wolno wykonywać żadnych ruchów, pod żadnym pozorem. Wujek Fester

wysłał wiadomość, że na Wielkanoc chce 250 euro od sklepu i że nikogo się nie boi. W tym tygodniu wezmą na tortury Siviera...”

I w ten sposób, faksem, ustala się strategię. W kalendarzu, wśród planów na najbliższy tydzień, zapisuje się wykonanie tortury, jakby to było to samo, co odebranie rachunku ze sklepu, zamówienie nowego towaru albo zarezerwowanie lotu. Faksem przekazuje się także informacje o działaniach zdrajcy. Bizzarro poruszał się po ulicach w eskorcie czterech samochodów i żądał od właścicieli sklepów comiesięcznego haraczu w wysokości 250 euro. Siviero, człowiek Wujka Festera, jego wierny kierowca, miał być poddany torturom. W ten sposób chciano zdobyć informacje o planach jego szefa. Pojawiają się nowe pomysły na ukaranie Bizzarra. Na przykład plan, aby pójść do domu jego syna i „nie oszczędzić nikogo”. Podsłuchano też telefon od killera zrozpaczonego z powodu straconej okazji. Okazało się, że Wujek Fester wyszedł z ukrycia i pokazał się na mieście, żeby zademonstrować swoją władzę i nietykalność. Killer, wściekły z powodu straconej okazji, krzyczy do słuchawki ze złością:

– A niech to jasna cholera! Stracić taką okazję! Ten sobie spokojnie siedział całe rano na placu...

Nic się nie ukryje. Wszystko jest jasne, zrośnięte z tkanką codzienności. Były burmistrz Melito powiadomił kogo trzeba, w którym hotelu Bizzarro spotyka się ze swoją kochanką, gdzie się zaszywa, by pozbyć się napięcia i spermy. Do tego można zredukować własne życie. Można spędzać całe dnie i noce w domu przy wygaszonych światłach, można poruszać się po ulicach wyłącznie z obstawą czterech samochodów, można do nikogo nie dzwonić i nie odbierać telefonów, nie pójść na pogrzeb własnej matki. Ale nie można zrezygnować ze spotkań z kochanką – to już oznaczałoby absolutny koniec jakiejkolwiek władzy.

26 kwietnia 2004 Bizzarro jest w hotelu Villa Giulia, na trzecim piętrze. W łóżku z kochanką. Przybywa pluton egzekucyjny. Zabójcy mają policyjne kamizelki. W recepcji każą sobie wydać kartę magnetyczną do drzwi pokoju Wujka Festera. Portier nie prosi nawet o okazanie legitymacji służbowych domniemanych policjantów. Pukają do drzwi. Bizzarro jest w samych majtkach, słychać, jak zbliża się do drzwi. Otwierają ogień. Dwie serie z pistoletu maszynowego. Kule przebijają drewno i trafiają w mężczyznę. Killerzy wyważają drzwi i kończą z Wujkiem Festerem strzałem w głowę. Naboje i drzazgi wbite w ciało. Został ustalony charakter

tej wojny. Bizzarro był pierwszy. Albo był jednym z pierwszych, ale to na nim właśnie klan przetestował swoją siłę. Siłę, która zwróci się przeciw każdemu, kto ośmieli się zerwać przymierze, zagrozić interesom. Schemat organizacyjny grupy secesjonistów nie jest jeszcze ustalony, nie można przewidzieć najbliższej przyszłości. Atmosfera jest bardzo ciężka, wydaje się, jakby najważniejsze miało dopiero nadejść. Rozwiązanie nastąpiło kilka miesięcy po zabójstwie Bizzarra, bezpośrednio poprzedziło wybuch konfliktu i było oficjalnym wypowiedzeniem wojny. 20 października 2004 roku Fulvio Montanino i Claudio Salerno, jak wynika ze śledztwa, wierni „żołnierze" Cosima, koordynatorzy punktów sprzedaży narkotyków, zostali zastrzeleni czternastoma strzałami z pistoletu. W związku z tym, że spotkanie-pułapka, przy okazji którego Cosimo i jego ojciec mieli zostać zlikwidowani, nie doszło do skutku, dopiero to podwójne zabójstwo było pierwszą jawną demonstracją wrogości. Kiedy pojawiają się trupy, nie pozostaje nic innego, jak walczyć. Wielu bossów zdecydowało się zbuntować przeciw synom Paola Di Lauro: Rosario Pariante, Raffaele Abbinante, a także młodsi: Raffaele Amato, Gennaro McKay Marino, Arcangelo Abate, Giacomo Migliaccio. Wierni rodzinie Di Lauro pozostali: De Lucia, Giovanni Cortese, Enrico D'Avanzo i duża grupa „żołnierzy mafii". Bardzo duża. To chłopcy, którym obiecano szybką karierę w klanie i pieniądze, a więc awans społeczny i ekonomiczny. Klanem rządzili synowie Paola Di Lauro: Cosimo, Marco i Ciro. Cosimo na pewno zdawał sobie sprawę, że ryzykują śmierć albo więzienie. Że zaczną się aresztowania i nastąpi kryzys finansowy. Ale nie miał wyboru: albo będzie czekać z założonymi rękami i pozwoli, żeby wewnątrz klanu wyrosła konkurencyjna siła, która w końcu ich zdławi, albo będzie próbował uratować swoje interesy, a tym samym własną skórę. Zagrożenie dla biznesu jest równoznaczne z zagrożeniem dla życia.

Zaczęła się wojna. Nikt jeszcze nie wiedział, jak będzie przebiegać, ale wszyscy przewidywali, że będzie okrutna i długa. Najbardziej bezwzględna ze wszystkich, jakie widziano na południu Włoch w ostatnich dziesięciu latach. Klan Di Lauro miał mniej ludzi, mniej potencjału i był gorzej zorganizowany. W przeszłości zawsze reagował siłą na najmniejsze wewnętrzne pęknięcia. Pęknięcia te były zwykle rezultatem liberalnej polityki ekonomicznej klanu, która przez niektórych jego członków bywała mylnie brana za przyzwolenie na autonomię, na założenie własnego,

niezależnego biznesu. Stopień autonomii mógł być określony tylko i wyłącznie przez rodzinę Di Lauro i nikt nie miał prawa sam o tym decydować. W 1992 roku stare kierownictwo klanu rozwiązało problem niesubordynacji Antonia Rocco, kamorysty odpowiedzialnego za obszar Mugnano, wysyłając do baru Fulmine grupę „żołnierzy" z karabinami maszynowymi i granatami ręcznymi. Zabito pięć osób. Aby ratować własną skórę, Rocco został świadkiem koronnym. Po jego zeznaniach państwo zapewniło ochronę dwustu osobom, które znajdowały się na czarnej liście Di Lauro. Na nic jednak zdała się ta współpraca. Zeznania „skruszonego" nie ułatwiły pracy prokuratury: nie udało się nawet zadrasnąć wierzchołka klanu.

Jednak tym razem ludzie Cosima Di Lauro zaczynają się niepokoić, można to wywnioskować ze stenogramów rozmów telefonicznych załączonych do nakazu tymczasowego aresztowania wydanego przez sąd w Neapolu 7 grudnia 2004 roku. Dwaj członkowie klanu, Luigi Petrone i Salvatore Tamburino, rozmawiają przez telefon o zabójstwie Montanina i Salerna, które było równoznaczne z wypowiedzeniem wojny.

Petrone: Zastrzelili Fulvia...

Tamburino: Ach...

Petrone: Zrozumiałeś?

Zaczyna być realizowana strategia walki, która według słów Tamburina została opracowana osobiście przez Cosima. Zakłada zlikwidowanie jednego po drugim wszystkich secesjonistów. Choćby za pomocą bomb, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Tamburino: Użyjemy bomb, bomb... słyszałeś? Tak powiedział Cosimo: „teraz ich każę wyłapać, jednego po drugim... i zobaczą, jak ich załatwię... w paskudny sposób... wszystkich...".

Petrone: To ci dopiero... Ale ważne, żeby nie zabrakło ludzi do roboty...

Tamburino: Gino, tych na pewno nie braknie. Mamy ich setki. Młodzi chłopcy... teraz dopiero zobaczysz, co się będzie działo...

To całkiem nowa strategia. Brać do walki młodych chłopców, awansować ich do rangi „żołnierzy mafii", i błyskawicznie zamienić doskonale funkcjonującą organizację nakierowaną na handel narkotykami, inwestowanie w lukratywne przedsięwzięcia, eksploatację tkanki społecznej terytorium w machinę wojskową. Pomocnicy rzeźników, mechanicy, kelnerzy, bezrobotni mieli stać się nową, sekretną siłą klanu. Śmierć

Montanina rozpoczęła regularną wojnę, uderzenie za uderzeniem, ciągle nowe trupy. Jedna, dwie akcje dziennie; najpierw ludzie obydwu klanów, potem ich krewni, spalone domy, bijatyki, podejrzenia.

Tamburino: Cosimo ma naprawdę zimną krew, wiesz, co powiedział? „Będziemy dalej jeść, pić i pieprzyć się". Bo niby co mamy robić? Co się stało, to się nie odstanie. Trzeba iść do przodu.

Petrone: Ja już nie chcę jeść. Jadłem tylko, żeby jeść...

Nie należy wykonywać żadnych desperackich ruchów. Najważniejsze to sprawiać wrażenie, że się wygrywa. Tak na wojnie, jak w interesach. Kto pokazuje, że ma trudności, kto ucieka, kto znika, kto zamyka się w sobie – już przegrał. Jeść, pić i pieprzyć się. Jakby nic złego się nie wydarzyło, jakby nic złego już nie miało się wydarzyć. Ale dwaj rozmówcy są pełni obaw. Nie wiedzą, ilu członków klanu przeszło na stronę Hiszpanów, a kto został z nimi.

Tamburino: Skąd mamy wiedzieć, ilu poszło do tamtych... przecież nie wiemy!

Petrone: Ilu poszło do tamtych?! Ale przecież, Totore, nawet wśród nas nie za wszystkich możesz ręczyć... Nie rozumiem tych tutaj... dlaczego im nie pasuje Di Lauro?

Tamburino: Wiesz, co ja bym zrobił na miejscu Cosima? Zacząłbym ich wszystkich po kolei zabijać. Nawet gdybym nie był pewny na sto procent... wszystkich. Pozbyłbym się... rozumiesz? Pozbyłbym się całego tego szlamu...

Zabić wszystkich. Wszystkich. Nawet jeżeli masz wątpliwości. Nawet jeżeli nie jesteś pewny, po której stronie stoją twoje ofiary, nawet jeżeli nie wiesz, czy w ogóle stoją po którejś stronie. Wystrzelać! To szlam. Tylko szlam. Gdy toczy się wojna, wobec niebezpieczeństwa przegranej, pozycje sojuszników i przeciwników są wymienne. Nie masz do czynienia z realnymi ludźmi, tylko z obiektami, na których wypróbowujesz własną siłę. Dopiero później, kiedy sytuacja trochę się uspokoi, będzie można rozgraniczyć przeciwne strony, rozróżnić sprzymierzeńców i wrogów. Ale na razie trzeba tylko strzelać.

30 października ludzie Cosima Di Lauro przychodzą do domu Salvatora de Magistris, sześćdziesięcioletniego mężczyzny, który ożenił się z matką

Biagia Esposito, jednego z Hiszpanów. Chcą wiedzieć, gdzie się ukrywa ten secesjonista. Trzeba wszystkich wyłapać; zanim się zorganizują, zanim się zorientują, że jest ich więcej niż przeciwników. Uderzeniami pałki łamią mu ręce i nogi, zgniatają mu nos. Przy każdym ciosie pytają o syna żony. On nie odpowiada i jego milczenie prowokuje oprawców do dalszych uderzeń. Kopią go, musi coś powiedzieć. Ale nie robi tego. Może naprawdę nie wie, gdzie się ukrywa Biagio. Umrze po miesiącu agonii.

2 listopada na jednym z parkingów ginie Massimo Galdiero. Mieli uderzyć w jego brata, Gennara, domniemanego przyjaciela Raffaele Amata. 6 listopada przy via Labriola ginie Antonio Landieri. Żeby go zabić, ostrzelali całą grupę ludzi stojących w pobliżu. Pięciu zostało ciężko rannych. Wszyscy rozprowadzali kokainę i podlegali Gennarowi McKayowi. Odpowiedzią Hiszpanów są trzy trupy w białym fiacie punto pozostawionym w środku dnia na ulicy. Stefano Maisto, Mario Maisto i Stefano Mauriello. Zabójcy uciekli przed kontrolą drogową i zostawili auto na środku via Cupa Perrillo. Kiedy policjanci otwierali jedne po drugich drzwi samochodu, za każdymi znajdowali trupa. Z przodu, z tyłu i w bagażniku. 20 listopada w Mugnano został zabity Biagio Migliaccio. Dopadli go w salonie samochodowym, gdzie pracował. Weszli, krzyknęli: To jest napad! I strzelili mu w pierś. Właściwie chodziło im o jego wujka, Giacoma. Jeszcze tego samego dnia Hiszpanie odpowiadają zabójstwem Gennara Emolo, ojca jednego z „żołnierzy” Cosima. 21 listopada ludzie klanu Di Lauro zabijają Domenica Riccio i Salvatora Gagliardiego z otoczenia Raffaele Abbinante, podczas gdy ci kupują coś w kiosku. Godzinę później killerzy, tym razem nie z motocykla, a z samochodu strzelają do Francesca Tortory, potem podchodzą do trupa, zbierają go z ulicy jak worek i wrzucają do samochodu. Wywożą go na peryferie Casavatore, gdzie podpalają samochód z ciałem w środku. Dwie sprawy załatwione za jednym zamachem. O północy 22 listopada karabinierzy znajdują spalony samochód. Jeszcze jeden.

Bardzo mi zależało, żeby jak najdokładniej śledzić wypadki tej wojny w łonie kamorry, tej faidy, jak ją tu nazywają, załatwiłem więc sobie radio, za pomocą którego mogłem podsłuchiwać nadajniki policji. Dzięki temu przyjeżdżałem vespą na miejsce zdarzeń mniej więcej równo z wozem policyjnym. Ale owego fatalnego wieczoru zaspałem. Monotonny, zachrypnięty głos radia ukołysał mnie do snu. Tak więc tym razem

o kolejnym epizodzie tej wojny dowiedziałem się przez telefon. Wyruszyłem natychmiast. Na miejscu zobaczyłem kompletnie spalony samochód. Polali go benzyną. Ogromną ilością benzyny, wszędzie. Benzyna na przednich i tylnych siedzeniach, benzyna na oponach i na kierownicy. Eksplodowały szyby. Płomienie już wygasły, kiedy przybyli strażacy. Podbiegłem do wraku samochodu, sam nie wiem dlaczego. Strasznie śmierdziało spalonym plastykiem. W pobliżu było niewielu ludzi. Policjant świecił latarką między osmalone blachy. Zobaczył ciało albo raczej coś, co przypominało ludzkie ciało. Strażacy otworzyli drzwi, wyjęli zwłoki, na ich twarzach widziałem obrzydzenie. Jeden z karabinierów oparł się o mur i zwymiotował makaron i ziemniaki, które zjadł parę godzin wcześniej. Ciało wyglądało jak czarny, sztywny pień, twarz miała rysy trupiej czaszki, nogi były bez skóry, którą zdarł ogień. Strażacy chwycili trupa za ramiona i położyli go na ziemi, w oczekiwaniu na wóz pogrzebowy.

Furgonetka, która zbiera zmarłych, krąży bez przerwy po okolicy, widać ją od Scampii po Torre Annunziata. Zbiera i przewozi ciała zastrzelonych ludzi. Kampania jest regionem, w którym notuje się najwyższą liczbę zabójstw we Włoszech i jedną z najwyższych na świecie. Opony tego specyficznego wozu pogrzebowego są zupełnie łyse. Fotografia tych zużytych kół samochodowych byłaby wymownym symbolem tej ziemi. Z furgonetki wysiedli mężczyźni w gumowych rękawicach; były bardzo wybrudzone, używane już tysiące razy. Zaraz zabrali się do pracy. Włożyli zwłoki do czarnego worka, do *body bag*, takiego jak te, w których transportuje się ciała zabitych żołnierzy. Spalone zwłoki przywodziły na myśl formy otrzymywane przez archeologów po wypełnieniu gipsem dziur po ciałach zasypanych popiołem z Wezuwiusza. Do samochodu podchodziło coraz więcej ludzi, wszyscy milczeli. Jakby nikogo tam nie było. Starali się cicho oddychać. Od wybuchu wojny kamorry granica wytrzymałości u wielu ludzi przesunęła się. Przyszli, żeby zobaczyć, co jeszcze muszą ścierpieć. Każdego dnia dowiadują się, co jeszcze może się wydarzyć, odkrywają, jak dużo potrafią znieść. Potem zanoszą tę wiedzę do domu i żyją dalej. Karabinierzy zrobili zdjęcia, furgonetka ze zwłokami odjechała. Skierowałem się na komendę policji. Coś chyba będą musieli powiedzieć na temat tej śmierci. W sali prasowej są już dziennikarze, ci sami co zawsze, jest też paru policjantów. Słychać komentarze: „Najlepiej,

jakby się wszyscy pozabijali między sobą”, „Kamoryści muszą się liczyć z tym, że czeka ich taki koniec”, „Chciałeś mieć pieniądze, to teraz masz, ty śmieciu...”. Zwykłe komentarze, ale wypowiadane ze szczególną irytacją i obrzydzeniem, jakby w tej samej sali leżał trup i jakby każdy miał do niego o coś pretensje: o nieprzespaną noc, o wojnę, której końca nie widać, o uzbrojonych mężczyzn na ulicach Neapolu. Lekarze sądowi mają trudności z identyfikacją zwłok. Ktoś zasugerował, że należą do kamorysty zaginionego przed kilkoma dniami, jednego z wielu, którego nazwisko należy przypisać do jakiegoś bezimiennego nieboszczyka, jednego z wielu spoczywających w chłodniach szpitala Cardarelli. Potem jednak okazuje się, że to nie on.

Niektórzy z obecnych zakrywają sobie usta ręką, dziennikarze przełykają ślinę aż do zupełnego wyschnięcia ust, policjanci kiwają głowami i wpatrują się w czubki swoich butów. Komentarze ucichają. To ciało należało do Gelsominy Verde, dwudziestodwuletniej dziewczyny. Porwano ją, torturowano i w końcu zadano jej śmierć strzałem w kark wymierzonym z tak małej odległości, że kula wyszła z drugiej strony głowy, przez czoło. Wrzucili ją potem do jej własnego samochodu i wraz z nim spalili. Chodziła z pewnym chłopcem, Gennarem Notturno, który wstąpił do klanu, a później odszedł z Hiszpanami. Chodziła z nim przez kilka miesięcy, jakiś czas wcześniej. Ktoś ich zobaczył przytulonych, może siedzieli na jednym skuterze. A może w samochodzie. Gennaro miał wyrok śmierci, ale udało mu się ukryć, nie wiadomo gdzie, może w jakimś garażu przy drodze, na której zastrzelili Gelsominę. Nie przyszło mu do głowy, że musi ją chronić, bo już dawno się rozstali. Ale kamorra musi uderzyć, a jej ofiary – czy to będą sami zdrajcy, czy też ich krewni i przyjaciele – posłużą do przekazania komunikatu. Spełniają rolę kartki z ostrzeżeniem, z wiadomością najgorszą z możliwych. Karę trzeba wymierzyć za wszelką cenę. Każda nieukarana zdrada może pociągnąć za sobą nowe zdrady, nowe pęknięcia. Trzeba uderzyć, i to jak najsilniej. Taki jest rozkaz. Wszystko inne się nie liczy. Dlatego „żołnierze” Cosima Di Lauro zwabiają podstępem Gelsominę, porywają ją, biją do krwi, torturują, żeby się dowiedzieć, gdzie ukrywa się Gennaro. Dziewczyna nie wydaje go. Być może nie wie, gdzie się ukrywa jej były chłopak, albo woli cierpieć za niego. Masakrują ją. Możliwe, że kamoryści wysłani na tę akcję byli nabuzowani kokainą, albo wręcz przeciwnie: byli zupełnie przytomni, żeby

jak najlepiej wykonać swoje zadanie. Powszechnie wiadomo, jakich metod używa się, by poskromić wszelkie przejawy oporu, żeby unicestwić najmniejszy przejaw człowieczeństwa. Fakt, że spalili zwłoki, był dla mnie dowodem na to, że maltretowali dziewczynę przed śmiercią i w ten sposób chcieli to ukryć. Ślady tortur na ciele zabitej dziewczyny wzbudziłyby w ludziach głęboki, głuchy gniew. Od okolicznych mieszkańców nie oczekuje się aprobaty, ale i nie wrogości. Najlepiej więc wszystko spalić. Nie istnieją wyraźne ślady tego zabójstwa. Jak to na wojnie. I lepiej nie wyobrażać sobie, jak zostało dokonane i co je poprzedziło. Wciągnąłem do ust śluz z piersi i splunąłem, udało mi się w ten sposób zablokować obrazy, które produkowała moja wyobraźnia.

Gelsominę Verde znajomi nazywali Mina. Tym samym zdrobnieniem nazywali ją nazajutrz dziennikarze, z poczuciem winy po tym szokującym wydarzeniu. Byłoby łatwiej, gdyby jej spalone ciało uznano za zwłoki jednego z tych, którzy wyrzynają się między sobą. Albo gdyby można było sklasyfikować ją jako kobietę kamorysty, jedną z wielu, które zgadzają się na tę rolę dla pieniędzy lub wyróżnienia. Jeszcze jedna przyszła „signora”, która korzysta z pieniędzy męża mafiosa. Ale Saracen, jak nazywano Gennara Notturno, dopiero zaczynał swoją karierę. Jeżeli kiedyś awansuje do rangi *capozona* i będzie organizował pracę dealerów, dojdzie do 1000, może 2000 euro tygodniowo. Ma jednak przed sobą jeszcze długą drogę, którą może mu zamknąć raz na zawsze kula wystrzelona za 2500 euro – bo tyle wynosi zwykła stawka za morderstwo. Cena może być wyższa, jeżeli zabójca będzie musiał zniknąć na jakiś czas, bo karabinierzy wpadną na jego trop; klan opłaci mu wtedy miesięczny pobyt na północy Włoch lub za granicą. Może Saracen marzył o tym, żeby któregoś dnia zostać bossem, rządzić połową Neapolu i inwestować kapitały w całej Europie.

Zatrzymuję się, nabieram powietrza i wyobrażam sobie scenę ich pierwszego spotkania, chociaż nigdy nie widziałem nawet ich twarzy. Prawdopodobnie poznali się w barze, w jednym z tych przeklętych miejsc, typowych dla peryferyjnych terenów południowej części kraju, wokół których koncentruje się życie wszystkich, od dzieci po sklerotycznych dziewięćdziesięciolatków. Może poznali się w dyskotece. Przejażdżka na piazza Plebiscito, pocałunek przed powrotem do domu. Potem soboty spędzane razem, wieczorem pizza z przyjaciółmi, w niedzielę drzwi pokoju zamknięte na klucz, kiedy reszta domowników śpi po zbyt obfitym

obiedzie. I tak dalej, w tym samym stylu. Jak robią wszyscy, jak to się na szczęście każdemu może zdarzyć. Pewnego dnia Gennaro wchodzi do Systemu. Może poprosił o rekomendację któregoś z przyjaciół kamorystów i w ten sposób zaczął pracować dla rodziny Di Lauro. Mogę się tylko domyślać, że Mina dowiedziała się o tym i zaczęła desperacko szukać dla niego innego zajęcia. Tak często robią dziewczęta w tych stronach. Może w końcu przestała myśleć o nowym zajęciu Gennara. W końcu była to praca jak każda inna: jeździł samochodem, przewoził czasem jakąś paczkę; zaczyna się od drobiazgów. A te drobiazgi dają ci chleb, dają ci pracę, poczucie sprawiedliwego wynagrodzenia za nią i szacunek ludzi. Później zerwali z sobą.

Jednak tych kilka miesięcy wystarczyło. Wystarczyło, żeby Gelsominę naznaczyć, żeby skojarzyć ją z osobą Gennara, przypisać do kręgu ludzi najbliższych. Chociaż uczucie między nimi dawno już wygasło, a może nawet nigdy się naprawdę nie narodziło. Nieważne. Zresztą to wszystko tylko domysły. Jedno jest pewne: dziewczyna została poddana torturom i zamordowana, ponieważ kilka miesięcy wcześniej ktoś zobaczył, jak całowała się z jakimś chłopcem gdzieś w Neapolu. Trudno w to uwierzyć. Gelsomina ciężko pracowała, jak wszyscy w tych stronach. Często kobiety muszą tutaj same utrzymywać rodzinę, bo wielu mężczyzn latami tkwi pogrążonych w depresji. Nawet mieszkańcy Secodigliano albo ci, co mieszkają w Trzecim Świecie, czyli w Terzo Mondo, jak nazwano jedną z dzielnic Neapolu, mają jakąś psychikę. Wieloletnie bezrobocie lub praca bez kontraktu, bez żadnych praw, za minimalne wynagrodzenie, bez szacunku dla twojego wysiłku i twojego człowieczeństwa, powoli zabijają. Albo godzisz się na zwierzęcą egzystencję, albo ryzykujesz, że skończysz się, zanim nadejdzie twój czas. Gelsomina ciężko pracowała, jak wszyscy, którzy muszą znaleźć przynajmniej trzy różne zajęcia, żeby zapewnić sobie wynagrodzenie, z którego połowę będą mogli oddać rodzinie. Mimo to znajdowała jeszcze czas na wolontariat przy starszych osobach, co podkreślały wszystkie gazety, które na wyścigi wychwalały zamordowaną dziewczynę, jakby chciały przywrócić jej dobre imię. Przy którymś z artykułów na temat Gelsominy ukazał się wywiad z żoną Raffaele Cutola. Donna Immacolata utrzymywała w nim, że prawdziwa kamorra, kamorra jej męża, nigdy nie zabija kobiet. Kieruje się zasadami etyki prawdziwych ludzi honoru. Należało jej może przypomnieć przy tej okazji, że w latach

80. Cutolo polecił strzelić z pistoletu prosto w twarz kilkuletniej dziewczynce, córce prokuratora Lambertiego, na oczach ojca. Ale dzienniki wydrukowały jej słowa, dały jej kredyt zaufania, być może z nadzieją, że kamorra wróci do swojej dawnej postaci. Kamorra z przeszłości jest zawsze mniejszym złem niż ta kamorra, którą znamy dzisiaj, i ta, którą poznamy w przyszłości.

Na wojnie lepiej nie wiązać się z nikim, nie pozwalać sobie na żadne sentymentalne uczucia i związki, bo wszystko może okazać się słabością. Burze emocjonalne, z jakimi muszą sobie radzić młodzi chłopcy w szeregach klanu, najlepiej ilustruje rozmowa telefoniczna między Franceskiem Venosą a jego dziewczyną, podsłuchana przez karabinierów. Jej zapis został włączony do akt sądowych, które posłużyły do wydania nakazu aresztowania przez Prokuraturę Antymafii w Neapolu w 2006 roku. Była to ostatnia rozmowa przed zmianą numeru, przed ucieczką Francesca do Lacjum. Przedtem jeszcze SMS-em ostrzegł brata, żeby nie wychodził z domu, bo jest w niebezpieczeństwie: „Kochany braciszku, pod żadnym pozorem nie wychodź na ulicę, OK?”.

Francesco stara się wytłumaczyć swojej dziewczynie, dlaczego musi uciekać i dlaczego życie człowieka Systemu jest tak bardzo skomplikowane:

– Ja mam już 18 lat... żarty się skończyły, Anna... oni mnie załatwią... oni mnie zabiją!

Ale Anna upiera się przy swoim. Zamierza starać się o przyjęcie do karabinierów, chce zmienić swoje życie i pragnie, żeby Francesco także zmienił swoje. Chłopak nie ma nic przeciwko temu, żeby Anna została sierżantem karabinierów, uważa jednak, że dla niego jest już za późno na zmiany:

– Mówiłem ci już, że dobrze robisz... Ale ja mam inne życie... Nie zmienię go.

Anna: Świetnie... rób jak chcesz... możesz sobie robić, co chcesz, rozumiesz?

Francesco: Anna, nie mów tak...

Anna: Masz dopiero osiemnaście lat, możesz jeszcze wszystko zmienić... Dlaczego się poddajesz? Nie rozumiem cię...

Francesco: Nie zmienię mojego życia za nic na świecie.

Anna: To dlatego, że tobie jest tak dobrze.

Francesco: Nie, Anna, nie jest mi dobrze, ale teraz jesteśmy w sytuacji... musimy odzyskać utracony autorytet... Przedtem ludzie w naszej dzielnicy nie ośmielali się patrzeć nam w twarz, kiedy spotykali nas na ulicy... teraz wszyscy podnoszą głowy.

Dla Francesca, który należy do Hiszpanów, najcięższą zniewagą jest fakt, że ludzie odnoszą się do nich z mniejszym niż kiedyś respektem. Na tej wojnie stracili wielu „żołnierzy", w związku z czym mieszkańcy dzielnicy widzą ich jako przegranych kamorystów, killerów-nieudaczników. To nie do zniesienia, należy zmienić ten stan rzeczy choćby za cenę życia. Dziewczyna stara się go zatrzymać, przekonać, że nie musi czuć się skazanym:

– Nie wchodź w ten bajzel, możesz jeszcze żyć...

Franesco: Nie chcę zmieniać mojego życia...

Młodziutkiego secesjonistę przeraża myśl, że Di Lauro mogliby odegrać się na niej za jego zdradę, ale uspokaja siebie i ją, mówiąc, że przed nią miał wiele przygód z innymi dziewczynami, więc nikt nie może jej z nim skojarzyć. Na koniec jak każdy zakochany nastolatek wyznaje jej, że tylko ona się liczy:

– Miałem chyba ze trzydzieści kobiet w dzielnicy, ale we mnie... w środku tylko z tobą czuję...

Anna, jak każda zakochana dziewczyna, w jednej chwili zapomina o swoim strachu przed zemstą i myśli tylko o ostatnim zdaniu Francesca:

– Chciałabym w to wierzyć.

Wojna toczy się dalej. 24 listopada 2004 roku zostaje zabity Salvatore Abbinante. Strzałem w twarz. Był bratankiem jednego z bossów Hiszpanów, Raffaele Abbinante z Marano, z terytorium rodziny Nuvoletta. Klanowi z Marano bardzo zależało na tym, żeby brać aktywny udział w handlu narkotykami w Secondigliano, w tym celu w dzielnicy Monterosa, w samym sercu Secondigliano, osiedlili wielu swoich ludzi wraz z rodzinami. Jak wynika z zeznań „skruszonych" kamorystów, autorem tego pomysłu był właśnie Raffaele Abbinante, mafioso o ogromnej charyzmie, koncentrujący swoją działalność w Hiszpanii, gdzie kontrolował terytorium Costa del Sol. W szeroko zakrojonej akcji policyjnej w 1997 roku skonfiskowano 2500 kg haszyszu, 1020 tabletek ecstasy, 1500 kg kokainy.

Przy tej okazji prokuratura udowodniła, że neapolitańskie klany Abbinante i Nuvoletta zarządzały prawie całym handlem narkotykami syntetycznymi w Hiszpanii i we Włoszech. Obawiano się, że zabójstwo Salvatora Abbinante sprowokuje rodzinę Nuvoletta do interwencji, a mafię sycylijską do zajęcia stanowiska w faidzie w Secondigliano. Jednak nie było z ich strony żadnej reakcji, przynajmniej zbrojnej. Jedyną oznaką krytycznego stosunku do wojny wywołanej przez Cosima Di Lauro był fakt, że Nuvoletta otworzyli granice swojego terytorium dla secesjonistów szukających schronienia.

25 listopada ludzie Di Lauro zastrzelili Antonia Esposito w sklepie spożywczym, którego był właścicielem. Kiedy przybyłem na miejsce zbrodni, jego ciało leżało między butelkami z wodą mineralną i kartonami z mlekiem. Zaraz potem dwóch ludzi podniosło go z podłogi, trzymając za nogi i za marynarkę, i włożyło go do metalowej trumny. Gdy tylko wóz pogrzebowy odjechał, w sklepie pojawiła się jakaś kobieta i zabrała się do porządkowania: ustawiała przewrócone butelki i czyściła plamy z krwi na szybie lodówki z wędlinami. Karabinierzy nie przeszkadzali jej w tym. Ślady balistyczne, wszelkie dowody i poszlaki zabezpieczyli już wcześniej. Zapełnili nowymi danymi swój bezużyteczny rejestr śladów. Kobieta pracowała przez całą noc, aż przywróciła w sklepie porządek, jakby chciała w ten sposób wymazać to, co się tutaj wydarzyło, jakby ład wśród kartonów z mlekiem i równe rzędy batonów czekoladowych miały pokazać, że śmierć rządziła w tym miejscu tylko podczas kilku minut strzelaniny.

Tymczasem w Scampii rozeszła się wiadomość, że Cosimo Di Lauro wyznaczył nagrodę wysokości 150 tysięcy euro dla tego, kto dostarczy informacji na temat miejsca pobytu Gennara Marino McKaya. Suma niebagatelna, ale nie najwyższa, biorąc pod uwagę potęgę finansową Systemu Secondigliano. Zapewne nie chcieli okazać przeciwnikowi, jakim jest zagrożeniem dla klanu. Zanim jednak wyznaczenie nagrody dało rezultaty, na scenie konfliktu pojawiła się policja. Na trzynastym piętrze domu przy via Fratelli Cervi zebrali się bossowie secesjonistów, którzy pozostali jeszcze na miejscu. Dla ostrożności opancerzyli podest schodów. Przy końcu rampy przejście zamykała metalowa okratowana klatka. Pomieszczenie, w którym odbywało się spotkanie, było zabezpieczone

drzwiami pancernymi. Policja otoczyła budynek. Zabezpieczenia, które miały chronić kamorystów przed ewentualnym atakiem nieprzyjaciół, stały się dla nich pułapką, zmusiły ich do bezczynnego oczekiwania, podczas gdy policjanci przecinali kraty palnikiem acetylenowym i wyważali drzwi pancerne. Czekając na aresztowanie, kamoryści wyrzucili przez okno plecak z karabinem maszynowym, pistoletami i granatami ręcznymi. Upadek na ziemię spowodował samowystrzał karabinu, jedna z kul niemal trafiła w kark policjanta, który osłaniał kolegów przypuszczających szturm na budynek. Mężczyzna w jednym momencie oblał się potem ze strachu i zaczął konwulsyjnie dyszeć, nie mogąc opanować ataku histerii. Zginąć od kuli odbitej rykoszetem, wystrzelonej samoistnie z broni zrzuconej z trzynastego piętra, tego nikt nie byłby w stanie przewidzieć. Policjant zachowywał się, jakby ogarnęło go szaleństwo: skakał, wykrzykiwał coś sam do siebie, bełkotał nazwiska i przekleństwa, machał rękami przed twarzą, jakby oganiał się od komarów i z trudem dało się zrozumieć jego słowa:

– To oni ich namierzyli. Sami nie potrafili w nich uderzyć, więc nam ich nadali i nas tu posłali... Służymy za narzędzie jednym i drugim. Tym tutaj ratujemy życie. Zostawmy ich tutaj, niech się wybiją między sobą, niechby się wszyscy powystrzelali! Co nas to obchodzi?

Policjanci dali mi znak, żebym się oddalił. Tej nocy w domu przy via Fratelli Cervi zaaresztowano Arcangela Abete i jego siostrę Annę, Masimiliana Cafasso, Cira Mauriello, Gennara Notturno, byłego chłopaka Gelsominy Verde i Raffaele Notturno. Ale prawdziwym sukcesem było schwytanie Gennara McKaya, lidera secesjonistów. Członkowie rodziny Marino byli głównym celem faidy. W obiektach, które należały do Gennara, podłożono ogień: w restauracji „Orchidea” na via Diacono, w piekarni przy głównej ulicy Secondigliano, w pizzerii przy via Pietro Nenni w Arzano. Podobnie zresztą jak w jego prywatnym domu przy via Limitone d’Arzano, w willi zbudowanej z drewna w stylu rosyjskiej daczy. Wśród betonowych bloków, słabo oświetlonych ulic z dziurawym asfaltem i zatkanych ścieków, boss Case Celesti stworzył piękny górski zakątek, obsadził go palmami libijskimi, tymi najdroższymi, i postawił na nim willę z cennego drewna. Niektórzy twierdzą, że pojechał kiedyś w interesach do Rosji i tam zachwycił się drewnianą daczą, w której gościł. Po powrocie nikt i nic nie mogło przeszkodzić Gennarowi Marino w wybudowaniu rosyjskiej daczy

w samym centrum Secondigliano, jako symbolu swojej potęgi, by dać wszystkim do zrozumienia, że jego interesy idą świetnie, i pokazać młodym chłopcom, że jeżeli będą właściwie się zachowywać, wcześniej czy później i oni będą mogli pozwolić sobie na takie zbytki, choćby nawet pochodzili z przedmieścia Neapolu czy innej zabitej dechami dziury Południa. Teraz z tej daczy pozostał tylko betonowy szkielet i kupa zwęglonego drewna. Brata Gennara, Gaetana, karabinierzy wyłuskali z jednego z pokojów luksusowego hotelu „La Certosa" w Massa Lubrense. By ratować własną skórę, zamknął się w hotelowym pokoju nad morzem – niezwykłe miejsce na kryjówkę przed faidą. Lokaj Gaetana, człowiek, który zastępował mu ręce, na widok karabinierów w drzwiach pokoju powiedział: „Zepsuliście mi wakacje".

Aresztowania w grupie Hiszpanów nie zatamowały jednak wewnętrznego krwotoku kamorry. 27 listopada został zastrzelony Giuseppe Bencivenga, dzień później Massimo de Felice, a 5 grudnia przyszła kolej na Enrica Mazzarellę.

Napięta atmosfera w tych dniach sprawiła, że między ludźmi wyrosła bariera nieufności. Na wojnie trzeba mieć stale skoncentrowaną uwagę. Każda twarz może być ważna. Trzeba ją rozpoznać i odpowiednio sklasyfikować. Trzeba się jej dobrze przyjrzeć. I pamiętać, że wszystko się zmienia. Musisz wiedzieć, do którego sklepu wolno ci wejść, musisz uważać na to, co mówisz. Zanim zdecydujesz się wybrać z kimś na spacer, musisz zdobyć dokładne informacje, kim jest ten człowiek. Musisz być bardziej niż pewny, że nie jest jednym z pionków na szachownicy konfliktu, bo podczas wspólnej przechadzki czy wymiany zdań dzielisz z nim tę samą przestrzeń. Na wojnie wszystkie zmysły pracują ze zwielokrotnionym natężeniem: słyszy się wyraźniej, widzi się ostrzej, czuje się więcej zapachów. Z tym, że jeżeli ktoś zdecyduje się urządzić masakrę akurat w tym samym czasie i miejscu, gdzie ty się znajdujesz, ostrożność nie zda się na wiele. Kto chce uderzyć, nie zwraca uwagi na przypadkowych przechodniów. Podczas rozmowy telefonicznej podsłuchanej przez śledczych Rosario Fusco, oskarżony o pracę dla klanu Di Lauro jako *capozona*, instruował syna głosem, w którym wyczuwało się ogromne napięcie świadczące o tym, jak bardzo zależało mu na przekonaniu chłopca:

„Nie wolno ci się z nikim zadawać. Bez wyjątków. Zresztą napisałem ci o tym. Nie mówię, synku, że nie możesz wychodzić z domu, czy przejść się gdzieś z dziewczyną. Nie wolno ci tylko spotykać się z chłopcami, bo nie wiemy, z kim przestają, do kogo należą. Jeżeli ktoś będzie chciał w niego uderzyć, a ty będziesz w jego towarzystwie, tobie też się dostanie. Rozumiesz chyba, synku, jaka jest teraz sytuacja...”.

Problem polega na tym, że nikt nie może czuć się wyłączony z konfliktu. Nie ma co się łudzić, że takie czy inne zachowanie ochroni cię przed niebezpieczeństwem. Nie ma sensu powtarzać: „niech się pozabijają między sobą”. Podczas wojny kamorry wszystko może zostać zburzone w jednej chwili. Każda ochrona jest tylko fortecą z piasku, którą może zmyć pierwsza lepsza fala morska. Ludzie są bardziej milczący, starają się nie zaznaczać swojej obecności. Mniej makijażu, ubrania w neutralnych kolorach, ale nie tylko. Kto ma astmę i nie może biegać, zamyka się w domu na klucz, najpierw jednak wymyśla jakieś usprawiedliwienie, bo izolacja od zewnętrznego świata może być uznana za przyznanie się do winy. Nawet jeżeli nikt nie wie, jaka to mogłaby być wina, zamykasz się w domu, więc widocznie masz powody do strachu. Kobiety nie zakładają butów na wysokim obcasie, bo nie uciekłyby w nich daleko. Wojnie, której nie wypowiedziała oficjalnie żadna strona konfliktu, której nie uznał żaden rząd, której nie relacjonują reporterzy wojenni, towarzyszy głęboki, niewyjawiony strach, tkwiący stale pod skórą jak cierń.

Czujesz się wzdęty jak po nazbyt obfitym posiłku albo jakbyś wypił za dużo podłego wina. To strach, który nie eksploduje na ulicznych afiszach ani w gazetach. Wojnę bez inwazji wojsk, bez wrogich samolotów na niebie nosisz stale w sobie. Staje się fobią. Nie wiesz, czy lepiej okazać strach, czy może lepiej go ukryć. Nie potrafisz ocenić, czy przesadzasz, czy może nie doceniasz niebezpieczeństwa. Nie słychać syren alarmowych, za to co chwila przychodzą sprzeczne wiadomości. Uważa się, że wojna kamorry toczy się między grupami przestępców, którzy wzajemnie się wybijają. Ale nikt nie wie, gdzie przebiega granica między tym, co należy do ich świata, a tym, co nie ma z nimi nic wspólnego. Patrole karabinierów, policyjne blokady, helikoptery przelatujące co godzinę nad ulicami nie uspokajają. Nie dodają otuchy. Jedynie ograniczają przestrzeń życiową. Zabierają miejsce. Jak podczas oblężenia, ludzie czują się zamknięci w ciasnej

pułapce, ramię przy ramieniu, skazani na znoszenie nieznośnego dotyku innych.

Często wślizgiwałem się pod ten całun strachu na mojej vespie. Za każdym razem, kiedy byłem w Secondigliano, zatrzymywano mnie i przeszukiwano przynajmniej dziesięć razy w ciągu dnia. Gdybym miał przy sobie choćby najmniejszy scyzoryk, kazaliby mi go chyba połknąć. Zatrzymywali mnie policjanci, karabinierzy, czasem funkcjonariusze policji skarbowej, potem posterunki klanu Di Lauro i Hiszpanów. Wszyscy z tym samym poczuciem władzy, z identycznymi gestami, z podobnymi słowami. Przedstawiciele służb porządkowych żądali dokumentów i potem mnie przeszukiwali, natomiast ludzie kamorry zaczynali od przeszukiwań i zadawali więcej pytań, zwracali uwagę na ton głosu, prześwietlali każdy fałsz. W dniach największego natężenia konfliktu czujki przeszukiwały dokładnie wszystkich, zaglądały do środka każdego przejeżdżającego samochodu. Żeby zapamiętać twarze i sprawdzić, czy pasażerowie są uzbrojeni. Najpierw podjeżdżali do ciebie chłopcy na skuterach i przeszywali cię wzrokiem na wskroś, potem zbliżały się motocykle, na koniec przyczepiał się do ciebie na dłużej jakiś samochód.

Pielęgniarze z pogotowia ratunkowego zgłaszali władzom, że wjeżdżając karetką na teren konfliktu, niekoniecznie do rannych w strzelaninach, ale na przykład do staruszki ze złamanym biodrem czy do zawału, musieli za każdym razem wysiadać z samochodu, pozwolić się przeszukać i wpuścić do karetki ludzi mafii, żeby mogli sprawdzić, czy nie przewożą przypadkiem broni, killerów albo uciekinierów. W czasie wojny kamorry nikt nie respektuje czerwonego krzyża, żaden klan nie podpisał traktatu genewskiego. Patrole karabinierów też były wystawione na ryzyko. Pewnego dnia seria z karabinu maszynowego przeszyła karoserię samochodu, którym jechali karabinierzy w cywilnych ubraniach, bo wzięto ich za kamorystów z wrogiej grupy. Kule zraniły ich tylko. Kilka dni później do koszar karabinierów zgłosił się chłopak z bielizną na zmianę w torbie; wiedział dokładnie, jak należy się zachowywać podczas aresztowania. Od razu przyznał się do wszystkiego, może dlatego, że kara, jaką wymierzyliby mu swoi za ostrzelanie patrolu, byłaby o wiele cięższa niż więzienie. Albo też klan, by zapobiec zaostrzeniu się stosunków z siłami

porządkowymi, zmusił go do oddania się w ręce wymiaru sprawiedliwości, obiecując w zamian pieniężną rekompensatę i pomoc prawną. To bardziej prawdopodobne. Chłopak wszedł na posterunek i od progu bez zająknienia oświadczył:

– Myślałem, że to Hiszpanie. Dlatego strzeliłem.

Także 7 grudnia obudził mnie telefon w środku nocy. Dzwonił zaprzyjaźniony fotograf, by zawiadomić mnie o planowanej akcji policji. Miała to być akcja specjalna, zamówiona przez polityków lokalnych i tych państwowych, jako reakcja na faidę.

Co najmniej tysiąc policjantów i karabinierów otoczyło dzielnicę Terzo Mondo. To ogromny obszar, którego nazwa: Trzeci Świat, nadana mu przez miejscowych, mówi o nim wszystko. Podobnie zresztą jak napis na murze przy wjeździe na jego główną arterię: „Dzielnica Terzo Mondo. Wstęp wzbroniony”. Akcja sił porządkowych została silnie nagłośniona w mediach. Po jej zakończeniu na teren Scampii, Miano, Piscinoli, San Pietro a Paterno i Secondigliano wtargną dziennikarze i technicy telewizyjni. Kamorra wraca do świadomości publicznej po latach milczenia, kiedy zdawała się nie istnieć. Niespodziewanie. Ponieważ przez ten czas nie była obserwowana, teraz przy analizach przykłada się do niej starą miarę. Jakby badały ją mózgi odtajałe po dwudziestu latach hibernacji. Jakbyśmy ciągle jeszcze mieli do czynienia z kamorrą Raffaele Cutola, skoncentrowaną na podkładaniu bomb na autostradzie i zamachach na prokuratorów. Dzisiaj wszystko się zmieniło, wszystko oprócz postrzegania problemu kamorry przez większych i mniejszych znawców tematu. Między aresztowanymi znalazł się także Ciro Di Lauro, jeden z synów bossa. Mówi się o nim, że to księgowy klanu. Karabinierzy wyważają drzwi, przeszukują wszystkich, mierzą z broni palnej do małych chłopców. Udało mi się zobaczyć scenę, jak karabinier wrzeszczy do chłopca, trzymającego w ręku scyzoryk:

– Rzuć to na ziemię! Natychmiast! Rzuć to zaraz na ziemię!

Nóż wypada z rąk dziecka. Mężczyzna odrzuca go kopniakiem, scyzoryk uderza o ścianę i zamyka się. Jest z plastyku, z obrazkiem żółwi ninja. Policjanci i karabinierzy tymczasem przeczesują teren, robią zdjęcia, są wszędzie. Niszczą dziesiątki domowych twierdz. Wyburzają betonowe ściany, które wzniesiono w piwnicach, aby stworzyć schowki na narkotyki,

wyłamują kraty zamykające dostęp do miejsc, gdzie magazynowano większe partie towaru.

Na ulice wychodzą setki kobiet. Podpalają śmietniki i rzucają czym popadnie w karetki policyjne. Policja aresztuje ich synów, ich wnuki, ich sąsiadów. Ich pracodawców. Jednak w całym tym chaosie gniewnych okrzyków i tęgich ud obciśniętych tanimi dresami zauważyłem na twarzach tych kobiet coś więcej niż wyraz solidarności z przestępcami. Biznes narkotykowy daje im utrzymanie, ale nic ponadto, ogromna większość mieszkańców Secondigliano nigdy się na nim nie wzbogaci. Tylko biznesmeni z klanu wyciągają z niego pokaźne zyski, natomiast ci, którzy pracują przy rozprowadzaniu, magazynowaniu, ukrywaniu i przewożeniu narkotyków, dostają zwykłe pensje, ryzykując aresztowanie oraz długie lata więzienia. Twarze kobiet na ulicach Secondigliano zakrywały maski gniewu. Gniewu przesiąkniętego żółcią. Gniewu obudzonego koniecznością obrony własnego terytorium, a zarazem wymierzonego przeciw tym, którzy już dawno uznali to miejsce za nie do odzyskania, spisali je na straty i woleli o nim zapomnieć, jakby w ogóle nie istniało.

Zmasowany atak sił porządku publicznego, rozpoczęty dopiero po kilkudziesięciu zabójstwach i po odnalezieniu spalonego, okaleczonego ciała młodej dziewczyny, wygląda jak gigantyczna inscenizacja. Tutejsze kobiety czują, że ktoś ich tu wszystkich nabiera. Aresztowania i spychacze niczego nie zmienią, służą ludziom z zewnątrz, którzy akurat teraz potrzebują tych aresztowań i tych zburzonych murów do jakichś swoich celów. Jakby ktoś nagle zdecydował się po swojemu zinterpretować rzeczywistość, w jakiej żyją, i ni z tego, ni z owego powiadomił je, że ich świat rządzi się błędnymi zasadami. One zdają sobie z tego doskonale sprawę, nie potrzebują helikopterów ani wozów pancernych, żeby to sobie uświadomić, ale ten świat należy do nich, nauczyły się w nim jakoś funkcjonować, ta rzeczywistość dawała im możliwość przetrwania. Ten najazd tylko wszystko skomplikuje i na pewno niczego nie zmieni na lepsze. Dlatego właśnie kobiety broniły jak mogły izolacji tego swojego nieudanego świata i robiły wszystko, żeby wyrzucić poza jego granice tych, którzy nagle zorientowali się, że panuje w nim ciemność.

Dziennikarze i fotoreporterzy czekali gotowi w swoich samochodach. Ale filmować i fotografować zaczęli dopiero wtedy, gdy karabinierzy wykonali już swoją robotę, tak aby im nie przeszkadzać. Rezultatem akcji

było aresztowanie 53 osób, najmłodsza z nich urodziła się w 1985 roku. Wszyscy aresztowani wyrośli w Neapolu Odrodzenia. Odrodzenia, które wyznaczyło nową drogę, które zmieni życie ludzi. Kiedy zatrzymani wchodzą do karetek więziennych, kiedy wyciągają ręce do kajdanek, myślą już o tym, co należy zrobić dalej: zadzwonić do właściwych adwokatów, poczekać do 28 dnia miesiąca, kiedy do domu przyjdzie jak zawsze miesięczna pensja od klanu; tym razem pewnie uzupełnią ją paczki makaronu dla żony czy matki. Najbardziej niepokoją się ojcowie dorastających synów, którzy nie wiedzą, jakie zadania zostaną przydzielone chłopcom po ich aresztowaniu. Ale na to nie mają żadnego wpływu.

Po akcji policyjnej wojna nie zatrzymała się ani na chwilę. 18 grudnia Pasquale Galasso, imiennik jednego z najpotężniejszych bossów lat 90., zostaje zastrzelony za ladą baru. Następny jest Vincenzo Iorio, zabity 20 grudnia w pizzerii. W Wigilię seria z broni automatycznej przeszywa trzydziestoczteroletniego Giuseppe Pezzellę, który przedtem próbował schronić się przed killerami w barze. W Boże Narodzenie następuje zawieszenie broni. Przerwę wykorzystuje się na reorganizację, na ustalenie jakiejś strategii, jakiegoś porządku w tym najbardziej chaotycznym z konfliktów wewnątrz kamorry. 27 grudnia Emanuela Leone kula trafia w głowę. Miał 21 lat. 30 grudnia uderzają Hiszpanie, ginie dwudziestosześcioletni Antonio Scafuro, jego synek dostaje postrzał w nogę. To krewni *capozona* kontrolującego w Casavatore interesy rodziny Di Lauro.

Najtrudniej było zrozumieć, jak ludziom z klanu Di Lauro udało się pozostawać w tym konflikcie zawsze górą. Uderzali i znikali. Kryli się za tarczą z ludzi, dematerializowali między osiedlowymi blokami. Blok T, Vele, Parco Postale, Case Celesti, Case dei Puffi, Terzo Mondo są jak betonowa dżungla, gdzie jak w tropikalnym lesie można upodobnić się do podłoża, zniknąć skuteczniej niż gdziekolwiek indziej, zamienić się w widma. Di Lauro stracili prawie całe kierownictwo i wszystkich *capozona*, pomimo tego byli w stanie dalej prowadzić bezlitosną wojnę bez większych strat.

Było tak, jakby w ich państwie nastąpił zamach stanu, w związku z tym prezydent dla zachowania władzy i ochrony swoich interesów uzbroił

szkolnych uczniów, a listonoszy i urzędników włączył do aparatu rządowego i nigdy już nie odesłał z powrotem do ich zwykłych miejsc pracy.

Uga De Lucie, wiernego „żołnierza” rodziny Di Lauro, oskarżonego przez DDA z Neapolu o udział w zabójstwie Gelsominy Verde, podsłuchano dzięki pluskwie zamontowanej w jego samochodzie. Stenogram jego wypowiedzi został włączony do akt, na podstawie których w grudniu 2004 roku wydano nakaz aresztowania.

– Ja bez rozkazu się nie ruszam. Wiesz, jaki jestem.

Jak przystało na wiernego żołnierza, Ugo okazuje swemu dowódcy absolutne posłuszeństwo. Komentuje potem wykonaną przez siebie akcję:

– Jeżeli o mnie chodzi, zabiłbym go na miejscu, na pewno nie strzeliłbym mu tylko w nogę, rozgniótłbym go całego na miazgę, dobrze o tym wiesz... oprzyjmy się na mojej dzielnicy, tam może my pracować spokojnie...

Ugariello, jak nazywali go znajomi, wolał zabijać, nie ranić.

– Teraz zostaliśmy już tylko my... zatrzymamy się wszyscy w jednym miejscu... gdzieś blisko umieścimy pięciu ludzi... innych pięciu w innym domu... i jeszcze pięciu gdzieś blisko i wzywajcie nas tylko, kiedy trzeba komuś mózg rozwalić!

Dobrać się w pięcioosobowe grupy ogniowe, zaszyć się w bezpiecznym miejscu, najlepiej w czyimś mieszkaniu i wychodzić z kryjówki tylko po to, żeby zabijać. Nie robić nic innego. Takie grupy ogniowe nazywano „paranze”. Petrone, rozmówca Ugariella jest zaniepokojony:

– Dobra, załóżmy jednak, że któryś z tych cholernych typów wyniucha którąś paranzę ukrytą w jakimś domu... załóżmy, że nas zobaczą, pójdą za nami i nas rozpieprzą... przynajmniej dwóch trzeba załatwić przed śmiercią, rozumiesz?! Muszę najpierw rozwalić ze czterech albo pięciu!

Najłatwiej, zdaniem Petrona, zabić tych, którzy zdradzili, a nie spodziewają się, że ich zdrada została odkryta.

– Najprościej, jeśli to są nasi ludzie, można ich wsadzić do auta i wywieźć...

Di Lauro wygrywają, bo ich ataki są nieprzewidywalne, ale także dlatego, że zdają sobie sprawę z losu, jaki ich czeka, i nie przejmują się tym. Zanim

nadejdzie koniec, pragną zadać jak najdotkliwsze ciosy wrogom. Logika kamikadze, choć bez eksplozji bombowych. Jedyna, która mniejszości daje jakąś nadzieję wygranej. Uderzają natychmiast, zanim jeszcze zorganizują swoje paranze.

2 stycznia 2005 zabijają Crescenza Marino, ojca braci McKay. Z głową odchyloną do tyłu siedział w samochodzie, w którym zginął, niezwykłym jak na siedemdziesięcioletniego mężczyznę. Miał smarta, najdroższy model. Myślał może, że zmyli nim czujki. Zginął od jednej jedynej kuli, która trafiła w sam środek czoła. Po twarzy spływała mu wąska strużka krwi. Miał nadzieję, że nic mu się nie stanie, jeżeli wyjdzie z domu tylko na chwileczkę. Ale stało się. Tego samego dnia w barze w Casavatore Hiszpanie likwidują Salvatore Barrę. Jest to dzień wizyty w Neapolu prezydenta Republiki Carla Azeglia Ciampiego. Przyjechał, żeby wstrząsnąć miastem, przyjechał prosić, żeby zareagowało, przywiózł oficjalne słowa otuchy i zapewnienia o współpracy instytucji państwowych. Podczas jego przemówienia miały miejsce trzy strzelaniny.

15 stycznia strzelili prosto w twarz Carmeli Attrice, matce zbuntowanego kamorysty Francesca Barone, alias ’O Russo, którego wszyscy w zeznaniach określali jako zaufanego człowieka braci McKay. Kobieta już od dawna nie wychodziła z domu, więc na przynętę posłano młodego chłopca. Chłopiec zadzwonił na domofon. Kobieta znała go dobrze, nie podejrzewając więc niczego, zeszła na dół w piżamie i otworzyła drzwi. Ktoś wycelował w jej twarz z pistoletu i strzelił. Krew i płyn mózgowy wylały się z jej czaszki jak żółtko z rozbitego jajka.

Kiedy przybyłem na miejsce zabójstwa w Case Celesti, nikt jeszcze nie przykrył ciała prześcieradłem. Ludzie przechodzili po jej krwi, roznosili ją na butach, zostawiali ślady. Przełknąłem mocno ślinę, to wypróbowany sposób na uspokojenie żołądka. Carmela Attrice nie uciekła, choć ostrzeżono ją, że syn przyłączył się do Hiszpanów. Ale na tym właśnie polega specyfika wojny w łonie kamorry: na niepewności. Nic nie jest jasne ani jednoznaczne. Prawdę poznaje się dopiero po fakcie. Dlatego każda decyzja: uciekać, zostać, ukryć się, donieść na policję? – jest równie ryzykowna; do każdej rady można dołączyć radę równie dobrą, choć dokładnie odwrotną. I dopiero konkretna sytuacja mogłaby pomóc w podjęciu właściwej decyzji. Tyle że kiedy taka sytuacja się zdarzy, na

decyzję jest już za późno i nie pozostaje nic innego, jak ponieść konsekwencje decyzji podjętej przez innych.

Kiedy człowiek umiera na ulicy, koniec nadchodzi w strasznym harmidrze. Nieprawda, że umiera się w samotności. W ostatnich chwilach widzisz wokół siebie nieznane twarze, ludzi, którzy dotykają rąk i nóg, sprawdzając, czy jesteś już martwy, czy jeszcze żywy; czy warto wzywać pogotowie ratunkowe. Na twarzy ciężko rannych, na twarzy umierających maluje się zawsze ten sam strach i ten sam wstyd. To dziwne, ale wydaje się, że na chwilę przed śmiercią ludzie umierający na ulicy odczuwają właśnie wstyd. *Scuorno* – tak nazywają to w Neapolu. Jakby stało się przed ludźmi nago. Tak właśnie prawdopodobnie czuje się ktoś, kogo śmiertelna kula dosięgła na ulicy. Nigdy nie przyzwyczaiłem się do widoku zamordowanych ludzi. Pielęgniarze, policjanci wykonują spokojnie swoje czynności, gesty wyuczone na pamięć, obojętnie z kim mają do czynienia. „Mamy stwardniałe serca i żołądki wyklejone sztywną skórą” – powiedział mi kiedyś młodziutki kierowca wozu pogrzebowego. Kiedy przybywam na miejsce strzelaniny przed karetką, nie mogę oderwać oczu od rannego, chociaż wolałbym nigdy tego nie oglądać. Za każdym razem trudno mi uwierzyć, że ten człowiek za chwilę umrze. Miałem trzynaście lat, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem zabitego człowieka. Doskonale pamiętam ten dzień. Obudziłem się okropnie zawstydzony, bo piżama założona na gołe ciało nie maskowała mojej mimowolnej erekcji. Klasycznej erekcji porannej, której nie sposób ukryć. To zdarzenie utkwiło mi w pamięci, bo krótko potem, w drodze do szkoły natknąłem się na zabitego człowieka, który znajdował się w tym samym stanie, co ja po przebudzeniu. Było nas przy tym pięcioro, z plecakami wyładowanymi książkami. Na środku ulicy prowadzącej do szkoły stała alfetta podziurawiona jak sito. Moi koledzy podeszli bliżej, byli bardzo ciekawi. Nad siedzeniem, w powietrzu sterczały nogi. Najodważniejszy z nas podszedł do karabiniera i zapytał, dlaczego tam, gdzie powinna być głowa, są nogi. Karabinier odpowiedział bez wahania, jakby nie zauważył, że ma do czynienia z dziećmi:

– Rozpylacz przewrócił go do góry nogami.

Byłem jeszcze dzieckiem, ale wiedziałem, że „rozpylacz” to pistolet maszynowy. Zabity kamorysta dostał z niego tak dużo serii, że jego ciało przyjęło nieprawdopodobną pozycję. Głowa na dole i nogi u góry. Potem karabinierzy otworzyli drzwi i z samochodu wypadł trup sztywny jak sopel

lodu. Nikt nam nie zabronił przyglądać się tej scenie, nikt nie powiedział, że to nie dla dzieci, niczyja litościwa ręka nie zakryła nam oczu. Zabity miał erekcję. Było to wyraźnie widać przez ciasne dżinsy. Zrobiło to na mnie niesamowite wrażenie. Długo nie mogłem oderwać od niego wzroku, a potem przez wiele dni zastanawiałem się, jak to się mogło stać. O czym myślał, co robił na chwilę przed śmiercią. Spędzałem całe popołudnia na snuciu hipotez, co też zabity mężczyzna mógł sobie wyobrażać w momencie, gdy dosięgła go seria z karabinu maszynowego. Nie dawało mi to spokoju i w końcu zebrałem się na odwagę i zapytałem kogoś o wytłumaczenie. Dowiedziałem się, że to normalna reakcja u tych, którzy giną gwałtowną śmiercią. Tego ranka Linda, dziewczynka, która wraz z innymi dziećmi była świadkiem sceny w drodze do szkoły, na widok trupa wypadającego z samochodu wybuchnęła płaczem, zrobiła krok do tyłu i pociągnęła za sobą dwóch chłopców. Dławiła się płaczem. Stojący w pobliżu młody mężczyzna w cywilnym ubraniu złapał trupa za włosy i plunął mu w twarz. Odwrócił się potem do nas i powiedział:

– No, co robicie? Nie ma co płakać. Ten tutaj to szmata, nic się nie stało, wszystko jest w porządku. Nic się nie stało. Nie płaczcie...

Od tej chwili nigdy już nie potrafiłem dać wiary scenom, w których policjanci zbliżają się do miejsca zabójstwa na palcach, w rękawiczkach jednorazowych, ostrożnie, by nie zatrzeć śladów. Kiedy jestem przy śmiertelnie zranionych ludziach przed karetką pogotowia i obserwuję ludzi, którzy zdają sobie sprawę z nadchodzącej śmierci w ich ostatnich chwilach, przychodzi mi zawsze na myśl końcowa scena *Jądra ciemności*, w której pewna kobieta pyta Marlowe’a po jego powrocie do kraju o człowieka, którego kochała. Pyta o ostatnie słowa Kurtza przed śmiercią. Marlowe w odpowiedzi kłamie. Mówi, że Kurtz pytał o nią, choć w rzeczywistości nie usłyszał od niego żadnych łagodnych słów ani głębokich myśli. Kurtz powiedział tylko: „Zgroza! Zgroza!”. Zwykle ludzie sądzą, że ostatnie słowa umierającego człowieka powinny wyrażać jakieś cenne przesłanie, z tych najważniejszych. Że umierając, mówi się o tym, dla czego warto było żyć. Ale to nieprawda. Kiedy ktoś umiera nagłą śmiercią, nie mówi o niczym innym jak tylko o swoim strachu. Wszyscy, albo prawie wszyscy, wypowiadają to samo zdanie: „Nie chcę umierać”. Twarze, które w mojej świadomości nakładały się zawsze na twarz Kurtza, wyrażały cierpienie,

strach i niezgodę na tak straszną śmierć, na najgorszy koniec z możliwych. Na zgrozę umierania.

Widziałem dziesiątki ciał zabitych ludzi, wybrudzonych krwią wymieszaną z kurzem ulicy, wydzielających fetor wywołujący mdłości, oglądanych z niezdrową ciekawością lub z profesjonalną obojętnością, usuwanych jak niebezpieczne odpadki, o których przypadkowi ludzie mówili najgorsze rzeczy. I z wszystkich tych doświadczeń wysnułem jeden tylko wniosek, tak oczywisty, że brzmi jak wytarty banał: śmierć jest odrażająca.

W Secondigliano nastolatki, a nawet dzieci doskonale wiedzą, jak się umiera i jaki rodzaj śmierci jest najlepszy. Miałem już odejść z miejsca zabójstwa Carmeli Attrice, kiedy usłyszałem komentarze dwóch chłopców stojących obok mnie. Wypowiadali je bardzo poważnym tonem:

– Ja chciałbym umrzeć tak, jak ta pani. Dostać w głowę, bach, bach... i koniec.

– Ale nie w twarz. Strzelili jej w twarz, to już chyba najgorzej!

– Nieprawda. To tylko chwila i już cię nie ma. Obojętnie: z przodu czy z tyłu, najlepiej w głowę!

Wtrąciłem się do ich rozmowy, zadając chłopcom pytanie:

– Nie lepiej dostać w pierś? Strzał w serce i koniec...

Ale chłopiec znał lepiej ode mnie proces powstawania bólu i zaczął objaśniać ze szczegółami, jak prawdziwy ekspert, od jakich strzałów cierpi się najbardziej.

– Strzał w pierś jest bolesny, bardzo bolesny i umiera się dopiero po dziesięciu minutach. Płuca muszą się napełnić krwią, a miejsce strzału boli tak, jakby żywy ogień wypalił ci dziurę i wchodził dalej do środka. Bolą też strzały w ramiona i nogi, ale to jest taki ból, jakby ukąsił cię wąż. Jakby ukąsił i nie puszczał. A w głowę najlepiej. Nie zdążysz się zmoczyć i gówno też z ciebie nie wyjdzie. Nie będziesz przez pół godziny zwijać się z bólu na ziemi...

Widział już niejednego trupa. Wiedział, że przy strzale w głowę ofiara nie trzęsie się ze strachu, nie moczy się i nie śmierdzi, jak przy strzałach

w brzuch, kiedy wnętrzności wychodzą na zewnątrz. Zadawałem mu dalsze pytania: o rodzaje śmierci, o rodzaje zabójstw. Zadałem mu wszystkie możliwe pytania oprócz tego jedynego, jakie powinienem mu zadać, a które nie przyszło mi w tamtej chwili do głowy. Nie zapytałem, dlaczego w wieku czternastu lat myśli o tym, jak umrzeć. Chłopiec przedstawił mi się swoim pseudonimem, pochodzącym z japońskiego filmu rysunkowego *Pokemon.* Miał jasne włosy i był okrąglutki, to wystarczyło, by otrzymał przydomek „Pikachu". Wskazał palcem na dwóch młodych mężczyzn stojących w tłumie, który zebrał się wokół ciała zamordowanej kobiety. Zniżył głos:

– To tamci, widzisz? To oni zabili Pupettę...

Carmelę Attrice nazywano Pupettą. Patrzyłem na twarze chłopców, których wskazał Pikachu. Widać było, że drżą z emocji. Robili wszystko, by między głowami gapiów zobaczyć policjantów zasłaniających leżące ciało. Zastrzelili kobietę z odkrytymi twarzami, potem usiedli niedaleko na ławce, pod posągiem Ojca Pio. Jak tylko zebrało się trochę ludzi wokół zamordowanej kobiety, podeszli, żeby popatrzeć. Kilka dni później złapano całą grupę. Była liczna jak na taką akcję. Mieli przecież za zadanie zabić bezbronną kobietę w kapciach i piżamie. Ta akcja była chrztem bojowym chłopców, którzy dotąd zajmowali się dealerką i na tę okazję awansowali do roli killerów. Najmłodszy z nich miał szesnaście lat, najstarszy dwadzieścia osiem. Podejrzany o oddanie strzału – dwadzieścia dwa. W chwili aresztowania jeden z nich, widząc kamery telewizyjne i flesze aparatów fotograficznych, uśmiechnął się i mrugnął do dziennikarzy. Zaaresztowano także chłopca, który posłużył za przynętę, zadzwonił z domofonu i wywołał kobietę na ulicę. Miał szesnaście lat, tyle samo, co córka Carmeli Attrice, która na odgłos strzałów wybiegła na balkon i wybuchnęła płaczem, bo natychmiast zrozumiała, co się stało. Śledztwo potwierdziło, że mordercy wrócili na miejsce zabójstwa. Ciekawość zwyciężyła. Jakby patrzyli na film, w którym najpierw grali główne role, a potem z drugiego planu śledzili rozwój wypadków. Musi być coś z prawdy w stwierdzeniu, że ten, kto strzela, niedokładnie pamięta, jak to się wydarzyło – chłopcy wrócili, bo byli ciekawi efektów swojej akcji i chcieli zobaczyć, co zostało z ich ofiary. Zapytałem Pikachu, czy ta grupa była paranzą klanu Di Lauro albo może mieli zamiar ją utworzyć. Chłopak roześmiał się:

– Ale skąd! Jaka znowu paranza... może by i chcieli, ale to jeszcze smarkacze. Ja widziałem prawdziwą paranzę...

Nie wiedziałem, czy Pikachu tylko się przechwala, czy też może opowiada to, co usłyszał od ludzi w Scampii, ale jego relacja była tak dokładna, że wydawała się prawdopodobna. Imponowało mu, że zdołał wywołać na mojej twarzy zdumienie. Powiedział, że miał kiedyś psa, którego nazwał Careca, imieniem brazylijskiego piłkarza grającego w ataku drużyny z Neapolu, kiedy była mistrzem Włoch. Ten pies często wychodził na podest schodów. Pewnego dnia usłyszał chyba kogoś za drzwiami mieszkania naprzeciwko, które zwykle było puste, bo zaczął w nie drapać pazurami. Po kilku sekundach seria z karabinu maszynowego wystrzelona zza drzwi przeszyła psa. Pikachu ilustrował swoje słowa odgłosami:

– Ratatatata... Careca zdechł na miejscu... i nagle, bach!... otworzyły się drzwi.

Pikachu usiadł na ziemi, stopy oparł o mur i udawał, że w rękach trzyma kolbę karabinu, żeby mi pokazać, w jakiej pozycji zobaczył wartownika paranzy, który zastrzelił jego psa. Wartownik siedział za drzwiami, z poduszką pod plecami i nogami opartymi o framugę drzwi. Ta niewygodna pozycja miała przeszkodzić mu w mimowolnym zaśnięciu, a przede wszystkim strzelając z dołu, mógł być pewny, że trafi intruza za drzwiami i nie ryzykował, że sam zostanie trafiony. Pikachu powiedział, że kiedy zabili mu psa, dali jego rodzinie z tytułu odszkodowania trochę pieniędzy, a jego zaprosili do mieszkania naprzeciwko. Ukrywała się tam cała jedna paranza. Pamiętał dokładnie wszystko: puste pokoje, w których stały tylko łóżka, stół i telewizor.

Pikachu mówił szybko i żywo gestykulował rękami, żeby lepiej zilustrować pozycje i ruchy członków paranzy. Byli nerwowi i niespokojni, jeden z nich miał zawieszone „ananasy” na szyi. „Ananasy” to granaty ręczne, które ludzie z paranzy noszą zawsze przy sobie. Pikachu pamiętał, że przy jednym z okien stał kosz pełen „ananasów”. Kamoryści zawsze mieli słabość do granatów ręcznych i bomb przeciwczołgowych. Arsenały wszystkich klanów były ich pełne, te materiały pochodziły ze wschodniej Europy. Pikachu opowiadał, że w mieszkaniu naprzeciwko godzinami grał na playstation i wygrywał z wszystkimi członkami paranzy. Wygrywał zawsze, a oni obiecywali, że któregoś dnia zabiorą go z sobą na akcję, tam gdzie strzela się naprawdę.

Jedna z legend osiedla, z tych, które wciąż jeszcze krążą wśród ludzi, głosi, że Ugo De Lucia był zapalonym graczem w *Winning Eleven*, najpopularniejszą grę na playstation. Potrafił w ciągu czterech zaledwie dni zabić na zamówienie trzy osoby, a w przerwach wygrać na playstation mistrzostwa piłki nożnej.

Natomiast to, co opowiedział śledczym „skruszony" kamorysta Pietro Esposito o przydomku Kojak nie wygląda na legendę. Wszedł kiedyś do pokoju, w którym Ugo De Lucia z tapczanu przed telewizorem komentował wiadomości dziennika:

– Załatwiliśmy następne dwie sztuki! Tamci wykończyli tylko jedną, z Terzo Mondo.

Telewizja była najlepszym sposobem, żeby mieć zawsze najświeższe wiadomości z wojny, bez używania telefonu, co zawsze było ryzykowne. Z tego punktu widzenia szum medialny, jaki w związku z konfliktem wytworzył się wokół Scampii, przynosił korzyść strategii militarnej klanów. Na mnie jednak największe wrażenie zrobiło słowo: „sztuka". Sztuka to nowy termin używany w rozmowach o zabójstwach. Także Pikachu, kiedy opowiadał o zabitych w wojnie w Secondigliano, mówił o sztukach załatwionych przez klan Di Lauro i o sztukach zaliczonych przez secesjonistów. Wyrażenie „załatwić jedną sztukę" zostało zapożyczone z żargonu pracujących na akord; o śmierci człowieka mówi się tak samo, jak o wyprodukowaniu jakiegoś przedmiotu, nieważne jakiego. Jednej sztuki.

Spotykaliśmy się czasem z Pikachu. Opowiadał mi o chłopcach z klanu, stanowiących podstawową siłę rodziny Di Lauro. Zapytałem, gdzie się spotykają, na co on zaproponował, że mnie tam zaprowadzi. Wszyscy znali to miejsce. To była pizzeria, gdzie schodzili się wieczorami. Po drodze wstąpiliśmy po przyjaciela Pikachu, jednego z tych, którzy już od jakiegoś czasu byli w Systemie. Pikachu uwielbiał go, opisywał go jako bossa młodych chłopców z Systemu, ponieważ wypełniał on ważne zadanie: zaopatrywał ukrywających się kamorystów i – jeżeli wierzyć jego słowom – robił zakupy dla rodziny Di Lauro. Nazywano go Kit Kat, jak wafelki w czekoladzie, bo pochłaniał mnóstwo słodyczy. Kit Kat zgrywał przede mną młodego bossa, ale widział, że przyjmuję to z niedowierzaniem. W końcu stracił cierpliwość i wtedy podniósł do góry sweter. Miał klatkę

piersiową całą pokrytą okrągłymi siniakami. W centrum fioletowych plam widać było żółte i zielone gruzełki popękanych naczyń krwionośnych.

– Co ci się stało?

– To kamizelka...

– Jaka kamizelka?

– Kamizelka kuloodporna...

– Przecież kamizelka nie robi takich siniaków.

– Te śliwy są od strzałów...

Siniaki albo śliwy, jak je nazywał, zrobiły kule z broni palnej zatrzymane przez kamizelkę o centymetr od ciała. Młodym chłopcom zakładano kamizelki kuloodporne, po czym strzelano do nich, żeby oduczyć ich strachu przed bronią palną. Nawet jeżeli ubierzesz kogoś w kamizelkę, nie możesz mieć pewności, że nie ucieknie, gdy będą do niego strzelać. Kamizelka kuloodporna nie jest szczepionką przeciw strachowi. Wymyślono więc, że najlepszym sposobem, żeby uodpornić chłopców na strach, będzie oswojenie ich ze strzałami i pokazanie, że broń może być niegroźna. Chłopcy opowiadali mi, że wywożono ich na pola niedaleko Secondigliano. Kazano im założyć kamizelki pod bluzy, po czym strzelano do nich raz za razem, opróżniając pół magazynka na osobę. „Kiedy trafia w ciebie kula, przewracasz się na ziemię i nie możesz złapać oddechu, otwierasz szeroko usta, wciągasz powietrze, ale powietrze nie wchodzi. Nic nie możesz zrobić. Jakbyś dostał cios pięścią w klatkę piersiową. Zdaje ci się, że umierasz... ale za chwilę wstajesz, i to jest najważniejsze. Po strzale znowu stajesz na nogi”. Kit Kat wraz z innymi przeszedł trening, dzięki któremu oswoił się ze strzałami, a tym samym z umieraniem, albo raczej z prawie umieraniem.

Zostają zwerbowani, gdy tylko potrafią dochować wierności klanowi. Mają wtedy od 12 do 17 lat, ich ojcowie i bracia często należą do klanu, wielu chłopców pochodzi z rodzin bezrobotnych. Są nowymi „żołnierzami” klanów kamorry neapolitańskiej. Pochodzą ze Starówki, z dzielnic Sanità, Forcella, San Gaetano, Pallonetto i Quartieri Spagnoli, z Secondigliano. Rekrutację przeprowadzają oddelegowani do tego ludzie we wszystkich klanach. Jeśli wziąć pod uwagę liczebność tych dzieci-żołnierzy, są prawdziwą armią. Przynoszą klanom wielorakie korzyści: chłopcy dostają mniej niż połowę normalnej pensji, jaką wypłaca się dorosłym najniższej rangi, czasem tylko mają na utrzymaniu rodziców, nie obciąża ich rodzina,

są zawsze dyspozycyjni, nie skarżą się, jeżeli pensja nie przychodzi punktualnie, a przede wszystkim nie mają nic przeciwko spędzaniu całych dni na ulicy. Otrzymują różne zadania, o różnym stopniu odpowiedzialności. Zaczynają od rozprowadzania lekkich narkotyków, przede wszystkim haszyszu. Ustawiają się prawie zawsze na najruchliwszych ulicach. Z czasem zaczynają rozprowadzać i sprzedawać tabletki i dostają w prezencie skuter. W końcu przechodzą do kokainy, którą dostarczają bezpośrednio na uniwersytety, przed restauracje i hotele, na stacje metra. Grupy baby-dealerów mają duże znaczenie dla nowej, elastycznej polityki ekonomicznej klanu, są mniej widoczne, narkotyki sprzedają między meczem piłki nożnej a przejażdżką na skuterze, często dostarczają prochy prosto do domu klienta. Klan zwykle nie zmusza chłopców do pracy rano, mogą więc normalnie chodzić do szkoły, co jest wskazane, bo w przeciwnym razie zwracaliby na siebie uwagę władz. Często chłopcy po kilku miesiącach pracy dla mafii zaczynają chodzić po mieście uzbrojeni. Dla obrony, dla podniesienia własnej wartości w oczach innych. To znak, że awansowali, to obietnica szybkiej kariery w klanie. Dostają automatyczne i półautomatyczne pistolety, których uczą się używać na wysypiskach śmieci lub w podziemnych jaskiniach Neapolu.

Gdy zdobywają pełne zaufanie koordynatora strefy, czyli *capozona*, zaczynają wykonywać o wiele bardziej odpowiedzialne zadania niż zwykły dealer – dbają o interesy kamorry na powierzonym im obszarze. Może to być ulica albo jej fragment, gdzie sprawdzają na przykład, czy wozy dostawcze przywożące towar do supermarketów lub mniejszych sklepów spożywczych należą do sieci „rekomendowanej” przez klan, i powiadamiają kogo trzeba, jeśli któryś ze sklepów zaopatruje się u dostawcy nienależącego do grupy wybranych. Spełniają także ważną rolę przy kontroli placów budowy. Przedsiębiorstwa budowlane zwykle zlecają podwykonanie poszczególnych robót firmom podległym kamorze. Zdarza się jednak, że wybierają na podwykonawców firmy z zewnątrz. Aby do tego nie dopuścić, wszelkie budowy są pod stałą kontrolą, a zadanie to powierza się właśnie młodym chłopcom, którzy obserwują i donoszą o wszystkim swoim *capozona.* Od nich otrzymują instrukcje, jak potraktować niesubordynowanych. Ci młodzi chłopcy pracujący dla mafii zachowują się i działają jak dorośli kamoryści. Karierę zaczynają bardzo wcześnie i często przeskakują jej poszczególne szczeble. Błyskawiczny awans najmłodszych

wewnątrz struktury kamorry radykalnie zmienia jej oblicze. Nastoletni *capozona*, młodzi bossowie, są bezwzględnymi i nieprzewidywalnymi przeciwnikami służb porządkowych i antymafijnych, które z trudem orientują się w nowych mechanizmach działania kamorry. Pojawiają się coraz młodsze, nieznane twarze. W związku z restrukturyzagą klanu wprowadzoną przez Cosima Di Lauro, rozległe sektory obrotu narkotykami są często zarządzane przez piętnastolatków, którzy bez najmniejszego skrępowania wydają polecenia mężczyznom czterdziesto- i pięćdziesięcioletnim. Pluskwy zamontowane przez karabinierów w samochodzie nastoletniego Antonia Galeoty Lanzy nagrały jego uwagi o życiu dealera wygłoszone przy akompaniamencie głośnej muzyki z radia:

– W każdy niedzielny wieczór zarabiam 800 albo 900 euro, tyle tylko, że jako dealer masz do czynienia z kokainą i crackiem i ryzykujesz pięćset lat więzienia...

Coraz częściej, gdy chłopcy z Systemu mają na coś ochotę, używają „żelaza”, jak nazywają pistolet. Pragnienie posiadania telefonu komórkowego, odtwarzacza, samochodu lub skutera często kończy się zabójstwem. W Neapolu rządzonym przez dzieci-żołnierzy nierzadko można usłyszeć przy sklepowej kasie: „Jestem w Systemie Secondigliano” albo: „Należę do Systemu Quartieri Spagnoli”. To magiczne słowa, dzięki którym chłopcy zabierają to, na co mają ochotę, bez obawy, że któryś z kasjerów zażąda od nich uregulowania rachunku.

W Secondigliano cały ten młody narybek został zmilitaryzowany. Z chłopców zrobiono prawdziwych żołnierzy. Pikachu i Kit Kat zaprowadzili mnie do pizzerii Nella, którego zadaniem jest karmić po służbie chłopców należących do Systemu. Zaraz po naszym przybyciu do pizzerii weszła grupa chłopców. Zostawili skutery na chodniku i weszli bez słowa przywitania. Pod swetrami nosili kamizelki kuloodporne. Wyglądali zabawnie i niezdarnie, jakby byli nadmuchani; z ruchów i sylwetek przypominali graczy w futbol amerykański. Chłopięce twarze, niektóre z rzadkim zarostem na policzkach. Mieli od 13 do 16 lat. Pikachu i Kit Kat posadzili mnie przy nich, nikt nie zaprotestował. Chłopcy jedli, ale przede wszystkim pili. Wodę, coca-colę, fantę. Mieli niesamowite pragnienie. Nawet pizzą chcieli zaspokoić pragnienie, poprosili o butelkę oliwy i polewali pizzę oliwą, bo była dla nich za sucha. W ich ustach wszystko wyschło, poczynając od śliny, kończąc na słowach. Zrozumiałem, że

wrócili z nocnej służby, podczas której brali prochy. Dali im MDMA. Żeby nie zasnęli, żeby nie zatrzymywali się na posiłek. W końcu MDMA wynaleziono w laboratoriach Mercka w Niemczech dla żołnierzy w okopach pierwszej wojny światowej, których nazywano *Menschen-material* – materiał ludzki. Dzięki tej substancji mieli nie odczuwać głodu, zimna ani strachu. Później używali go Amerykanie przy akcjach szpiegowskich. Teraz także ci mali żołnierze dostawali swoją porcję sztucznej odwagi i nienaturalnej odporności. Jedząc, nie mogli się powstrzymać od wysysania każdego kawałka pizzy. Wydawali przy tym odgłosy jak bezzębni staruszkowie siorbiący zupę z łyżki. Powoli zaczęli się odzywać między sobą, zamawiali kolejne butelki wody. Zrobiłem wtedy coś, za co mogłem drogo zapłacić, ale intuicyjnie czułem, że ujdzie mi to na sucho, bo w końcu miałem przed sobą dzieci. Ubrane w kamizelki wywatowane ołowiem, ale zawsze tylko dzieci. Położyłem na środku stołu dyktafon i zaproponowałem, starając się spojrzeć każdemu z nich w twarz:

– Powiedzcie coś do mikrofonu, mówcie wszystko, co wam przyjdzie do głowy!

Mój gest nikogo nie zdziwił, nikt nie pomyślał, że może mają przed sobą glinę albo dziennikarza. Kilku rzuciło jakieś przekleństwa w kierunku dyktafonu. Potem jeden z chłopców, nazywany przez kolegów Satore, zachęcony moimi pytaniami, opowiedział swoją historię. I widać było, że nie mógł się doczekać, żeby to zrobić.

– Najpierw pracowałem w barze, dostawałem 200 euro na miesiąc, z napiwkami dociągałem do 250, ale ta praca mi się nie podobała. Chciałem pracować z moim bratem w warsztacie samochodowym, ale nie przyjęli mnie. W Systemie dostaję 300 euro na tydzień, ale jeżeli mi dobrze idzie, dostaję procenty od każdego sprzedanego klocka haszyszu i dobijam do 350–400 euro. Jasne, że muszę nieźle zasuwać, ale za to zawsze dostanę coś ekstra.

Po serii beknięć wyprodukowanych przez dwóch chłopców, którym bardzo zależało na tym, żeby zostały nagrane na mój dyktafon, Satore dalej opowiadał o sobie:

– Na początku pracowałem zawsze na ulicy i wkurzało mnie, że nie miałem skutera, musiałem wszędzie chodzić pieszo albo jeździć autobusami. Ale sama praca zawsze mi się podobała, wszyscy mnie szanują i mogę robić, co mi się podoba. Tylko że teraz dali mi żelastwo i muszę być

zawsze w tej samej okolicy: Terzo Mondo i Case del Puffi. Nie mogę się stąd ruszyć, ciągle w tym samym miejscu. To mi się za bardzo nie podoba.

Satore uśmiechnął się do mnie, a potem, śmiejąc się głośno, wykrzyczał do mikrofonu:

– Wypuśćcie mnie stąd!... Powiedzcie to szefowi!

Uzbroili ich, dali im pistolety i przydzielili małe odcinki, na których mieli wykonywać swoją pracę. Teraz zaczął mówić Kit Kat, dotykając prawie ustami mikrofonu, tak że nagrał się nawet jego oddech.

– Ja chciałbym otworzyć własną firmę, remont mieszkań albo jakiś sklep. System musi dać mi pieniądze na początek, a potem już sam sobie poradzę. Sam sobie też znajdę żonę, na pewno nie tutaj, ożenię się z jakąś modelką, może być czarna. Albo z jakąś Niemką.

Pikachu wyjął z kieszeni talię kart. Czterech chłopców zajęło się grą, inni, przeciągając się, wstali od stołu, ale żaden z nich nie zdjął kamizelki kuloodpornej. Chciałem dowiedzieć się jeszcze od Pikachu czegoś na temat paranzy, ale widać było, że moje pytania zaczynają go irytować. Powiedział tylko, że był niedawno w mieszkaniu, które poprzednio służyło im za kryjówkę, ale teraz stało puste, było zdemolowane, znalazł w nim tylko odtwarzacz mp3 należący do dawnych lokatorów. Mp3 z muzyką, której słuchali ludzie z paranzy, kiedy wychodzili z kryjówki, żeby zabijać, wisiał teraz na szyi Pikachu. Poprosiłem, żeby pożyczył mi go na parę dni. Uśmiechnął się, jakby chciał pokazać, że nie żywi urazy za to potraktowanie go jak naiwnego idiotę, który pożyczą swoje rzeczy. Kupiłem go więc, dałem 50 euro i dostałem odtwarzacz. Od razu założyłem słuchawki, chciałem się dowiedzieć, jak brzmi tło muzyczne morderstwa. Spodziewałem się, że usłyszę heavy metal, ostry rock czy rap, a tymczasem na mp3 były nagrane same melodyjne, romantyczne piosenki i muzyka pop. W Ameryce mordercy strzelają nabuzowani rapem, killerzy z Secondigliano zabijają, słuchając piosenek o miłości.

Pikachu tasował karty. Zapytał, czy zagram z nimi, ale do kart nigdy nie miałem zdolności. Wstałem więc od stołu. Kelnerzy w pizzerii byli w tym samym wieku, co chłopcy z Systemu, patrzyli na nich z podziwem, nie mieli nawet odwagi ich obsługiwać. Robił to za nich właściciel lokalu. Tutaj praca kelnera, posłańca lub murarza przynosi hańbę. Powodów jest wiele: pracuje się na czarno, nie ma urlopów ani zwolnień lekarskich, dniówka trwa średnio dziesięć godzin i brak nadziei na poprawę warunków

życia. System daje przynajmniej iluzję, że wysiłek zostanie doceniony, że możliwe jest zrobienie kariery. Kogoś, kto pracuje dla mafii, nikt nie potraktuje jak chłopca na posyłki, żadna dziewczyna nie weźmie go za życiowego ofermę. Dla tych nadmuchanych chłopców, młodych żołnierzy mafii, śmiesznych karykatur amerykańskich futbolistów wzorem jest nie Al Capone, ale Flavio Briatore; nie rewolwerowiec, ale człowiek interesu otoczony pięknymi modelkami.

19 stycznia zostaje zabity czterdziestopięcioletni Pasquale Paladini. Ośmioma strzałami w głowę i w klatkę piersiową. Po kilku godzinach postrzał w nogi dostaje dziewiętnastolatek Antonio Auletta. Ale 21 stycznia następuje przełom. Wiadomość rozchodzi się błyskawicznie, nie trzeba agencji prasowych. Cosimo di Lauro został aresztowany. Boss kamorry, lider faidy, według ustaleń neapolitańskiej Prokuratury Antymafii; naczelny wódz klanu, według zeznań „skruszonych” członków kamorry. Cosimo ukrywał się w dziurze o powierzchni czterdziestu metrów kwadratowych, spał na starym, zapadającym się łóżku. Spadkobierca organizacji kryminalnej osiągającej z samego tylko handlu narkotykami zyski rzędu 500 tysięcy euro dziennie, właściciel willi o wartości 5 milionów euro wybudowanej w centrum jednej z najnędzniejszych dzielnic we Włoszech, był zmuszony zaszyć się w śmierdzącej norze o dwa kroki od swojej wspaniałej rezydencji.

Jego dom wyrósł z niczego przy via Cupa dell’Arco, niedaleko domu rodziny Di Lauro. Osiemnastowieczny folwark, odrestaurowany i przebudowany niczym pompejańska willa. Impluvium, kolumny, sztukaterie, podwieszone sufity i monumentalne schody. Prawdziwy pałac, o którego istnieniu nikt oficjalnie nie wiedział. Nikt nie znał nazwisk prawnych właścicieli, karabinierzy prowadzili swoje dochodzenia, ale okoliczni mieszkańcy nie mieli wątpliwości. Należał do Cosima. Karabinierzy odkryli go właściwie przez przypadek. Kiedy pokonali otaczające go grube mury, w środku zastali robotników, którzy na widok mundurów natychmiast zniknęli. Wojna przeszkodziła w pracach wykończeniowych, nie pozwoliła, by wyposażono go w meble i udekorowano obrazami, żeby stał się pałacem godnym narkotykowego

króla, brylantem błyszczącym pełnym blaskiem wśród nędzy Secondigliano.

Kiedy Cosimo słyszy stuk obcasów i szczęk broni karabinierów, którzy idą go aresztować, nie próbuje uciekać, nawet nie sięga po pistolet. Zamiast tego staje przed lustrem. Moczy grzebień, sczesuje włosy z czoła i wiąże je na karku, odrzucając gęste loki na plecy. Ma na sobie ciemny sweter z golfem i czarny prochowiec. Cosimo Di Lauro chce wyglądać jak ikona przestępcy, wojownik ciemności. Schodzi po schodach wyprostowany, z wypiętą piersią. Jest kaleką, kilka lat wcześniej spadł z motocykla i od tego czasu kuleje. Ale zstępując po schodach, pomyślał także o tym. Opiera się na ramionach eskortujących go karabinierów i w ten sposób ukrywa swoje kalectwo, idzie normalnym krokiem. Wizerunek nowych przywódców neapolitańskich organizacji przestępczych nie ma nic wspólnego z tradycyjnym wyobrażeniem kamorysty. Nie mają wytrzeszczonych oczu szaleńca jak Cutolo, nie pozują na Luciana Liggio, nie są karykaturami Lucky'ego Luciano czy Ala Capone. *Matrix*, *The Crow, Pulp Fiction* najlepiej ilustrują, kim są i czego chcą. To powszechnie znane obrazy, które pozwalają obejść się bez dodatkowych objaśnień. Jest to widowisko na wyższym poziomie niż przedstawienia z aktorami posługującymi się enigmatycznym kodem porozumiewawczych mrugnięć czy symboliką z mitologii zbrodni zakazanych dzielnic. Cosimo patrzy prosto w obiektywy kamer telewizyjnych i aparatów fotograficznych, cofa brodę, podnosi czoło. Nie pozwolił, żeby znaleziono go w znoszonych dżinsach i koszuli poplamionej sosem pomidorowym jak Brusca, nie okazał strachu jak Totò Riina, którego od razu wsadzono do helikoptera, nie dał się zaskoczyć rozespany jak Misso, boss neapolitańskiej dzielnicy Sanità. Wyrósł w kulturze show-biznesu i wie, jak zachować się na scenie. Kreuje się na wojownika, który zrobił sobie krótką przerwę na odpoczynek. Chce, żeby wszyscy pomyśleli, że płaci za swoją nadmierną odwagę, za zapał, z jakim prowadził wojnę. To właśnie pokazuje jego twarz. Nie wygląda na aresztanta, sprawia raczej wrażenie, jakby przemieszczał się do nowego ośrodka dowodzenia. Rozpoczynając wojnę, wiedział, że ryzykuje aresztowanie. Ale nie miał wyboru. Albo wojna, albo śmierć. I chce, żeby to aresztowanie zostało uznane za jego zwycięstwo, za oznakę odwagi, dzięki której jest w stanie lekceważyć niebezpieczeństwo, zrezygnować z siebie dla dobra rodzinnej organizacji.

Zgromadzeni mieszkańcy dzielnicy na sam jego widok czują ogień w żołądku. Zaczynają rewoltę: wywracają samochody, rzucają butelkami z benzyną. Grupowy atak histerii nie ma zatrzymać aresztowania, jak mogłoby się wydawać, jedynie zapobiec vendetcie. Uchronić okolicznych mieszkańców od podejrzeń. Dać znać Cosimowi, że nikt go nie zdradził. Nikt z nich nie doniósł. To nie oni pomogli wpaść na trop jego kryjówki, nie oni przyczynili się do odczytania hieroglifu jego ukrycia. Wszczynają rewoltę, aby przebłagać jego gniew; ze spalonych policyjnych radiowozów, śmietników ułożonych w barykady, dymu płonących opon budują metafizyczny stos ofiarny. Jeżeli Cosimo będzie miał choć cień podejrzeń, nie zdążą nawet spakować walizek, bezlitosna gilotyna kamorry spadnie na nich nieuchronnie.

Krótko po aresztowaniu młodego bossa klanu arogancka twarz patrząca z podniesionym czołem w obiektywy kamer widnieje na ekranach telefonów komórkowych uczniów w Torre Annunziata, Quarto, Marano. Dziecinna prowokacja, zwykła głupota nastolatków. Oczywiście. Ale Cosimo to przewidział i zachował się jak należy, żeby postrzegano w nim bossa, żeby zawładnąć sercami ludzi. Trzeba umieć wykorzystać ekrany telewizorów i farbę drukarską gazet, trzeba umieć wiązać włosy we właściwy sposób. Cosimo jest modelem nowego przedsiębiorcy Systemu. Wzorem nowej burżuazji pozbawionej wszelkich zahamowań, pragnącej za wszelką cenę dominować nad wszystkimi sektorami rynku, kontrolować każde przedsięwzięcie. Niczego się nie wyrzekać. Dokonanie wyboru nie oznacza ograniczenia pola działania, zamknięcia innych możliwości. Nie dla kogoś, kto uważa, że w życiu można zdobyć wszystko, jeżeli jest się gotowym wszystko stracić. Dokonanie wyboru bywa równoznaczne z podjęciem ryzyka więzienia i śmierci. Ale nie pociąga za sobą konieczności rezygnacji z czegokolwiek. Pragnąć wszystkiego, od razu i osiągać to. Na tym polega urok Cosima Di Lauro i siła, której jest symbolem.

Wszyscy, łącznie z tymi, którzy szczególnie dbają o własne bezpieczeństwo, kończą w ciasnej klatce emerytury, wcześniej czy później dowiadują się, że żona przyprawiła im rogi i spędzają swoje ostatnie dni w towarzystwie płatnej opiekunki z Polski. Dlaczego poddawać się depresji, po co szukać pracy, która pozwoli ci najwyżej na nędzną wegetację, po co na pół etatu w telemarketingu wydzwaniać godzinami do

obcych ludzi. Lepiej zostać przedsiębiorcą. Ale prawdziwym. Zdolnym robić interesy na wszystkim, a także na niczym. Ernst Jünger powiedziałby, że w wysokie drzewa uderzają pioruny. To samo powtórzyliby za nim bossowie, biznesmeni kamorry. Znajdować się w centrum działania, w centrum władzy. Używać wszystkich jako środka, a siebie uznać za cel. Kto uważa, że to niemoralne, kto sądzi, że ludzkość musi się kierować zasadami etyki, że działalność gospodarcza ma swoje ograniczenia i poddana jest pewnym regułom, widocznie sam nie potrafił się zrealizować, należy do tych, których zwyciężył rynek. Etyka jest limitem, który wyznaczyli sobie ludzie przegrani, obroną pokonanego, moralnym usprawiedliwieniem dla tych, którym nie udało się wygrać wszystkiego, stawiając na wszystko. Prawo ma swój kodeks, w odróżnieniu od sprawiedliwości, która jest pojęciem zupełnie odrębnym. Sprawiedliwość jest abstrakcją, dotyczy wszystkich, w jej imieniu można, w zależności od interpretacji, uniewinnić lub skazać każdego człowieka: winni mogą być ministrowie i papieże, święci i heretycy, rewolucjoniści i reakcjoniści. Winni mogą być ci, którzy zdradzili, zabili albo tylko zbłądzili. Winni, bo się zestarzeli i umarli. Winni, bo zostali pokonani i zwyciężeni. Można zostać skazanym przez sąd kierujący się tradycyjną moralnością i uniewinnionym przez trybunał konieczności. Wyrażenia „sprawiedliwość” i „niesprawiedliwość” nabierają znaczenia dopiero w konkretnej sytuacji. Wygrana albo przegrana. Krzywda zadana lub poniesiona. Jeżeli ktoś cię obraża lub źle traktuje, jest winien, jeżeli natomiast wyświadcza ci jakąś przysługę, należy do sprawiedliwych. Analizując mechanizmy działania kamorry, należy kierować się takimi właśnie kryteriami. Osądza się w ten właśnie sposób. To wystarczy. Musi wystarczyć. To jedyny realny wymiar sprawiedliwości. Każdy inny ogranicza się do religii i konfesjonału. Jest to logika kształtowana przez imperatyw ekonomiczny. Kamoryści nie gonią za interesami, to interesy same pchają się w ich ręce. Logika kryminalnej przedsiębiorczości, sposób myślenia bossów zbieżny z ekstremalnym neoliberalizmem. Zasady postępowania dyktowane są przez interes gospodarczy, zysk, wymóg zwycięstwa nad konkurencją. Nic innego się nie liczy. Reszta nie istnieje. Móc decydować o życiu i śmierci innych ludzi, wypromować jakiś produkt, zmonopolizować jakąś część rynku, inwestować w awangardowych sektorach gospodarki – za taką władzę można zapłacić więzieniem lub życiem. Mieć tę władzę przez dziesięć lat,

przez rok, przez godzinę. To nie najważniejsze; ważne, żeby żyć naprawdę, żeby naprawdę rządzić – tylko to się liczy. Zwyciężyć na arenie gospodarczej i być w stanie patrzeć prosto w słońce, jak to robił Raffaele Giuliano, boss Forcelli, który w więzieniu udowadniał wszystkim w ten sposób, że nie opuści spojrzenia nawet przed najsilniejszym światłem. To ten sam Raffaele Giuliano, który posypał ostrą papryką nóż, zanim wbił go w ciało krewnego jednego ze swoich wrogów, by zadać dodatkowy palący żywym ogniem ból ostrzem zagłębiającym się w ciało powoli, centymetr po centymetrze. Współwięźniowie obawiali się go nie z powodu osławionego okrucieństwa, ale z powodu siły jego woli, która była tak potężna, że mógł wyzwać nawet słońce. Mieć świadomość, że twoim przeznaczeniem jest rychła śmierć lub dożywocie i jednocześnie, dzięki sile swojej woli, panować nad obrotem nieograniczonych wręcz kapitałów. Bossa można zabić lub wsadzić do więzienia, ale utworzony przez niego system gospodarczy pozostanie, na jego miejsce przyjdą inni i będą go ulepszać, transformować i ciągnąć z niego zyski. Odbicie świadomości samuraja liberalizmu, który wie, że cena za władzę absolutną jest bardzo wysoka, znalazłem w liście chłopca zamkniętego w poprawczaku, przeczytanym na pewnej konferencji przez księdza, do którego był zaadresowany. Pamiętam go dokładnie. Znam go na pamięć:

„Wszyscy, których znałem, albo już nie żyją, albo siedzą w więzieniu. Ja chcę zostać bossem. Chcę mieć supermarkety, sklepy, fabryki, chcę mieć kobiety. Chcę mieć trzy samochody, chcę też, żeby wszyscy czuli respekt, kiedy wchodzę do sklepu, chcę mieć magazyny na całym świecie. A potem chcę umrzeć. Ale umrzeć jak prawdziwy mężczyzna, taki, który naprawdę rządzi. Chcę, żeby mnie zastrzelili”.

Tak wpływa na współczesny świat filozofia przedsiębiorców z przestępczych organizacji. Na której zresztą zasadza się nowa władza gospodarcza. Zawładnąć rynkiem za wszelką cenę, mieć władzę. Wygrana finansowa cenniejsza od życia. Od czyjegokolwiek życia, nawet od własnego.

Słyszałem, że chłopców z Systemu nazywano „gadającymi trupami”. W podsłuchanej rozmowie telefonicznej, której stenogram dołączono do materiału dowodowego, jaki posłużył Prokuraturze Antymafii do wydania w lutym 2006 roku nakazu zatrzymania, młody mężczyzna tłumaczy swemu rozmówcy, kim są nowi *capozona* w Secondigliano:

– To młodzi chłopcy, ale to już chodzące trupy, prawdziwe trupy, choć jeszcze żyją. Oni nie mają żadnych problemów, łapią za broń i zabijają, ale sami już długo nie pożyją...

Chłopcy – *capozona*, kamikadze klanu, którzy decydują się na ryzyko śmierci nie z powodów religijnych, ale dla pieniędzy i władzy. Za wszelką cenę, jako jedyny sposób na życie, na życie, które jest coś warte.

W nocy 21 stycznia, tej samej, której aresztowano Cosima Di Lauro, znaleziono ciało Giulia Ruggiero. Spalony samochód i trup za kierownicą. Ciało bez głowy. Głowa leżała na tylnym siedzeniu. Odcięli mu ją. Nie jednym uderzeniem siekiery, ale flexem, czyli piłą tarczową do metalu, której ślusarze używają do szlifowania spawów. Narzędzie najbardziej okrutne, ale właśnie dlatego oczywiste i jak najodpowiedniejsze. Najpierw tnie się ciało, potem kości karku. Prawdopodobnie zabójcy zrobili to na miejscu, bo na ziemi leżały kawałki mięsa, wyglądały jak flaczki. Nie rozpoczęto nawet dochodzenia, ale nikt w okolicy nie miał wątpliwości, że była to tylko wiadomość. Symboliczna. Cosimo Di Lauro nie mógłby zostać zatrzymany bez czyjegoś donosu. Okaleczone ciało Giulia Ruggiera było, jak wyobrażali to sobie wszyscy, ciałem zdrajcy. Przecież tylko zdrajca mógł zostać zamordowany w taki sposób. Werdykt zapadł, zanim jeszcze rozpoczęło się śledztwo. Nieważne, czy był słuszny, czy zasugerowany. Patrzyłem, nie schodząc ze skutera, na ten samochód, pozostawiony przy via Hugo Pratt, w którym na siedzeniu leżała obcięta głowa. Do moich uszu docierały słowa o tym, w jaki sposób zabójcy spalili samochód i odciętą głowę, jak wlali benzynę do ust, włożyli lont między zęby i, podłożywszy ogień, czekali, aż twarz eksploduje. Uruchomiłem moją vespę i odjechałem.

24 stycznia 2005 roku, kiedy przyjechałem na miejsce, leżał na kafelkach podłogi. Nie żył. Karabinierzy chodzili nerwowo tam i z powrotem przed sklepem, gdzie miała miejsce strzelanina. Jeszcze jedna. „Każdego dnia jeden trup, to mogłyby być słowa nowej neapolitańskiej piosenki” – powiedział chłopak, który przystanął przed sklepem. Zdjął czapkę przed zmarłym, chociaż z tego miejsca nie mógł go widzieć, a potem poszedł

dalej swoją drogą. Killerzy weszli do sklepu z odbezpieczonymi pistoletami w rękach. Było jasne, że nie przyszli z zamiarem obrabowania sklepu. Mieli zabić, ukarać. Attilio próbował schronić się za ladą. Wiedział, że to go nie uratuje, ale może chciał w ten sposób dać znać mordercom, że jest nieuzbrojony, że nie ma z tym wszystkim nic wspólnego, że nic złego nie zrobił. Zrozumiał pewnie, że ci dwaj są żołnierzami kamorry, żołnierzami w wojnie rozpętanej przez Di Lauro. Strzelili do niego, opróżnili magazynki pistoletów i po wykonaniu zadania wyszli ze sklepu, ktoś powiedział, że wyszli spokojnie, jakby przed chwilą kupili telefon komórkowy, a nie zmasakrowali człowieka. Attilio Romanó leży na podłodze. Wszędzie pełno krwi. Miało się wrażenie, jakby jego dusza wyciekła przez dziury, które kule wycięły w jego ciele. Kiedy widzisz tyle krwi, odruchowo dotykasz się, żeby sprawdzić, czy nie jest twoja, ogarnia cię psychotyczny lęk, że zraniłeś się, nie zauważywszy tego nawet, sprawdzasz, czy na twoim ciele nie ma krwawiących ran. W każdym razie nie potrafisz uwierzyć, że w jednym tylko człowieku jest tyle krwi; jesteś pewny, że w tobie jest jej na pewno mniej. Nawet kiedy już upewnisz się, że na podłodze nie ma twojej krwi, niewiele ci to pomaga; czujesz się pusty w środku, jakbyś naprawdę miał krwotok: nogi uginają się pod tobą, w ustach wysycha ślina, dłonie wydają się rozpuszczać w tej gęstej cieczy, pragniesz, żeby ktoś spojrzał na twoje oczy i sprawdził, czy nie dostałeś anemii. Chciałbyś poprosić jakąś pielęgniarkę o transfuzję, zjadłbyś chętnie krwistego befsztyka, gdybyś tylko nie czuł takich dziwnych sensacji w żołądku i nie obawiał się, że zaraz zwymiotujesz. Musisz zamknąć oczy i zatrzymać oddech. Zapach skrzepłej krwi, którym nasiąknął już nawet tynk w pomieszczeniu, przypomina zapach zardzewiałego żelaza. Musisz stąd natychmiast wyjść, musisz wyjść na powietrze, zanim krew posypią trocinami, bo ta mieszanka wydziela zapach tak wstrętny, że na pewno nie potrafiłbyś powstrzymać odruchu wymiotnego.

Sam nie wiem, dlaczego znowu zdecydowałem się pojechać na miejsce zabójstwa. Na pewno nie po to, żeby zarejestrować to, co już się stało, zrekonstruować tragedię, która się tutaj rozegrała. Nie ma sensu wpatrywać się w kółka narysowane kredą wokół łusek naboi, w kółka, które wyglądają jak dziecięca gra. Trzeba sprawdzić, czy coś pozostało. I ja chyba właśnie po to tutaj przyjechałem. Szukam śladów człowieczeństwa, sprawdzam, czy

znajdę ślad, który naprowadzi mnie na jakieś rozwiązanie, nada sens temu, co się tutaj dzieje.

Ciało Attilia leżało jeszcze na podłodze, kiedy pojawiła się jego rodzina. Dwie kobiety, może matka i żona, nie wiem. Po drodze podtrzymywały się nawzajem, szły, obejmując się ramionami, jedyne, które miały jeszcze nadzieję, że to, co do nich dotarło, to, o czym doskonale wiedzą, że jest prawdą, prawdą jednak nie jest. Są z sobą zespolone, wzajemnie się podpierają na chwilę przedtem, zanim staną twarzą w twarz z tragedią. To właśnie w tych momentach, gdy żony i matki śpieszą do ciała podziurawionego kulami, przekonujesz się, że człowiek naprawdę bezsensownie i głupio wierzy, iż wystarczy czegoś bardzo pragnąć, żeby się ziściło. Bo one ciągle jeszcze nie tracą nadziei. Wierzą, że to jakaś pomyłka, czyjeś kłamstwo, głupi żart, nieporozumienie, którego ofiarą padł karabinier zawiadamiający o zabójstwie. Jak gdyby ich uparta wiara mogła zmienić bieg wypadków. W takich chwilach natężenie nadziei osiąga niewyobrażalnie wysoki poziom. Ale to nic nie pomoże. Płacz i krzyki od razu ujawnią siłę ciążenia rzeczywistości. Attilio leży na podłodze. Pracował jako sprzedawca w sklepie z telefonami, dorabiał sobie w telemarketingu. Nie zdecydowali się jeszcze z żoną Natalią na dzieci. Na razie nie mieli dość czasu albo pieniędzy, a może pragnęli je wychowywać gdzie indziej. I tak mijał dzień za dniem na pracy, a kiedy Attilio uzbierał trochę pieniędzy i pojawiła się taka możliwość, na spółkę z jeszcze jedną osobą otworzył ten sklep, w którym znalazł swoją śmierć. Wspólnik Attilia był dalekim krewnym bossa Bacoli, Pariante, który z kolei był „pułkownikiem” rodziny Di Lauro, ale przyłączył się do secesjonistów. Attilio nie wiedział o tym albo nie docenił wagi tego faktu, ufał wspólnikowi, uznał za najważniejsze, że żyje on ze swojej ciężkiej, może nawet zbyt ciężkiej pracy. W tych stronach człowiek nie ma zbyt dużego wpływu na swoje życie, praca jest przywilejem, jeżeli już ją masz, trzymasz się jej kurczowo, traktujesz jak wielkie szczęście, kaprys losu, który zechciał właśnie ciebie obdarzyć tym dobrodziejstwem. Nawet jeżeli ta praca trzyma cię trzynaście godzin dziennie poza domem, pozostawia zaledwie pół niedzieli wolnej i daje 1000 euro miesięcznie, wystarczające z ledwością na zapłacenie raty za mieszkanie. Tak czy inaczej, kiedy już masz pracę, musisz być wdzięczny i nie zadawać za dużo pytań – samemu sobie ani swemu losowi.

Ktoś rzuca podejrzenia. I to dlatego ciało Attilia Romanò może zostać dodane do szeregu ciał żołnierzy mafii zabitych w tych dniach. Zginął na tym samym wojennym froncie, choć z innych przyczyn. To klany decydują, kim jesteś i jaką rolę odgrywasz w tym konflikcie. Przydział następuje bez udziału twojej woli. Kiedy wojsko kamorry wychodzi na ulice, jego żołnierze narzucają wszystkim sens, motywy i przyczyny tego, w czym uczestniczą. Tak się złożyło, że sklep, w którym pracował Attilio, symbolizował interesy grupy Hiszpanów, a te właśnie interesy należało zniszczyć.

Natalia albo Nata, jak nazywał ją Attilio, jest zamroczona tą tragedią. Wyszła za mąż dopiero przed czterema miesiącami, ale nikt jej nie pocieszał, na pogrzebie męża nie było prezydenta Republiki ani żadnego ministra, burmistrz nie ścisnął jej ręki. Może to i lepiej, człowiek oszczędza sobie całego tego instytucjonalnego cyrku. Śmierć Attilia otacza jednak aura niczym niezasłużonej podejrzliwości. Podejrzliwości, która oznacza milczące przyzwolenie na rozkaz wydany przez kamorrę. Jest kolejnym poddaniem się woli klanów. Ale koledzy, którzy pracowali w telemarketingu z Attylą, jak go nazywali z powodu jego zachłannej chęci życia, organizują pochody ku jego pamięci. Nie ustają w demonstrowaniu swojej solidarności z zamordowanym kolegą pomimo tego, że na trasie ich przemarszów ciągle zdarzają się strzelaniny i krew wciąż spływa ulicami. Idą z pochodniami, żeby zmazać hańbę z Attyli, wykluczyć wszelkie podejrzenia i wątpliwości. Attyla zmarł w miejscu pracy i z kamorrą nie miał nic wspólnego.

W rzeczywistości po każdym zabójstwie podejrzenie pada na zamordowanego. Machina kamorry działa perfekcyjnie. Nie popełnia błędów. Karze precyzyjnie. Przyjmując takie założenie, daje się wiarę klanowi, a nie rodzinie, nie kolegom, którzy od dawna znali ofiarę, nie jej nieskazitelnej biografii. Machina kamorry miażdży ludzi bez winy, wciąga ich na listę strat ubocznych lub domnienanych winowajców.

Dwudziestoszścioletni Dario Scherillo zginął 26 grudnia 2004 roku, gdy jechał na swoim motocyklu. Trafiono go w twarz i klatkę piersiową, zmarł na ulicy, w kałuży własnej krwi, którą zdążyła przesiąknąć cała koszula. Jego wina polegała na tym, że pochodził z Casavatore, miejscowości znajdującej się w centrum konfliktu. W jego sprawie ciągle panuje milczenie i niezrozumienie. Bez epitafium na grobie, bez tablicy

pamiątkowej, bez komentarza w prasie. „Kiedy kamorra kogoś zabija, nie można być niczego pewnym” – usłyszałem od starszego mężczyzny, który żegnał się znakiem krzyża przy miejscu śmierci Daria. Krew na ulicy jest jaskrawoczerwona. Nie każda krew ma taki kolor. Krew Daria jest purpurowa, zdaje się, jakby wciąż płynęła świeża. Nie starcza trocin, żeby ją wchłonąć. Wkrótce jakiś samochód wykorzystuje wolne miejsce i parkuje na czerwonej plamie. I wszystko się kończy. Wszystko zostało ukryte. Zabójstwo Daria jest ostrzeżeniem dla Casavatore, krwawą wiadomością wysłaną w kopercie ciała podziurawionego kulami. Jak w Bośni, jak w Algierii, jak w Somalii, jak na jakiejkolwiek bratobójczej wojnie, w której rządzi chaos i bezład, w której trudno zrozumieć, kto po jakiej stoi stronie, w której zabija się własnego sąsiada, psa, przyjaciela, krewnego. Najsłabsze więzy krwi i najmniejsze podobieństwo wystawią cię na cel. Wystarczy przejść przez ulicę, żeby ołowiana kula określiła człowieka raz na zawsze. Najważniejsze to siać jak najwięcej bólu, tragedii i strachu. Najważniejsze to pokazać bezwzględną siłę, nienaruszalne panowanie, władzę prawdziwą i absolutną, władzę, której nikt nie może się przeciwstawić. Aż wszyscy nauczą się myśleć tak samo jak ci, którzy ją posiadają i będą się strzec, by jakimś gestem lub słowem nie narazić się na ich gniew. I będą zachowywać się ostrożnie, mieć się na baczności, będą milczeć, uważać, żeby ochronić własne życie, żeby nie dotknąć przewodów pod wysokim napięciem. Kiedy oddalałem się z miejsca strzelaniny, a ciało Attilia Romanó zabierano z ulicy, zacząłem rozumieć. Zacząłem rozumieć, dlaczego moja matka patrzy na mnie zawsze z taką troską w oczach. Dlaczego nie pojmuje, co mnie tutaj trzyma, dlaczego stąd nie wyjeżdżam, nie uciekam, dlaczego uparłem się żyć w tym piekle. Zacząłem się zastanawiać, ilu ludzi zostało tutaj zabitych, odkąd się urodziłem. Liczba ofiar nie jest wskaźnikiem realnej władzy kamorry. Jest to jednak na pewno świadectwo najbardziej wymowne, takie, które natychmiast trafia do wyobraźni, uderza w żołądek. Zaczynam wyliczanie: 100 zabitych w 1979 roku, w 1980 roku – 140, w 1981 roku – 110, w 1982 roku – 264, w 1983 roku – 204, w 1984 roku – 155, w 1986 roku – 107, w 1987 roku – 127, w 1988 roku – 168, w 1989 roku – 228, w 1990 roku – 222, w 1991 roku – 223, w 1992 roku – 160, w 1993 roku – 120, w 1994 roku – 115, w 1995 roku – 148, w 1996 roku – 147, w 1997 roku – 130, w 1998 roku – 132,

w 1999 roku – 91, w 2000 roku – 118, w 2001 roku – 80, w 2002 roku – 63, w 2003 roku – 83, w 2004 roku – 142, w 2005 roku – 90.

3600 zabitych odkąd się urodziłem. Kamorra zabiła więcej ludzi niż mafia sycylijska, więcej niż ’ndrangheta, więcej niż mafia rosyjska, więcej niż klany albańskie, więcej niż ETA w Hiszpanii i IRA w Irlandii razem wzięte, więcej niż Czerwone Brygady, więcej niż Nuclei Armati Rivoluzionari i wszystkie zamachy bombowe we Włoszech. Kamorra zabiła najwięcej ludzi. Mam przed oczami pewien obraz. Jest to mapa świata, która często pojawia się w gazetach, bez trudu znajdzie się ją w numerach „Le Monde Diplomatique”. Są na niej rysunki płomieni w miejscach konfliktów na całej kuli ziemskiej. Kurdystan, Sudan, Kosowo, Timor Wschodni. Wzrok mimowolnie zatrzymuje się na południowych Włoszech. Myślę o górach ludzkich zwłok, jakie można by utworzyć po każdej wojnie kamorry, mafii, ’ndranghety, Sacra Corona Unita w Apulii czy Basilischi w Bazylikacie. Ale w tym miejscu nie ma symbolu ognia. Jesteśmy w sercu Europy, tutaj kształtuje się gospodarka europejskiego państwa. Nieważne, na jakich zasadach. Fakt, że siła robocza grzęźnie w bagnie peryferii, wrze gniewem w betonowych blokach, wśród śmieci, w zakładach produkcyjnych pracujących „na czarno” i w składach z kokainą, jest właściwie korzystny. Lepiej, żeby nikt nie komentował tego, co się tutaj dzieje, lepiej, żeby to wszystko wyglądało na konflikt między bandami kryminalistów, wojnę nędzarzy. I zaczynasz rozumieć złośliwy uśmieszek przyjaciół, którzy przed laty wyjechali do Padwy czy Mediolanu i nie wiedzą, co się z tobą przez ten czas działo. Mierzą cię wzrokiem od stóp do głów, jakby chcieli oszacować twój ciężar gatunkowy i odgadnąć, czy jesteś *chiachiello* czy też *bbuono* – przegrany, czy może kamorysta. Stoisz na rozstaju dróg, ale już wiesz, którą z nich pójdziesz, i nie wierzysz, żeby mogło cię na niej spotkać coś dobrego.

Wróciłem do domu, ale nie potrafiłem się uspokoić. Wyszedłem na ulicę i zacząłem biec, szybko, coraz szybciej. Nogi wykręcały mi się w kolanach, pięty uderzały o pośladki, ramiona poruszały się w stawach niezależnie od mojej woli, jak u marionetki. Nie przestawałem biec. Serce biło mi mocno, język i zęby były zatopione w ślinie. Czułem, jak krew pulsuje w mojej szyi, jak zalewa klatkę piersiową, byłem bez tchu, nabierałem powietrza i natychmiast wyrzucałem je z nozdrzy jak rozjuszony byk. Biegłem jeszcze, z zamkniętymi oczami, choć czułem, że pali mnie twarz i mam

lodowate ręce. Czułem się, jakby była we mnie cała ta krew, którą widziałem rozlaną na ulicy.

Dotarłem do brzegu morza. Wskoczyłem na falochron. Ciemności nocy zagęszczała mgła, nie było nawet widać świateł statków zacumowanych w zatoce. Woda marszczyła się coraz bardziej, podnosiły się fale, ale wyglądało to tak, jakby wystrzegały się dotknięcia błota przy brzegu. Nie wracały też jednak do otwartego morza. Przemieszczały się tam i z powrotem w wąskim pasie wody, upierając się przy niemożliwym bezruchu, uczepiwszy się grzebienia piany. Zagubione, nie wiedziały, gdzie morze jest jeszcze morzem.

Po kilku tygodniach zaczęli się pojawiać dziennikarze. Zewsząd. Nagle odkryto, że kamorra znów zaczęła egzystować na terenie, na którym spodziewano się mieć do czynienia już tylko ze zwykłymi bandami pospolitych kryminalistów i ulicznymi złodziejami. W ciągu kilku godzin Secondigliano znalazło się w centrum zainteresowania. Przybyli specjalni korespondenci i fotoreporterzy najważniejszych agencji prasowych; nawet BBC zainstalowała stałą stację transmisyjną, miejscowi chłopcy fotografowali się z kamerzystą trzymającym na ramieniu sprzęt z dobrze widocznym logo CNN. „Ci sami, co u Saddama” – żartują mieszkańcy Secondigliano. Są filmowani przez te kamery i czują się, jakby znaleźli się w samym środku ciężkości świata. Wydaje się, jakby to zainteresowanie dziennikarzy po raz pierwszy przyznało temu miejscu rację istnienia. Jatka w Secondigliano przyciągnęła uwagę opinii publicznej, która przez dwadzieścia lat była ślepa na poczynania kamorry. Na północnych peryferiach Neapolu faida zbiera swoje żniwo w szybkim tempie, dopasowuje się do zasad dziennikarstwa karmiącego się sensacją, w niespełna miesiąc produkuje dziesiątki ofiar. Jakby ktoś wymyślił ją specjalnie po to, żeby każdy korespondent mógł mieć swojego zabitego kamorystę. Korzyść dla wszystkich. Gazety wysłały grupy młodych stażystek, aby nabrały doświadczenia. Wszyscy wyciągnęli swoje mikrofony, kamery filmują ponurą, kanciastą sylwetę Veli. Którejś z młodych dziennikarek udało się nawet przeprowadzić wywiad telewizyjny z domniemanymi dealerami, pokazując ich w kadrze od tyłu. Mało kto odmawia drobniaków heroinistom, którzy bełkoczą na zamówienie swoje

historie. Dwie stażystki zrobiły sobie zdjęcie na tle wraku spalonego samochodu, którego nikt jeszcze nie zdążył usunąć. Będą miały pamiątkę z pierwszej pracy korespondenta wojennego. Pewien Francuz zadzwonił do mnie z pytaniem, czy powinien założyć kamizelkę kuloodporną, bo chce sfotografować willę Cosima Di Lauro. Ekipy dziennikarskie jeździły po dzielnicy w samochodach, robiły zdjęcia, filmowały, zachowywały się jak naukowcy dokumentujący las, który wkrótce zamieni się w sceniczne dekoracje. Jeden z dziennikarzy wszędzie chodził z obstawą. Nie mógł zrobić nic głupszego, jeżeli chciał opowiedzieć o Secondigliano. Scampia nie jest miejscem niedostępnym, wręcz przeciwnie: powodzenie tego swoistego bazaru z narkotykami polega właśnie na tym, że jest dostępny dla każdego. Dziennikarze poruszający się z obstawą mogą zobaczyć tylko to, o czym już wiedzą z notatek prasowych. To tak, jakby patrzeć w ekran komputera, tyle że w ruchu.

Ponad stu dziennikarzy w ciągu niespełna dwóch tygodni. Nagle to największe w Europie centrum obrotu narkotykami zaczyna istnieć. Nawet policjanci byli oblegani przez korespondentów prasowych i telewizyjnych, z których każdy chciał uczestniczyć w policyjnych akcjach, zobaczyć przynajmniej jednego zatrzymanego dealera, przynajmniej jedno przeszukane mieszkanie. Wszyscy chcieli zamieścić w piętnastominutowej korespondencji ujęcie zarekwirowanego karabinu maszynowego lub przestępcy w kajdankach. Niektórzy oficerowie, żeby pozbyć się reporterów i nieopierzonych dziennikarzy śledczych, pozwalali im fotografować policjantów w cywilnych ubraniach, którzy udawali dealerów. To był jedyny sposób, żeby dać im, czego chcieli, nie tracąc za dużo czasu. To, co najgorsze, w jak najkrótszym czasie. A najgorsze ze wszystkiego, prawdziwy horror, to transmisje tragedii. Krew, wnętrzności, ślady strzałów, dziurawe czaszki, spalone ciała. Ale i tak najstraszniejsze sceny, jakie mogli pokazać, były niczym w porównaniu z rzeczywistością. Wielu dziennikarzy sądzi, że Secondigliano to coś w rodzaju getta Europy, miejsce bezgranicznej nędzy. Gdyby nie uciekali stąd od razu, zauważyliby może, że znaleźli się w miejscu, gdzie znajdują się kolumny wspierające całą gospodarkę, ukryta kopalnia złota, mroczne źródło energii dla bijącego serca rynku.

Dostawałem od dziennikarzy telewizyjnych najbardziej nieprawdopodobne propozycje. Byli tacy, którzy chcieli, żebym założył

sobie na ucho mikroskopijną kamerę i chodził z nią po ulicach „co to ja już wiem których” i za ludźmi „co to ja już wiem jakimi”. Marzyli o tym, żeby zrealizować w Scampii odcinek reality show, w którym znalazłyby się sceny sprzedaży narkotyków i zabójstwa. Pewien scenarzysta dał mi maszynopis swojego scenariusza opowiadającego historię z mnóstwem krwi i trupów, w której szatan Nowej Ery rodzi się w dzielnicy Terzo Mondo. Przez miesiąc prawie każdego wieczoru byłem zapraszany przez ekipy telewizyjne na kolacje, podczas których zadawano mi mnóstwo pytań, w większości absurdalnych, żeby wyciągnąć ode mnie jak najwięcej informacji. W Secondigliano i Scampii, w okresie faidy klanów, utworzył się prawdziwy rynek pilotów, informatorów, indiańskich przewodników po tym rezerwacie kamorry. Z czasem wielu chłopców opracowało własną technikę przyciągania klientów. Kręcili się wokół wozów transmisyjnych i udawali, że rozprowadzają między sobą prochy. Kiedy tylko któryś z dziennikarzy znajdował w sobie dość odwagi, by zbliżyć się do nich, oświadczali, że są gotowi opowiedzieć im o życiu codziennym w Secondigliano, przekazać najróżniejsze informacje, pozwolić się sfilmować. I od razu podawali cennik. 50 euro za opowieść, 100 za oprowadzenie po punktach sprzedaży narkotyków, 200 za wejście do mieszkania dealera w Vele.

Żeby poznać cykl obrotu złota, nie wystarczy koncentrować się tylko na kopalniach i grudkach kruszcu. W przypadku kamorry można zacząć od Secondigliano i podążyć potem śladem inwestycji klanów. Wojny kamorry sprawiają, że miejscowości zdominowane przez klany pojawiają się na mapie geograficznej. Miejsca te leżą na terenach Kampanii oddalonych od morza, nazywanych czasem włoskim Dzikim Zachodem, o których mówi się, że jest tam więcej karabinów maszynowych niż widelców. Ale oprócz przemocy, która wybucha od czasu do czasu, rodzi się tutaj ogromny potencjał finansowy, z którego mieszkańcy tych okolic widzą tylko odległe przebłyski. O tym nikt w mediach nie mówi, serwisy i doniesienia prasowe są pełne obrazów zdegenerowanych neapolitańskich peryferii.

29 stycznia ginie od strzałów Vincenzo De Gennaro. 31 stycznia Vittorio Bevilacqua umiera równie gwałtowną śmiercią w sklepie spożywczym. 1 lutego zostają zamordowani Giovanni Orabona, Giuseppe Pizzone

i Antonio Patrizio. Dochodzi do tego przy użyciu starej, dobrze wypróbowanej metody: zabójcy przebierają się za policjantów. Giovanni Orabona miał 23 lata i grał w ataku drużyny Real Casavatore. Szli w trójkę po ulicy, kiedy zatrzymał ich samochód z kogutem policyjnym na dachu. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn, pokazali legitymacje policyjne. Chłopcy nie próbowali uciekać, nie stawiali też oporu. Wiedzieli, jak należy się zachować w takich sytuacjach. Pozwolili sobie założyć kajdanki i weszli do samochodu. Po jakimś czasie auto nagle zatrzymało się, kazano im wysiąść. Trzej porwani być może nie zorientowali się od razu, o co chodzi, ale kiedy zobaczyli pistolety w rękach mężczyzn, wszystko było dla nich jasne. Wpadli w pułapkę. To nie byli policjanci, lecz Hiszpanie, secesjoniści. Dwóch chłopców, zabitych strzałami w głowę, zmarło od razu, trzeci, sądząc ze śladów, próbował ucieczki, ale z rękami związanymi na plecach mógł utrzymać równowagę tylko dzięki ruchom głowy. Przewrócił się. Podniósł się i biegł dalej. Przewrócił się raz jeszcze. Dogonili go, wcisnęli pistolet do ust. Zabity chłopak miał złamane zęby, próbował ugryźć lufę, odruchowo, w desperackiej próbie zniszczenia narzędzia, którym zostanie mu zadana śmierć.

27 lutego nadeszła z Barcelony wiadomość o aresztowaniu Raffaele Amata. Grał właśnie w kasynie w blackjacka, żeby pozbyć się gotówki. Rodzinie Di Lauro udało się uderzyć tylko w jego kuzyna Rosaria: spalili mu dom. Amato, według aktu oskarżenia prokuratury neapolitańskiej, był charyzmatycznym bossem Hiszpanów. Urodził się na via Cupa dell’Arco, tej samej, przy której mieszkał z rodziną Paolo Di Lauro. Znaczenie Amato wzrosło, kiedy powierzono mu kontrolę nad obrotem narkotykami i zarządzanie „rzutami” przy inwestowaniu kapitału kamorry. Według zeznań „skruszonych” oraz wyników śledztwa Antymafii, miał nieograniczony kredyt u międzynarodowych dostawców i mógł importować bezpośrednio od nich tony kokainy. Teraz w kasynie policjanci w kominiarkach rzucili go twarzą na ziemię. Nie było to pierwsze aresztowanie Raffaele Amata: zatrzymano go jakiś czas wcześniej w hotelu w Casandrino, razem z innym kamorystą oraz z ważnym albańskim handlarzem narkotyków, któremu zawsze towarzyszył doskonały tłumacz, siostrzeniec jednego z ministrów Albanii.

5 lutego przyszła kolej na Angela Romano. 3 marca Davide Chiarolanza został zastrzelony w Melito. Rozpoznał killerów, być może umówił się z nimi na spotkanie. Zginął, biegnąc do swojego samochodu, próbując ucieczki. Faidy nie zatrzymała ani prokuratura, ani policja z karabinierami. Siły porządku publicznego tamowały krwotok, usuwały kolejne macki mafii, ale nie były w stanie całkowicie zatrzymać jatki. Podczas gdy poważna prasa, posiłkując się codziennymi doniesieniami kroniki kryminalnej, nie radziła sobie z interpretacją i oceną wydarzeń, pewien neapolitański dziennik jakimś sposobem dowiedział się, że Hiszpanie oraz Di Lauro, dzięki mediacji rodziny Licciardi, zawarli pakt o chwilowym zawieszeniu broni. Zależało na tym klanom z Secondigliano, a także, prawdopodobnie, kamorystom z innych grup, którzy obawiali się, że obecny konflikt przerwie wieloletnią ciszę otaczającą ich działania, tak korzystną dla ich interesów. Należy pozwolić, aby wymiar sprawiedliwości na nowo spokojnie zapomniał o tym obszarze skoncentrowanej przestępczości. Treści paktu nie zapisał któryś z charyzmatycznych bossów nocą, po kryjomu w swojej więziennej celi, przemycając go potem za mury więzienia, by rozprowadzono go w najgłębszej tajemnicy między zainteresowanymi. Treść paktu została opublikowana na łamach prasy, na stronach neapolitańskiego dziennika, w artykule podpisanym przez Simone Di Meo 27 czerwca 2005 roku w „Kronikach Neapolitańskich”. Tak, aby wszyscy mogli go przeczytać i zrozumieć. Oto jakie były warunki porozumienia:

„1. Secesjonistom zostaną zwrócone lokale mieszkalne w Secondigliano i Scampii, które musieli opuścić między listopadem a styczniem. Grupy ogniowe rodziny Di Lauro zmusiły wtedy około 800 osób do opuszczenia swoich mieszkań.

2. Monopol klanu Di Lauro na rynku narkotykowym już nie istnieje. Nie ma powrotu. Terytorium zostanie podzielone sprawiedliwie. Prowincja będzie należeć do secesjonistów, Neapol pozostanie przy Di Lauro.

3. Secesjoniści będą mogli importować narkotyki własnymi kanałami, bez pośrednictwa rodziny Di Lauro.

4. Prywatne vendetty nie mogą mieć nic wspólnego z interesami; biznes musi być stawiany zawsze na pierwszym miejscu, przed osobistymi porachunkami. Jeżeli w przyszłości ktoś rozpocznie vendettę związaną

z obecnym konfliktem, nie może to doprowadzić do ponownej wojny; należy to traktować jako sprawę prywatną”.

Wszystko wskazuje na to, że superboss z Secondigliano powrócił. Sygnały dochodzą zewsząd, od Apulii po Kanadę. Służby specjalne od miesięcy robią wszystko, by go złapać. Paolo Di Lauro zostawia ślady, bardzo drobne, prawie niewidoczne, jak jego władza przed faidą. Istnieją podejrzenia, że poddał się operacji w pewnej klinice w Marsylii, tej samej, w której leczył się boss sycylijskiej cosa nostry, Bernardo Provenzano. Wrócił, żeby parafować układ o zawarciu pokoju lub żeby naprawić szkody. Już tu jest, czuje się jego obecność, zmieniła się atmosfera. Boss zniknął przed dziesięciu laty, ale według słów pewnego kamorysty podsłuchanych w rozmowie telefonicznej: „musiał wrócić, nawet za cenę więzienia”. Boss widmo, którego twarzy nie znają nawet stowarzyszeni w klanie. Jeden z nich błagał bossa Maurizia Prestieriego: „Proszę cię, pozwól mi go zobaczyć. Popatrzę tylko przez chwilę i zaraz potem sobie pójdę!”.

Paola Di Lauro zatrzymano przy via Canonico Stornaiuolo 16 września 2005 roku. Schronił się w skromnym mieszkaniu Fortunaty Liguori, konkubiny jednego z kamorystów niższej rangi. Anonimowy dom, podobny do tego, w jakim ukrywał się jego syn Cosimo. W betonowej dżungli łatwiej się zamaskować, mieszkańcy takich domów nie mają twarzy, nikt nie zwraca uwagi na hałasy. Miasto może zapewnić nieistnienie doskonalsze, niż gdyby schować się w dziurze zamkniętej klapą włazu albo w kapsule z podwójnym dnem. Mało brakowało, a doszłoby do aresztowania Paola Di Lauro już wcześniej, dokładnie w dniu jego urodzin. To dopiero wyzwanie: usiąść z rodziną do stołu na przyjęciu urodzinowym, podczas gdy poszukują cię agenci policji połowy Europy. Ktoś go ostrzegł. Kiedy karabinierzy weszli do willi rodziny Di Lauro, zastali nakryty stół z pustym miejscem przeznaczonym dla niego. Tym razem specjalne oddziały karabinierów, tzw. ROS (Raggruppamento Operativo Speciale) uderzają ze stuprocentową pewnością. Karabinierzy są bardzo zdenerwowani, kiedy wchodzą o czwartej nad ranem do kryjówki kamorysty. Spędzili całą noc na obserwacji domu. Ale boss nie stawiał najmniejszego oporu, wręcz uspokajał agentów:

– Wejdźcie... jestem spokojny... nie ma problemu.

Samochód, w którym siedzi Paolo Di Lauro, eskortuje dwadzieścia wozów policyjnych, do tego jeszcze cztery motocykle, które wyprzedzają kolumnę i kontrolują, czy trasa jest bezpieczna. Kolumna jedzie z dużą prędkością, boss siedzi w kuloodpornym aucie. Były trzy możliwe trasy przejazdu. Można było wybrać via Capodimonte, po czym przemierzyć z największą prędkością via Pessina i piazza Dante, można też było zablokować corso Secondigliano, z niego wjechać na drogę objazdową i skierować się na Vomero. W razie komplikacji przewidziano możliwość odtransportowania przestępcy helikopterem. Motocykliści ostrzegają, że na trasie przejazdu jest jakiś podejrzany samochód. Wszyscy spodziewają się strzelaniny, ale okazuje się, że to fałszywy alarm. Boss przybywa bez przeszkód do komendy karabinierów przy via Pastrengo w samym centrum Neapolu. Helikopter zniża się do lądowania, podnosi kurz z klombu na środku placu. W wirującym powietrzu fruwają worki plastykowe, zużyte chusteczki higieniczne i strony gazet. Wir śmieci.

Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Ale trzeba narobić jak najwięcej szumu wokół tego aresztowania, pokazać, że udało się to, co wydawało się niemożliwe: udało się złapać bossa. Kiedy sznur wozów przybywa pod komendę, czekają tam już dziennikarze i fotografowie. Widząc to, karabinierzy wychylają się mocno z samochodów, niektórzy siadają na ramach okien, w kamizelkach kuloodpornych, z kominiarkami na twarzach, ramiona wyciągają w górę w geście triumfu, w dłoniach trzymają pistolety. Po aresztowaniu Giovanniego Brusci każdy karabinier i policjant chciałby mieć takie zdjęcie. Nagroda za noce spędzone na obserwacji podejrzanych, satysfakcja z upolowania grubego zwierza, chęć pojawienia się na pierwszych stronach gazet. Kiedy Paolo Di Lauro wychodzi z komendy, nie zachowuje się arogancko, jak syn przy aresztowaniu. Głowę trzyma nisko pochyloną, wzrok ma wbity w ziemię, w obiektywach kamer i aparatów fotograficznych widać tylko jego łysinę. Możliwe, że w ten sposób chce się zabezpieczyć na przyszłość. Gdyby pozwolił się sfotografować setkom obiektywów pod różnymi kątami, gdyby pozwolił się sfilmować dziesiątkom kamer telewizyjnych, pokazałby swoją twarz całej Italii. Znalazłaby się wtedy na pewno niejedna osoba, która rozpoznałaby w nim sąsiada, człowieka widywanego w okolicy. Lepiej nie ułatwiać dochodzeń, lepiej nie ujawniać swoich tajnych szlaków. Niektórzy uważają, że boss

trzyma głowę nisko spuszczoną, bo po prostu przeszkadzają mu błyski fleszy i kamery oraz to, że robi się z niego widowisko.

Po kilku dniach Paolo Di Lauro został przywieziony do sądu, do sali nr 215. Zająłem miejsce wśród publiczności, między znajomymi i krewnymi oskarżonego. Jedynym słowem wypowiedzianym przez bossa było: „obecny”. Wszelkie inne informacje przekazywał bezgłośnie. Gesty, mrugnięcia, uśmiechy to kod, za pomocą którego komunikował się ze swojej klatki z ludźmi obecnymi na sali. Pozdrawiał, odpowiadał, uspokajał. Miejsce za moimi plecami zajął potężny, szpakowaty mężczyzna. Przez moment wydawało mi się, że Paolo Di Lauro koncentruje wzrok na mnie; w rzeczywistości dostrzegł człowieka siedzącego za mną. Patrzyli na siebie dłuższą chwilę, po czym boss mrugnął do niego.

Wiadomość o aresztowaniu rozeszła się szeroko, wielu ludzi przybyło do sądowej sali, żeby przekazać pozdrowienie bossowi, którego nie widzieli przez całe lata, kiedy ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości. Paolo Di Lauro miał na sobie dżinsy i ciemną koszulkę polo. Na nogach buty firmy Paciotti, które w tych stronach noszą wszyscy ważniejsi kamoryści. Strażnicy więzienni zdjęli mu kajdanki. Przeznaczono dla niego osobną klatkę. Na salę sądową wchodzą przedstawiciele rodzin z Almanachu Gotajskiego północnych peryferii Neapolu: Raffaele Abinante, Enrico D’Avanzo, Giuseppe Criscuolo, Arcangelo Valentino, Maria Prestieri, Maurizio Prestieri, Salvatore Britti i Vincenzo Di Lauro. Ludzie bossa i byli ludzie bossa, umieszczeni oddzielnie: w jednej klatce ci, którzy pozostali mu wierni, w drugiej Hiszpanie. Najbardziej elegancko prezentował się Prestieri, w granatowej marynarce i błękitnej koszuli Oxford. To on jako pierwszy zbliżył się do pancernej szyby, która oddzielała go od Paola Di Lauro. Przywitali się. Podszedł także Enrico D’Avanzo, udało mu się wyszeptać coś przez szczeliny między taflami szkła. Wielu członków klanu dawno nie widziało się z bossem. Syn Vincenzo nie spotkał się z nim od 2002 roku, od kiedy zaczął ukrywać się przed policją w Chivasso w Piemoncie, gdzie aresztowano go w 2004 roku.

Nie spuszczałem wzroku z bossa. Każdy jego gest, każde skrzywienie ust można by opatrzyć wieloma stronami interpretacji, stanowiły część rozległego kodu tego specyficznego języka migowego. Milczący dialog, jaki przeprowadził z synem, był szczególnie niezwykły. Vincenzo palcem wskazującym dotknął serdecznego palca lewej dłoni, jakby pytając

o obrączkę. W odpowiedzi boss przesunął rękami z dwóch stron głowy, a następnie zaczął nimi ruszać, jakby kręcił kierownicą samochodu. Nie potrafiłem odczytać tych gestów. Według interpetacji prasy Vincenzo zapytał ojca, dlaczego nie nosi obrączki, na co ojciec dał mu do zrozumienia, że karabinierzy odebrali mu całe złoto. Po długiej serii mrugnięć, gestów, skrzywień ust, ruchów dłoni przy szybie pancernej Paolo Di Lauro znieruchomiał i patrzył już tylko z uśmiechem na syna. Przesłali sobie pocałunek przez szkło. Adwokat bossa pod koniec rozprawy poprosił w imieniu swojego klienta o pozwolenie na uściskanie syna. Udzielono mu go. Pilnowało ich siedmiu policjantów.

– Jesteś blady – powiedział Vincenzo, na co ojciec odpowiedział, patrząc mu w oczy:

– Ta twarz od wielu już lat nie widziała słońca.

Mafiosi ukrywający się przed policją w momencie zatrzymania są często u skraju sił. Status ściganych przez prawo nie tylko przeszkadza im w korzystaniu z dobrodziejstw bogactwa, ale uzależnia ich całkowicie od głównego sztabu klanu, którego uznanie jest tak naprawdę jedynym miernikiem ich sukcesu finansowego i społecznego. Przymus zachowywania zawsze i wszędzie środków bezpieczeństwa, chorobliwa, wręcz obsesyjna potrzeba planowania każdego kroku, konieczność spędzania większości czasu w zamknięciu na koordynowaniu przynajmniej z daleka interesów i przedsięwzięć klanu czynią z nich ofiary własnej działalności, więźniów swoich biznesów. Pewna kobieta, którą poznałem w sali sądowej, opowiedziała mi epizod z życia Paola Di Lauro. Z wyglądu przypominała nauczycielkę, miała włosy ufarbowane bardziej na żółto niż na blond, z widocznymi odrostami. Mówiła zachrypniętym, niskim głosem. Opowiadała o czasach, kiedy Paolo Di Lauro poruszał się jeszcze po Secondigliano, musząc skrupulatnie przestrzegać ustalonych procedur. Kobieta sprawiała wrażenie, jakby było jej przykro, że boss jest zmuszony do tylu wyrzeczeń. Powiedziała mi, że Di Lauro miał pięć identycznych samochodów w tym samym kolorze, z tym samym numerem rejestracyjnym. Kiedy musiał się gdzieś udać, wyjeżdżały wszystkie, ale on, rzecz jasna, siedział tylko w jednym z nich. Wszystkie jechały z eskortą i nawet ludzie z obstawy nie wiedzieli, który z pięciu wiezie szefa. Gdy samochód, który mieli ochraniać, wyjeżdżał z willi, oni po prostu zapuszczali silniki i jechali za nim. Niezawodny sposób, żeby uniknąć

ryzyka zdrady, żeby nikt nie mógł donieść o tym, że boss wyjeżdża z domu. Kobieta opowiadała ze współczuciem o tym samotnym, cierpiącym człowieku, który wciąż ryzykował, że ktoś go zabije. Po całym tym przedstawieniu z uściskami, pozdrowieniami, mrugnięciami, z niemą gestykulacją ludzi sprawujących w sposób okrutny i bezwzględny władzę w Neapolu, szyba pancerna oddzielająca bossa od innych była pokryta tłustymi plamami: odciskami ust i śladami dłoni.

Po niespełna 24 godzinach od aresztowania bossa przy rondzie w Arzano złapano młodego mężczyznę, Polaka, który drżąc jak liść, próbował zrzucić na wysypisko śmieci ogromny, ciężki wór. Jak się później okazało, emigrant od niedawna pracował jako mechanik w garażu Edoarda La Monica. Bardzo słabo mówił po włosku, był wybrudzony krwią i tak wystraszony, że nie potrafił wykonać żadnego ruchu. W worku były zwłoki. Zwłoki człowieka zakatowanego, poddanego najwymyślniejszym torturom, zwłoki zniekształcone w sposób tak przerażający, że trudno wyobrazić sobie, jak do tego doszło. Gdyby ktoś, jakimś sposobem, zdołał połknąć bombę i gdyby ta bomba wybuchła mu potem w żołądku, nie zmasakrowałaby ciała w sposób tak straszny. Ciało należało do Edoarda La Monica, ale nikt nie rozpoznałby rysów jego twarzy. Zostały w niej tylko usta, reszta była zmiażdżona. Zwłoki były podziurawione i pokryte skorupą krwi. Związali go, po czym pałką nabitą gwoździmi torturowali godzinami. Każde uderzenie nie tylko łamało kości, ale także zostawiało dziury; gwoździe wchodziły w ciało i wychodziły, by wbić się zaraz w inne miejsce. Obcięli mu uszy, odcięli język, złamali przeguby dłoni, wykłuli oczy śrubokrętem, wszystko na żywo, kiedy był jeszcze przytomny. Zabili go ciosem młotka w twarz, a na koniec wykroili nożem krzyżyk na ustach. Zwłoki miały zostać wyrzucone na wysypisko śmieci, żeby znaleziono je zgniłe, wymieszane z odpadkami. Wiadomość zapisana na zmasakrowanym ciele została odczytana przez wszystkich, chociaż o jej prawdziwości nie świadczy nic oprócz tortur, jakim je poddano. Obcięli ci uszy, którymi usłyszałeś, gdzie ukrywa się boss; złamali przeguby rąk, które wyciągnąłeś po zapłatę za zdradę; wykłuli oczy, którymi widziałeś to, o czym potem powiedziałeś za pomocą języka, który dlatego właśnie ci odcięli. Straciłeś twarz przed Systemem i dlatego teraz straciłeś ją po raz drugi. Usta masz

ostemplowane krzyżem, zamknięte na zawsze znakiem wiary, którą zdradziłeś. Edoardo La Monica był nienotowany. Był za to obciążony nazwiskiem, przynależnością do rodziny, która jako jedna z pierwszych przyczyniła się do tego, że Secondigliano stało się królestwem kamorry, jej centrum gospodarczym. To w tym klanie Paolo Di Lauro stawiał swoje pierwsze kroki w przestępczym zawodzie. Śmierć Edoarda La Monica przypomina śmierć Giulia Ruggiero. Obaj zostali poddani torturom, zamęczeni na śmierć krótko po aresztowaniu bossów. Odarci z mięsa i skóry, pobici, zmasakrowani. Już dawno nie mieliśmy do czynienia z morderstwami popełnianymi z tak ewidentną intencją nadania im roli symbolu. Po raz ostatni spotkaliśmy się z tym pod koniec panowania klanu Cutola, kiedy killer Pasquale Barra zwany ’O Nimale, czyli „zwierzę”, już w więzieniu zabił Francisa Turatello i wbił zęby w jego serce, wyrwawszy mu je z piersi gołymi rękami. Od tamtego czasu nikt już nie odprawiał rytuałów tego rodzaju. Wskrzesiła je dopiero wojna w Secondigliano, przypomniała, że każdy gest, każdy centymetr ludzkiego ciała, każde słowo może być narzędziem komunikacji wojennej.

Podczas konferencji prasowej oficerowie ROS-u podali do publicznej wiadomości, że kryjówkę Paola di Lauro odnaleziono, śledząc pewną kobietę, która często w jednym i tym samym sklepie kupowała jego ulubioną rybę, morlesza. Ta wersja wydaje się aż nazbyt wygodna dla tych, którym zależy na zniszczeniu wizerunku bossa o ogromnej władzy i przedstawienia go jako człowieka z pospolitymi słabościami, który daje się złapać tylko dlatego, że jest łakomy. W Secondigliano nawet przez chwilę nie dano wiary historii z morleszem. Wielu uważało, że aresztowanie Paola Di Lauro nastąpiło za sprawą SISDE (Servizio per le Informazioni e la Sicurezza Democratica). Interwencja SISDE została potwierdzona oficjalnie, ale w Secondigliano nie zauważono obecności służb specjalnych. Niektórzy dziennikarze postawili hipotezę, że SISDE opłacało na tym terenie informatorów. Zdarzyło mi się parę razy usłyszeć fragmenty rozmów w barze, które potwierdzałyby to przypuszczenie. Mężczyźni zamawiający poranne espresso lub cappuccino i rogalik mówili między sobą:

– Słyszałem, że płaci ci James Bond...

Dwa razy zdarzyło mi się w tych dniach usłyszeć, jak ktoś robi aluzję do 007. Nazbyt to błaha podstawa do wyciągania jakichkolwiek wniosków, ale jednocześnie zbyt niezwykły zbieg okoliczności, by nie zwrócić na niego uwagi.

Strategia służb specjalnych przy aresztowaniu Paola Di Lauro prawdopodobnie polegała na ustaleniu, którzy z kamorystów są odpowiedzialni za system ochrony i alarmowania, za czujki i straże, i na przekupieniu ich, żeby w odpowiedniej chwili przesunęli swoich podwładnych w inne rejony dzielnicy, zapobiegając zaalarmowaniu bossa. Rodzina La Monica zaprzecza, jakoby Edoardo mógł być w jakikolwiek sposób zamieszany w aresztowanie bossa i utrzymuje, że Edoardo nigdy nie należał do Systemu, że bał się klanu i jego interesów. Możliwe, że zapłacił za innego członka swojej rodziny, ale chirurgiczna precyzja tortur świadczyłaby raczej o tym, że wiadomość była przeznaczona bezpośrednio dla niego, a nie wysłana za pomocą jego ciała komuś innemu.

Pewnego dnia zobaczyłem grupkę chłopców niedaleko miejsca, w którym znaleziono zwłoki Edoarda La Monica. Jeden z nich dotknął własnego palca serdecznego, po czym sięgnął ręką do głowy i poruszał wargami, nie wydając żadnego dźwięku. Od razu zabłysło mi w głowie, jak zapałka zapalona przed oczami, wspomnienie gestu Vincenza Di Lauro w sali sądowej, gestu osobliwego, którym miał pytać ojca, po latach niewidzenia, o pierścionek. Słowo oznaczające pierścionek w dialekcie neapolitańskim brzmi: *aniello.* Vincenzo wskazał na *aniello* oraz na serdeczny palec, na którym zwykle znajduje się obrączka, symbol wierności. Powiadomił ojca o sprzeniewierzeniu się wierności, o zdradzie, i jednocześnie wskazał na rodzinę, która zdradziła. Poinformował, kto ponosi odpowiedzialność za aresztowanie. Kto doniósł.

Aniello La Monica był patriarchą rodziny i przez lata jego potomków w okolicy nazywano Anielli, podobnie jak na przykład członków rodziny Gionta w Torre Annunziata nazywano Valentini od imienia bossa, Valentina Gionty. Aniello La Monica, według zeznań „skruszonych” Ruocca oraz Luigiego Giuliano, został zlikwidowany przez swojego syna chrzestnego, Paola Di Lauro. Faktem jest, że członkowie rodziny La Monica są w szeregach klanu Di Lauro. To jednak nie wyklucza możliwości, że straszna śmierć Edoarda była karą za akt vendetty, którym Anielli zapłacili Paolowi di Lauro za śmierć sprzed dwudziestu lat. Vendetta

wykalkulowana, wykonana na zimno. Jeden donos, którego konsekwencje okazały się groźniejsze niż seria z karabinu maszynowego. Dowód na dobrą, bardzo dobrą pamięć. Zresztą równie dobrą pamięcią zdają się cieszyć wszystkie klany, które w Secondigliano kolejno sprawowały władzę, a także mieszkańcy tej dzielnicy. Ale lepiej dla wszystkich, jeśli pamięć ta pozostanie w sferze plotek, hipotez, podejrzeń. Może eksplodować czasem głośnym aresztowaniem lub odkryciem zmaltretowanych zwłok, nigdy jednak nie powinna przybrać postaci ostatecznej prawdy. Będzie dla wszystkich bezpieczniej, jeżeli prawda będzie interpretowana ciągle na nowo, jeżeli pozostanie hieroglifem, którego, jak cię nauczono, lepiej nie odcyfrowywać.

Secondigliano powróciło do normalnego trybu życia. Wszyscy dowódcy zarówno Hiszpanów, jak Di Lauro byli w więzieniu. Ale tymczasem dorastali nowi *capozona*, nowi młodziutcy bossowie wydawali swoje pierwsze rozkazy. Z czasem ze słownika codziennego zaczęło znikać słowo „faida” dla określenia wojny klanów, zamiast niego zaczęto używać słowa „Wietnam”.

– Ten facet... ma za sobą Wietnam... więc teraz musi siedzieć spokojnie.

– Po Wietnamie wszyscy tutaj się boją.

– Ale Wietnam się już skończył, czy jeszcze nie?

To fragmenty rozmów telefonicznych nowych poborowych. Rozmów podsłuchanych przez policję, by przygotować materiał dowodowy do aresztowania 8 lutego 2006 roku Salvatore Di Lauro, osiemnastoletniego syna bossa, który zaczął dowodzić małym zbrojnym oddziałem młodziutkich chłopców zaangażowanych do handlu narkotykami. Hiszpanie przegrali bitwę, ale wygląda na to, że osiągnęli cel, do którego dążyli: osiągnęli niezależność i utworzyli własny, hegemoniczny koncern kierowany przez bardzo młodych ludzi. Karabinierzy przechwycili SMS posłany przez pewną dziewczynę jednemu z najmłodszych koordynatorów punktu sprzedaży, który był aresztowany w czasach konfliktu i zaraz po opuszczeniu więzienia powrócił do dawnej działalności: „Witamy z powrotem w domu. Powodzenia w pracy. Cieszę się z twojego zwycięstwa. Gratulacje!”.

Dziewczynie chodziło o zwycięstwo w walce, gratulowała chłopcu, że bił się po właściwej stronie. Di Lauro siedzą w więzieniu, ale ocalili własną skórę oraz interesy, przynajmniej te rodzinne.

Sytuacja uspokoiła się nagle, po negocjacjach między klanami i po aresztowaniach. Jeździłem po Secondigliano wyczerpanym, deptanym nogami zbyt wielu ludzi, obfotografowanym, sfilmowanym, wykorzystanym. Zmęczonym całą tą sytuacją. Zatrzymałem się przed muralami Felice Pignatara, przed twarzami słońca i symbolicznymi hybrydami pajaców i nagich ludzkich czaszek. Muralami, które obdarzyły betonowe ściany lekkim i zupełnie niespodziewanym pięknem. Nagle wystrzeliły w niebo sztuczne ognie, rozległ się hałas wybuchających petard. Dziennikarze z ekip telewizyjnych, które zaczęły już pakować sprzęt i zbierać się do domu po aresztowaniu bossa bossów, wyskoczyli na ulice, żeby zobaczyć, co się dzieje. Pojawiła się szansa na ostatnią cenną korespondencję, dwie kamienice coś świętowały. Włączyli mikrofony, reflektorami oświetlili twarze, zadzwonili do szefów redakcji z zapowiedzią serwisu o tym, jak Hiszpanie świętują aresztowanie Paola Di Lauro. Podszedłem, żeby zapytać, o co tu chodzi, stojący blisko chłopiec poinformował mnie, wyraźnie zadowolony z mego pytania:

– To dla Peppina, wyszedł ze śpiączki.

Peppino rok wcześniej jechał do pracy na targ swoim ape, trójkołowym samochodem dostawczym. Pojazd wpadł w poślizg i dachował. Powierzchnie ulic w Neapolu rozpuszczają się w wodzie, po dwugodzinnym deszczu kruszywo bazaltowe unosi się na powierzchni wody, smoła rozpuszcza się, jakby była wymieszana z solą morską. Peppino miał silny wstrząs mózgu. Gdzieś z pola sprowadzono traktor, żeby wyciągnąć ape z głębokiego rowu. Chłopak przez rok pozostawał w śpiączce. Obudził się niedawno, po jakimś czasie szpitalni lekarze pozwolili mu wrócić do domu i teraz właśnie sąsiedzi świętowali jego powrót. Kiedy Peppino przyjechał, jeszcze nie usiadł dobrze na wózku inwalidzkim, a już odpalili pierwsze fajerwerki. Dzieci z sąsiedztwa zrobiły sobie z nim zdjęcie, trzymając ręce na jego ogolonej głowie. Matka Peppina ochraniała go przed zbyt gwałtownymi, jak na jego wątłe siły, uściskami i pocałunkami. Dziennikarze zaczęli znowu wydzwaniać do szefów swoich redakcji, żeby wszystko odwołać. Nadzieja na sfilmowanie serenady kalibru 38 rozwiała się z winy chłopca, którego powrotem do życia cieszyła się cała

dzielnica. Wrócili do swoich hoteli, a ja skierowałem się do domu Peppina. Wszedłem do środka jak nieproszony gość, który za wszelką cenę chce uczestniczyć w radości innych. Przez całą noc wznosiłem toasty za zdrowie Peppina ze wszystkimi sąsiadami. Siedzieliśmy na schodach, między otwartymi na oścież drzwiami, nie mając pojęcia, do kogo należą stojące otworem mieszkania ze stołami uginającymi się od jedzenia. Podchmielony winem zacząłem jeździć na mojej vespie między jedynym czynnym jeszcze barem a domem Peppina, zaopatrując wszystkich w nowe butelki czerwonego wina i coca-coli. Ta noc w Secondigliano była cicha i spokojna. Bez dziennikarzy i helikopterów, bez czujek kamorry i dealerów. Ten niezwykły spokój sprawiał, że chciało się zasnąć, jak po południu na plaży, gdy leży się na piasku z ramionami pod głową i nie myśli o niczym.

Kobiety

Czułem na sobie jakiś zapach nie do określenia. Podobnie jak wtedy, kiedy wychodzi się ze smażalni ryb w płaszczu przesiąkniętym zapachem frytury, który na ulicy słabnie, mieszając się ze spalinami z rur wydechowych. Mógłbym wziąć prysznic choćby dziesięć razy pod rząd i godzinami moczyć się w wannie w pachnących solach kąpielowych, a zapach i tak by pozostał. I to nie dlatego, że wszedł do mojego ciała jak pot gwałcicieli do ciała zgwałconej kobiety, ale dlatego, że nosiłem go zawsze w sobie. Teraz wyzwolił go uśpiony dotąd gruczoł, który nagle zaczął działać, pobudzony nie strachem, lecz przeczuciem prawdy. Jak gdyby istniał w ludzkim ciele narząd odpowiedzialny za sygnalizowanie organizmowi, że właśnie stoisz w jej obliczu. I odbierasz ją wszystkimi zmysłami. Bez pośrednictwa. Nie prawdy opowiedzianej, przekazanej przez innych, sfotografowanej, ale prawdy doświadczonej bezpośrednio. Zaczynasz rozumieć, jakie reguły rządzą tym, co się właśnie dzieje, choć nic nie poświadcza prawdziwości tego, co widzisz. Od zbyt licznych obrazów wojny zarejestrowanych w źrenicach puchnie pamięć i już nie potrafisz przywoływać ich pojedynczo, ale masz je przed oczami wszystkie razem, wymieszane, nałożone jeden na drugi. Nie możesz ufać oczom. Po wojnie kamorry domy nie leżą w gruzach, a trociny szybko osuszają krew. Zastanawiasz się, czy przypadkiem nie jesteś jedynym, który widział to wszystko i tego doświadczył, i czy nie zjawi się ktoś, kto wskaże palcem i powie: „To wszystko nieprawda”.

Obłęd wojny klanów, kapitały, które się ścierają, inwestycje, które podrzynają sobie nawzajem gardła, plany finansowe, które się nawzajem pożerają – wszystko to zawsze znajdzie jakieś uzasadnienie, jakieś pocieszające wytłumaczenie. I będziesz mógł się łudzić, że niebezpieczeństwo ciebie nie dotyczy, że konflikt toczy się gdzieś bardzo daleko, podczas gdy w rzeczywistości rozgrywa się pod twoimi drzwiami. Z czasem poukładasz wszystko porządnie w rozsądnych szufladkach, które

sam sobie zbudowałeś, ale zapachy pozostaną, nie narzucisz im swojej woli, pozostaną. W tobie. Jak najważniejszy, bo jedyny już ślad roztrwonionego majątku doświadczeń. Zapachy pozostały w moich nozdrzach. Nie tylko zapach trocin i krwi czy płynu po goleniu na policzkach bez zarostu dzieci-żołnierzy, ale przede wszystkim zapach kobiet: ciężka woń dezodorantów, lakieru do włosów, słodkich perfum.

Obecność kobiet jest bardzo ważna dla dynamiki działania klanów. Nie przypadkiem w trakcie faidy w Secondigliano dwie kobiety zostały zamordowane w sposób szczególnie okrutny, zarezerwowany zwykle dla bossów. Nie przypadkiem setki kobiet wyszły na ulice, podkładały ogień w śmietnikach i ciągnęły za łokcie karabinierów, żeby przeszkodzić w aresztowaniach mężczyzn zamieszanych w handel narkotykami. Młode dziewczęta przybiegały do każdej kamery na ulicy, ustawiały się przed obiektywem, uśmiechały się, podśpiewywały, prosiły, żeby przeprowadzić z nimi wywiad, krążyły wokół kamerzystów, by dojrzeć logo stacji telewizyjnej i dowiedzieć się, która je filmuje. Nigdy nic nie wiadomo. Ktoś może je zobaczyć i zaprosić do jakiegoś programu telewizyjnego. Tutaj okazje się nie zdarzają, tutaj trzeba je wydrzeć pazurami, kupić, wykopać spod ziemi. Okazje trzeba sobie wywalczyć. Podobnie jest ze znajdowaniem sobie chłopaka – niczego nie pozostawia się ślepemu losowi, nie liczy się na przypadkowe spotkanie, nie czeka się na zakochanie. Każda zdobycz jest wynikiem strategii. Dziewczęta, które nie stosują strategii, ryzykują, że zostaną uznane za niebezpiecznie łatwe, ryzykują dotyk dziesiątek rąk, napór języków tak natarczywych, że bez trudu otworzą zaciśnięte zęby. Ciasne dżinsy, dopasowana bluzka: wszystko pracuje na to, żeby z urody stworzyć przynętę. W tych stronach uroda jest pułapką, choćby nawet najprzyjemniejszą z pułapek. Jeżeli dasz się złapać, jeżeli poddasz się chwilowej przyjemności, nie wiesz, co cię może czekać. Dziewczyna zrobi wszystko, by poderwał ją najlepszy, a gdy już wpadnie w jej pułapkę, zatrzyma go za wszelką cenę, nie puści; jakoś go ścierpi, połknie, choćby zatykając sobie nos. Ale będzie go miała dla siebie. Całkowicie. Pewnego razu przechodziłem pod szkołą. Podjechała dziewczyna na motorowerze. Zatrzymała się i zsiadała powoli, nie tylko dlatego, że z siedzenia z trudem sięgała nogami ziemi, ale przede wszystkim po to, żeby wszyscy mieli czas przypatrzyć się skuterowi, kaskowi, rękawicom motocyklisty i botkom z ostrymi noskami. Woźny

szkoły, jeden z tych, którzy przepracowali dziesiątki lat w tym samym miejscu i mieli do czynienia z niezliczonymi pokoleniami młodzieży, podszedł do niej i zapytał:

– Oj, France, ty już się kochasz? I to z kim, z Angelem! Nie wiesz, że on skończy w Poggioreale?

„Kochać się” nie znaczy chodzić z kimś do łóżka, ale zaręczyć się. Angelo niedawno wszedł do Systemu, ale nie wyglądało na to, żeby wykonywał tylko drobne zadania. Zdaniem woźnego szybko dostanie się do więzienia w Poggioreale. Dziewczyna nie próbowała nawet bronić swojego chłopca. Miała gotową odpowiedź. Odpowiedź z tych, które znajduje się gotowe w kieszeni:

– I co za problem? Wypłatę i tak dostanę. On mnie naprawdę kocha...

Wypłata. To pierwszy sukces Franceski. Jeżeli jej chłopak skończy w więzieniu, ona dostanie jego pensję. Wypłata to miesięczna pensja, którą klany dają rodzinom zrzeszonych kamorystów. Jeżeli są zaręczeni, wypłata jest przekazywana narzeczonej, chociaż, dla pewności, lepiej być w ciąży. Niekoniecznie po ślubie, wystarczy dziecko, choćby było jeszcze w brzuchu. Jeżeli jesteś tylko zaręczona, ryzykujesz, że do klanu zgłosi się jeszcze jedna dziewczyna, którą chłopak trzymał w ukryciu. Mógł mieć dwie narzeczone, które o sobie nie wiedziały. W tym przypadku albo *capozona* decyduje, której z dziewcząt przyznać prawo do wypłaty, co jednak jest ryzykowne, bo może wywołać napięcia między rodzinami, albo też decyzję pozostawia się uwięzionemu kamoryście. W większości przypadków pensji nie wypłaca się żadnej z dwóch dziewcząt, tylko rodzinie uwięzionego, rozwiązując problem raz na zawsze. Ślub oraz macierzyństwo gwarantują wypłatę. Pieniądze dostarcza się prawie zawsze do rąk własnych, aby nie zostawiać śladów na kontach bankowych. Przynoszą je tak zwani *sottomarini,* czyli łodzie podwodne, bo tak samo jak one poruszają się pod powierzchnią codziennego życia. Starają się być niewidoczni, nie do wytropienia, ryzykują bowiem porwanie, szantaż lub okradzenie. Pojawiają się na ulicy niespodziewanie, docierają zawsze pod te same adresy różnymi drogami. *Sottomarini* wypłacają pensje ludziom klanu o najniższej randze. Kamoryści z wyższych szczebli hierarchii zwracają się o pieniądze bezpośrednio do kasjerów klanu za każdym razem, kiedy ich potrzebują. *Sottomarini* nie należą do Systemu, nie są zrzeszeni w klanie, ponieważ operując dużymi sumami pieniędzy, mogliby

wykorzystać tę sytuację i zacząć się ubiegać o awans. Są to prawie zawsze emeryci, byli kasjerzy sklepowi lub księgowi, którzy pracując dla klanu, dorabiają sobie do emerytury, a przede wszystkim obracają się wśród ludzi, nie siedzą cały dzień przed telewizorem. Dzwonią do drzwi 28 każdego miesiąca, kładą na stole plastykową siatkę, a z wypchanej kieszeni marynarki wyciągają papierową kopertę podpisaną nazwiskiem zmarłego lub uwięzionego kamorysty i dają ją żonie lub, w razie jej nieobecności, najstarszemu synowi. Prawie zawsze razem z wypłatą przynoszą zakupy. Szynkę, owoce, makaron, jajka, trochę chleba. Kiedy wchodzą po schodach, siatki ocierają się o ścianę. Ten szelest i ciężkie kroki są sygnałem zbliżania się *sottomarini*. Chodzą zwykle obładowani jak osły, zakupy robią zawsze w tych samych sklepikach, kupują wszystko w dużych ilościach, a potem roznoszą rodzinom. Liczbę żon więźniów i wdów po kamorystach mieszkających na jednej ulicy można odgadnąć po tym, jak ciężkie siatki noszą *sottomarini*.

Don Ciro był jedynym *sottomarino,* jakiego udało mi się poznać. Mieszkał w historycznym centrum Neapolu. Roznosił wypłaty w klanach, które były już w rozsypce, ale w ostatnich czasach, jakże sprzyjających dla zorganizowanej przestępczości, starają się na nowo zaktywizować, a nie tylko utrzymać na powierzchni. Pracował dla klanów z Quartieri Spagnoli oraz, przez kilka lat, także dla rodzin z Forcelli. Kiedy go poznałem, pracował od czasu do czasu dla klanu z Sanità. Don Ciro świetnie sobie radził z odnajdowaniem w labiryncie zaułków neapolitańskich mieszkań w domach bez numerów, w suterenach, pod schodami, na zapleczach. Do tego stopnia, że listonosze, którzy gubili się w nich bez przerwy, prosili go czasem o doręczenie korespondencji adresatom. Buty Don Cira były zniszczone, miały zdeptane obcasy i wybrzuszenia od koślawych paluchów na noskach. Te buty mogłyby być emblematem wszystkich *sottomarini*, miały na sobie wypisaną historię kilometrów przemierzonych w ciasnych zaułkach i stromych uliczkach, wypełnionych paranoicznym strachem przed napadami i pościgami. Spodnie Don Cira wyglądały na znoszone, były czyste, ale niewyprasowane. Żona mu umarła, a konkubina z Mołdawii była zbyt młoda, żeby się nim odpowiednio zająć. Był bardzo strachliwy, kiedy ze mną rozmawiał, wzrok wbijał w ziemię. Jego wąsy były żółte od nikotyny, podobnie jak wskazujący i środkowy palec prawej ręki. *Sottomarini* przynoszą wypłatę także mężom kobiet mafii, które trafiły za

kratki. Otrzymywanie comiesięcznej pensji uwięzionej żony jest upokarzające, dlatego mężowie często urządzają publiczne przedstawienia z nieszczerymi pretensjami, krzykami na klatce schodowej, ostentacyjnym wyrzucaniem z domu, nigdy jednak nie zapominają przedtem zabrać koperty. *Sottomarini*, żeby uniknąć tych scen, zanoszą wypłatę matkom zatrzymanych, z prośbą o doręczenie rodzinie. *Sottomarini* wysłuchują od żon kamorystów wszelkich możliwych skarg. Skarg na coraz wyższe rachunki, coraz droższy czynsz, na dzieci, które nie zdają do następnej klasy albo chcą się zapisać na uniwersytet. Wysłuchują ich żądań, narzekań na żony innych kamorystów, które mają więcej pieniędzy, bo ich kuci na cztery nogi mężowie potrafili awansować w klanie do wyższej rangi. Kobiety mówią, a Don Ciro powtarza tylko: „Tak, wiem, wiem". Kiedy już dadzą upust swemu niezadowoleniu, pod koniec ich gadania wypowiada jedno z tych dwóch zdań: „To nie zależy ode mnie" albo „Ja tylko przynoszę pieniądze, ja nie decyduję". Kobiety doskonale wiedzą, że *sottomarini* o niczym nie decydują. Mają jednak nadzieję, że wcześniej czy później przekażą ich pretensje komuś, kto ma większą władzę i może ten ktoś w końcu zdecyduje się podwyższyć im pensje i wyświadczyć czasem jakąś przysługę. Don Ciro był tak przyzwyczajony do kwitowania wypowiedzi swoich rozmówców zdawkowym: „tak, wiem, wiem", że powtarzał to za każdym razem, gdy się z nim rozmawiało, niezależnie od tematu rozmowy. Zanosił wypłaty setkom kobiet kamorry, mógłby spisać wspomnienia pokoleń żon i narzeczonych oraz osamotnionych mężczyzn. Mógłby opracować historiografię komentarzy krytycznych skierowanych przeciw bossom i politykom. Ale Don Ciro był milczącym i melancholijnym *sottomarino* i postarał się, żeby jego głowa stała się pustym pudłem rezonansowym. W tej pustce każde wysłuchane słowo odbijało się echem i nie zostawiało żadnego śladu. W czasie naszego spotkania, gdy z nim rozmawiałem, wyprowadził mnie z centrum miasta, aż dotarliśmy na peryferie Neapolu. Tam pożegnał się ze mną, wsiadł do autobusu i wrócił do punktu, z którego wyruszyliśmy. Wszystko to należało do procedury, której zawsze przestrzegał, by nikt nie odgadł, nawet w przybliżeniu, gdzie mieszka.

Dla wielu kobiet małżeństwo z kamorystą jest jak pożyczka od losu, jak zdobyty kapitał. Jeżeli opatrzność i własne umiejętności pozwolą, ten kapitał da owoce, kobieta stanie się biznesmenką, szefową, generałem w spódnicy z nieograniczoną władzą. Jeżeli się nie uda, pozostanie jej jedynie wysiadywanie godzinami w więziennej poczekalni, a jeżeli do tego klan podupadł i nie może wypłacać pensji – upokarzające poszukiwanie pracy opiekunki, w rywalizacji z imigrantkami z Europy Wschodniej, żeby opłacić adwokatów i dać jeść dzieciom. Ciała kobiet kamorry są podstawą sojuszów, ich twarze oraz zachowanie demonstrują siłę rodziny. Przyciągają wzrok czarnymi welonami na pogrzebach, zwracają uwagę krzykami podczas aresztowań oraz pocałunkami przesyłanymi za kraty podczas przesłuchań w salach sądowych.

Powszechne wyobrażenie o kobietach kamorry opiera się na tradycyjnym micie, według którego są one jedynie echem bólu i woli mężczyzn: braci, mężów, synów. Ale prawda wygląda inaczej. Transformacja świata kamorry w ostatnich latach pociągnęła za sobą także zmianę roli kobiety. Jest już nie tylko matką czy opiekunką w razie niedoli, ale ma szansę pełnić funkcję menedżera, zajmującego się wyłącznie sferą finansów i przedsiębiorczości, pozostawiając mężczyznom kwestie militarne i nielegalne transakcje.

W historii kamorry zapisała się postać Anny Mazzy, wdowy po ojcu chrzestnym Afragoli, jednej z pierwszych kobiet skazanych za przestępstwa popełnione we współpracy z organizacją kryminalną o charakterze mafijnym, kobiety-bossa związku przestępczego i jednocześnie spółki biznesowej, jednej z najpotężniejszych na rynku. Początkowo Anna Mazza wykorzystywała stosunki męża Gennara Moccii, zamordowanego w latach 70. Czarna Wdowa kamorry, jak ją nazywano, przez ponad dwadzieścia lat była mózgiem klanu Moccia. Była zdolna rozpościerać sieci wpływów wszędzie, tak sprawnie, że kiedy w latach 90. została skazana na przymusowy pobyt w pobliżu Treviso, potrafiła, co stwierdzono w wyniku różnych dochodzeń, nawiązać kontakty z mafią z Brenta i odbudować swoje wpływy, pomimo tego, że przebywała w całkowitym odosobnieniu. Bezpośrednio po śmierci męża była oskarżona o uzbrojenie swojego niespełna trzynastoletniego syna i zlecenie mu zamordowania zabójcy ojca. Została jednak oczyszczona z tego zarzutu z powodu braku dowodów. Anna Mazza zarządzała klanem w sposób arbitralny, stawiając na

przedsiębiorczość i ograniczając interwencje z użyciem broni. Potrafiła wywierać wpływ na legalne struktury na terenie, który podlegał jej hegemonii, o czym najlepiej świadczy fakt rozwiązania w 1999 roku Rady Miejskiej w Afragoli, po stwierdzeniu infiltracji kamorry. Lokalni politycy potrzebowali jej, zależało im na jej protekcji. Anna Mazza była pionerką. Przed nią słyszano tylko o Pupetcie Maresca, pięknej morderczyni-mścicielce, o której w latach 50. mówiły całe Włochy, po tym jak w szóstym miesiącu ciąży pomściła śmierć swojego męża Pascalone'e Noli.

Anna Mazza była nie tylko mścicielką. Szybko zrozumiała, że może dużo skorzystać na kulturalnym zacofaniu bossów kamorry, które gwarantowało kobietom bezkarność. Zabezpieczało ją przed ryzykiem utraty życia w wyniku zawiści, konfliktu czy zamachu. W latach 80. i 90. kierowała rodziną, koncentrując się przede wszystkim na rozwoju należących do niej przedsiębiorstw, zwłaszcza w sferze budownictwa, w której odnosiła duże sukcesy. Klan Moccia wygrywał najważniejsze przetargi na prace budowlane, kontrolował wydobycie materiałów budowlanych w kamieniołomach, pośredniczył w zakupach terenów pod budowę. Na całym obszarze prowincji neapolitańskiej od Frattamaggore, Crispano, Sant'Antimo aż do Frattaminore i Caiano nic nie działo się bez wiedzy licznych *capozona* klanu Moccia. W latach 90. Moccia stali się filarem Nowej Rodziny, stowarzyszenia klanów, które przeciwstawiły się Nowej Kamorze Zorganizowanej Raffaele Cutola. W sferze obrotów finansowych i wpływów politycznych Nowa Rodzina w krótkim czasie wyprzedziła sycylijską cosa nostrę. Po porażce partii politycznych, które czerpały korzyści ze współpracy z klanami, bossowie Nowej Rodziny byli jedynymi, których po zaaresztowaniu skazywano na dożywocie. Ale kamoryści z Nowej Rodziny nie chcieli grać roli kozłów ofiarnych i płacić za polityków, których kiedyś popierali. Nie chcieli być uznani za przyczynę choroby systemu, który w ich rozumieniu wiele im zawdzięczał. Przecież byli jego aktywną i przynoszącą dochód częścią, nawet jeżeli pozostawali poza prawem! Postanowili zatem rozpocząć współpracę z wymiarem sprawiedliwości. Pasquale Galasso, boss z Poggiomarino był pierwszym spośród kamorystów najwyższej rangi, którzy „okazali skruchę" w latach 90. Nazwiska, mechanizmy działania, kwoty – Galasso wyznał wszystko, za co państwo zrewanżowało się ochroną dóbr należących do jego rodziny, a częściowo także jego własnych. Galasso wyjawił wszystko, co wiedział.

I to właśnie Moccia, rodzina ciesząca się ogromnym poważaniem, wzięła na siebie zadanie uciszenia go raz na zawsze. Słowa Galassa mogły zniszczyć klan Czarnej Wdowy, wystarczyłoby kilka godzin przesłuchania. Próbowali podpłacić jego ochronę, żeby otruć „skruszonego" kamorystę, planowali zliwidować go strzałami z bazooki. Po kilku nieudanych próbach zorganizowanych przez mężczyzn z klanu do akcji wkroczyła Anna Mazza, która zrozumiała, że nadszedł czas na nową strategię: odstąpienie. Pomysł zaczerpnęła z praktyki terroryzmu i przeniosła do kamorry. Aktywiści organizacji terrorystycznych odstępowali od uprzednio wyznawanej ideologii, ale nie kolaborowali ze służbami bezpieczeństwa, nie ujawniali nazwisk, nie oskarżali ani zleceniodawców, ani wykonawców akcji zbrojnych. Odstępował, kto chciał zaznaczyć swój dystans ideologiczny, komu sumienie nakazywało powziąć taką właśnie decyzję albo kto próbował zdelegitymizować jakąś praktykę polityczną i wiedział, że taki właśnie oficjalnie zadeklarowany opór moralny wystarczy, by zmniejszyć karę za działalność terrorystyczną. Dla wdowy Mazza byłby to na pewno najlepszy sposób na wyeliminowanie zagrożenia, które stwarzali świadkowie koronni, a jednocześnie na przekonanie wszystkich zainteresowanych, że klany nie mają nic wspólnego z instytucjami państwowymi. Odstąpienie pozwoliłoby kamorystom oddalić się od ideologii kamorry, korzystaliby dzięki temu z możliwości złagodzenia kary i polepszenia warunków pobytu w więzieniu, jednak bez wyjawiania nazwisk, przymierzy, mechanizmów zarządzania czy szczegółów dotyczących kont bankowych. To, co niektórzy obserwatorzy uważają za ideologię kamorystów, dla klanów nie jest niczym więcej, jak tylko zbiorem zasad stosowanych w biznesie i pozwalających osiągnąć korzyści finansowe. Klany znalazły się w fazie transformacji: znikła retoryka kryminalna, mania Cutola, który ideologizował działania kamorry, należała do przeszłości. Odstąpienie mogło stać się skuteczną bronią przeciw zabójczej władzy „skruszonych", których zeznania były wprawdzie pełne sprzeczności, ale i tak stanowiły główne narzędzie ataku na władzę kamorry. Czarna Wdowa zrozumiała możliwości, jakie dawał ten fortel. Jej synowie napisali do pewnego księdza list, w którym wyznali, że pragną się wyzwolić z macek kamorry, a dowodem ich odstąpienia od klanu będzie samochód pełen broni zostawiony przed kościołem w Acerra. Podobnie postępuje IRA z Anglikami. Złożenie broni. Ale kamorra nie jest

organizacją niepodległościową, zbrojną komórką, a broń nie jest prawdziwym narzędziem jej władzy. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby odnaleźć ten samochód i strategia odstąpienia od mafii, której pomysł pojawił się w głowie pewnej kobiety-bossa, z czasem straciła na atrakcyjności, nie została przedstawiona w parlamencie ani w prokuraturze, ani nawet poparta przez klany. „Skruszeni" byli coraz liczniejsi i, prawdę mówiąc, coraz mniej użyteczni. Galasso w swoich zeznaniach przedstawił system zbrojny klanu, ale praktycznie nie tknął sfery finansowej i sfery powiązań politycznych. Anna Mazza kontynuowała swoje wysiłki w kierunku budowy czegoś w rodzaju matriarchatu kamorry, w którym kobiety stanowiłyby prawdziwe centrum władzy, a rola mężczyzn byłaby ograniczona do funkcji zbrojnej lub do roli pośredników dopuszczanych do kierowania interesami klanu pod warunkiem, że ważniejsze decyzje podejmują kobiety. Decyzje najważniejsze, ekonomiczne i militarne, pozostawały w gestii Czarnej Wdowy.

Kobiety wzbogacały klan o swoje zdolności menedżerskie, poza tym nie miały tej obsesyjnej potrzeby mężczyzn manifestowania władzy ani skłonności do wchodzenia w konflikty. Kobiety zarządzające klanem, kobiety-ochroniarze swoich szefowych, kobiety-przedsiębiorcy, dbające o interesy klanu. „Dama do towarzystwa" Anny Mazzy, Immacolata Capone, zrobiła z czasem sporą karierę wewnątrz klanu. Była matką chrzestną Teresy, córki Anny. Nie przypominała matrony z włosami wymodelowanymi suszarką i pełnymi policzkami, jak Anna Mazza. Była drobna, gładkie, jasne włosy nosiła krótko obcięte, ubierała się z surową elegancją. W niczym nie kojarzyła się z mrocznym obrazem kobiety kamorry. Nie szukała oparcia w mężczyznach, to raczej mężczyźni starali się u niej o protekcję. Wyszła za mąż za Giorgia Salierno, kamorystę zamieszanego w akcje skierowane przeciw „skruszonemu" Galasso, później związała się z mężczyzną należącym do klanu Puca z Sant'Antimo, rodziny o sławnej przeszłości, bliskiej Cutolowi. Szczególny rozgłos przyniósł mu brat konkubenta Immacolaty, Antonio Puca. W jego kieszeni znaleziono kalendarzyk z nazwiskiem Enza Tortory, sławnego dziennikarza telewizyjnego, który między innymi na tej podstawie został niesprawiedliwie oskarżony o przynależność do kamorry. Kiedy pozycja w klanie i zasoby finansowe Immacolaty były już dość wysokie, klan dotknął kryzys. Aresztowania i zeznania „skruszonych" wystawiły na

niebezpieczeństwo dorobek benedyktyńskiej pracy Czarnej Wdowy. Immacolata postawiła wtedy na budownictwo, zarządzała też cegielnią znajdującą się w centrum Afragoli. Przedsiębiorczyni zrobiła wszystko, by zbliżyć się do klanu Casalesi, który ma największe udziały w przedsięwzięciach związanych z budownictwem, w wymiarze ogólnokrajowym oraz międzynarodowym. Według dochodzeń DDA z Neapolu, Immacolata Capone zdołała doprowadzić do tego, że firmy należące do rodziny Moccia zdobyły na nowo pozycję lidera w branży budowlanej. Współpracowała z przedsiębiorstwem MOTRER specjalizującym się w robotach ziemnych, jednym z najważniejszych w południowych Włoszech. Zorganizowała system działający bez zarzutu, także, jak to wynika ze śledztwa, dzięki jednemu z miejscowych polityków. Polityk ogłaszał przetargi, wygrywał je lokalny przedsiębiorca, po czym pani Immacolata podpisywała z nim umowę o podwykonawstwo. Myślę, że widziałem ją tylko jeden raz. To było właśnie w Afragoli, kiedy wchodziła do supermarketu. Ochraniały ją dwie dziewczyny. Jechały za jej samochodem smartem. Tym szykownym, dwuosobowym modelem jeżdżą wszystkie kamorystki. Sądząc po grubości drzwi, smart był kuloodporny. Zwykle wyobrażamy sobie kobiety-ochroniarzy jako kulturystki, których napompowane mięśnie upodabniają je do mężczyzn. Uda jak kiście winogron, piersi pochłonięte przez mięśnie piersiowe, przerośnięte bicepsy, szyja jak pień drzewa. Tymczasem ochroniarki, które miałem przed sobą, wcale nie wyglądały jak herod-baby. Jedna była niska, miała szeroką, obwisłą pupę i zbyt czarną farbę na włosach, druga była szczupła, wątła i koścista. Zwróciłem uwagę na ich starannie dobraną garderobę i na to, że obydwie miały na sobie coś, co kolorem pasowało do ich jaskrawożółtego smarta. Jedna była ubrana w żółtą bluzkę, natomiast ta, która siedziała za kierownicą, nosiła okulary słoneczne z żółtymi oprawkami. Ten kolor był tak specyficzny, że jego wybór nie mógł być przypadkowy. Miał w sobie element zawodowstwa. Taki sam odcień żółci miał kombinezon motocyklisty, który Uma Thurman nosiła w filmie *Kill Bill* Quentina Tarantino, w filmie, w którym po raz pierwszy kobiety są przestępcami najwyższej rangi. Ten właśnie żółty kombinezon ma na sobie Uma Thurman także na plakacie filmu, na którym trzyma w ręku okrwawiony miecz samurajski. Kolor, który na długo pozostaje pod powiekami, a może i na kubkach smakowych. Kolor tak nienaturalny, że łatwo może stać się

symbolem. A zwycięski biznes musi mieć zwycięski image. Nic nie można pozostawiać przypadkowi, nawet koloru samochodu i uniformu ochrony. Immacolata Capone dała przykład, po niej wiele kobiet działających w różnym charakterze i w różnej randze w kamorze zaczęło wymagać żeńskiej ochrony i dbać o jej styl i wizerunek.

Musiała chyba jednak popełnić jakiś błąd. Być może weszła na cudzy teren albo znała tajemnice, którymi mogła komuś zagrozić. Immacolata Capone została zabita w marcu 2004 roku w Sant' Antimo, w miejscu zamieszkania jej konkubenta. Była bez obstawy. Myślała pewnie, że nic jej nie grozi. Wykonanie wyroku nastąpiło w centrum miasteczka, killerzy przybyli pieszo. Immacolata Capone, zauważywszy, że jest śledzona, zaczęła uciekać; ludzie wokół niej myśleli, że ktoś wyrwał jej torebkę i teraz ona goni złodzieja, ale przecież miała ciągle jeszcze torebkę na ramieniu. Biegła, przyciskając ją instynktownie do piersi, choć miałaby przecież większe szanse na uratowanie życia, gdyby porzuciła to, co utrudniało jej ucieczkę. Wbiegła do sklepu z mięsem, ale nie zdążyła schować się za ladą. Zabójcy dogonili ją i przytknęli lufę pistoletu do karku. Dwa strzały. W ten sposób zacofanie kulturalne, którego efektem było oszczędzanie kobiet, i na którym tyle skorzystała Anna Mazza, zostało nadrobione. Czaszka rozbita kulami, twarz w kałuży gęstej krwi były znakiem nowoczesnego stylu polityki militarnej kamorry. Żadnej różnicy między kobietą a mężczyzną, żadnego domniemanego kodeksu honorowego.

Matriarchat klanu Moccia działał powoli, ale skutecznie. Był zawsze gotowy wejść do dużych interesów, robił na swoim terenie roztropne inwestycje, pośredniczył w pierwszorzędnych transakcjach finansowych, postawił na wykup terenów i unikał konfliktów i przymierzy, które mogłyby zaszkodzić interesom rodziny. Teraz na terytorium pozostającym pod jego kontrolą wznosi się największy w całych Włoszech kompleks budynków Ikei. Tam też znajduje się największy plac budowy linii kolejowej przystosowanej do dużych prędkości, łączącej południowe Włochy z Rzymem. W październiku 2005 roku po raz kolejny rozwiązano radę miejską w Afragoli, udowodniwszy jej związki z mafią. Oskarżenia były poważne, udowodniono, że grupa radnych z Afragoli wystąpiła do dyrekcji pewnego przedsiębiorstwa handlowego z prośbą o zaangażowanie ponad dwustu pięćdziesięciu osób ściśle powiązanych z klanem Moccia.

Na decyzję o rozwiązaniu Rady Miejskiej w Afragoli miało także wpływ pogwałcenie prawa przy wydawaniu niektórych koncesji budowlanych. Na terenach należących do bossów wyrosły ogromne konstrukcje, coraz głośniejsza staje się też sprawa szpitala. Władze administracyjne Afragoli zatwierdziły jego budowę na terenach, które krótko przedtem klan Moccia zakupił za bardzo niską cenę jako grunty rolne. Rzecz jasna, tereny te zostały odsprzedane gminie za astronomiczne sumy, wyższe o około 600 procent od ceny początkowej. Taki zysk mogły osiągnąć tylko kobiety klanu Moccia.

Kobiety walczące na pierwszej linii frontu, w obronie majątku klanu. Jak Anna Vollaro, wnuczka bossa klanu Portici, Luigiego Vollaro. Miała dwadzieścia dziewięć lat, kiedy policja pojawiła się w pizzerii należącej do rodziny, by zająć ją z wyroku sądu. Na tę wiadomość dziewczyna sięgnęła po kanister benzyny, oblała się nią i podpaliła zapalniczką. Zaraz potem puściła się w szalony bieg, żeby nikt nie próbował ugasić ognia. Na koniec zderzyła się z murem i w tym miejscu ściana pozostała czarna, jak wtedy, kiedy w gniazdku elektrycznym nastąpi krótkie spięcie. Anna Vollaro spaliła się żywcem, żeby zaprotestować przeciw zajęciu nieruchomości nabytej za pieniądze z nielegalnej działalności, które ona uważała za owoc normalnej, uczciwej pracy.

Sądzi się, że w organizacjach przestępczych po osiągnięciu sukcesu militarnego przechodzi się do działalności przedsiębiorczej. Tak jednak nie jest, a przynajmniej nie zawsze. Za przykład może służyć faida w Quindici, miejscowości w prowincji Avellino, która cierpi z powodu duszącej obecności dwóch klanów: Cava i Graziano, od lat znajdujących się w stanie wojny. Kobiety stanowią w nich fundament, decydują o wszelkich posunięciach finansowych. Po trzęsieniu ziemi w 1980 roku na zniszczone tereny Valle di Lauro przypłynęły miliardy lirów na odbudowę. Dało to początek powstaniu grupy bogatych przedsiębiorców budowlanych związanych z kamorrą. Ale w Quindici sprawy potoczyły się inaczej niż w pozostałej części Kampanii. Od wielu lat zamiast zwykłych starć między frakcjami rozgrywała się tam prawdziwa krwawa faida między dwiema rodzinami. Ofiary ponad czterdziestu okrutnych zamachów zbrojnych zostawiły żałobę po obu stronach konfliktu. Fala nieuleczalnej nienawiści niczym zaraza zalała serca pokoleń członków obu rodzin. Quindici bezsilnie patrzyło na powtarzające się raz po raz masakry. Jeszcze w latach

70. rodzina Cava stanowiła tylko odgałęzienie rodu Graziano. Konflikt rozpoczął się w latach 80., kiedy Quindici otrzymało 100 miliardów lirów na odbudowę szkód spowodowanych trzęsieniem ziemi. Ta ogromna suma stała się kością niezgody; rozpoczęły się spory o kontrakty na roboty budowlane, o zlecenia na prace publiczne, o zamówienia rządowe i łapówki. Państwowe pieniądze, a także zręczne manewry kobiet obu klanów pozwoliły im stworzyć potężne przedsiębiorstwa budowlane. Pewnego dnia w biurze burmistrza Quindici, wybranego dzięki poparciu rodziny Graziano, pojawiła się uzbrojona grupa należąca do klanu Cava. Nie zaczęli strzelać od razu, i tylko dlatego pierwszy obywatel miasteczka zdążył uciec przez okno, wdrapać się na dach ratusza i po dachach sąsiednich domów umknąć przed zabójcami. Klan Graziano miał w swoich szeregach pięciu burmistrzów, z których dwóch zostało zamordowanych, a trzech zdjętych z urzędu decyzją prezydenta Republiki za związki z kamorrą. Przez pewien okres zdawało się, że coś może się zmienić. Na stanowisko burmistrza została wybrana pewna młoda farmaceutka, Olga Santaniello. Sile kobiet z rodzin Cava i Graziano mogła stawić czoło tylko inna silna kobieta. Próbowała na wszystkie sposoby rozpuścić brudy kamorry, ale jej się nie udało. 5 maja 1998 roku Vallo Lauro zalała powódź. Domy nasiąknęły wodą, zapełniły się szlamem, ziemia zamieniła się w bagno, a ulice w kanały. Olga Santaniello utopiła się. Błoto, które ją udusiło, przyniosło klanom podwójną korzyść. Powódź spowodowała napływ nowych funduszy na naprawę szkód, które wzmocniły potencjał obu rodzin. Na burmistrza wybrano Antonia Siniscalchiego, po czterech latach, z woli obywateli Quindici, przedłużono mu mandat. Po jego pierwszym wyborczym zwycięstwie z siedziby sztabu ruszył pochód, na którego czele kroczył burmistrz, radni oraz ich najważniejsi zwolennicy. Pochód dotarł do osiedla Brosagro i przeszedł pod domem Artura Graziano zwanego Guaglione, czyli „chłopak”, ale nie jego pozdrawiano z ulicy. Na balkonie domu stały rzędem, według wieku, kobiety rodziny Graziano, gotowe przyjąć wyrazy uszanowania i respektu od nowego burmistrza, po tym jak śmierć definitywnie wyeliminowała Olgę Santaniello. W czerwcu 2002 roku DDA z Neapolu aresztowało Antonia Siniscalchiego. Prokuratura Antymafii oskarżyła go o to, że pierwsze pieniądze, jakie napłynęły z kasy państwa na naprawę szkód, przeznaczył w drodze przetargu na budowę

murowanego ogrodzenia willi-bunkra rodziny Graziano i na naprawę nawierzchni ulicy przebiegającej w jej sąsiedztwie.

Wille rozrzucone po całym Quindici, tajemne kryjówki i wyasfaltowane, dobrze oświetlone ulice powstały decyzją rady miejskiej, która za państwowe pieniądze chroniła rodzinę Graziano przed zamachami i zasadzkami. Najważniejsi członkowie obu klanów żyli zabarykadowani za murami nie do przejścia, pod stałym, całodobowym nadzorem kamer.

Boss Biagio Cava został zaaresztowany na lotnisku w Nicei przy odprawie, miał lecieć do Nowego Jorku. Z chwilą jego uwięzienia cała władza znalazła się w rękach córki i żony, w rękach kobiet klanu. Kobiety pokazywały się w miasteczku, nie były już tylko tajemniczymi zarządczyniami biznesów rodziny, mózgami klanu, ale rozpoznawalnymi osobami, twarzami i oczami władzy. Członkowie rywalizujących z sobą rodzin, spotykając się na ulicy, wymieniali straszne, pełne nienawiści spojrzenia, patrzyli na siebie z góry, przyklejali nieruchomy wzrok do kości policzkowych w absurdalnym pojedynku, w którym przegrywał ten, kto pierwszy opuszczał oczy. Atmosfera w miasteczku była bardzo napięta i kobiety z rodziny Cava zdecydowały, że nadszedł czas chwycić za broń. Przedsiębiorczynie miały zamienić się w killerki. Trenowały w domach, wystrzeliwały przy głośnej muzyce magazynek za magazynkiem do worków napełnionych orzechami laskowymi z rodzinnych plantacji. Podczas wyborów w 2002 roku jeździły w swoim audi 80, uzbrojone, po ulicach Quindici. Były to Maria Scibelli, Michelina Cava i dwie dziewczyny, szesnastoletnia Clarissa i siedemnastoletnia Felicetta Cava. Na ulicy Cassesse ich auto minęło się z samochodem, który wiózł z naprzeciwka Stefanię i Chiarę Graziano, obydwie zaledwie dwudziestoletnie. Z audi padły strzały, ale panie Graziano, jakby się tego spodziewały, zatrzymały samochód w miejscu i zdołały skręcić. Przyspieszyły, zawróciły i uciekły. Strzały rozbiły szyby i podziurawiły karoserię, ale nie sięgnęły ich. Dwie dziewczyny wróciły do domu w histerii. Anna Scibelli, ich matka, oraz boss Luigi Salvatore Graziano, siedemdziesięcioletni patriarcha rodziny, postanowili natychmiast pojechać za agresorkami i zemścić się na nich. Pojechali alfą romeo, z obstawą czterech mężczyzn w samochodzie kuloodpornym, uzbrojonych w karabiny maszynowe. Dogonili audi z kobietami Cava, uderzyli w niego kilkakrotnie zderzakiem od tyłu. Auto z obstawą odcięło im boczną drogę ucieczki,

później wyprzedziło audi i zahamowało przed nim, uniemożliwiając dalszą jazdę. Kobiety z rodziny Cava pozbyły się już broni po nieudanym ataku, w obawie, że zatrzymają je karabinierzy. Teraz więc, gdy zagrodzono im drogę, otworzyły drzwi swojego samochodu, wyskoczyły i rzuciły się do ucieczki. Członkowie klanu Graziano otworzyli ogień. Deszcz kul trafił w nogi, głowy, plecy, piersi, policzki, oczy. Po kilku sekundach wszystkie leżały na ziemi, pogubiwszy buty, z nogami w powietrzu. Wydaje się, że zabójcy znęcali się nad zwłokami kobiet, ale nie zauważyli, że jedna z nich była jeszcze żywa. Felicetta Cava uratowała się. W torebce jednej z pasażerek audi znaleziono buteleczkę z kwasem; być może po zastrzeleniu kobiet z wrogiej rodziny chciały kwasem poparzyć im twarze.

Kobiety mają większą od mężczyzn skłonność do traktowania aktu kryminalnego tak, jakby był odosobnionym, ograniczonym w czasie epizodem, krokiem, który należało podjąć, i który można zaraz zostawić za sobą albo nawet jakby był tylko czyimś subiektywnym osądem. U kobiet kamorry można często zauważyć taki właśnie sposób myślenia. Czują się obrażane i szkalowane, jeśli ktoś nazwie je kamorystkami, kryminalistkami. Jak gdyby o tym, czy ktoś jest przestępcą, czy nim nie jest, decydował osąd innych, czyjeś oskarżenie, a nie jego własne uczynki, jego postępowanie. Jakby dopiero oskarżenie określało czyn, nadawało mu charakter przestępstwa. Znamienne jest też, że aż do dzisiaj, w odróżnieniu od mężczyzn, żadna kobieta-boss kamorry nie została świadkiem koronnym. Nigdy.

Erminia Giuliano, z powodu swoich błękitnych oczu zwana Celeste, zawsze silnie się angażowała w ochronę majątku swojej rodziny. Piękna siostra bossów Forcelli, Carmine i Luigiego, według wyników dochodzenia zarządzała kapitałami klanu przeznaczonymi na inwestycje w nieruchomościach i w sferze handlowej. Celeste jest ucieleśnieniem wyobrażenia o klasycznej piękności z neapolitańskiej starówki, z włosami ufarbowanymi na platynowy blond oraz jasnymi i zimnymi jak lód oczami obwiedzionymi ciężkim makijażem. Z ramienia klanu kontaktowała się ze światem zewnętrznym w sprawach finansowych i prawnych. W 2004 roku skonfiskowano rodzinie Giuliano majątek wartości 28 milionów euro, pochodzący z działalności gospodarczej klanu, majątek, który stanowił jego finansowe płuca. Członkowie rodziny byli właścicielami sieci sklepów w Neapolu i na prowincji oraz firmy opatrującej swoje produkty znakiem

towarowym, który stał się popularny dzięki zdolnościom menedżerskim kierownictwa oraz militarnemu i finansowemu wsparciu klanu. Produkty z tą marką są rozprowadzane w sieci 59 punktów sprzedaży w systemie franczyzowym w całych Włoszech oraz w Tokio, Bukareszcie, Lizbonie i Tunisie.

Klan Giuliano, którego okres największej prosperity przypada na lata 80. i 90., powstał w samym środku podbrzusza Neapolu, w Forcelli, dzielnicy, do której pasuje mitologia każdej miejskiej kasby, wszelkie legendy o gnijących wnętrznościach najstarszych części miast o długiej historii. Klan Giuliano wyrósł z biedy i osiągnął szczyty sukcesu finansowego, przebywszy drogę od przemytu do prostytucji, od haraczów ściąganych cierpliwie od drzwi do drzwi, po uprowadzenia. Ogromna dynastia obejmująca kuzynów, wnuków, wujków, bliższych i dalszych krewnych. Do szczytu władzy doszli pod koniec lat 80. i do dziś cieszą się dużym autorytetem, którego raczej nie stracą. Jeszcze teraz ten, komu zachciałoby się rządzić w Forcelli, musi wziąć pod uwagę, że będzie miał do czynienia z rodziną Giuliano. Członkowie tego klanu dobrze pamiętają, czym jest nędza, i czują paniczny strach przed jej powrotem. Dziennikarz Enzo Perez zanotował kiedyś zdanie wypowiedziane przez Luigiego Giuliano, króla Forcelli, które doskonale oddaje jego wstręt do biedy: „Nie zgadzam się z Tommasinem, ja lubię szopki bożonarodzeniowe, tylko pasterze są paskudni!”.

To prawda, że twarz władzy absolutnej kamorry ma coraz częściej kobiece rysy, ale prawdą jest także, że kobiety łatwiej dostają się w jej miażdżące tryby. Annalisa Durante miała czternaście lat, kiedy 27 marca 2004 roku zginęła zastrzelona. Czternaście lat. Czternaście lat. Kiedy to sobie powtarzam, za każdym razem czuję się tak, jakby ktoś przeciągał lodowato zimną, mokrą gąbką po moich plecach. Byłem na pogrzebie Annalisy Durante. Przybyłem wcześnie w pobliże kościoła w Forcelli. Kwiatów jeszcze nie przywieziono, wszędzie wisiały klepsydry. Kondolencje, łzy, przejmujące wspomnienia koleżanek z klasy. Annalisa Durante została zastrzelona. Ciepły wieczór, może pierwszy tak ciepły wieczór tej deszczowej wiosny. Annalisa postanowiła spędzić go z koleżanką. Miała na sobie ładną sukienkę, która podkreślała kształty jej młodziutkiego, jędrnego, już lekko opalonego ciała. Takie wieczory wydają się stworzone do tego, żeby zawierać nowe znajomości, a czternaście lat dla

dziewczynki z Forcelli to najlepszy wiek na znalezienie chłopca, z którym będzie się potem prowadzać aż do ślubu. Czternastoletnie dziewczęta w biednych dzielnicach Neapolu wyglądają już jak dorosłe kobiety. Twarze z ciężkim makijażem, piersi podniesione stanikami *push up*, botki o ostrych noskach i na obcasach, które stwarzają poważne zagrożenie dla kostek nóg. Trzeba sporych zdolności ekwilibrystycznych, by utrzymać w nich równowagę na wulkanicznym bazalcie, który pokrywa ulice Neapolu i który zawsze był wrogiem damskich butów. Annalisa była ładna. Bardzo ładna. Z koleżanką i kuzynką słuchały muzyki, posyłając spojrzenia chłopcom, którzy przejeżdżali w pobliżu na skuterach, z piskiem opon, ryzykownie lawirując między samochodami i przechodzącymi ludźmi. To rytuał zalotów. Atawistyczny akt, zawsze ten sam. Ulubiona muzyka dziewcząt z Forcelli to melodyjne, romantyczne piosenki, które świetnie się sprzedają w ubogich dzielnicach Neapolu, a także Palermo czy Bari. Wśród wykonawców absolutnym idolem jest Gigi D'Alessio, któremu udało się wyjść z zamkniętego kręgu południowej prowincji i zdobyć popularność w całych Włoszech, podczas gdy inni, setki innych pozostało gwiazdkami dzielnicy, zaułka, kamienicy. Każdy tutaj ma swego ulubionego piosenkarza. Nagle, podczas gdy z radiowego trzeszczącego głośnika wydobywają się wysokie tony jakiejś melodyjnej piosenki, w uliczkę wlatują dwa skutery w pogoni za kimś. Uciekinier biegnie ulicą. Annalisa, jej kuzynka i koleżanka nie zorientowały się, o co chodzi, myślą, że to zabawa, może chodzi o zakład. Padają strzały. Pociski rykoszetują o ściany. Annalisa leży na ziemi, dosięgnęły ją dwie kule. Wszyscy uciekają z miejsca strzelaniny, z pobliskich balkonów, których drzwi są zawsze otwarte na wieści z ulicy, wychylają się głowy. Krzyki, karetka pogotowia, szybka jazda do szpitala. Ciekawość i niepokój wypełniają dzielnicę.

Salvatore Giuliano to sławne nazwisko. Już samo w sobie predestynuje tego, kto je nosi, do sprawowania władzy. Ale tutaj, w Forcelli, chłopak, który tak się nazywa, nie potrzebuje odwoływać się do figury legendarnego sycylijskiego bandyty, żeby podbudować własny autorytet. Wystarczy jego własne nazwisko. Giuliano. Sytuację Salvatore pogorszyła decyzja Lovigina Giuliano, by zostać świadkiem koronnym. Zdradził swój klan, żeby uniknąć dożywocia. Ale jak to się dzieje w dyktaturach, miejsce po przywódcy może zająć tylko jego człowiek. A zatem nadal członkowie rodziny Giuliano, choć naznaczeni piętnem hańby, mają monopol na

kontakty z kurierami narkotykowymi, oni też narzucają system ochrony. Z czasem jednak Forcella zaczyna mieć tego dość. Nie chce, żeby rządziła nią rodzina okryta niesławą, obawia się następnych aresztowań i akcji policji. Ale kto chce pozbawić władzy rodzinę Giuliano, musi wyeliminować z gry następcę tronu. Musi narzucić siebie jako jedynego władcę i wyrwać z korzeniami wszelki ślad po Giuliano, to znaczy pozbyć się Salvatore, bratanka Lovigina. Tamten wieczór miał być decydujący, wtedy właśnie mieli zlikwidować dziedzica klanu, który coraz bardziej obrastał w piórka i pokazać Forcelli, że rozpoczyna się dla niej nowa era. Czekają na niego, rozpoznają go. Salvatore idzie spokojnie, ale w pewnej chwili zauważa, że jest na celowniku. Ucieka, killerzy jadą za nim, biegnie, chce się ukryć w jakimś wąskim zaułku. Padają pierwsze strzały. Giuliano prawdopodobnie przebiega przed trzema dziewczynami i wtedy, wykorzystując je jako tarczę, wyciąga w powstałym zamęcie pistolet i zaczyna strzelać. Mija parę sekund i znów rzuca się do ucieczki, killerom nie udaje się go dopaść. W pobliskiej bramie słychać tupot dwóch tylko par nóg, dziewczynki odwracają się, brakuje Annalisy. Wracają na ulicę. Annalisa leży na ziemi, wszędzie pełno krwi, jedna z kul trafiła ją w głowę.

W kościele udaje mi się zbliżyć do ołtarza. Stoi przy nim trumna Annalisy, u jej boków trzymają wartę policjanci w uroczystych mundurach, to dar regionu Kampanii dla rodziny dziewczynki. Na trumnie leżą stosy białych kwiatów. Na marach ktoś położył telefon komórkowy, telefon Annalisy. Jej ojciec lamentuje. Nie może ustać w miejscu, mówi coś do siebie, dłonie w kieszeniach zaciska w pięści. Podchodzi blisko mnie, ale nie do mnie się zwraca, kiedy mówi: „I co teraz? Co teraz?”. Gdy ojciec wybucha płaczem, wszystkie kobiety z rodziny zaczynają krzyczeć, uderzać się w piersi, kołysać się, wydając wysokie, ostre dźwięki; gdy tylko głowa rodziny uspokaja się, kobiety milkną. Za nimi dostrzegam ławki, na których siedzą dziewczęta: koleżanki, kuzynki, sąsiadki. Naśladują matki, w gestach, w ruchach głowy, w kantylenach powtarzających się słów: „To niemożliwe! To niemożliwe!”. Weszły w ważną rolę pocieszycielek. W ich lamentach daje się posłyszeć nutę dumy. Pogrzeb ofiary kamorry jest ich inicjacją, czymś w rodzaju miesiączki albo pierwszego stosunku seksualnego. Podobnie jak ich matki dzięki temu wydarzeniu spełniają aktywną rolę w życiu dzielnicy. Filmują je kamery, wydaje się, że fotografowie, że wszyscy przyszli tu dla nich. Wiele z tych dziewcząt

wkrótce wyjdzie za mąż za kamorystów wyższej albo niższej rangi. Za dealerów albo biznesmenów. Killerów albo handlowców. Wiele z nich straci synów w strzelaninach albo będzie wyczekiwało godzinami na widzenie w więzieniu Poggioreale, żeby zanieść mężom wiadomości i pieniądze. Ale na razie są tylko dziewczynkami ubranymi na czarno, obowiązkowo w spodniach biodrówkach i stringach. Pogrzeb pogrzebem, ale trzeba się ubrać jak należy. Opłakują utratę koleżanki, a jednocześnie są świadome, że jej śmierć zamieni je w kobiety. I mimo całego towarzyszącego temu bólu nie mogły się już tego doczekać. Myślę o powtarzalności porządku rządzącego życiem tutejszych ludzi. Myślę o tym, że władza rodziny Giuliano osiągnęła szczyty, kiedy Annalisy nie było jeszcze na świecie, a jej matka była dziewczynką przyjaźniącą się z innymi dziewczynkami, które później wyszły za mąż za członków rodziny Giuliano i ich współpracowników. W wieku dojrzałym słuchały piosenek Gigiego D'Alessio i uwielbiały Maradonę, który często brał udział w imprezach organizowanych przez rodzinę Giuliano i częstował się ich kokainą. Do dzisiaj wszyscy mają w pamięci zdjęcie Diega Armanda Maradony w wannie o kształcie muszli zrobione w domu Lovigina. Dwadzieścia lat później Annalisa umiera podczas pościgu potomka rodu Giulianich i właśnie Giuliano odpowiada ogniem, używając jej jako żywej tarczy, albo może tylko przebiegając obok niej. Historia się powtarza, ma wciąż ten sam przebieg. Nieodmiennie tragiczny, wiecznotrwały.

Kościół jest przepełniony. Zauważam, że policjanci i karabinierzy są dziwnie podenerwowani. Nie rozumiem dlaczego. Są wzburzeni, chodzą niespokojnie tam i z powrotem, tracą cierpliwość z byle powodu. Dopiero później, kiedy oddalam się kilka kroków od kościoła, pojmuję, o co chodzi. Widzę wóz policyjny, który stoi tak, że oddziela tłum ludzi przybyłych na pogrzeb od grupy starannie ubranych mężczyzn na luksusowych motocyklach, w eleganckich kabrioletach, na skuterach o dużej mocy. To członkowie klanu Giuliano, ostatni wierni Salvatore. Karabinierzy obawiają się, że między nimi a ludźmi z tłumu wywiąże się utarczka słowna i zapanuje chaos. Na szczęście nic takiego się nie wydarzyło, ale obecność kamorystów jest znamienna. Pojawili się, żeby przypomnieć wszystkim, że nikt nie może rządzić się w centrum Neapolu wbrew ich woli, albo przynajmniej bez ich pośrednictwa. Pokazują wszystkim, że to oni tu na razie mają władzę. Pomimo wszystko.

Biała trumna zostaje wyniesiona z kościoła. Ludzie napierają, chcą się zbliżyć i dotknąć jej, niektórzy mdleją, zwierzęce krzyki atakują bębenki uszu. Kiedy trumna przechodzi pod domem Annalisy, jej matka, która nie była w stanie wziąć udziału w nabożeństwie żałobnym, próbuje rzucić się z balkonu. Krzyczy, wymachuje rękami, ma czerwoną, spuchniętą twarz. Powstrzymuje ją kilka kobiet. Rozgrywa się ta sama co zawsze melodramatyczna scena. To nie znaczy, że rytualne płacze, rozdzierające gesty cierpienia są fałszywe albo udawane. Nic podobnego. Pokazują tylko, że większość neapolitanek żyje wciąż na takim poziomie kultury, na którym jest się zmuszonym uciekać się do najwyższego rejestru zachowań symbolicznych, by uwiarygodnić swój ból i pokazać go całej społeczności. I choć jest tragicznie prawdziwy, ich rozpaczliwy żal ma wszelkie cechy inscenizacji.

Dziennikarze nie podchodzą zbyt blisko. Antonio Bassolino i Rosa Russo Iervolino są bardzo wystraszeni. Boją się, że cały ten tłum może powstać przeciwko nim. Nic takiego się nie dzieje. Mieszkańcy Forcelli nauczyli się już czerpać korzyści z polityki i nie chcą robić sobie wrogów. Kilka osób klaszcze służbom bezpieczeństwa. Któraś z dziennikarek jest zachwycona tym gestem. Dzielnica kamorry klaszcze z wdzięcznością karabinierom. Jakaż naiwność. Te oklaski były prowokacją. Lepsi karabinierzy niż Giuliano. Oto, jakie było ich znaczenie. Kamery telewizyjne starają się zarejestrować komentarze na żywo. Jeden z dziennikarzy zbliża się do staruszki o delikatnym wyglądzie. Kobieta łapie za mikrofon i wykrzykuje do niego: „Z powodu tych łajdaków mój syn musi odsiedzieć pięćdziesiąt lat w więzieniu! Mordercy!”. Nienawiść do „skruszonych” jest powszechna. Tłum napiera, atmosfera jest bardzo napięta. Myślę sobie, że ta dziewczynka zginęła, bo pewnego wiosennego wieczoru zeszła do bramy swojego domu, żeby posłuchać muzyki z koleżankami, i czuję mdłości. Muszę zachować spokój. Muszę starać się zrozumieć. Annalisa urodziła się i żyła w tym świecie. Koleżanki opowiadały jej o swoich motocyklowych wycieczkach z młodymi kamorystami z klanu, ona też zakochałaby się w jakimś ładnym, bogatym chłopcu, który miałby otwartą drogę do kariery w Systemie, albo w innym chłopaku z dzielnicy, który przez cały dzień wypruwałby sobie żyły za marne grosze. Mogła znaleźć pracę w jakimś zakładzie produkującym na czarno torebki, dziesięć godzin dziennie za 500 euro miesięcznie. Na

Annalisie duże wrażenie zrobiły charakterystyczne ślady na dłoniach robotnic, które pracują przy produkcji wyrobów skórzanych. Napisała w swoim dzienniczku: „Dziewczęta, które pracują przy torebkach, mają zawsze czarne ręce i siedzą cały dzień zamknięte w warsztacie. Moja siostra Manù robi to samo, ale jej pracodawca przynajmniej nie zmusza jej do pracy, kiedy źle się czuje”. Annalisa stała się tragicznym symbolem, bo jej tragedia dokonała się w sposób bezwzględny i nieodwołalny: zamordowano ją. Ale dla ludzi żyjących w tych stronach życie prawie zawsze niewiele się różni od dożywotniego więzienia, od wyroku, który trzeba odpokutować przewidywalną, okrutną, nieludzką egzystencją. Annalisa zawiniła tym, że urodziła się w Neapolu. Niczym więcej. Kiedy jej ciało w białej trumnie wynoszone jest z kościoła, koleżanka z ławki wybiera jej numer na swojej komórce. Odzywa się telefon na marach: to nowe requiem. Dźwięk nie milknie, słodka melodyjka rozbrzmiewa uparcie. Nikt nie odpowiada.

Część druga

Kałasznikow

Wodziłem po niej palcami. Zamknąłem przy tym oczy. Przesuwałem palcem wskazującym po całej powierzchni. Z góry na dół. Kiedy natrafiałem na dziurę, za paznokieć dostawał się piasek. Zawsze to robiłem, przy wszystkich szybach wystawowych. Czasem w otworze mieściła się cała opuszka palca, czasem tylko pół. Przyspieszałem, przesuwałem palcami po szybie we wszystkich kierunkach, jakby były oszalałymi robakami, które wchodziły i wychodziły z otworów, pokonywały wklęsłości, goniły wte i wewte. W pewnej chwili jakaś ostra powierzchnia przecięła skórę na opuszce. Dalej wodziłem nim po szkle, zostawiając jaskrawoczerwony, rozwodniony ślad. Otworzyłem oczy. Natychmiast poczułem lekki ból. Dziura zapełniła się krwią. Przestałem się wygłupiać. Wyssałem ranę.

Otwory po strzałach z kałasznikowa są doskonałe. Kule ryją szyby pancerne, drążą je jak korniki, które wgryzają się w drewno i zaraz porzucają rozpoczęty tunel. Widziane z daleka robią dziwne wrażenie, wyglądają jak dziesiątki banieczek powstałych wewnątrz szyby, między jej poszczególnymi warstwami. Prawie żaden handlowiec nie wymienia szyb wystawowych swojego sklepu po serii z kałasznikowa. Niektórzy wypełniają otwory po kulach silikonem, inni zaklejają je czarną taśmą, większość nic nie robi. Pancerna szyba wystawowa może kosztować nawet 5 tysięcy euro, lepiej więc zostawić te specyficzne dekoracje. Zresztą mogą stanowić element przyciągający klientów, którzy zatrzymują się z ciekawości, pytają właściciela, co się tu wydarzyło, rozmawiają, a co najważniejsze, kupują więcej, niż zamierzali. Właściciele nie wymieniają więc podziurawionych szyb, tylko czekają na następną serię z karabinu maszynowego z nadzieją, że tym razem rozbije osłabione szkło. Wtedy dostaną pieniądze z ubezpieczenia, bo wczesnym rankiem przyjdą do sklepu, wyniosą ubrania i ostrzelanie szyby wystawowej zostanie zakwalifikowane jako napad rabunkowy.

Strzelanie do witryn nie zawsze ma na celu zastraszenie, nie musi wcale być ostrzeżeniem wysłanym za pomocą ołowianych kul. Czasem wynika z prostej potrzeby. Kiedy nadchodzą nowe partie towaru, trzeba go wypróbować. Sprawdzić, czy kałasznikowy działają, zobaczyć, czy lufa jest dobrze osadzona i czy magazynki się nie blokują. Trzeba się przyzwyczaić do nowej broni, nabrać do niej zaufania. Kamoryści mogliby wypróbować karabinki gdzieś w polach, na starych samochodach, mogliby kupić tafle kuloodpornego szkła i testować w spokoju. Nie robią tego. Strzelają do wystaw sklepowych, do drzwi pancernych, do okiennic. Przypominają w ten sposób, że w gruncie rzeczy wszystko należy do nich, że jest tylko chwilową koncesją, która w każdej chwili może zostać odwołana. Istnieje też korzyść pośrednia, bo na tym terytorium szklarnie, które oferują najniższe ceny na szkło pancerne, są związane z kamorrą, a im więcej zniszczonych wystaw sklepowych, tym większe zyski dla szklarni.

Poprzedniej nocy przyszło około trzydziestu kałasznikowów ze wschodu. Z Macedonii. Skopje–Gricignano d’Aversa: krótka, spokojna podróż, po której jeden z garaży należących do kamorry zapełnił się karabinami maszynowymi i bronią pneumatyczną. Zaraz po upadku żelaznej kurtyny przedstawiciele kamorry spotkali się z przywódcami rozpadających się partii komunistycznych. Przy stole negocjacyjnym reprezentowali potęgę Zachodu, jego możliwości i jego milczenie. Wykorzystując kryzys komunistycznego świata, klany bez oficjalnych umów i bez rozgłosu kupiły od państw Europy Wschodniej: Rumunii, Polski, byłej Jugosławii całe arsenały broni i przez lata opłacały magazynierów, wartowników i oficerów odpowiedzialnych za konserwację broni. Krótko mówiąc, część systemu obronnego tych państw była finansowana przez klany. Jak wiadomo, najlepszym miejscem na ukrycie broni są koszary. Tak więc przez wiele lat, pomimo zmian w kierownictwie, pomimo kryzysów i wewnętrznych konfliktów, bossowie nie mieli trudności z zaopatrywaniem się w broń i nie musieli nawet szukać jej na czarnym rynku, wystarczyło sięgnąć do magazynów wojskowych w Europie Wschodniej, które pozostawały zawsze do ich dyspozycji. Tamtego dnia karabiny zostały załadowane na ciężarówki wojskowe oznakowane po obu bokach symbolem NATO. Były to tiry skradzione z amerykańskich garaży, które dzięki temu napisowi mogły przejechać bez przeszkód połowę Włoch. Baza NATO w Gricignano d’Aversa jest małą,

niedostępną twierdzą, jakby ktoś wzniósł kolumnę z uzbrojonego betonu w samym środku pustej niziny. Zbudowali ją Coppola, jak zresztą niemal wszystko w tych stronach. Amerykanów prawie nigdy nie widuje się w okolicy. Kontrole są rzadkie. Ciężarówki natowskie mają całkowitą swobodę ruchu, więc kiedy broń dotarła do miasteczka, kierowcy zatrzymali się przy centralnym placu, poszli na śniadanie i maczali rogaliki w cappuccino, pytając ludzi w barze, gdzie mogą znaleźć jakichś Murzynów, którzy szybko rozładowaliby towar. Wszyscy rozumieją, co oznacza „szybko". Skrzynie z karabinami są tylko trochę cięższe od skrzynek z pomidorami; afrykańscy chłopcy, którzy chcą sobie dorobić po pracy na polach, dostają dwa euro za skrzynię, cztery razy więcej, niż zarabiają przy pomidorach lub jabłkach.

Przeczytałem kiedyś w czasopiśmie wydawanym przez NATO dla rodzin wojskowych pracujących za granicą artykuł skierowany do osób oddelegowanych do bazy w Gricignano d'Aversa. Przetłumaczyłem sobie jego fragment i przepisałem do notatnika, żeby nie zapomnieć. Brzmiał: „Jeżeli chcecie lepiej zrozumieć, gdzie będziecie mieszkać, przypomnijcie sobie filmy Sergia Leone. Tam jest jak na Dzikim Zachodzie. Są ci, którzy rozkazują, i inni, którzy słuchają, są strzelaniny i niepisane, nienaruszalne zasady, których wszyscy przestrzegają. Ale nie obawiajcie się, obywatelom amerykańskim okazuje się największy respekt i gościnność. W każdym razie z bazy wojskowej wychodźcie tylko wtedy, kiedy to konieczne". Ten jankeski dziennikarz pomógł mi lepiej zrozumieć, w jakim miejscu żyję.

Tamtego dnia spotkałem w barze Mariana. Był niezwykle podekscytowany. Stał przy kontuarze, promieniowała z niego euforia. Choć to było rano, zamówił sobie martini.

– Co się stało?

Wszyscy go o to pytali. Barman odmówił podania mu czwartej kolejki. Ale Mariano nie odpowiadał, jakby wszyscy powinni sami wiedzieć, co go spotkało.

– Chcę go poznać. Pojadę do niego. Powiedzieli mi, że jeszcze żyje. Czy to prawda?

– Co ma być prawdą?

– Jak on to zrobił? Wezmę sobie urlop i pojadę, muszę go po znać...

– Ale kogo?

– Ty sobie nie zdajesz sprawy. Jest leciutki, precyzyjny, możesz wystrzelić dwadzieścia, trzydzieści razy i jeszcze nie minęło nawet pięć minut... To genialny wynalazek!

Był zachwycony. Barman patrzył na niego tak, jak patrzy się na chłopca, który właśnie był ze swoją pierwszą kobietą i ma to wyraźnie wypisane na twarzy. Dopiero po chwili zrozumiałem, co było przyczyną tej euforii. Mariano po raz pierwszy w życiu strzelał z kałasznikowa i zrobiło to na nim tak wielkie wrażenie, że chciał osobiście poznać wynalazcę, Michaiła Kałasznikowa. Nigdy jeszcze do nikogo nie strzelał, do klanu wstąpił, żeby pracować przy dystrybucji niektórych marek kawy w barach na tym obszarze. Młody, po studiach ekonomicznych, odpowiadał za obrót kapitału wartości dziesiątek milionów euro, bo bary i przedsiębiorstwa pokrewne, które chciały wejść do sieci handlowej klanu, były bardzo liczne. Odpowiedzialny za Mariana *capozona* wymagał jednak, żeby wszyscy jego ludzie, z dyplomami czy bez, zwykli „żołnierze” czy biznesmeni, umieli posługiwać się bronią, i dlatego dał Marianowi do ręki karabinek. Nocą Mariano wystrzelił trochę nabojów do szyb wystawowych, wybierając przypadkowe bary. To nie było żadne zastraszenie, ale w końcu, nawet jeżeli on nie znał powodu, dla którego strzelał do tych szyb, ich właściciele na pewno jakiś powód znajdą. Powinni zawsze czuć się winni. Mariano poważnym, profesjonalnym tonem wymienił nazwę karabinka, z jakiego strzelał: AK-47. To symbol karabinka automatycznego najsławniejszego na świecie. Symbol łatwy do odcyfrowania, w którym AK oznacza „awtomat Kałasznikowa”, a 47 odnosi się do roku powstania tego modelu, przyjętego oficjalnie dwa lata później do uzbrojenia wojsk ZSRR. Broni często nadaje się cyfrowe i literowe symbole, jakby dla odwrócenia uwagi od ich śmiercionośnej, bezlitosnej siły. Nadają je przypadkowi podoficerowie przy wprowadzaniu nowych nabytków do magazynowego rejestru, podobnie jak to się robi na przykład ze śrubami. Kałasznikowy są lekkie i proste w obsłudze, nie wymagają skomplikowanych zabiegów konserwatorskich. Jedna z ich zalet polega na średnim kalibrze używanej w nich amunicji: nie jest ani za mała, jak w rewolwerach, dzięki czemu nie traci na sile rażenia, ani za duża, co pozwala uniknąć odrzutu i braku precyzji. Konserwacja i montaż kałasznikowa są tak proste, że dzieci w byłym Związku Radzieckim uczyły się ich średnio w dwie minuty, przy szkolnych ławkach, pod okiem instruktora wojskowego.

Ostatni raz słyszałem strzały z karabinka automatycznego parę lat wcześniej. Niedaleko uniwersytetu Santa Maria Capua Vetere, nie pamiętam dokładnie gdzie, ale na pewno na skrzyżowaniu dróg, cztery auta zablokowały drogę samochodowi, którym jechał Sebastiano Caterino, kamorysta od zawsze związany z Antoniem Bardellino, superbossem kamorry casertańskiej w latach 80. oraz 90., po czym Caterino zginął przy dźwiękach orkiestry kałasznikowów. Przedtem, kiedy Bardellino zniknął i zmieniło się kierownictwo klanu, Caterino zdążył uciec i nie padł ofiarą jatki, która wtedy miała miejsce. Przez trzynaście lat prawie nie ruszał się z domu, za bramę wyjeżdżał tylko opancerzonym samochodem albo wychodził nocą, w przebraniu. Sądził, że po tylu latach przeżytych w ukryciu odzyskał autorytet, poza tym miał nadzieję, iż wrogi klan zapomniał już o przeszłości i nie zaatakuje dawnego bossa. Zaczął więc rozkręcać działalność nowego klanu w Santa Maria Capua Vetere; antyczne miasto Rzymian stało się jego królestwem. Karabinier z San Cipriano d'Aversa, rodzinnej miejscowości Sebastiana, przybywszy na miejsce strzelaniny, powiedział tylko: „Naprawdę paskudnie go potraktowali". Stosunek zabójców do ofiary można poznać po liczbie strzałów. Ci, których zabija się delikatnie, jednym strzałem w głowę lub brzuch, zostali poddani niezbędnej, prawie chirurgicznej operacji, bez gniewu i urazy. Władowanie dwustu kul w samochód i ponad czterdziestu w ciało oznacza, że ktoś pragnie wymazać wszelkie ślady ofiary z powierzchni ziemi. Kamorra ma bardzo dobrą pamięć i dużo cierpliwości. Trzynaście lat, sto pięćdziesiąt miesięcy, cztery kałasznikowy, dwieście strzałów, jedna kula za każdy miesiąc oczekiwania. W niektórych stronach świata nawet broń obdarzona jest pamięcią, zachowuje w sobie nienawiść, którą potem wypluwa w odpowiednim momencie.

Tamtego ranka, gdy wodziłem palcami po dekoracjach zostawionych przez kałasznikowa, miałem na ramionach plecak. Byłem w drodze do Mediolanu, jechałem do mojego kuzyna. To dziwne, ale jeżeli rozmawiasz z kimś na dowolny temat, kiedy tylko napomkniesz, że wyjeżdżasz, wszyscy życzą ci szczęścia i chwalą słuszną decyzję: „Dobrze robisz, tak właśnie trzeba. Ja też bym tak najchętniej zrobił". Nie musisz nawet dodawać szczegółów, objaśniać, po co tam jedziesz. Jakikolwiek byłby powód, zawsze będzie lepszy od tych, które mógłbyś znaleźć, żeby dalej żyć w tych stronach. Kiedy ktoś pyta, skąd pochodzę, nie odpowiadam.

Chciałbym powiedzieć, że z Południa, ale to mi się wydaje zbyt ogólnikowe. Jeżeli pytają mnie o to w pociągu, wbijam wzrok w podłogę i udaję, że nie słyszę, bo przypomina mi się *Sycylijska rozmowa* Elia Vittoriniego i boję się, że gdy tylko otworzę usta, odezwę się słowami Silvestra Ferrato. To nie byłby wcale przypadek. Czasy się zmieniają, ale słowa pozostają te same. Część podróży wypadło mi spędzić z korpulentną panią, która z trudem mieściła się na siedzeniu eurostara. Wsiadła w Bolonii i od razu było widać, że ma ogromną ochotę na konwersację, pewnie po to, żeby wypełnić czymś czas, podobnie jak wypełniła swoim ciałem siedzenie. Uparcie wypytywała mnie, skąd pochodzę, co robię, dokąd jadę. Miałem ochotę, zamiast odpowiedzi, pokazać jej zraniony palec. Ale zrezygnowałem. Odpowiedziałem: „Jestem z Neapolu”. O tym mieście tyle się mówi, że wystarczy wypowiedzieć jego nazwę, żeby cię już o nic więcej nie pytano. Jest to miejsce, w którym zło staje się totalnym złem, a dobro totalnym dobrem. Zapadłem w drzemkę.

Następnego dnia bardzo wcześnie rano zadzwonił do mnie zdenerwowany Mariano. Potrzebował ludzi do przeprowadzenia w Rzymie pewnej delikatnej akcji, w którą zaangażowali się niektórzy przedsiębiorcy z naszych stron. Jan Paweł II był bardzo chory, może już nawet nie żył, chociaż nie przekazano jeszcze tej informacji do wiadomości publicznej. Mariano poprosił mnie, żebym mu towarzyszył w Rzymie. Wysiadłem na następnej stacji i kupiłem bilet na pociąg w przeciwną stronę. Sklepy, hotele, restauracje, supermarkety potrzebowały zaopatrzenia wszelkiego rodzaju. Pojawiała się możliwość zarobienia ogromnych pieniędzy. Miliony ludzi w bardzo krótkim czasie zaleją Rzym, będą mieszkać na ulicach, godzinami siedzieć na chodnikach, będą musiały pić i jeść, krótko mówiąc: kupować. Ceny mogą wzrosnąć potrójnie, wszystko da się sprzedać. Właśnie Marianowi zlecono zajęcie się tym interesem. Mariano zaproponował mi, żebym mu pomógł, oczywiście za odpowiednią zapłatą. Nic za darmo. Obiecano mu za to miesiąc wakacji, wybierał się do Rosji z nadzieją, że spełni się jego marzenie o spotkaniu Michaiła Kałasznikowa. Dostał na to gwarancję od człowieka z rosyjskiej mafii, który zaklinał się, że zna go osobiście. Mariano będzie mógł się z nim spotkać, spojrzeć mu w oczy, dotknąć rąk wynalazcy broni o tak ogromnych możliwościach.

W dzień pogrzebu papieża Rzym był zapełniony zbitą masą ludzką. Ulice miasta zmieniły się nie do poznania. Wyglądało to tak, jakby ta masa

została rozsmarowana na asfalcie, jakby wylała się na niego lawa, która następnie wdarła się w bramy domów i do okien, zajęła wszelkie możliwe przestrzenie. Zdawała się puchnąć, groziła eksplozją kanałów, którymi płynęła. Ludzie wszędzie. Wszędzie. Jakiś wystraszony pies schował się pod autobusem przed nogami, które zadeptały całą jego przestrzeń życiową. Usiedliśmy z Marianem na stopniu schodów prowadzących do jakiegoś domu. Rozsiadła się też na nich grupa osób, które postanowiły śpiewać w intencji papieża nieprzerwanie przez sześć godzin piosenkę o świętym Franciszku. Wyjęliśmy kanapki. Czułem się wyczerpany fizycznie. Za to Mariano był niezmordowany, płacono mu za każdą wydatkowaną przez niego porcję energii, i to go nieustannie nakręcało.

Niespodziewanie usłyszałem, że ktoś mnie woła po imieniu. Zanim obróciłem się w kierunku głosu, już wiedziałem, do kogo należy. To był mój ojciec. Nie widzieliśmy się od dwóch lat. Choć mieszkaliśmy w tym samym mieście, nigdy się nie spotkaliśmy. Nieprawdopodobne, że natknęliśmy się na siebie właśnie teraz, w tym rzymskim labiryncie ludzkich ciał. Ojciec był zakłopotany. Nie wiedział, jak się ma ze mną przywitać, a może tylko nie był pewny, czy może to zrobić tak, jak by tego pragnął. Mimo to był w radosnym nastroju, jak podczas wycieczki, kiedy spodziewasz się, że w ciągu kilku godzin zdarzy ci się wiele przyjemnych chwil, jakich nie będziesz miał szansy przeżyć przez co najmniej trzy następne miesiące, chcesz więc opić się nimi, doświadczyć do głębi. I to szybko, bo może cię ominąć któraś z atrakcji. Wykorzystał to, że pewne rumuńskie linie lotnicze w związku ze śmiercią papieża obniżyły ceny za lot do Włoch, kupił więc bilety dla całej rodziny swojej nowej towarzyszki życia. Wszystkie kobiety z grupy miały zakryte głowy i różaniec zapleciony na palcach. Nie wiem, na jakiej znajdowaliśmy się ulicy, pamiętam tylko ogromne prześcieradło zawieszone między dwiema kamienicami z napisem: „Jedenaste przykazanie: nie pchaj się, a nie będą się na ciebie pchali”. W dwunastu językach. Członkowie nowej rodziny mojego ojca wyglądali na zadowolonych. Byli szczęśliwi, że mogą uczestniczyć w wydarzeniu tak ważnym jak pogrzeb papieża. Wszyscy od dawna marzyli o legalizacji statusu imigrantów. Wspólnie przeżywany ból, uczestnictwo w manifestacji publicznej tak niewyobrażalnych, można by rzec uniwersalnych rozmiarów, był dla tych Rumunów najlepszym sposobem na otrzymanie włoskiego obywatelstwa emocjonalnego, zanim jeszcze

otrzymają obywatelstwo prawne. Mój ojciec uwielbiał Jana Pawła II, fascynowała go charyzma tego człowieka, którego wszyscy całowali po rękach. Jak on to zrobił, że bez uciekania się do szantażu czy skomplikowanych strategii miał wśród ludzi taki posłuch? Wszyscy możni tego świata klękali przed nim. Mojemu ojcu to wystarczyło, żeby podziwiać tego człowieka. Patrzyłem na niego, jak przyklęka obok matki swojej kobiety, żeby odmówić zaimprowizowany przez ludzi na ulicy różaniec. Wśród członków rumuńskiej rodziny zauważyłem małego chłopczyka. Zrozumiałem od razu, że to syn mojego ojca i Micaeli. Wiedziałem, że urodził się we Włoszech, dla uniknięcia problemu z obywatelstwem, ale z woli matki mieszkał w Rumunii. Trzymał się spódnicy matki. Nigdy go dotąd nie widziałem, ale znałem jego imię. Stefano Nicolae. Stefano jak ojciec mego ojca, Nicolae jak ojciec Micaeli. Tata nazywał go Stefano, mama i rumuńska rodzina – Nico. Wkrótce identyfikować się będzie już tylko z imieniem Nico, ale mój ojciec jeszcze nie miał czasu, żeby uznać się za pokonanego. Oczywiście pierwszym prezentem, jaki dostał od taty, kiedy tylko wysiadł z samolotu, była piłka. Mój ojciec widział synka drugi raz w życiu, ale traktował go, jakby miał go zawsze przy sobie. Wziął go na ręce i podszedł do mnie.

– Nico teraz zamieszka tutaj. W kraju swego ojca.

Nie wiem dlaczego, ale buzia chłopczyka zasmuciła się. Upuścił piłkę. Udało mi się ją zatrzymać nogą, zanim zaginęłaby bezpowrotnie między stłoczonymi ludźmi.

Niespodziewanie poczułem w nozdrzach zapach morskiej wody zmieszany z zapachem kurzu, cementu i śmieci. Wilgotny zapach. Przypomniałem sobie plażę w Pinetamare, kiedy miałem dwanaście lat. Pewnego dnia ojciec wszedł do mojego pokoju, gdy tylko się obudziłem. To mogła być niedziela.

– Czy wiesz, że twój kuzyn już umie strzelać? A ty co? Jesteś od niego gorszy?

Zabrał mnie do Villaggio Coppola, na wybrzeżu Domizio. Tamtejsza plaża była prawdziwą kopalnią najdziwniejszych przedmiotów nadżartych przez sól morską i pokrytych wapienną skorupą. Chętnie spędziłbym tam cały dzień na wykopywaniu skarbów: kielni murarskich, rękawiczek,

dziurawych butów, nadłamanych oskardów i wyszczerbionych kilofów, ale nie przyjechałem, żeby bawić się śmieciami. Ojciec chodził po plaży w poszukiwaniu przedmiotów, które mogłyby służyć za cel. Najodpowiedniejsze były butelki. Najlepsze – po piwie Peroni. Ustawił butelki na dachu nadpalonego fiata 127, w pobliżu widać było wraki innych samochodów. Plaża w Pinetamare służyła jako cmentarzysko aut, użytych do napadów rabunkowych lub zamachów, które potem palono, aby usunąć poszlaki. Doskonale pamiętam pistolet Beretta 92FS mojego ojca. Jego beretta była cała porysowana: starsza, siwiejąca pani beretta. Nie wiedzieć czemu, wszyscy nazywają ten rodzaj pistoletu M9. Słyszę zawsze, że tak właśnie się o nim mówi: „Wsadzę ci M9 między oczy", „Czy mam wyciągnąć mój M9?", „Cholera, muszę sobie koniecznie sprawić M9". Ojciec włożył mi berettę do ręki. Była bardzo ciężka. Kolba pistoletu jest chropowata jak papier ścierny, przykleja ci się do wnętrza dłoni i kiedy chcesz odłożyć pistolet, masz wrażenie, że drapie skórę małymi ostrymi ząbkami. Ojciec pokazał mi, jak go odbezpieczyć i naładować, jak wyciągnąć ramię do przodu i które oko przymknąć przy celowaniu.

– Robbe, ręka musi być giętka, ale naprężona. A przede wszystkim spokojna; na pewno nie sflaczała... trzymaj pistolet dwiema rękami.

Zanim nacisnąłem spust palcami wskazującymi obu rąk jednocześnie, zamknąłem oczy i podniosłem ramiona, jakbym chciał zatkać sobie uszy barkami. Do dzisiaj bardzo źle reaguję na odgłos strzałów. Mam chyba jakiś problem z bębenkami, dźwięk strzału ogłusza mnie na pół godziny.

W Pinetamare powstała największa nielegalnie zbudowana aglomeracja miejska w zachodnim świecie. Wzniosły ją przedsiębiorstwa należące do rodziny Coppola, rodziny wpływowych przedsiębiorców. 860 tysięcy metrów kwadratowych zalanych betonem, nazwanych Villaggio Coppola. Nikt nie wystąpił o zezwolenie. Nie było potrzebne. W tych stronach jeśli ktoś decyduje się na realizację jakiegokolwiek przedsięwzięcia drogą przetargów zgodnych z prawem i legalnych zezwoleń, musi się liczyć z wielokrotnym wzrostem kosztów produkcji, trzeba bowiem posmarować wiele biurokratycznych trybów. Dlatego przedsiębiorcy z rodziny Coppola od razu wjechali na ten teren ze swoimi betoniarkami. Tony żelbetonu zniszczyły jeden z najpiękniejszych lasów piniowych nad Morzem Śródziemnym. W domofonach wyrosłych tam domów słychać szum fal.

Kiedy po raz pierwszy w życiu udało mi się trafić z pistoletu do celu, miałem mieszane uczucia: dumy i winy. Nareszcie umiałem strzelać. Już nikt nie mógł mnie skrzywdzić. Ale jednocześnie wiedziałem, że oto nauczyłem się używać strasznego narzędzia. Jednego z tych, których będziesz musiał zawsze używać, jeżeli raz się do tego przyzwyczaisz. To tak jak z jazdą na rowerze. Butelka nie była całkiem rozbita. Trzymała się nawet jeszcze w pozycji pionowej. Brakowało połowy. Prawej połowy. Ojciec wrócił do samochodu. Ja zostałem na miejscu, z pistoletem w ręku, ale co dziwne, nie czułem się samotny wśród tego śmietniska i metalowych widm. Wyciągnąłem rękę w stronę morza i oddałem dwa strzały do wody. Nie dostrzegłem bryzgów wody, być może kule nawet do niej nie dotarły. Jednakże strzelanie do morza wydało mi się aktem odwagi. Ojciec wrócił, trzymając w rękach skórzaną piłkę z podobizną Maradony. Nagroda za celny strzał. Zbliżył potem, jak to zawsze robił, swoją twarz do mojej. Poczułem jego oddech pachnący kawą. Był zadowolony, teraz przynajmniej jego syn nie był gorszy od bratanka. Wyrecytowaliśmy naszą zwykłą serię pytań i odpowiedzi, katechizm ojca.

– Robbe, kim jest mężczyzna bez dyplomu, z pistoletem?

– To bandyta z pistoletem.

– Dobrze. A kim jest mężczyzna z dyplomem i bez pistoletu?

– Ofermą z dyplomem.

– Dobrze. A powiedz mi teraz, kim jest mężczyzna z dyplomem i z pistoletem?

– Prawdziwym mężczyzną, tatusiu!

– Bardzo dobrze, Robertino!

Nico nie trzymał się jeszcze pewnie na nogach. Ojciec mówił do niego bez przerwy, ale chłopczyk go nie rozumiał. Po raz pierwszy w życiu słyszał język włoski, choć jego matka była na tyle zapobiegliwa, że urodziła go w Italii.

– Jak ci się wydaje, jest do ciebie podobny?

Przyjrzałem się dziecku uważnie. Szczęśliwie dla niego, nie był do mnie wcale podobny.

– Na szczęście nie.

Ojciec spojrzał na mnie z tym samym co zawsze wyrazem rozczarowania, jakby chciał powiedzieć, że już nawet w żartach nie stać mnie na odpowiedź, jaką chciałby ode mnie usłyszeć. Zawsze odnosiłem wrażenie, że ojciec znajduje się z kimś w stanie wojny. Jakby musiał stale z kimś się konfrontować, planować bitwy, zabezpieczać tyły i szukać sojuszników. Nocleg w dwugwiazdkowym hotelu był dla niego równoznaczny z utratą prestiżu. Jakby stale czuł się obserwowany przez kogoś, przed kim będzie się musiał ze wszystkiego rozliczyć i kto ukarze go surowo, jeżeli nie będzie żył w bogactwie, zachowując się jak despota i pozer.

– Robbe, pamiętaj, że najlepsi nikogo nie potrzebują. Muszą swoje wiedzieć, to na pewno, ale muszą także wzbudzać w ludziach strach. Jeżeli nikt się ciebie nie boi, jeżeli twoja obecność nikogo nie onieśmiela, to znaczy, że tak naprawdę w życiu ci się nie udało.

Kiedy wybieraliśmy się czasem do restauracji, irytowało go, jeżeli kelnerzy obsługiwali przed nami niektóre lokalne osobistości, szczególnie gdy te przychodziły godzinę po nas. Bossowie siadali przy stole i po kilku minutach dostawali obiad. Ojciec pozdrawiał ich z daleka. Ale między zębami zgrzytało mu pragnienie wzbudzania u ludzi takiego samego respektu jak oni. Respektu opartego na zazdrości, strachu oraz na pieniądzach.

– Widzisz tamtych? To oni tutaj naprawdę rządzą. To oni o wszystkim decydują! Są na świecie ludzie, którzy mają władzę nad słowami oraz ludzie, którzy mają władzę nad faktami. Musisz zrozumieć, kto rządzi faktami, i udawać, że wierzysz tym, którzy rządzą słowami. I nigdy nie zapominaj tej prawdy. Prawdziwą władzę ma tylko ten, kto rządzi faktami.

Ci, którzy rządzili faktami, według określenia ojca, siedzieli przy stole. Od zawsze decydowali o losie tej ziemi. Jedli razem, uśmiechali się do siebie. Nie minie dużo czasu, a zaczną ze sobą walczyć, pozostawią za sobą ślady tysięcy zabitych, swoiste ideogramy ich inwestycji finansowych. Bossowie potrafili się zachować. Zaradzić niekorzystnemu wrażeniu, jakie zrobiły na gościach restauracji ich przywileje. Zapłacili za obiad wszystkich obecnych w lokalu. Ale dopiero przy wyjściu, żeby uniknąć schlebiań i podziękowań. Wszyscy w restauracji zjedli obiad za darmo, oprócz dwóch osób. Oprócz profesora Iannotto i jego żony. Nie pozdrowili bossów, ci więc nie ośmielili się za nich zapłacić. Zrobili im za to prezent: przekazali

dla nich przez kelnera butelkę likieru cytrynowego. Kamorysta wie, że musi dbać także o swoich otwartych wrogów, bo są cenniejsi niż ci ukryci. Ojciec zawsze, kiedy chciał dać mi jakiś negatywny przykład, wskazywał na profesora Iannotto. Chodzili razem do szkoły. Iannotto mieszkał w wynajętym mieszkaniu, wyrzucili go z partii, której był członkiem, nie miał dzieci, chodził zawsze zagniewany i źle ubrany. Uczył w liceum, pamiętam, jak kłócił się z rodzicami swoich uczniów, zwracającymi się do niego z prośbą o wskazanie nauczyciela, do którego powinni posłać dziecko na korepetycje, żeby na pewno przeszło do następnej klasy. Ojciec uważał go za skazańca. Za chodzącego trupa.

– To tak samo, jak kiedy jeden decyduje, że zostanie filozofem, a drugi, że będzie lekarzem. Kto z nich, twoim zdaniem, będzie mógł decydować o ludzkim życiu?

– Lekarz!

– Masz rację. Lekarz. Bo decyduje o życiu człowieka. Decyduje. Ratować albo nie ratować. Dobro możesz czynić tylko wtedy, jeżeli równie łatwo mógłbyś wyrządzać zło. Natomiast jeżeli jesteś człowiekiem przegranym, jeżeli nie jesteś dla ludzi nikim więcej jak tylko pajacem, kimś, kto nic nie potrafi, wtedy możesz czynić tylko dobro. Ale to się nazywa wolontariat i jest dobrem wybrakowanym. Prawdziwe dobro czynisz wtedy, gdy masz alternatywę.

Nie odpowiadałem. Nigdy nie mogłem zrozumieć, co chciał przez to powiedzieć. I szczerze mówiąc, dalej tego nie rozumiem. Być może był to jeden z powodów, dla których postanowiłem studiować filozofię: żeby nie decydować o niczyim życiu. Mój ojciec, jako młody lekarz, w latach 80. jeździł w karetce pogotowia ratunkowego. 400 trupów na rok. W okolicach, gdzie zdarzało się czasem nawet pięć zabójstw w ciągu jednego dnia. Przyjeżdżał karetką na miejsce zdarzenia, ale jeżeli na ziemi leżał ranny, a policji jeszcze nie było, nie mogli zabierać go do ambulansu. Gdyby bowiem wiadomość o tym się rozniosła, killerzy mogliby zawrócić, pojechać za karetką, zatrzymać ją, wejść do środka i dokończyć swoją pracę. Zdarzyło się tak dziesiątki razy, więc lekarze i pielęgniarze nauczyli się, że lepiej zostać na miejscu na wypadek, gdyby killerzy postanowili wrócić i doprowadzić dzieło do końca. Pewnego razu ojciec pojechał do Giugliano, królestwa klanu Mallardo, miejscowości leżącej na granicy dwóch prowincji: Neapolu i Caserty. Chłopak miał osiemnaście lat. Może

mniej. Strzelili mu w klatkę piersiową, ale żebro zatrzymało kulę. Karetka przyjechała natychmiast, była niedaleko. Chłopak charczał, krzyczał, rzęził, tracił dużo krwi. Ojciec załadował go na nosze. Pielęgniarze byli przerażeni. Próbowali mu to wyperswadować, było jasne, że zabójcy nie mieli czasu, żeby celnie strzelić, spłoszył ich może patrol policji, ale bez wątpienia wrócą. Starali się go przekonać:

– Poczekajmy. Przyjadą, skończą robotę i wtedy go zabierzemy.

Ojciec nie chciał się na to zgodzić. W końcu nawet śmierć ma swój czas. Osiemnaście lat to na pewno nie jest wiek na umieranie, nawet dla żołnierza kamorry. Wsadzili go do karetki i zawieźli do szpitala. Chłopak się uratował. W nocy killerzy, którzy niecelnie strzelili, przyszli do jego domu. Do domu mojego ojca. Mnie przy tym nie było, mieszkałem wtedy z matką. Jednak tyle razy opowiedziano mi tę historię, przerywaną zawsze w tym samym momencie, że pamiętam ją tak, jakbym był przy tym obecny. Ojca pobili do krwi, przez co najmniej dwa miesiące nie wychodził z domu. Przez następne cztery miesiące nie był w stanie spojrzeć nikomu w twarz. Zdecydował się uratować człowieka, który miał umrzeć, a to tak, jakby postanowił dzielić jego los, bo tutaj twoja wola niczego nie zmieni. Żadna decyzja nie odsunie od ciebie problemu, żaden wybór, żadne zajęcie stanowiska zgodnego z sumieniem nie da ci poczucia, że zachowujesz się właściwie. Cokolwiek zrobisz, będzie to z jakiegoś powodu błędem. To jest właśnie prawdziwa samotność.

Mały Nico znowu zaczął się śmiać. Micaela jest mniej więcej w moim wieku. Kiedy u siebie mówiła, że wyjeżdża do Włoch, też wszyscy życzyli jej szczęścia i o nic nie pytali, nie wiedząc, czy jedzie do Włoch, żeby tam być dziwką, czyjąś żoną, służącą czy urzędniczką. Wiedzieli tylko, że wyjeżdża. Warunek wystarczający, by osiągnąć sukces. Oczywiście Nico o niczym takim nie myślał. Zamykał buzię przed kolejną łyżką zmiksowanej papki, którą matka usiłowała go nakarmić. Ojciec, próbując nakłonić go do jedzenia, odłożył piłkę na ziemię, Nico kopnął ją z całej siły. Piłka wprawiona w ruch odbijała się od kolan, kostek i butów dziesiątek ludzi. Ojciec zaczął ją gonić. Wiedząc, że Nico patrzy na niego, wygłupiał się, udając, że drybluje przed zakonnicą stojącą obok, ale piłka znowu mu uciekła. Chłopczyk śmiał się na głos. Wśród setek nóg, jakie miał na

wysokości oczu, czuł się jak w lesie łydek i sandałów. Cieszył się, że tata biega za jego piłką. Podniosłem rękę, żeby do niego pomachać, ale rozdzielił nas mur ciał. Zanim uda mu się wrócić, minie co najmniej pół godziny. Nie mogłem na niego czekać, zrobiło się późno. Zniknął mi z oczu, tłum wchłonął go zupełnie.

Marianowi udało się spotkać z Michaiłem Kałasznikowem. Podróżował przez miesiąc po Europie Wschodniej. Rosja, Rumunia, Mołdawia: wakacje zafundowane przez klan w nagrodę za dobrą pracę. Zobaczyłem go znowu w barze w Casal di Principe, tym samym co zawsze. Miał z sobą plik zdjęć ściągniętych gumką, jakby to była kolekcja naklejek, jakimi chłopcy wymieniają się z kolegami. Na wszystkich widniała podobizna Michaiła Kałasznikowa, z autografem i dedykacją. Przed powrotem do Włoch Mariano zaopatrzył się w dziesiątki zdjęć Kałasznikowa w mundurze generała Armii Czerwonej obwieszonym medalami: Order Lenina, Order Wojny Ojczyźnianej, Order Czerwonej Gwiazdy, Order Czerwonego Sztandaru Pracy. Mariano dotarł do niego dzięki pomocy Rosjan, którzy robili interesy z przedsiębiorcami z prowincji Caserty, właśnie oni przedstawili go generałowi.

Michaił Timofiejewicz Kałasznikow mieszka w małym miasteczku u stóp Uralu o nazwie Iżewsk-Ustinow, którego do 1991 roku nie było nawet na mapie. Leżało w jednej ze stref specjalnych Związku Radzieckiego. Kałasznikow jest w swoim mieście prawdziwą osobistością, posiada bezpośrednie połączenie telefoniczne z Moskwą, stanowi atrakcję turystyczną dostępną tylko dla elitarnych gości. Hotel położony niedaleko domu wynalazcy, w którym zatrzymał się Mariano, robi złote interesy na wielbicielach generała, którzy czekają w nim na jego powrót z kolejnego tournée po Rosji albo po prostu na wcześniej umówione spotkanie. Mariano wszedł do mieszkania generała Kałasznikowa i jego żony z kamerą w ręce. Generał pozwolił mu na to, prosząc tylko, żeby filmu nie publikował. Mariano oczywiście zgodził się, zresztą wiedział, że człowiek, który umożliwił mu spotkanie, zna jego adres, numer telefonu i twarz. Mariano wręczył generałowi skrzynkę ze styropianu zaklejoną taśmą z rysunkiem bawolicy. Przywiózł ją w bagażniku samochodu, pełną zanurzonych w mleku mozzarelli, wyprodukowanych w okolicach Aversy.

Mariano pokazał mi na ekraniku otwieranym z boku kamery film nakręcony podczas wizyty w domu Kałasznikowa. Obrazy skakały, twarze tańczyły, przybliżenia zniekształcały oczy i przedmioty, obiektywu dotykały palce. Miałem wrażenie, że oglądam film ze szkolnej wycieczki, nakręcony przez jej uczestnika, który razem z innymi biegał i skakał. Dom Kałasznikowów był podobny do daczy Gennara Marino. Może była to po prostu typowa rosyjska dacza, tylko że jedyną, jaką w życiu widziałem, była dacza zbudowana przez bossa secesjonistów z Arzano i dlatego wydały mi się bliźniaczo podobne. Na ścianach w domu Kałasznikowów wisiały reprodukcje obrazów Vermeera, na meblach stało mnóstwo kryształowch i drewnianych bibelotów, podłogi przykrywały dywany. W pewnym momencie filmu widać, jak generał zakrywa ręką obiektyw. Mariano wyznał mi, że chodząc po mieszkaniu z kamerą, nienauczony dobrych manier, wszedł do pokoju, którego generał stanowczo zabronił filmować. W metalowej gablocie zawieszonej na ścianie, za pancerną szybą, wisiał pierwszy model kałasznikowa, prototyp skonstruowany na podstawie rysunków, które – jak chciała legenda – stary generał, a wówczas nikomu nieznany podoficer, naszkicował podczas pobytu w szpitalu. Leczył się tam z ran odniesionych w walce i marzył o stworzeniu broni, która sprawiłaby, że zmarznięci i głodni żołnierze Armii Czerwonej staną się niezwyciężeni. Pierwszy AK-47 na świecie, przechowywany w ukryciu jak pierwszy cent zarobiony przez wujka Sknerusa, słynny „number one” trzymany w gablotce z pancernego szkła, z dala od szponów Amelii. Ten przedmiot jest bezcenny. Wielu ludzi dałoby wszystko, żeby znaleźć się w posiadaniu tej militarnej relikwii. Gdy tylko Kałasznikow[1] umrze, zostanie pewnie wystawiona na aukcji Christie’s jak płótna Tycjana czy rysunki Michała Anioła.

Mariano spędził cały ranek w domu starszych państwa Kałasznikowów. Osoba, która go tam wprowadziła, musiała być naprawdę bardzo wpływowa, skoro generał dopuścił Mariana do takiej zażyłości. Kamera sfilmowała ich przy stole, podczas gdy filigranowa staruszka otwierała styropianową skrzynkę z mozzarellą. Jedli ze smakiem. Wódka i mozzarella. Mariano ustawił włączoną kamerę u szczytu stołu. Zależało mu na tym, żeby zarejestrować, jak generał Kałasznikow delektuje się mozzarellą wyprodukowaną w serowarni jego bossa. W tle było widać kredens, na którym stały ramki ze zdjęciami dzieci. Chociaż nie mogłem się

doczekać końca tego filmu, bo dostawałem od niego morskiej choroby, nie potrafiłem poskromić ciekawości:

– Mariano, to Kałasznikow ma aż tyle dzieci i wnuków?

– Nie, skąd! To wszystko zdjęcia dzieci, którym rodzice dali imię Kałasznikow. Z wdzięczności, bo na przykład jego karabinek ocalił im życie albo po prostu przez podziw dla tego człowieka...

Podobnie jak chirurdzy, którzy dostają od wdzięcznych rodziców zdjęcia zoperowanych i uratowanych przez siebie dzieci i stawiają je potem na półce w gabinecie na pamiątkę sukcesów w pracy, tak samo generał Kałasznikow miał w swoim saloniku zdjęcia dzieci noszących imię jego dzieła. Pamiętam wywiad pewnego włoskiego dziennikarza z bojownikiem ruchu wyzwoleńczego z Angoli, w którym ten oświadczył, że nazwał swego syna Kalsh, bo to synonim wolności.

Kałasznikow, urodzony w 1919 roku, jest staruszkiem rześkim i dobrze zakonserwowanym. Wciąż jeździ po całej Rosji jak wędrująca ikona, w zastępstwie najsławniejszego na świecie karabinu maszynowego. Zanim odszedł w stan spoczynku w randze generała broni, dostawał 500 rubli miesięcznie, co w owym czasie równało się mniej więcej sumie 500 dolarów. Gdyby Kałasznikow opatentował swój wynalazek na Zachodzie, byłby dzisiaj pewnie jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Szacuje się w przybliżeniu, zaokrąglając w dół, że wyprodukowano dotąd ponad 150 milionów karabinów maszynowych typu AK-47, wzorując się na oryginalnym projekcie generała. Wystarczyłoby, żeby za każdy karabin dostał jednego dolara, a nurzałby się teraz w pieniądzach. Ale ten fakt nie zdawał się go wzruszać; on stworzył wielkie dzieło, powołał je do życia i to dawało mu pełną satysfakcję. Może zresztą miał ze swego wynalazku także korzyści finansowe. Mariano mówił, że wielbiciele generała przesyłali mu czasem pieniądze: dolary na konto bankowe, cenne prezenty z Afryki – mówiło się o złotej masce plemiennej, darze Mobutu, i o baldachimie inkrustowanym kością słoniową, podarowanym przez Bokassę; z Chin podobno wysłano dla niego cały pociąg, z lokomotywą i wagonami, na polecenie Deng Xiaopinga, który słyszał o niechęci generała do podróży lotniczych. Ale to były tylko pogłoski, plotki zapisywane pilnie przez dziennikarzy w ich notatnikach, to, czego dowiedzieli się od robotników

fabryki broni w Iżewsku, czym musieli się zadowolić, nie mogąc dotrzeć do generała, który nie przyjmował nikogo bez poważnych rekomendacji.

Michaił Kałasznikow mówił jak automat, na wszystkie pytania dawał zawsze te same odpowiedzi, posługując się gładkim angielskim, przyswojonym już w dorosłym życiu, używanym jak śrubokręt przy obluzowywaniu śrub. Mariano zadawał mu ogólne i niepotrzebne pytania na temat karabinka. Pewnie tylko po to, żeby pozbyć się tremy.

– Nie zaprojektowałem tej broni dla zysku, ale tylko i wyłącznie dla obrony mojej ojczyzny, w chwili kiedy tego potrzebowała. Gdybym mógł cofnąć się w czasie, zrobiłbym to samo i żyłbym w ten sam sposób. Przez całe życie pracowałem i moja praca jest moim życiem – generał powtarza tę odpowiedź przy każdym pytaniu o jego karabinek.

Nie istnieje na świecie żaden czynnik, organiczny ani nieorganiczny, przedmiot metalowy, substancja chemiczna – nic, co zabiłoby więcej ludzi niż AK-47. Kałasznikow zabił więcej ludzi niż bomby atomowe zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki, więcej niż wirus HIV, więcej niż wszystkie zamachy fundamentalistów islamskich, więcej niż dżuma, więcej niż malaria, więcej niż wszystkie trzęsienia ziemi razem wzięte. Trudno sobie nawet wyobrazić tak ogromną ilość ludzkiego mięsa. Najbardziej obrazowo przedstawił to pewien specjalista od reklamy: żeby uświadomić sobie, ilu ludzi zginęło od strzałów kałasznikowa, należy napełnić butelkę cukrem, wrzucając kryształki pojedynczo. Każdy kryształek to jeden zabity.

AK-47 może strzelać w najbardziej niesprzyjających warunkach. Nie zacina się nawet, gdy przysypać go ziemią lub zalać wodą; łatwo utrzymać go w rękach, ma miękki spust, który nawet dziecko da radę nacisnąć. Szczęście, błąd, niedokładność, wszystkie te elementy, które mogą uratować życie ludzkie podczas strzelaniny, eliminuje niezawodność kałasznikowa, narzędzia śmierci, które odebrało fatum jego rolę. Łatwy w użyciu, łatwy w transporcie, strzela tak skutecznie, że można nim zabijać nawet bez żadnego treningu. „Z kałasznikowem nawet małpa może walczyć” – mówił Cabila, kongijski przywódca polityczny znany ze swego okrucieństwa. W ciągu ostatnich trzydziestu lat wojska ponad pięćdziesięciu różnych państw użyły karabinka AK-47 przy natarciach. ONZ ustaliło, że za ich pomocą dokonano masowych mordów w Algierii, Angoli, Bośni, Burundi, Czeczenii, Kambodży, Kolumbii, Kongu, na Haiti, w Kaszmirze, Mozambiku, Ruandzie, Sierra Leone, Somalii, Sri Lance,

Sudanie i Ugandzie. Więcej niż pięćdziesiąt regularnych armii posiada kałasznikowy w swoim wyposażeniu. Nie sposób sporządzić statystyki, która objęłaby także grupy paramilitarne, partyzanckie i tym podobne.

Od strzałów z kałasznikowa zmarł Sadat w 1981, generał Dalia Chiesa w 1982 i Ceauçescu w 1989 roku. Salvadora Allende znaleziono w Palacio de la Moneda z kulami z kałasznikowa w ciele. Śmierć tych sławnych osobistości jest jak historyczne biuro prasowe karabinka. AK-47 znalazł się nawet na fladze Mozambiku, jest symbolem wielu ugrupowań politycznych, od Al Fatah w Palestynie po Movimiento Revolucionario Tupac Amaru w Peru. Osama Bin Laden sfilmowany w górach trzyma go w rękach jako znak groźby. Kałasznikow w swej historii towarzyszył ludziom, którzy odgrywali najróżniejsze role: wyzwolicieli, ciemiężców, żołnierzy regularnych wojsk, terrorystów, porywaczy i przybocznej straży prezydentów. Michaił Kałasznikow stworzył skuteczną broń podatną na ulepszenia i modyfikacje, broń, która ma osiemnaście różnych wersji i dwadzieścia dwa nowe modele skonstruowane na bazie projektu początkowego. Jest doskonałym symbolem liberalizmu. Jego prawdziwą ikoną. Mógłby zostać obrany za jego emblemat. Nieważne, kim jesteś, nieważne, co myślisz, nieważne, skąd jesteś, nieważne, jakiego jesteś wyznania, nieważne, przeciw komu albo dla kogo się angażujesz, ważne, że używasz przy tym naszego produktu. Za 50 milionów dolarów można kupić około 200 tysięcy karabinków. To znaczy, że za 50 milionów dolarów można stworzyć małą armię. Wszystko to, co niszczy ograniczenia dyplomatyczne i zobowiązania polityczne, wszystko, co pozwala na ogromną konsumpcję i wielką władzę, wygrywa na rynku. Michaił Kałasznikow dzięki swojemu projektowi dał wszystkim grupom władzy i mikrowładzy skuteczną broń. Po wynalezieniu kałasznikowa nikt już nie może powiedzieć, że został pokonany, bo nie miał dostępu do broni. Kałasznikow wprowadził praktyczny egalitaryzm: broń dla wszystkich, śmierć od kuli dla każdego. Na pole bitwy mają wstęp wszyscy, nie tylko żołnierze. Kałasznikow spełnił tę samą funkcję w skali międzynarodowej, co klany z Secondigliano w skali lokalnej, kiedy zliberalizowały obrót kokainą i dały każdemu chętnemu możliwość handlowania narkotykami, konsumowania ich albo rozprowadzania w małych dawkach, kończąc z sytuacją, w której miało się dostęp do tego rynku jedynie za pośrednictwem świata przestępczego. Podobnie kałasznikow: pozwolił

każdemu stać się żołnierzem, nawet dzieciom i wątłym dziewuszkom, z ludzi, którzy nie byliby w stanie upilnować stadka dziesięciu owiec, zrobił generałów brygady. Kupić karabin, strzelać, likwidować ludzi, niszczyć przedmioty i znowu kupować. Reszta to drobiazg. Twarz Kałasznikowa na wszystkich zdjęciach jest pogodna. Ma słowiańskie, kanciaste czoło, mongolskie oczy, które z wiekiem patrzą przez coraz węższe szparki. Śpi snem sprawiedliwego. Kładzie się spać może nie zawsze szczęśliwy, ale spokojny, pod łóżkiem trzyma równo ustawione kapcie. Nawet kiedy jest poważny, usta ma wygięte w łuk, tak samo jak szeregowy Gomer Pyle w filmie *Full Metal Jacket.* Uśmiechają się usta, ale nie twarz.

Zawsze kiedy oglądam zdjęcia Michaiła Kałasznikowa, myślę o Alfredzie Noblu, sławnym dzięki nagrodzie jego imienia, który jednak był przede wszystkim wynalazcą dynamitu. Zdjęcia Nobla pochodzące z czasów, kiedy zrozumiał już, jaki użytek można zrobić z mieszanki nitrogliceryny i ziemi okrzemkowej, przedstawiają go z twarzą udręczoną, z brodą ciężko opartą na dłoni. Może to autosugestia, ale kiedy patrzę na Nobla, na jego wysoko uniesione brwi i zagubione spojrzenie, wydaje mi się, że mówi: „Nie chciałem. Zamierzałem pomóc ludziom otwierać drogi przez góry, kruszyć głazy, budować tunele. Nie chciałem tego, co się stało”. Tymczasem Kałasznikow ma zawsze pogodny wyraz twarzy, niby leciwy rosyjski emeryt, który wiele przeżył. Wyobrażasz go sobie, jak wspomina przyjaciela, z którym walczył na wojnie, albo jak opowiada ci szeptem do ucha, zionąc wódką, że w młodości w łóżku wytrzymywał godzinami bez przerwy. Pozostając w sferze dziecinnej zabawy w skojarzenia, z twarzy Michaiła Kałasznikowa można odczytać: „To nie mój problem, ja tylko skonstruowałem karabin. Nie moja wina, że ludzie używają go w ten sposób”. Poczucie odpowiedzialności wyrażone ciałem, opisane gestem. Zależność między tym, co stworzyła ręka, a tym, co dotyczy sumienia. Dlatego między innymi Michaił Kałasznikow stał się nieświadomie ikoną światowej przestępczości zorganizowanej. Nie jest handlarzem broni, nie pośredniczy w zakupach karabinów, nie ma wpływu na politykę, nie jest osobistością charyzmatyczną. On uosabia normę moralną codziennego życia człowieka żyjącego w epoce hegemonii rynku: rób, co możesz, żeby wygrać, i nie przejmuj się resztą.

Mariano ubrany był w sportową bluzę z kapturem, a przez ramię miał przewieszony plecak; na wszystkim widniała nazwa „Kałasznikow”. Generał postanowił spróbować sił w biznesie i okazało się, że ma do tego talent. Na pewno na sukces pracuje to, że „Kałasznikow” to jedna z najbardziej znanych marek na świecie. I tak pewien niemiecki przedsiębiorca zainwestował w produkcję odzieży z tym znakiem, a samemu generałowi spodobało się rozpowszechnianie własnego nazwiska przez towary nim firmowane, zainwestował też w fabrykę gaśnic. Mariano w pewnej chwili zatrzymał nagle, bez zapowiedzi film i wybiegł z baru. Otworzył bagażnik swojego samochodu i wyjął z niego walizeczkę w wojskowych kolorach, po czym położył ją na kontuarze baru. Przeraziłem się, że to mistyczne uwielbienie karabinu doprowadziło go do szaleństwa. Byłem pewny, że przejechał przez pół Europy z kałasznikowem w bagażniku i że za chwilę wyjmie go z futerału na oczach wszystkich klientów baru. Okazało się jednak, że w wojskowej walizeczce była kryształowa butelka wódki w kształcie AK-47. Miała zakrętkę jak końcówka lufy karabinowej i była wybitnie kiczowata. Wszystkie bary w okolicach Aversy, które musiały zaopatrywać się u Mariana, po jego podróży otrzymały w ofercie handlowej także wódkę „Kałasznikow”. Już widziałem oczyma wyobraźni kryształową reprodukcję karabinka na półkach za plecami barmanów od Teverola po Mondragone. Film miał się ku końcowi. Bolały mnie oczy, bo przez cały czas mrużyłem je, żeby lepiej widzieć, ale ostatniej sceny nie mogłem stracić. Zobaczyłem dwoje staruszków, którzy na progu, w domowych pantoflach, z ostatnim kęsem mozzarelli w ustach, machają na pożegnanie młodemu gościowi. Tymczasem wokół mnie i Mariana zebrała się grupka chłopców, którzy patrzyli na podróżnika jak na bohatera. Bo przecież poznał osobiście Michaiła Kałasznikowa! Mariano spojrzał na mnie porozumiewawczo, a przecież żadnej konfidencji nigdy między nami nie było. Ściągnął gumkę z pliku zdjęć i zaczął je pobieżnie przeglądać. Po paru dziesiątkach zatrzymał się, wyciągnął jedno i podał mi je, mówiąc:

– To dla ciebie. Żebyś nie powiedział, że o tobie nie pomyślałem.

Na portrecie starego generała widniała dedykacja napisana czarnym mazakiem: *To Roberto Saviano with Best Regards M. Kałasznikow.*

Międzynarodowe ośrodki badania rynku nie mogą się obejść bez wciąż nowych danych. Przekazują je potem po przetworzeniu gazetom, czasopismom i partiom politycznym, które potrzebują ich jak chleba powszedniego. Rezultatem jest na przykład sławny Big Mac Index, wskaźnik siły nabywczej, według którego tym wyżej ocenia się stan gospodarki danego kraju, im drożej miejscowe McDonaldy sprzedają ten rodzaj hamburgera. Natomiast przy badaniu stopnia przestrzegania praw człowieka bierze się pod uwagę cenę, za jaką można w danym kraju kupić kałasznikowa. Im AK-47 tańszy, tym większe prawdopodobieństwo, że prawa człowieka są łamane, państwo zżera gangrena, a kościec struktury społecznej gnije. W zachodniej Afryce jego cena schodzi do 50 dolarów. W Jemenie można dostać używany karabinek z drugiej lub trzeciej ręki nawet za 6 dolarów. Zawładnięcie przez kamorrę magazynami broni w Europie Wschodniej, w krajach rozkładającego się reżymu socjalistycznego, sprawiło, że klany z terytorium Neapolu i Caserty, wraz z mafią kalabryjską, z którą zresztą są w stałym kontakcie, zaopatrują handlarzy broni. Kamorra, kontrolując znaczną część międzynarodowego rynku broni, ustala ceny na kałasznikowy i w ten sposób wyrokuje o poziomie praw człowieka na Zachodzie. I przeprowadza drenaż tych praw, powoli, kropla po kropli, jakby kapały przez cewnik, obniżając ich poziom. W latach 80., gdy grupy przestępcze we Francji i USA używały jeszcze M16 skonstruowanego przez Eugene Stonera, ciężkiego i nieporęcznego karabinu szturmowego amerykańskich *marines*, który zacina się, jeżeli nie jest odpowiednio często czyszczony i oliwiony, na Sycylii i w Kampanii, od Cinisi do Casal di Principe, kałasznikow był już w powszechnym użyciu. W 2003 roku, dzięki zeznaniom „skruszonego” Raffaele Spinella z klanu Genovese, władającego Avellino i okolicą, wyszły na jaw powiązania kamorry z Baskami z ETA. Klan Genovese jest sprzymierzony z rodziną Cava z Quindici oraz z rodzinami z powincji Caserty. Nie należy do klanów pierwszoplanowych, mimo to był w stanie zaopatrzyć w broń jedną z najgłośniejszych zbrojnych grup europejskich, która przecież podczas trzydziestu lat walki nawiązała kontakty z najróżniejszymi pośrednikami w handlu bronią. Klany z Kampanii okazały się jednak najlepszym partnerem. Jak wynika ze śledztwa Prokuratury Antymafijnej w Neapolu z 2003 roku, dwaj *etarras*, baskijscy bojownicy, José Miguel Arreta i Gracia Morillo Torres zatrzymali się na

dziesięć dni w hotelu w Mediolanie i tam prowadzili negocjacje. Ceny, trasy przerzutu, wymiana. Doszli do porozumienia. ETA przez swoich bojowników wysyłała kokainę, a w zamian otrzymywała broń. ETA stale obniżała ceny na kokainę, w którą zaopatrywała się bezpośrednio w Kolumbii dzięki swoim kontaktom z tamtejszymi bojówkarzami, poza tym wzięła na siebie całą odpowiedzialność za przerzut towaru do Włoch, a wszystko po to, by utrzymać współpracę z kamorrą, prawdopodobnie jedyną organizacją, która miała dostęp do całych arsenałów broni. ETA nie chciała samych kałasznikowów, potrzebowała także broni ciężkiej, materiałów wybuchowych, a przede wszystkim wyrzutni rakietowych.

Stosunki między kamorrą a bojówkarzami były zawsze bardzo bliskie. Także w Peru, przybranej ojczyźnie narkotykowych handlarzy z Neapolu. W 1994 roku sąd w Neapolu zwrócił się do władz peruwiańskich o przeprowadzenie dochodzenia w sprawie zabójstwa w Limie dziesięciu obywateli Włoch. Dochodzenie to wykazało, że istniały, poprzez braci Rodriguez, powiązania między klanami neapolitańskimi a MRTA. Z rewolucjonistami o twarzach osłoniętych czerwono-białymi, trójkątnymi chustami. Także oni negocjowali z klanami. Nawet oni. Kokaina w zamian za broń. W 2002 roku zaaresztowano pewnego adwokata, Francesca Magliulo. Akt oskarżenia stwierdzał jego powiązania z klanem Mazzarella, potężną rodziną z San Govanni a Teduccio, która miała swój kryminalny *pied-à-terre* w neapolitańskich dzielnicach Santa Lucia i Forcelli. Przez dwa lata obserwowano jego działania między Egiptem, Grecją i Anglią. Odnotowano, iż telefonowano do niego z Mogadiszu, z willi generała Aidida, somalijskiego „pana wojny”, tego samego, który przeciwstawił się prawomocnym rządom prezydenta Ali Mahdiego i przyczynił się do wybuchu krwawej wojny domowej, przez co Somalia stała się udręczonym, gnijącym organizmem, zagrzebanym pod zwałami toksycznych odpadów z połowy Europy. Dochodzenie w sprawie kontaktów między klanem Mazzarella a Somalią prowadzono wielokierunkowo, ale bez wątpienia najważniejszym tropem był handel bronią. Nawet „panowie wojny” są łagodni jak baranki, gdy stoją wobec konieczności zaopatrzenia się w broń u klanów z Kampanii.

Odkrycie, jakiego dokonano w marcu 2005 roku w miejscowości Sant’Anastasia na zboczach Wezuwiusza, robiło naprawdę duże wrażenie. Znaleziono tam imponujący arsenał broni. A zdarzyło się to trochę przez

przypadek, trochę przez głupotę i niezdyscyplinowanie kamorystów, którzy wdali się w bójkę na ulicy, ponieważ klienci i dostawcy nie potrafili się dogadać w sprawie cen. Karabinierów przybyłych na miejsce bójki zaintrygowała ciężarówka zaparkowana w pobliżu. W środku, po zdemontowaniu kilku podejrzanych elementów, ujrzeli takie ilości broni, jakich naprawdę nie spodziewali się tam znaleźć. Pistolety maszynowe Uzi, 4 magazynki, 7 podajników i 112 pocisków kalibru 380, karabiny maszynowe rosyjskiej i czeskiej produkcji zdolne oddać 950 strzałów na minutę. Prawie nowe, dokładnie naoliwione, z dobrze widocznymi numerami; przywiezione prosto z Krakowa. Szybkostrzelność z helikopterów amerykańskich walczących w Wietnamie także wynosiła 950 strzałów na minutę. Siła ognia wystarczająca do zlikwidowania dywizjonów ludzi z czołgami, nie tylko grup ogniowych klanów z okolic Wezuwiusza. Potencjał tej broni jest jeszcze jednym wskaźnikiem realnej władzy Lewiatana, który gwałtem narzuca swoją wolę. W arsenałach kamorry leżą bazooki, granaty, miny przeciwczołgowe, ciężkie karabiny maszynowe, choć używane są wyłącznie kałasznikowy, karabinki Uzi, pistolety automatyczne i półautomatyczne. Reszta stanowi demonstrację, budulec w konstruowaniu potencjału militarnego. Ten potencjał militarny nie ma służyć przeciwstawieniu się legalnej przemocy państwa, ale zmonopolizowaniu przemocy w ogóle. W Kampanii nie widać dążności do złożenia broni, jak u starych klanów sycylijskiej cosa nostry. Broń jest naturalnym i nieodzownym elementem dynamiki umacniania kapitału i podziału terytorium, konsekwencją konieczności współistnienia starych i nowych grup oraz konkurencyjnych rodzin. To tak, jakby klany zawładnęły ideą przemocy, materią przemocy i narzędziami przemocy. Przemoc jest ich terytorium, stosować ją, to wprawiać się w wykonywaniu władzy, władzy Systemu. Zdarzało się, że klany używały broni zaprojektowanej i skonstruowanej przez samych kamorystów. W Sant’Antimo, na północ od Neapolu, w 2004 roku karabinierzy znaleźli dziwny karabin, owinięty natłuszczoną bawełnianą szmatą, ukryty w dziurze wykopanej w ziemi i przykryty zielskiem. Śmiercionośna broń wykonana przez domorosłego majsterkowicza, którą na rynku można dostać już za 250 euro – naprawdę niewiele, jeżeli porównać tę sumę z ceną półautomatu, która wynosi około 2500 euro. Karabin wyprodukowany przez kamorystów składa się z dwóch rur, które można rozmontować, kiedy

jednak go złożyć, staje się zabójczą bronią o skróconych lufach, ładowaną nabojami lub grubym śrutem. Został zaprojektowany na wzór zabawki popularnej w latach 80., dubeltówki strzelającej piłkami pingpongowymi za każdym razem, gdy naciągało się silnie kolbę, co uwalniało wewnętrzną sprężynę. Była to tylko jedna z całej serii zabawek, takich jak „pimpamperi", na którym tysiące włoskich dzieci ćwiczyło się w podwórkowym wojowaniu. Na tych właśnie zabawkach wzorował się konstruktor karabinu, który tutaj wszyscy nazywają po prostu *o tubo*, czyli „rurka". W rzeczywistości składa się z dwóch rurek o różnych średnicach, długości ok. 40 cm, zakończonych uchwytem. Do wnętrza jednej z nich jest przyspawana duża metalowa śruba, której główka zatyka wylot. Przez węższą rurkę musi przejść nabój kalibru 20. Niewiarygodnie prosta i potwornie skuteczna broń. Daje też tę korzyść, że nie ma z nią żadnych problemów po użyciu, nie trzeba jej niszczyć, ani nawet ukrywać. Wystarczy rozmontować i strzelba zamienia się w dwie niewinne rurki, niewzbudzające podejrzeń przy rewizji. Zanim jeszcze karabinierzy znaleźli to dzieło domorosłego rusznikarza, usłyszałem o nim od pewnego biedaka, wychudłego pasterza owiec, jednego z tych, co to jeszcze chodzą ze swoimi stadami po polach sąsiadujących z wiaduktami autostrad lub wielkimi blokami mieszkalnymi na peryferiach. Ten pasterz znajdował często swoje owce rozszarpane na dwie części. Myślał, że robi to któryś z jego konkurentów, biednych jak on właścicieli stad chudych owiec neapolitańskich, z żebrami widocznymi nawet przez wełnę szarą od dioksyny, którą wchłaniają wraz z trawą i od której gniją im zęby. Nie rozumiał. W rzeczywistości jego owce posłużyły za materiał doświadczalny dla konstruktorów strzelby, którzy sprawdzali na nich efekt strzału. Były znakomitym materiałem do testowania siły rażenia naboi i jakości broni. Wystarczyło sprawdzić, czy naboje przewrócą je do góry nogami i rozszarpią na pół w powietrzu, jak w grze wideo.

Kwestia handlu bronią jest ukrywana w trzewiach gospodarki narodowej, we wnętrznościach milczenia. Włochy wydają na broń 27 miliardów dolarów rocznie. Więcej niż Rosja, dwa razy tyle, co Izrael. Tak wynika z rankingu opracowanego przez SIPRI, Sztokholmski Międzynarodowy Instytut Badań nad Pokojem. Jeżeli do tych danych, które dotyczą przecież tylko jawnej gospodarki, dodać wyniki badań włoskiego ośrodka badawczego EURISPES, według których kamorra, 'ndrangheta,

cosa nostra i Święta Korona Zjednoczona prowadzą interesy w handlu bronią rzędu 3 miliardów 300 milionów dolarów, oznacza to, że połowa świata zaopatruje się w broń za pośrednictwem państwa włoskiego i mafii. W klanie Casalesi świetnie funkcjonuje przestępcza grupa przedsiębiorców, która jest w stanie zaopatrzyć w broń nie tylko zbrojne grupy, ale całe armie. Podczas wojny brytyjsko-argentyńskiej o Falklandy w 1982 roku na Argentynę została nałożona blokada ekonomiczna. Kamorra od razu weszła w kontakt z argentyńskim resortem obrony narodowej i zorganizowała kanał przerzutu broni, której nikt oficjalnie nie mógł Argentynie sprzedać. Klany przygotowały się na długotrwałą wojnę, tymczasem konflikt, który rozpoczął się w marcu, w czerwcu był już właściwie zakończony. Mało strzałów, niewiele trupów, znikoma konsumpcja. Ta wojna posłużyła bardziej politykom niż przedsiębiorcom, bardziej dyplomacji niż ekonomii. Klanom z prowincji Caserty nie opłaciło się wyprzedawać towaru za bezcen, żeby tylko zapewnić sobie szybki zysk. Tego samego dnia, w którym oficjalnie ogłoszono koniec konfliktu, wywiad angielski podsłuchał rozmowę międzykontynentalną między Argentyną a San Cipriano d’Aversa. Tylko dwa zdania, które jednak wystarczą, by zrozumieć, na czym polega siła rodzin z okolic Caserty oraz ich mądrość życiowa:

– Halo?

– Tutaj wojna już się skończyła. Co mamy teraz robić?

– Nie martw się, skończyła się jedna, zacznie się następna...

Mądrość władzy polega także na cierpliwości, której często brakuje nawet najzdolniejszym przedsiębiorcom. Klan Casalesi już w 1977 roku pośredniczył w zakupie wozów pancernych; włoski wywiad zasygnalizował służbom bezpieczeństwa, że Leopard rozebrany na części czeka na transport na stacji Villa Literno. Handel czołgami Leopard bardzo długo pozostawał w gestii kamorry. Jeszcze w lutym 1986 zarejestrowano rozmowę telefoniczną, w której reprezentanci klanu Nuvoletta negocjowali w sprawie zakupu kilku Leopardów z jego wschodnioniemieckimi producentami. Niezależnie od zmian w zarządzie klanu Casalesi byli zawsze na arenie międzynarodowej tymi, do których zgłaszały się z zamówieniami na broń nie tylko niewielkie grupy, ale całe oddziały wojska. SISMI, włoska tajna

wojskowa służba informacyjna oraz centrum kontrwywiadu w Yeronie zasygnalizowały w 1994 roku, że Zeljko Raznatović, dowódca paramilitarnej organizacji, lepiej znany jako Tygrys Arkan, utrzymywał stosunki z Sandokanem Schiavone, bossem klanu Casalesi. Arkan został zastrzelony w 2000 roku, w hotelu w Belgradzie. Był serbskim zbrodniarzem wojennym, który wsławił się szczególnym okrucieństwem, założycielem nacjonalistycznej Serbskiej Gwardii Ochotniczej. Dokonywał, wraz ze swymi podkomendnymi, pogromów w muzułmańskich wioskach w Bośni, zostawiając po sobie spaloną ziemię i masowe groby. Dwa tygrysy sprzymierzyły się. Arkan potrzebował broni dla swoich bojówkarzy, a poza tym zależało mu na tym, żeby obejść embargo nałożone na Serbię i wpuścić do niej pieniądze i broń, wykorzystując kanały pomocy humanitarnej: szpitale obozowe, transporty z lekarstwami i sprzętem medycznym. Według SISMI za te dostawy – o wartości kilkudziesięciu milionów dolarów – Serbia płaciła pieniędzmi zdeponowanymi w pewnym banku austriackim, w kwocie 85 milionów dolarów, które były potem przekazywane instytucji współpracującej z mafią serbską oraz z klanami z Kampanii. Instytucja ta zamawiała u producentów towary rozdawane później w ramach pomocy humanitarnej i płaciła za nie pieniędzmi uzyskanymi z działalności przestępczej, wprowadzając je w ten sposób do legalnego obiegu. I właśnie na tym etapie Casalesi odgrywają aktywną rolę. To oni proponują producentów i dostawców, którzy nie sprawią kłopotów przy praniu pieniędzy. Arkan, poprzez pośredników, zwrócił się też do klanu o pomoc w wyłączeniu z gry mafii albańskiej, która mogłaby przeszkodzić w przeprowadzeniu całej tej operacji finansowej, atakując od południa lub blokując dostawy broni. Casalesi uspokoili swoich albańskich wspólników i dostarczyli Arkanowi broń, umożliwiając mu tym samym spokojne prowadzenie czystki etnicznej. W zamian za to w ich rękach znalazły się zakłady produkcyjne, sklepy, gospodarstwa rolne, kupowane za bezcen na terenie Serbii. Zanim Arkan na dobre rozpoczął swoją wojnę, porozumiał się z kamorrą. Bo wojny, od Ameryki Południowej po Bałkany, rozgrywa się jej szponami.

Beton zbrojony

Dawno mnie nie było w Casal di Principe.
Podobnie jak za ojczyznę sztuk walki uważa się Japonię, surfowanie kojarzy się z Australią, a diamenty z Republiką Sierra Leone, tak głównym ośrodkiem przedsiębiorczości kamorry jest Casal di Principe. W prowincjach Neapolu i Caserty sam fakt pochodzenia z tej miejscowości zapewnia coś w rodzaju immunitetu, oznacza, że jesteś kimś więcej niż tylko sobą, bo wspiera cię okrucieństwo lokalnych bandytów. Ludzie darzą cię respektem, wzbudzasz podświadomy strach. Już nawet Benito Mussolini chciał wyeliminować to znamię pochodzenia, ten zbrodniczy nimb. W tym celu połączył dwa miasteczka: San Cipriano d'Aversa oraz Casal di Principe w jedną jednostkę administracyjną i przemianował je na: Albanova. Ta symboliczna nazwa, która znaczy tyle co „nowy świt", miała przynieść nadzieję. By nadzieję wesprzeć realną siłą, posłał tam dziesiątki karabinierów z zadaniem rozwiązania problemu każdym dostępnym sposobem. Dzisiaj nazwa „Albanova" pozostała już tylko na zardzewiałej tablicy na stacji kolejowej w Casal di Principe.

Możesz godzinami boksować worek treningowy, spędzać popołudnia na siłowni i ćwiczyć mięśnie klatki piersiowej, możesz połykać opakowanie za opakowaniem tabletek hormonalnych, od których puchną ci muskuły, ale i tak kiedy znajdziesz się w towarzystwie kogoś, kto będzie mówić z takim, a nie innym akcentem, kto będzie w taki, a nie inny sposób gestykulował, odniesiesz wrażenie, jakby stali za nim wszyscy ci, których ciała leżały już kiedyś na ziemi, przykryte prześcieradłami. Wśród mieszkańców tych stron krążą powiedzenia, w których zawiera się cały śmiertelny ładunek mitologii przemocy: „Kamorystą człowiek się staje, w Casal di Principe się rodzi". Albo kiedy dwóch mężczyzn mierzy się wzrokiem na chwilę przed rozpoczęciem walki na pięści czy noże, możesz usłyszeć, jaka jest ich filozofia życiowa: „Życie albo śmierć, wszystko mi jedno!" Są sytuacje, w których takie pochodzenie może przynieść ci korzyść, może ci dodać

mrocznego uroku, posłużyć jako zamaskowane zastraszenie, onieśmielić. Przydaje się do uzyskania zniżkowego biletu do kina albo umożliwia zakupy „na krechę” u bojaźliwej ekspedientki. Zdarza się jednak, że ciężar uprzedzeń i stereotypów związanych z twoim miejscem urodzenia jest nie do udźwignięcia, a nie możesz przecież tłumaczyć wszystkim, że tam, skąd pochodzisz, nie każdy należy do klanu, nie wszyscy są kryminalistami, a kamoryści stanowią mniejszość. Idziesz więc na łatwiznę i przedstawiasz się jako mieszkaniec jakiejś sąsiedniej, bardziej anonimowej miejscowości, która oddala od ciebie automatyczne skojarzenie z mafią. I tak Secondigliano staje się Neapolem, a Casal di Principe Casertą lub Aversą. Pochodzenie przynosi ci wstyd lub dumę w zależności od chwili, w zależności od sytuacji, podobnie jak czasem dzieje się z ubraniem, ale w tym wypadku nie ty decydujesz, kiedy je założysz.

Corleone w porównaniu z Casal di Principe jest jak miasteczko zaprojektowane przez Walta Disneya. Casal di Principe, San Cipriano d’Aversa, Casapesenna. Obszar z liczbą mieszkańców mniejszą niż 100 tysięcy, wśród których aż 1200 osób zostało skazanych z artykułu 416 bis za przestępstwo stowarzyszenia mafijnego, a wiele innych za współuczestnictwo w przestępstwie o charakterze mafijnym.

Te ziemie od niepamiętnych czasów cierpią z powodu przemocy rodzin mafijnych, których krwawą awangardą są klany. Klan Casalesi wziął swą nazwę od miejsca, z którego pochodzi wielu jego członków, czyli Casal di Principe, i można go określić jako konfederację niezależnych rodzin mafijnych, osiedlonych w prowincji Caserty. W Castelvolturno, Villa Literno, Gricignano, San Tammaro, Cesa, Villa di Briano, Mondragone, Carinola, Marcianise, San Nicola La Strada, Calvi Risorta, Lusciano i w dziesiątkach innych miejscowości. Każda z nich ma swojego *capozona*, każda stanowi element struktury klanu.

Patriarcha wszystkich zrzeszonych rodzin, Antonio Bardellino, był pierwszym bossem we Włoszech, który przewidział, że kokaina zajmie miejsce heroiny, i że będzie się jej używać znacznie więcej. Jednak długo jeszcze Sycylijczycy z cosa nostry oraz liczni kamoryści stawiali przede wszystkim na heroinę. Heroiniści byli uważani za klientów pewnych, za prawdziwe dojne krowy, podczas gdy kokaina w latach 80. była traktowana jak narkotyk dla elit. Antonio Bardellino uznał, że dużo większe szanse na rynku będzie miała substancja, która zamiast zabijać w krótkim czasie czy

też w najlepszym razie relegować na margines społeczny, jest zażywana przez klasę średnią jak coś w rodzaju aperitifu. W związku z tym otworzył firmę, która miała importować z Ameryki Południowej mączkę rybną. Mączka rybna przykrywała zaś tony koki. Bardellino handlował także heroiną, przemycał ją do Ameryki w filtrach ekspresów do kawy, tam zaś rozprowadzał ją John Gotti. Amerykańskie służby antynarkotykowe przechwyciły kiedyś 67 kilogramów heroiny, co jednak na bossie z San Cipriano d'Aversa nie zrobiło większego wrażenia. Świadczy o tym informacja przekazana Gottiemu telefonicznie kilka dni później: „Poślemy teraz podwójną porcję w inny sposób". W okolicach Caserty powstała organizacja przestępcza, która potrafiła przeciwstawić się Raffaele Cutolowi, a okropności wojny, jaka się po tym rozpętała, pozostały w pamięci genetycznej kamorystów z okolic Caserty. W latach 80. rodziny związane z Raffaele Cutolem zostały wyeliminowane z gry w wyniku krwawych akcji zbrojnych. Wystarczyło zaledwie kilka takich operacji. W rodzinie Di Matteo zamordowano w ciągu paru dni czterech mężczyzn i cztery kobiety, Casalesi zostawili przy życiu tylko ośmioletniego chłopczyka. Z rodziny Simeoni zabito prawie równocześnie siedem osób. Rano wszyscy jeszcze żyli i cieszyli się swoją kryminalną potęgą, w nocy już ich nie było. Zamordowani. W Ponte Annicchino w marcu 1982 roku Casalesi ustawili na jednym ze wzgórz karabin maszynowy, jeden z tych, których używało się w okopach, i puścili z niego serię, zabijając czterech sprzymierzeńców Cutola.

Antonio Bardellino współpracował z cosa nostrą, był związany z Tanem Badalamentim i przyjaźnił się z Tommasem Buscettą, z którym mieszkał w tej samej willi w Ameryce Południowej. Kiedy Corleonesi pozbawili władzy sprzymierzonych: Badalamentiego i Buscettę, chcieli wyeliminować także Bardellina, ale to im się nie udało. Kiedy tworzyła się Nowa Kamorra Zorganizowana, Sycylijczycy zamierzali zlikwidować Raffaele Cutola. Wysłali killera Mimma Bruno promem z Palermo, ale zastrzelono go, gdy tylko wyszedł poza obręb portu. Cosa nostra miała zawsze duży respekt dla klanu Casalesi, ale kiedy w 2002 roku Casalesi zabili Raffaele Lubrana, bossa z Pignataro Maggiore – miejscowości położonej niedaleko Capui, człowieka wciągniętego do cosa nostry osobiście przez Totò Riinę, wielu obawiało się wybuchu faidy. Pamiętam,

że nazajutrz po tym morderstwie usłyszałem, jak kioskarz, podając klientowi lokalną gazetę, powiedział cicho, głosem pełnym obawy:

– Jeżeli teraz włączą się do walki także Sycylijczycy, nie będziemy mieli spokoju co najmniej przez trzy lata.

– Jacy Sycylijczycy? Mafiosi?

– Tak, mafiosi.

– Ci mogą tylko paść na kolana przed tymi z klanu Casalesi i lizać ziemię. Tylko tyle mogą zrobić: lizać ziemię przed nimi.

Jedna z opinii o sycylijskich mafiosach, które najbardziej mnie zaskoczyły, została wyrażona przez Carmine Schiavone, „skruszonego" kamorystę z klanu Casalesi, podczas wywiadu przeprowadzonego w 2005 roku. Mówił o cosa nostrze jak o organizacji wysługującej się politykom, która nie potrafi rozumować w kategoriach opłacalności, co z kolei było zawsze mocną stroną kamorystów z okolic Caserty. Zdaniem Schiavone sycylijska mafia chciała odgrywać rolę antypaństwa, a to stało w sprzeczności z filozofią przedsiębiorczości. Nie istnieje paradygmat państwo-antypaństwo. Istnieje tylko obszar, na którym robi się interesy. Z państwem, wykorzystując państwo albo bez państwa.

„My współżyliśmy z państwem. Dla nas państwo musiało istnieć i musiało to być właśnie takie państwo, w jakim przyszło nam działać. Tylko że my wyznawaliśmy inną filozofię niż Sycylijczycy. Podczas gdy sposób myślenia Riiny, ukształtowany na wyspie odizolowanej od świata, w niedostępnych górach, przypominał – co tu dużo mówić – mentalność wiejskiego pastucha, my mieliśmy ten etap już dawno za sobą. My chcieliśmy współżyć z państwem. Jeżeli jakiś element aparatu państwa stawiał nam opór, znajdowaliśmy inny, który okazywał nam przychylność. Jeżeli był to polityk, nie głosowaliśmy na niego, jeżeli to była jakaś instytucja, zawsze znajdowaliśmy sposób, żeby ją oszukać".

Carmine Schiavone, kuzyn bossa Sandokana, był pierwszym świadkiem koronnym, który ujawnił, na czym polegają przedsięwzięcia klanu Casalesi. Kiedy zdecydował się na współpracę z wymiarem sprawiedliwości, gazety wydrukowały list otwarty jego córki Giuseppiny z oskarżeniami przeciw

ojcu, po przeczytaniu których czuł się może bliżej śmierci, niż gdyby usłyszał wyrok skazujący go na karę pozbawienia życia: „To kłamca, hipokryta i zły człowiek, który chce zarobić na swoich niepowodzeniach. To bestia w ludzkiej skórze. Nigdy nie był dla mnie ojcem. Ja nawet nie wiem, co to jest kamorra”.

Przedsiębiorcy. Tak siebie określają kamoryści z okolic Caserty; nic innego jak przedsiębiorcy. Klan Casalesi jest stowarzyszeniem przedsiębiorców-gangsterów, menedżerów-morderców, budowniczych-bandytów i właścicieli gruntów-kryminalistów. Każdy z nich ma do dyspozycji uzbrojone oddziały, między sobą są powiązani wspólnymi interesami. Casalesi zajmowali się zawsze hurtowym handlem narkotykami, nie musieli zawracać sobie głowy drobiazgami. Co prawda posiadają duże wpływy na narkotykowym rynku w Rzymie, ale o wiele większe korzyści czerpią z pośrednictwa w kupnie-sprzedaży dużych partii towaru. Akta Komisji Antymafijnej z 2006 roku informowały, że Casalesi dostarczają narkotyki klanom palermitańskim. Nawiązanie współpracy z mafią nigeryjską i albańską zaoszczędziło im kłopotów związanych z detalicznym handlem narkotykami. Porozumienie z klanami z Lagos i Benin City, sojusz z mafijnymi rodzinami z Prisztiny i Tirany, umowy z ukraińską mafią ze Lwowa i Kijowa uwolniły kamorystów z okolic Caserty od konieczności popełniania przestępstw najwyższej kwalifikacji prawnej. Jednocześnie Casalesi cieszą się wieloma przywilejami przy dokonywaniu inwestycji w krajach Europy Wschodniej oraz przy zakupie kokainy od międzynarodowych handlarzy z bazą w Nigerii. Nowi bossowie, nowe wojny – wszystko to zdarzyło się po narodzinach klanu Bardellina, który dał początek gospodarczej władzy kamorry na tych ziemiach. Antonio Bardellino, po opanowaniu wszystkich sfer legalnej i nielegalnej gospodarki, od handlu narkotykami po budownictwo, zamieszkał w Santo Domingo i założył nową rodzinę. Swoim południowoamerykańskim dzieciom dał te same imiona, co dzieciom urodzonym w San Cipriano. Prosty i skuteczny sposób na uniknięcie pomyłek. Opiekę nad interesami klanu na rodzinnej ziemi pozostawił swoim najbardziej zaufanym ludziom. Z wojny z Raffaele Cutolem Casalesi wyszli bez większych szkód, wzrósł ich autorytet oraz rentowność ich przedsiębiorstw, dokonali ekspansji

wszędzie: na północ Włoch i za granicę. Bossami klanu Casalesi byli: Maro Iovine, Vincenzo De Falco, Francesco Schiavone alias Sandokan, Francesco Bidognetti zwany Cicciotto di Mezzanotte oraz Vincenzo Zagaria. Na początku lat 80. Cicciotto di Mezzanotte i Sandokan byli odpowiedzialni za akcje z użyciem broni, jednocześnie jednak prowadzili swoje interesy, inwestując w wielu sektorach i nabierając praktycznych umiejętności w zarządzaniu wielogłowym smokiem konfederacji. W pewnym momencie uznali, że Mario Iovine jest zbyt blisko związany z Antoniem Bardellino, a poza tym swoimi decyzjami ogranicza ich autonomię. Zastosowali więc tajną i bardzo skuteczną strategię, uciekając się do typowych środków dyplomacji kamorry, czyli doprowadzając do wybuchu wewnętrznej wojny.

Jak opowiedział „skruszony” Carmine Schiavone, dwaj bossowie zaczęli namawiać Antonia Bardellino do powrotu do Włoch i zlikwidowania Mimiego Iovine, brata Maria. Mimi handlował meblami i oficjalnie nie był związany z kamorrą. Dwaj bossowie twierdzili, że przekazywał informacje karabinierom. Żeby łatwiej przekonać Bardellina, powiedzieli mu, że nawet Mario był skłonny poświęcić brata dla dobra klanu. Bardellino dał się przekonać i zlecił zabójstwo Mimiego. Zastrzelono go w drodze do sklepu meblowego. Krótko potem Cicciotto di Mezzanotte i Sandokan zaczęli przekonywać Maria Iovine, że powinien zabić Antonia Bardellino za to, że zlecił zamordować jego brata pod byle pretekstem, usłyszawszy z jednego tylko źródła zarzuty na jego temat. Podwójna gra, dzięki której udało im się zantagonizować starych wspólników. Jednocześnie zaczęli działać. Wszyscy pełnomocnicy Bardellina zgodzili się, że należy wyeliminować bossa bossów, człowieka, który stworzył najsprawniej działającą w Kampanii organizację kryminalno-gospodarczą. Skłonili Bardellina do przeprowadzki z Santo Domingo do Brazylii, donosząc mu, że Interpol wpadł na jego ślad. Mario Iovine odwiedził go tam w 1988 roku pod pretekstem ustalenia szczegółów dotyczących importu mączki rybnej – kokainy. I tak zdarzyło się pewnego popołudnia, że Iovine, nie znalazłszy w kieszeni spodni pistoletu, złapał za drewniany młotek i rozbił nim czaszkę Bardellina. Pogrzebał zwłoki na brazylijskiej plaży. Ciało nigdy nie zostało znalezione, w związku z czym narodziła się legenda o Antoniu Bardellino cieszącym się bogactwem na jakiejś tropikalnej wyspie. Po wykonaniu tej operacji boss natychmiast zadzwonił do Vincenza De Falco z wiadomością, że może już zacząć likwidację

wszystkich stronników Bardellina. Zwołano spotkanie całego kierownictwa klanu Casalesi, na które zaproszono także Paride Salzilla, siostrzeńca Bardellina, jego następcę na terytorium znajdującym się we władzy klanu. Jak zeznał „skruszony” Carmine Schiavone, przygotowano dla niego miejsce u szczytu stołu, tam, gdzie zwykle siadał Bardellino. W pewnej chwili Sandokan niespodziewanie zaatakował Paride i zaczął go dusić, podczas gdy jego kuzyn, również Francesco Schiavione, ale znany pod pseudonimem Cicciarello, czyli „grubasek”, oraz dwaj inni kamoryści, Raffaele Diana i Giuseppe Caterino, trzymali mu ręce i nogi. Mógłby zabić go strzałem z pistoletu albo pchnięciem noża w żołądek, jak to robili bossowie ze starej szkoły. Wolał jednak udusić go własnymi rękami, jak niegdyś mordowało się starych władców, by ich miejsce mogli zająć nowi. W 1345 roku Andrzej Węgierski został uduszony w Aversie, w wyniku spisku pałacowego swojej żony Joanny I oraz szlachty neapolitańskiej, której przewodniczył Carlo di Durazzo, pretendujący do tronu Królestwa Neapolu. Od tego czasu na ziemiach sąsiadujących z Aversą uduszenie jest kojarzone z obejmowaniem tronu. Sandokan wykorzystał to, żeby dać do zrozumienia wszystkim bossom, że to on jest następcą Bardellina, że prawem bestialskiej przemocy on jest nowym liderem klanu Casalesi.

Nowe jednostki gospodarcze o charakterze kryminalnym, które wyrosły wewnątrz systemu stworzonego przez Antonia Bardellino, nie znajdowały już dla siebie miejsca w rozdysponowanych przez niego ciasnych przedziałach. Osiągnęły dojrzałość ekonomiczną i dążyły do zademonstrowania całego swego potencjału i do uwolnienia się od więzów klanowej hierarchii. Właśnie dzięki temu Sandokan Schiavone mógł zostać liderem. Wszystkie kluczowe funkcje wewnątrz klanu powierzył członkom swojej rodziny: brat Walter zarządzał oddziałami ogniowymi, kuzyn Carmine zajmował się finansami, kuzyn Francesco został wybrany na urząd burmistrza Casal di Principe, a inny kuzyn, Nicola, został radnym, przewodniczącym komisji finansowej. Wszystkie te posunięcia wpłynęły na zdobycie przez klan poparcia w mieście, co na etapie początkowego rozwoju organizacji jest bardzo ważne. Na wzmocnienie pozycji Sandokana niebagatelny wpływ miała przychylność lokalnych polityków. Ze względu na dawne konflikty ze starą demokracją chrześcijańską w Casal di Principe klan poparł w 1992 roku Włoską Partię Liberalną, która w związku z tym odnotowała najszybszy i największy wzrost popularności w całej swojej

historii: po zadeklarowaniu przez klan poparcia, wzrosła ona nagle z 1 do 30 procent. Jednak wewnątrz klanu wielu członków na wysokich pozycjach było przeciwnych władzy absolutnej Sandokana. Przede wszystkim zaś rodzina De Falco, która mogła liczyć na pomoc karabinierów i policji oraz na własnych sojuszników w świecie biznesu i polityki. W 1990 roku kierownictwo konfederacji zbierało się często. Na jedno z zebrań zaproszono także Vincenza Di Falco, o przydomku Fuggiasco, czyli „uciekinier". Bossowie chcieli go zlikwidować. Fuggiasco nie pojawił się na spotkaniu, przybyli za to karabinierzy i zaaresztowali zebranych. W 1991 roku Vincenzo Di Falco został zastrzelony. Kiedy policjanci podchodzili do jego samochodu, gdzie leżał na siedzeniu zwinięty, podziurawiony jak sito, już z daleka dobiegały dźwięki piosenki Domenica Modugna, odtwarzanej z kasety, która wciąż jeszcze kręciła się w magnetofonie stereofonicznym nastawionym na cały głos. Po tym zabójstwie rodziny należące do konfederacji Casalesi podzieliły się. Po stronie Sandokana i Iovine zostały rodziny: Zagaria, Reccia, Bidognetti i Caterino. Z rodziną De Falco sprzymierzyli się: Quadrano, La Torre, Luise, Salzillo. Odpowiedzią krewnych Vincenza De Falco na jego zabójstwo było zlikwidowanie Maria Iovine w portugalskim Cascais, w 1991 roku. Przeszyli go kulami, gdy rozmawiał przez telefon w budce telefonicznej. Śmierć Maria Iovine oczyściła teren dla Sandokana Schiavone. Nastąpiły cztery lata wewnętrznej wojny, krwawych bitew pomiędzy rodzinami sprzymierzonymi z Sandokanem a stronnikami De Falco. Cztery lata, podczas których wielokrotnie następowały różne przetasowania, odwrócenia sojuszów, przejścia na przeciwną stronę, podczas których nikt nie szukał rozwiązania konfliktu, a za to każdy starał się tak wpłynąć na podział terenów i władzy, by jak najwięcej skorzystać. Stronnictwo Sandokana zwyciężyło, wkrótce wszyscy jego dotychczasowi wrogowie stali się jego sprzymierzeńcami. Budownictwo i handel narkotykami, haracze, transport, śmieci i monopol na dostawy handlowe. Oto pole do popisu dla przedsiębiorczych Casalesi. Fundamentem zaś były spółki produkujące cement.

Firmy budowlane właśnie u nich zaopatrywały się w cement i w ten naturalny sposób klan nawiązywał stosunki z przedsiębiorcami budowlanymi i docierał do informacji o wszystkich przedsięwzięciach. Jak wielokrotnie zeznawał Carmine Schiavone, cena cementu w spółkach

zarządzanych przez klan mogła być tak niska, ponieważ ich statki transportowały nie tylko cement, ale też broń dla krajów Bliskiego Wschodu objętych embargiem. Interesy prowadzone w tej drugiej, nielegalnej sferze handlu zarabiały na handel legalny i pozwalały utrzymywać niskie ceny. Klan Casalesi zarabiał na każdym etapie prac budowlanych. Dostarczając cement, podstawiając swoje firmy budowlane do podwykonawstwa czy otrzymując łapówki za większe przedsięwzięcia. Od łapówek wszystko się zaczynało, bo bez nich firmy należące do klanu, tanie i wydajne, nie rozpoczęłyby pracy, a żadne inne przedsiębiorstwo nie mogło podjąć się realizacji zamówienia, jeżeli nie chciało sobie zaszkodzić, nie mogło też zaproponować równie niskich cen za swoje usługi. Obroty osiągane przez rodzinę Schiavone wynoszą około 5 miliardów euro rocznie. Całkowity potencjał finansowy klanu Casalesi: nieruchomości, gospodarstwa rolnicze, akcje, gotówka, przedsiębiorstwa budowlane, cukiernie, cementownie, lichwa, handel bronią i narkotykami, sięga 30 miliardów euro. Kamorra z prowincji Caserty jest przedsiębiorstwem wielofunkcyjnym, na którym można polegać, otwartym na wszelkie wyzwania biznesowe. Wysokość nielegalnie skumulowanego kapitału pozwala jej na korzystanie z preferencyjnych kredytów, może więc łatwo pokonać konkurencję niskimi cenami. Albo też przez zastraszenie. Przedsiębiorcy kamoryści sprawili, że haracz stał się czymś w rodzaju części pakietu usług, jest podstawowym warunkiem rozpoczęcia współpracy. Haracz wypłacany co miesiąc klanowi jest rodzajem wymuszonego opodatkowania na rzecz kamorystów, ale może też dać korzyści w rodzaju poręczenia bankowego, punktualnych dostaw czy kontaktu ze sprawdzonymi agentami handlowymi. W ten sposób haracz może być rozumiany jako narzucona opłata za narzucone usługi. Ta nowa interpretacja zjawiska wymuszenia pojawiła się w materiałach uzyskanych podczas dochodzenia, przeprowadzonego w 2004 roku przez Kwesturę w Casercie, które zakończyło się aresztowaniem osiemnastu osób.

Francesco Schiavone Sandokan, Michele Zagaria oraz klan Moccia byli najważniejszymi wspólnikami firm Cirio oraz Parmalat w Kampanii. W całej prowincji Caserty, w dużej części prowincji Neapolu, w południowym Lacjum, w części Abruzji, Marche i Bazylikaty mleko produkowane przez Cirio i Parmalat zdobyło 90 procent rynku. Ten wynik był możliwy tylko dzięki bliskiej współpracy z kamorrą casertańską, dzięki

łapówkom płaconym klanom w zamian za pomoc w utrzymaniu przewagi na rynku. W tę sprawę zamieszane były także liczne mniejsze firmy, powiązane w większym lub mniejszym stopniu z mlecznym imperium Eurolat, zakupionym w 1999 roku przez Parmalat Calista Tanziego od firmy Cirio kierowanej przez Cragnottiego.

Prokuratura wydała nakaz zajęcia trzech zakładów mleczarskich oraz kilku przedsiębiorstw zajmujących się dystrybucją i sprzedażą mleka, które według aktu oskarżenia były kontrolowane przez kamorrę casertańską. Oficjalnymi właścicielami zakładów mleczarskich byli figuranci podstawieni przez klan Casalesi. Kierując najpierw Cirio, a następnie Parmalatem, prowadzili rozmowy bezpośrednio ze szwagrem Michele Zagarii, należącym do kierownictwa klanu Casalesi, który ukrywał się już wtedy od dziesięciu lat przed wymiarem sprawiedliwości. Na status klienta specjalnego zarabiało się przede wszystkim umiejętnie prowadzoną polityką handlową. Dystrybutorzy produktów z markami Cirio i Parmalat otrzymywali od tych firm rabat w wysokości od 4 do 6,5 procent, zamiast zwyczajowych 3 procent; do rabatu dochodziły premie od wysokiej sprzedaży i dzięki temu także supermarkety i sklepy korzystały z obniżki cen. Tym sposobem Casalesi zarabiali sobie na powszechne przyzwolenie dla ich dominacji gospodarczej. Kto nie zgadzał się na współpracę po dobroci, bywał do niej przekonywany przemocą: groźbami, szantażem, stratami materialnymi. Oporni mogli się spodziewać zniszczenia ciężarówek transportujących towar, pobicia kierowców, porwania tirów, pożaru magazynów. Strach był tak wszechobecny, że na obszarach kontrolowanych przez klan prawdopodobieństwo znalezienia handlowca skłonnego sprzedawać towary z markami innymi niż te, które narzucali Casalesi, było bliskie zera. Za wszystko płacili konsumenci, bo ceny na zmonopolizowanym, zablokowanym rynku nie były regulowane przez konkurencję i pozostawały poza jakąkolwiek kontrolą.

O historycznym porozumieniu między gigantami mleczarskimi a kamorrą zaczęło być głośno jesienią 2000 roku, kiedy członek klanu Casalesi, Cuono Lettiero, zdecydował się na współpracę z prokuraturą i odsłonił tajemnice polityki handlowej klanu. Zapewnienie sobie ciągłości sprzedaży jest marzeniem każdego przedsiębiorstwa produkcyjnego, bo stanowi niezawodny sposób na otrzymanie poręczenia bankowego. Cirio i Parmalat zostały oficjalnie uznane za „stronę poszkodowaną”, za ofiary

wymuszeń i przemocy kamorry, ale śledczy są przekonani, że obydwie strony, zarówno ci dwaj potentaci w branży spożywczej, jak lokalna kamorra, odnosili korzyści ze współpracy.

Cirio i Parmalat nigdy nie zawiadomiły organów ścigania o szkodach poniesionych w Kampanii wskutek działania kamorry. Nawet kiedy w 1998 roku urzędnik zatrudniony w firmie Cirio w prowincji Caserty został bestialsko pobity w swoim domu, na oczach żony i dziewięcioletniej córki, bo nie zastosował się do poleceń klanu. Żadnego protestu, żadnego doniesienia o przestępstwie. Pewność gwarantowana przez monopol była lepsza niż niepewność wolnego rynku. Pieniądze wydane na utrzymanie monopolu w Kampanii musiały być jakoś zapisane przez buchalterów przedsiębiorstw. Ale to żaden problem w państwie, w którym kwitnie kreatywna księgowość i w którym zdepenalizowano oszustwo w bilansie finansowym. Fałszywe rachunki, fałszywy sponsoring, fałszywe pokwitowania za niewypłacone premie od wysokiej sprzedaży rozwiązały wszystkie problemy. Od 1997 roku w księgach rachunkowych zapisywano wydatki na imprezy, które nigdy się nie odbyły: Święto Mozzarelli, Muzyka na Rynku, obchody dnia św. Tamaro, patrona miejscowości Villa Literno. Według tych samych ksiąg Cirio finansował klub sportowy, Polisportiva Afragolese, który w rzeczywistości był utrzymywany przez klan Moccia, podobnie jak to działo się z najróżniejszymi stowarzyszeniami sportowymi, muzycznymi i rekreacyjnymi, sponsorowanymi przez „spółkę cywilną” klanu Casalesi.

W ostatnich latach potencjał klanu wzrósł imponująco, zasięg jego wpływów rozszerzył się i dotarł także do krajów Europy Wschodniej: do Polski, Rumunii czy Węgier. Właśnie w Polsce w marcu 2004 roku aresztowano Francesca Schiavone alias Cicciariello, kuzyna Sandokana. Ten wąsaty, przysadzisty boss był jedną z najważniejszych osobistości w casertańskiej konfederacji. Poszukiwany listem gończym, oskarżony o dziesięć zabójstw, trzy porwania, dziewięć planowanych morderstw i wiele innych przestępstw, takich jak nielegalne posiadanie broni czy wymuszenia. Zatrzymano go, gdy wraz ze swoją kochanką, 25-letnią Rumunką Luizą Boetz, robił zakupy w supermarkecie. Cicciariello przedstawiał się jako Antonio i uchodził za zwykłego, 51-letniego przedsiębiorcę. Jednak Luiza musiała chyba wiedzieć coś o jego podwójnym życiu, bo żeby dojechać do niego do Krosna, niedaleko

Krakowa, dla zmylenia policji odbyła długą, okrężną podróż pociągami. Podróż Rumunki była rozłożona na kilka etapów, policja śledziła ją przy przekraczaniu trzech granic, na koniec jechała za nią samochodem aż do rogatek Krosna. Cicciarella zatrzymano przy kasie supermarketu. Obciął wąsy, wyprostował kędzierzawe włosy, zeszczuplał. Przeniósł się na Węgry, ale z kochanką spotykał się w Polsce. Prowadził imponujące interesy: gospodarstwa hodowlane, zakup gruntów budowlanych, pośrednictwo w miejscowych biznesach. Włoski obserwator przy SECI Center, organizacji zrzeszającej państwa południowo-wschodniej Europy, powołanej do walki z przestępczością transgraniczną, zgłosił, że Schiavone i jego ludzie przebywali często w Rumunii, gdzie rozkręcili interesy na dużą skalę w miastach Barlad (na wschodzie kraju), Sinaia (w centrum), Kluż-Napoka (na zachodzie), a także na wybrzeżu Morza Czarnego. Cicciariello Schiavone miał dwie kochanki, Luizę Boetz i Cristinę Coremanciau, obie Rumunki. W Casal di Principe na wiadomość o aresztowaniu bossa „z winy kobiety” wszyscy zareagowali śmiechem. Miejscowa gazeta dała tej informacji nagłówek: „Cicciariello aresztowany z kochanką”, jakby drwiąc sobie z niego. W rzeczywistości jego rumuńskie przyjaciółki były prawdziwymi menedżerkami, które dbały o jego interesy w Polsce i Rumunii, przysparzając mu sporych zysków. Cicciariello był jednym z ostatnich aresztowanych bossów z rodziny Schiavone. W ciągu dwudziestu lat, w czasie prosperity i w okresach faidy, wielu bossów i klanowych szeregowców dostało się za kratki. W maksiprocesie nazwanym „Spartakus”, jak gladiator pochodzący z tych właśnie ziem, który stanął na czele największego powstania przeciw Rzymowi, zebrano wyniki dochodzeń w sprawie działalności klanu Casalesi i wszystkich jego odgałęzień.

W dniu ogłoszenia wyroku podjechałem pod gmach sądu w Santa Maria Capua Vetere. Zaparkowałem moją vespę między dwoma samochodami i udało mi się wejść do budynku. Spodziewałem się dziennikarzy telewizyjnych i fotoreporterów. Zobaczyłem ich bardzo niewielu, i to tylko tych, którzy pracowali dla lokalnej prasy i telewizji. Natomiast karabinierzy i policjanci byli wszędzie. Doliczyłem się około dwustu. Dwa helikoptery latały nisko nad budynkiem, z ogłuszającym hukiem śmigieł. Psy tresowane do wykrywania bomb, patrole policyjne. Napięta atmosfera. Jednak prasy i telewizji o ogólnokrajowym zasięgu przy tym nie było. Największy proces

przeciwko organizacji przestępczej typu mafijnego, biorąc pod uwagę liczbę oskarżonych oraz wymiar żądanych kar, został zupełnie zignorowany przez media. Specjalistom w tej materii proces „Spartakus” kojarzy się z liczbą 3615, numerem rejestru nadanym dochodzeniu, w trakcie którego śledczy z DDA przesłuchali około 1300 podejrzanych. Zapoczątkowały go w 1993 roku zeznania „skruszonego” Carmine Schiavone.

Proces trwał siedem lat i dwadzieścia jeden dni. W tym czasie odbyło się 627 posiedzeń sądu. Był to bez wątpienia najbardziej skomplikowany proces przeciw mafii we Włoszech w ciągu ostatnich piętnastu lat. Przesłuchano 24 świadków koronnych, w tym sześciu oskarżonych, oraz 500 świadków zwykłych. Akta procesu zapełniły 90 skoroszytów. Proces miał tę samą nazwę, co akcja policji w 1995 roku, skierowana przeciw klanowi Casalesi oraz dochodzenie, które do procesu doprowadziło. Po upłynięciu roku od pamiętnej akcji „Spartakus” rozpoczęto dochodzenia pokrewne: „Spartakus 2” oraz „Regi Lagni”. To drugie dotyczyło finansowanych przez państwo prac konserwatorskich przy kanałach przecinających ziemie w pobliżu Caserty, zbudowanych w epoce Burbonów, które od czasu powstania, czyli od XVIII wieku, nie były poddane żadnym zabiegom konserwatorskim. Projekt renowacji kanałów Regi Lagni był przez wiele lat pilotowany przez klan Casalesi, który według aktu oskarżenia, skierował państwowe fundusze nadesłane do regionu na ten cel, w wysokości miliardów lirów, do swoich przedsiębiorstw budowlanych. Dzięki temu w następnych latach były one bezkonkurencyjne na terenie całych Włoch. Pokrewnym procesem był także proces „Aima”, dotyczący zuchwałego oszustwa, dzięki któremu spółdzielnie rolnicze zarządzane przez klan Casalesi uzyskały od Unii Europejskiej gigantyczne odszkodowania za nadwyżki w produkcji owoców. Kamoryści wrzucali do dołów kompostowych najprzeróżniejsze śmieci, stare żelastwo i gruz z budowy, podając ich wagę za ciężar owoców i inkasując za nie odszkodowania. Owoce ze swoich plantacji natomiast sprzedawali na rynku i zarabiali na nich po raz drugi. W wyniku procesu „Aima” sąd wydał 131 orzeczeń zajęcia dóbr, dotyczących przedsiębiorstw, terenów i gospodarstw rolnych o łącznej wartości setek milionów euro. Nakaz sekwestru majątku objął także dwa kluby piłkarskie: „Albanova”, który walczył w rozgrywkach serii C2, oraz klub „Casal di Principe”.

Sfera robót publicznych finansowanych przez państwo była jednym z najważniejszych tematów procesu. Klan Casalesi wymuszał powierzanie zleceń na podwykonawstwo tych prac firmom, które miał pod kontrolą, i zapewnił sobie monopol na dostawy cementu oraz na usługi w zakresie robót ziemnych. Innym ważnym tematem były oszustwa na szkodę Unii Europejskiej, szczególnie te, których celem było przejęcie funduszy na finansowanie sektora rolno-spożywczego. Poza tym setki zabójstw, nielegalne transakcje handlowe, tajne porozumienia przedsiębiorców. Podczas gdy czekałem w gmachu sądu na ogłoszenie wyroku, wzrastało we mnie przekonanie, że tego procesu nie można porównać z innymi procesami przeciw rodzinom kamorystów z południowych prowincji Włoch. To był proces przeciw Historii, Norymberga epoki kamorry, tyle tylko, że w odróżnieniu od generałów III Rzeszy wielu kamorystów znajdujących się na sali sądowej wciąż jeszcze dowodziło swoimi „wojskami", pozostało bossami swoich imperiów. Norymberga bez zwycięzców. Oskarżeni, siedzący w klatkach, milczeli. Sandokan, unieruchomiony w celi w więzieniu w Viterbo, uczestniczył w procesie przez wideokonferencję. Przewiezienie go na miejsce rozprawy byłoby zbyt ryzykowne. W auli sądowej było słychać tylko głosy adwokatów. W procesie uczestniczyło dwadzieścia kancelarii adwokackich – ponad pięćdziesiąt osób, adwokatów i ich asystentów, dokładnie przestudiowało akta dochodzeń, by bronić swoich klientów. Krewni oskarżonych siedzieli stłoczeni w niewielkiej sali przylegającej do auli-bunkra, w której odbywał się proces, i wpatrywali się w monitor. Kiedy prezes sądu, Catello Marano, wziął do ręki trzydzieści stron z sentencją wyroku, zapadła cisza. Ciężkie oddechy, przełykanie śliny w setkach gardeł, tykanie setek zegarków, wibrowanie telefonów komórkowych, w których wyłączono dzwonki. Cisza nerwowa, naładowana, napięta, nieznacznie tylko zakłócana symfonią dźwięków wyrażających najwyższy niepokój. Prezes zaczął od odczytania listy skazanych, potem wymienił nazwiska uniewinnionych. Dwadzieścia jeden wyroków dożywocia, poza tym łącznie ponad siedemset pięćdziesiąt lat więzienia. Dwadzieścia jeden razy prezes sądu powtarzał formułę wyroku dożywotniego więzienia, często powtarzał nazwiska skazanych. Następnie wymienił siedemdziesiąt nazwisk oraz liczby, które oznaczały czas, jaki spędzą w więzieniu szeregowcy kamorry i biznesmeni, żeby odpokutować za sprzymierzenie się ze straszliwą potęgą klanu Casalesi.

O wpół do drugiej proces miał się już ku końcowi, kiedy Sandokan poprosił o głos. Chciał wygłosić swój komentarz do wyroku, powtórzyć po raz kolejny, że jest tylko biznesmenem, któremu udało się osiągnąć sukces. Że prokuratorzy, ci zazdrośni marksiści, zmówili się, by oskarżyć przedsiębiorców działających w okolicach Aversy o czyny przestępcze, zamiast przyznać, że ich sukces zależał tylko od ich zdolności menedżerskich. Chciał wykrzyczeć, że wyrok jest niesprawiedliwy. Jeżeli chodzi o zabitych na obszarze prowincji Caserty, są oni ofiarami faidy, zjawiska nieodłącznie związanego z zacofaniem tego regionu i chłopską mentalnością, a na pewno nie konfliktów w łonie kamorry. Ale tym razem Sandokanowi nie pozwolono mówić. Uciszono go jak niesfornego uczniaka. Gdy zaczął wrzeszczeć, sędziowie przyciszyli audio. Na ekranie widać było jeszcze przez chwilę barczystego, brodatego mężczyznę, który poruszał bezgłośnie ustami, rzucał się i wymachiwał rękami, aż wyłączono wizję. Gmach sądu opustoszał, karabinierzy powoli zbierali się do odjazdu, helikopter wciąż jeszcze latał nad aulą-bunkrem. Dziwne, ale nie miałem wrażenia, żeby klan Casalesi został pokonany. Wielu jego ludzi dostało się na jakiś czas za kratki, niektórzy bossowie nie wyjdą z więzienia do końca życia, któryś z nich zdecyduje się może na status świadka koronnego i w ten sposób zyska trochę życia na wolności.

Wyobrażam sobie, jaka złość dusiła Sandokana, człowieka o ogromnej władzy, który ma w głowie dokładną mapę swojego terytorium, ale już nie może bezpośrednio nim zarządzać. Bossowie, którzy decydują się nie współpracować z organami prawa, czerpią siły z poczucia metafizycznej, niemal wyłącznie wyobrażonej władzy. Przede wszystkim zaś muszą zapomnieć o przedsiębiorcach, których sami wypromowali i wspierali, którzy jednak nie należą do klanu, w związku z czym mogą wyjść bezkarnie z całego tego zamieszania. Bossowie mogliby doprowadzić także ich za kratki, ale w tym celu musieliby zacząć współpracę z wymiarem sprawiedliwości, a to automatycznie pozbawiłoby ich autorytetu i wystawiło na niebezpieczeństwo członków ich rodzin. Poza tym, co jeszcze tragiczniejsze dla bossa kamorry, często sami nie są w stanie powiedzieć, na co poszły ich finanse, jak potoczyły się losy ich legalnych inwestycji. Nawet gdyby zaczęli zeznawać, nawet gdyby chcieli odsłonić rozmiary swojej realnej władzy, nie potrafiliby precyzyjnie określić, jaką drogę przebyły ich pieniądze. Bossowie zawsze płacą, nie mogą nie płacić.

To oni zabijają, decydują o akcjach swoich oddziałów ogniowych, do ich rąk trafiają pieniądze z działalności przestępczej, a to sprawia, że wszystkie zbrodnie są od razu z nimi identyfikowane. Nie są subtelne i względne jak przestępstwa gospodarcze urzędników w białych kołnierzykach pracujących pod skrzydłami ich protekcji. Zresztą bossowie nie mogą być wieczni. Cutolo zostawił miejsce dla Bardellina, Bardellino dla Sandokana, Sandokana zastąpi Zagaria, La Monica ustąpił Di Lauro, Di Lauro Hiszpanom, a oni nie wiadomo komu. Ekonomiczna siła systemu stworzonego przez kamorrę polega właśnie na stałej wymianie liderów i zmianie stosowanych przez nich metod kryminalnych. Dyktatura jednego człowieka w klanie trwa zawsze krótko. Gdyby jeden boss miał władzę przez dłuższy czas, doprowadziłoby to do wzrostu cen, zmonopolizowania i – co za tym idzie – usztywnienia rynku, przeinwestowania jednych sfer i zaniedbania innych. Zamiast wartością dodaną w ekonomice klanu, stałby się przeszkodą w osiąganiu zysków. Dlatego gdy tylko jakiś boss dochodzi do władzy, wkrótce pojawiają się ludzie pragnący zająć jego miejsce; zdeterminowani, gotowi sięgnąć szczytów, wspinając się po plecach gigantów, których sami wykreowali. Przypominał o tym zawsze jeden z najprzenikliwszych obserwatorów dynamiki władzy, dziennikarz Riccardo Orioles: „Przestępczość nie jest władzą, jest tylko jednym z rodzajów władzy”. Żaden boss mafijny nie chciałby uczestniczyć w rządzeniu państwem. Gdyby kamorra była tożsama z władzą, nie osiągałaby ze swoich interesów tak wysokich zysków, które zapewnia jej lawirowanie między legalnością a nielegalnością. W tym sensie każde aresztowanie i każdy maksiproces przyczyniają się raczej do zamiany starych bossów na nowych i do przerwania poszczególnych etapów historii klanów niż do zniszczenia całego systemu.

Twarze, jakie następnego dnia można było zobaczyć w gazetach, wszystkie, jedna przy drugiej, twarze bossów i szeregowców klanu, młodych chłopców i starych bywalców więzień, nie należą do postaci z piekielnego kręgu bandytów, są natomiast częściami mozaiki władzy, której przez dwadzieścia lat nikt nie mógł lekceważyć ani prowokować. Po ogłoszeniu wyroku w procesie „Spartakus” kamoryści zaczęli wysyłać z więzienia mniej lub bardziej wyraźne groźby pod adresem sędziów, prokuratorów, dziennikarzy – wszystkich, których uważali za

odpowiedzialnych za to, że posługując się prawem, z przedsiębiorców od cementu i mozzarelli zrobiono killerów.

Głównym obiektem ich nienawiści był senator Lorenzo Diana. Listy wysłane do gazet, pogróżki rzucane podczas rozprawy. Po zakończeniu procesu kilku ludzi wdarło się na teren hodowli pstrągów należący do brata senatora, wyłowiło ryby z wody i porzuciło je na brzegu. Kilku „skruszonych" terrorystów mówiło o planowanym zamachu na senatora, którego miała dokonać „jednostka wyborowa" organizacji. Zrezygnowano jednak z tego planu po proteście bardziej umiarkowanych i dyplomatycznych członków klanu. Na zmianę decyzji wpłynęła także obecność obstawy. Uzbrojona obstawa zwykle nie stanowi żadnej przeszkody dla killerów. Nie obawiają się opancerzonych samochodów ani policjantów. Jednak obecność obstawy jest sygnałem. Sygnałem, że człowiek, którego chcą zlikwidować, nie jest sam, że nie będą mogli pozbyć się go jak pierwszego lepszego, którego śmiercią zainteresowałaby się najwyżej najbliższa rodzina. Lorenzo Diana jest jednym z tych polityków, którzy próbowali uświadomić wszystkim, jak złożonym problemem jest dominacja klanu Casalesi, a nie tylko wsadzić za kratki kilku bandytów. Urodził się w San Cipriano d'Aversa, obserwował z bliska, jak rodzi się potęga Bardellina i Sandokana, widział faidy, masakry, różne złote interesy. Potrafi opowiedzieć o tym lepiej niż ktokolwiek inny, a Casalesi obawiają się jego wiedzy i pamięci. Boją się, że może uda mu się wreszcie obudzić zainteresowanie mediów o ogólnokrajowym zasięgu tematem władzy klanu, boją się, że senator przekona członków Komisji Antymafijnej o tym, czego prasa nie chce zrozumieć: że problem kamorry nie jest problemem zwykłej prowincjonalnej przestępczości. Lorenzo Diana należy do ludzi, którzy zdają sobie sprawę, że walka z potęgą kamorry wymaga bezmiaru cierpliwości. Cierpliwości, która pozwala zaczynać wiele razy wszystko od nowa, od początku, od wyciągania nitki po nitce z poplątanego kłębu ekonomii klanu, by w końcu dotrzeć do kryminalnego szczytu. Powoli, ale wytrwale, zawzięcie, nawet kiedy uwaga opinii publicznej rozprasza się, nawet kiedy wszystko wydaje się daremne, skazane na trwanie w zaklętym kręgu, gdzie możliwa jest tylko zamiana jednej kryminalnej władzy na inną, bez nadziei na zadanie im ostatecznej klęski.

Proces został zakończony, wyroki ogłoszone – teraz mógł wybuchnąć otwarty konflikt między rodziną Bidognetti a rodziną Schiavone. Przez lata

stali po przeciwnych stronach barykady, ale w końcu wspólny interes brał zawsze górę nad niesnaskami. Bidognetti dysponują silnymi oddziałami militarnymi, ich terytorium rozciąga się w północnej części prowincji casertańskiej, aż do Costa Domizia. Są znani ze swego okrucieństwa. W Castelvolturno spalili żywcem barmana, Francesca Salvo, właściciela baru „Tropicana", karząc go za to, że ośmielił się wymienić automat do gry wideo w pokera dostarczony przez rodzinę Bidognetti na inny, z którego zysk czerpała konkurencja. Klan Bidognetti, zwany też klanem di Mezzanotte, nie zawahał się przed rzuceniem bomby fosforowej na samochód Gabriela Spenuso na drodze między Nola a Villa Literno. W 2001 roku Domenico Bidognetti zlecił zabójstwo Antonia Magliulo, bo ten zalecał się, choć był żonaty, do kuzynki jednego z bossów. Mordercy przywiązali go do krzesła na plaży i napełnili mu usta i nos piaskiem. Magliulo, by oddychać, połykał piasek i starał się wydmuchiwać go przez nos. Wymiotował, gryzł, potrząsał głową i mieszał piasek ze śliną, tworząc w ten sposób kleistą masę, jakby cement, który powoli go udusił. Okrucieństwo członków klanu di Mezzanotte było wprost proporcjonalne do ich potencjału ekonomicznego. Robili kokosowe interesy na wywozie śmieci. Według dochodzeń DDA w Neapolu w latach 1993 i 2006 nawiązali stosunki z lożą masońską, zdegenerowaną lożą P2. Za przystępną cenę utylizowali odpady toksyczne, których musieli się pozbyć przedsiębiorcy należący do loży. Do bezpośrednich kontaktów z masonami z ramienia kamorry casertańskiej został oddelegowany siostrzeniec Cicciotta di Mezzanotte, Gaetano Cerci, aresztowany podczas policyjnej akcji „Adelphi" skierowanej przeciw ekomafii. Gaetano często spotykał się w interesach z samym wielkim mistrzem, Liciem Gellim. Śledczy odkryli ślad tych wspólnych interesów w rachunkach jednego z przedsiębiorstw, w tym przypadku chodziło o biznes na ponad 35 milionów euro.

Dwaj bossowie, Bidognetti i Schiavone, obydwaj w więzieniu, obydwaj z wyrokiem dożywocia, mogliby, każdy ze swojej strony, wykorzystać wyrok rywala i spuścić swoich „żołnierzy" ze smyczy, żeby postarali się wyeliminować konkurencyjny klan. Był moment, kiedy rzeczywiście wydawało się, że wybuchnie krwawy konflikt, jeden z tych, które przynoszą każdego dnia wiele ofiar.

Wiosną 2005 roku najmłodszy syn Sandokana był na imprezie w Parete, miejscowości leżącej na terytorium Bidognettich, podczas której, według

ustaleń, zaczął flirtować z jedną z obecnych dziewcząt, chociaż była w towarzystwie swojego chłopaka. Beniaminek rodu Schiavone był bez obstawy, ale sądził, że jako syn Sandokana ma zapewnioną nietykalność. Stało się inaczej. Paru ludzi wyprowadziło go na ulicę, tam spuścili mu lanie, a na koniec poczęstowali kopniakami w tyłek. Po tym zajściu musiał się udać na pogotowie, gdzie założono mu szwy na głowie. Następnego dnia około piętnastu mężczyzn, na motorach i w samochodach, pojawiło się przed barem „Penelope", gdzie zwykle spotykali się chłopcy, którzy poprzedniego wieczoru sprawili lanie najmłodszemu potomkowi rodu Schiavone. Weszli do środka z kijami baseballowymi, zniszczyli wszystko, co znaleźli, pobili do krwi obecnych w lokalu ludzi, ale nie natrafili na chłopców, którzy dopuścili się zniewagi na synu Sandokana. Prawdopodobnie zdążyli uciec tylnym wyjściem. Grupa bojowa wypadła więc na ulicę i zaczęła strzelać na oślep; z dziesięciu strzałów jeden trafił w brzuch przypadkowego przechodnia. W odpowiedzi następnego dnia trzy motocykle zatrzymały się przed caffè „Matteotti" w Casal di Principe, gdzie często spędzali czas najmłodsi kamoryści z klanu Schiavone. Motocykliści zsiedli powoli ze swych pojazdów, by dać przechodniom czas do ucieczki, po czym i oni zabrali się za demolowanie wnętrza baru. Odnotowano szesnaście osób rannych od pchnięć nożem i wielu pobitych. Atmosfera się zagęściła. Nowa wojna mogła wybuchnąć lada moment.

Napięcie spotęgowała jeszcze wiadomość o zeznaniu jednego ze „skruszonych" kamorystów, Luigiego Diany, który według jednej z lokalnych gazet, poinformował śledczych, że Bidognetti ponosi odpowiedzialność za pierwsze aresztowanie Sandokana, bo to on poinformował karabinierów o kryjówce bossa we Francji. Oddziały ogniowe przygotowywały się do walki, karabinierzy – do zbierania ofiar jatki. Wszystko zatrzymał osobiście Sandokan. Pomimo zaostrzonego rygoru więzienia, w którym przebywał, zdołał przesłać do lokalnej gazety list otwarty, opublikowany na pierwszej stronie 21 września 2005 roku. Zaprzeczył w nim słowom „skruszonego" Diany, któremu zresztą kilka godzin po złożeniu zeznań zamordowano krewnego, i tym publicznym gestem, godnym prawdziwego dyplomaty, rozwiązał konflikt:

„Tym, kto doniósł i doprowadził do mojego aresztowania we Francji był, jak to zostało dowiedzione, Carmine Schiavone, a nie Cicciotto

Bidognetti. Prawda jest więc taka, że osoba o nazwisku Luigi Diana kłamie i chce nas skłócić dla własnej korzyści”.

Poza tym zasugerował redaktorowi naczelnemu gazety, że zrobiłby lepiej, gdyby podawał właściwe informacje:

„Nalegam, żebyście nie pozwolili sobą manipulować temu szpiclowi i sprzedawczykowi; uważajcie, byście nie popełnili fatalnego błędu i nie dopuścili do tego, żeby wasz dziennik zamienił się w szmatławiec goniący za sensacją. Stracilibyście wiarygodność, tak samo jak pewna inna gazeta, która z wami zawsze konkurowała. Odwołałem jej prenumeratę, i tak samo zrobią inni, bo któż by czytał gazetę, która pozwala na takie manipulacje”.

W ten sposób Sandokan napiętnował jako niewiarygodny dziennik konkurujący na rynku z gazetą, do której wysłał ten list. Jednocześnie poinformował wszystkich, z którą gazetą on sam będzie się kontaktował:

„Nawet słowem nie skomentuję faktu, że wasi rywale są przyzwyczajeni do pisania samych kłamstw. Niżej podpisany jest jak źródlana woda: we wszystkim przejrzysty!”

Sandokan powiadomił swoich ludzi, który dziennik powinni kupować i z dziesiątek więzień z całych Włoch do redakcji gazety wybranej przez bossa od razu zaczęły napływać zamówienia na prenumeratę, podczas gdy gazeta przez niego skrytykowana straciła mnóstwo czytelników. Boss zakończył list ustanawiający pokój z Bidognettim następującymi słowami:

„Życie stawia przed człowiekiem tylko takie zadania, z którymi może się zmierzyć. Przed tak zwanymi «skruszonymi» postawiło zadanie zmierzenia się z błotem. Tak samo jak przed świniami”.

Klan Casalesi nie był pokonany. Wręcz przeciwnie: wydawał się wzmocniony. Według ustaleń Prokuratury Antymafii w Neapolu, obecnie w klanie istnieje dwuwładza. Jednym z dwóch głównych bossów jest Antonio Iovine o przydomku ’O Ninno, czyli „chłopczyk”, bo doszedł do szczytu władzy wewnątrz klanu w bardzo młodym wieku. Drugim bossem jest Michele Zagaria, potężny biznesmen z Casapesenna, nazywany Capastorta, czyli „krzywa gęba” z powodu nieregularnych rysów twarzy; teraz podobno każe się nazywać Manera. Obydwaj od lat ukrywają się przed wymiarem sprawiedliwości, znajdują się na liście Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wśród najniebezpieczniejszych bandytów poszukiwanych przez włoskie organy ścigania. Są nieuchwytni, a przecież prawie zawsze obecni na swoich rodzinnych ziemiach. Żaden boss nie

może na dłużej oddalić się od swoich korzeni, bo to na nich właśnie buduje swoją potęgę; bez nich może szybko upaść.

Obszar niewielu kilometrów, malutkie miejscowości, kilka wąskich uliczek, do tego parę gospodarstw zagubionych wśród pól. A jednak nie da się ich złapać. Są na miejscu. Jeżdżą za granicę, ale zaraz wracają, większą część roku spędzają u siebie. Wszyscy o tym wiedzą. A jednak nie da się ich złapać. System osłony działa tak sprawnie, że nie można ich zaaresztować. Ich domy zamieszkują rodzina i krewni. Willa Antonia Iovine w San Cipriano wygląda jak secesyjny pałacyk, natomiast dom Michele Zagarii, wybudowany między San Cipriano a Casapesenna, jest wieloelementową konstrukcją ze szklaną kopułą zamiast dachu, by dać światło drzewu wyrastającemu w środku salonu. Rodzina Zagaria posiada dziesiątki przedsiębiorstw w całych Włoszech, a także największą w kraju firmę specjalizującą się w robotach ziemnych. Potęga ekonomiczna, która nie powstała z bezpośredniej działalności przestępczej, ale z umiejętności balansowania na krawędzi prawa. Te przedsiębiorstwa wygrywają konkurencję z wszystkimi innymi. Posiadają swoje kryminalne filie w Emilii-Romanii, Wenecji Euganejskiej, Toskanii i Umbrii, gdzie organy kontroli są mniej uczulone na mafię i nie stwarzają trudności przy otwieraniu filii przedsiębiorstw. Kiedyś Casalesi wymuszali tylko haracze od przedsiębiorców z Kampanii pracujących na północy kraju, teraz sami bezpośrednio kontrolują tamtejszy rynek. W okolicach Modeny i Arezzo większość inwestycji budowlanych znajduje się w gestii klanu Casalesi, do realizacji zamówień sprowadzają robotników z prowincji Caserty. Z aktualnie prowadzonych dochodzeń wynika, że przedsiębiorstwa budowlane związane z klanem Casalesi biorą w północnych Włoszech udział w pracach przy budowie linii kolejowej przystosowanej do dużych prędkości. To samo zresztą robili wcześniej na południu kraju. Jak dowiodło śledztwo z lipca 1995 r., koordynowane przez sędziego Franca Imposimato, wielkie firmy, które wygrały przetarg na budowę TAV – linii szybkiego ruchu między Rzymem a Neapolem, zaangażowały jako podwykonawcę przedsiębiorstwo Edilsud, należące do Michele Zagarii oraz kilkanaście innych firm związanych z klanem Casalesi. Budowa linii szybkiego ruchu Rzym–Neapol to przedsięwzięcie, które przyniosło około 10 bilionów lirów.

Z dochodzeń wynika, że klan kierowany przez Michele Zagarię porozumiał się już z kilkoma mafijnymi rodzinami z Kalabrii, żeby wejść na ich tereny, gdyby linia szybkich kolei miała zostać przedłużona aż do Reggio Calabria. Casalesi są zawsze gotowi. Jak wykazało śledztwo przeprowadzone niedawno przez Prokuraturę Antymafii w Neapolu, przedsiębiorcy z klanowych rodzin z Casapesenna zdobyli zamówienia na finansowaną przez państwo odbudowę terenów w Umbrii dotkniętych w 1997 roku trzęsieniem ziemi. Firmy zarządzane przez kamorrę są w stanie włączyć się do każdej wielkiej inwestycji budowlanej na jakimkolwiek jej etapie: roboty ziemne, zaopatrzenie w wyroby budowlane, wynajem maszyn i urządzeń, transport czy wykonawstwo robót.

Firmy z okolic Aversy są zawsze gotowe: dobrze zorganizowane, tanie, szybkie i solidne. W Casal di Principe jest oficjalnie zarejestrowanych pięćset siedemnaście przedsiębiorstw budowlanych. Duża część z nich stanowi legalną własność rodzin należących do klanu, a kolejne setki mają swoje siedziby we wszystkich, najmniejszych nawet miejscowościach. To prawdziwa armia gotowa zabetonować każdy skrawek terenu. Klany nie zahamowały rozwoju przedsiębiorczości na swoim terytorium, one tylko skierowały do własnej kieszeni wszelkie korzyści, które z tego rozwoju płyną. Na obszarze niewielu kilometrów kwadratowych wzniesiono w ostatnich latach prawdziwe betonowe pomniki konsumpcjonizmu: w Marcianise jedno z największych we Włoszech multipleksów kinowych oraz największe w Europie centrum handlowe, w Teverola zaś największe centrum handlowe w południowej Italii. A wszystko to w regionie, gdzie notuje się bardzo wysoki wskaźnik bezrobocia i skąd nieprzerwanie wypływa strumień emigracji. Ogromne aglomeracje komercyjne, które bardziej niż „nie-miejscem” – jak zdefiniowałby je antropolog Marc Auge – wydają się „początkiem miejsca”. Supermarkety, w których wszystko to, co może być kupione i skonsumowane, służy do prania nielegalnych kapitałów. Gdyby nie to, nie można by zgodnie z prawem usprawiedliwić istnienia tych pieniędzy. Miejsca, w których odbywają się oficjalne narodziny pieniądza, jego chrzest, wprowadzenie do legalnego życia. Im więcej centrów handlowych, tym więcej pracy mają przedsiębiorstwa budowlane, tym więcej trzeba nowych towarów, które należy wyprodukować, dystrybuować i przewieźć, a to wszystko daje możliwość transferu kapitału ze sfery nielegalnej do legalnego obrotu.

Kamorra już skorzystała na realizacji projektów rozwoju regionalnego i jest gotowa dalej uczestniczyć w podziale łupów. Z niecierpliwością czeka na rozpoczęcie wielkich inwestycji planowanych na tym terenie: kolejki podmiejskiej łączącej Neapol z Aversą oraz lotniska w Grazzanise, które będzie jednym z największych w Europie. Jego lokalizacja jest przewidziana w bezpośrednim sąsiedztwie domów skonfiskowanych Sandokanowi i Cicciariellowi.

Casalesi obsiali całą prowincję swoimi nieruchomościami i majątkiem ruchomym. Wartość dóbr klanu, tylko tych, które w ostatnich latach zarekwirowało DDA, wynosi 750 milionów euro. Poszczególne wykazy zajętego mienia robią przygnębiające wrażenie. W wyniku wyroku procesu „Spartakus" zajęto 190 budynków, 52 działki, 14 spółek, 12 samochodów i 3 jachty. W 1996 roku zasądzono zajęcie majątku Sandokana Schiavone i jego najbliższych powierników o wartości 450 miliardów lirów: zakłady produkcyjne, wille i inne budynki, grunty i luksusowe samochody (między innymi jaguar, w którym po raz pierwszy aresztowano Sandokana). Takie konfiskaty zrujnowałyby każde przedsiębiorstwo, takie straty wpędziłyby w nędzę każdego biznesmena, takie ciosy finansowe dotknęłyby boleśnie każdą grupę przedsiębiorczą. Każdą, z wyjątkiem klanu Casalesi. Za każdym razem, gdy czytałem w prasie o zajęciach nieruchomości, gdy przeglądałem spisy dóbr, jakie DDA konfiskowało bossom, czułem się przygnębiony i zniechęcony. Gdziekolwiek spojrzeć, wszystko należy do nich. Wszystko. Grunty, bawoły, kamieniołomy, gospodarstwa rolne, warsztaty samochodowe, serowarnie, hotele i restauracje. Wszechmoc mafijna. Wokół siebie widziałem tylko ich własność.

Był wśród biznesmenów z Casal di Principe jeden, który jeszcze lepiej niż inni potrafił wykorzystać nadarzającą się okazję zagarnięcia wszystkiego, co możliwe. Nazywał się Dante Passarelli. Zaaresztowano go kilka lat temu pod zarzutem stowarzyszenia mafijnego i oskarżono o pełnienie funkcji kasjera klanu Casalesi. Prokurator zażądał kary ośmiu lat więzienia z artykułu 416 bis. Passarelli nie był tylko jednym z wielu przedsiębiorców prowadzących interesy z klanem albo przy pomocy klanu. Passarelli był wśród przedsiębiorców tym najbardziej zaufanym, najbliższym sprawom klanu; był numerem jeden. Zaczął od sprzedawania wędliny i od razu było widać, że ma smykałkę do handlu. Te właśnie zdolności sprawiły, że kierownictwo klanu pozwoliło mu na decydowanie

o inwestowaniu części swoich kapitałów. Prowadził hurtownie, potem został przemysłowcem. Od makaronu przeszedł do budownictwa, od przemysłu cukrowego do cateringu, a potem jeszcze do klubów piłkarskich. Według szacunków DIA majątek Dantego Passarelli sięgał 300–400 milionów euro. Duża część tego bogactwa pochodziła z giełdy oraz z pokaźnych udziałów rynkowych w sektorze rolno-spożywczym. Do niego należał Ipam, jedna z największych cukrowni we Włoszech. Jego firma o nazwie Passarelli Dante i Synowie świetnie sobie radziła w cateringu, miała wyłączność na dostarczanie posiłków do szpitali w Santa Maria Capua Vetere, Capua oraz Sessa Aurunca. Był poza tym właścicielem wielu mieszkań, punktów handlowych i zakładów produkcyjnych. Z chwilą jego aresztowania 5 grudnia 1995 roku część jego majątku została zabezpieczona przez policję: 9 budynków w Villa Literno, mieszkania w Santa Maria Capua Vetere i w Pinetamare, budynek w Casal di Principe, poza tym tereny w Castelolturno, Casal di Principe, Villa Literno i Cancello Arnone. Do tego jeszcze gospodarstwo rolne La Balzana w Santa Maria la Fossa zajmujące obszar 209 hektarów oraz 40 zabudowań wiejskich. Zasekwestrowano także przedmiot największej dumy aresztowanego biznesmena, superluksusowy jacht Anfra III, z dziesiątkami kajut, z parkietem i z wanną jacuzzi na pokładzie, zacumowany w Gallipoli. Tym jachtem Sandokan i jego żona urządzili sobie rejs po greckich wyspach. Wymiar sprawiedliwości prowadził działania mające doprowadzić do definitywnej konfiskaty mienia, gdy w listopadzie 2004 roku Dante Passarelli zmarł śmiercią tragiczną, na skutek upadku z dużej wysokości. Spadł z balkonu jednego ze swoich domów w budowie. Ciało znalazła żona. Miał rozbitą głowę i złamany kręgosłup. Śledztwo w sprawie tej tragicznej śmierci jeszcze trwa. Nie wiadomo, czy to był wypadek, czy też może czyjaś ręka zepchnęła przedsiębiorcę z balkonu. Po jego śmierci wszystkie zabezpieczone dobra, które miały przejść na własność skarbu państwa, wróciły do rodziny. Passarelli był sklepikarzem, który dzięki swoim zdolnościom handlowym mógł w pewnym momencie swego życia rozporządzać niewyobrażalnymi kwotami. Sprawił, że kwoty te pomnożyły się wielokrotnie. Potem jednak fortuna go opuściła, zainteresowały się nim organy ścigania i nie udało mu się obronić zgromadzonego majątku przed sekwestrem. I tak jak talent do biznesu dał mu władzę nad imperium finansowym, tak klęska związana z sekwestracją mienia przyniosła mu

śmierć. Klan nie pozwala na błędy. Kiedy powiadomiono Sandokana, podczas jednej z rozpraw, o śmierci Dantego Passarelli, boss powiedział tylko spokojnie: „Pokój jego duszy”.

Dla władzy klanu pierwszorzędne znaczenie miał zawsze cement. Na placach budowlanych czuło się ją fizycznie, dogłębnie, aż do trzewi. Przez kilka lat pracowałem latem na budowach. Wystarczało, żebym napomknął tylko majstrowi, skąd pochodzę, a bez problemów powierzano mi zadanie rozrabiania cementu. Kampania dostarczała najlepszych murarzy: solidnych, szybkich, tanich i niewymagających. Naprawdę zabójcza praca, której nigdy nie zdołałem się dobrze nauczyć. Zawód, który pozwoli ci odłożyć na bok jakąś większą sumkę tylko wtedy, jeżeli oddasz mu całą twoją siłę, wszystkie mięśnie, całą energię. Pracuje się przy każdej pogodzie: w kominiarce na twarzy lub w samych majtkach. Bardzo mi zależało na tym, żeby doświadczyć jak najbliższego kontaktu z cementem, dotknąć go rękami, własnym nosem, żeby zrozumieć, gdzie leżą fundamenty władzy, tej prawdziwej.

Mechanizmy rządzące branżą budownictwa pozwoliła mi poznać dopiero śmierć Francesca Iacomino. Miał trzydzieści trzy lata, kiedy znaleziono go martwego na bruku przy skrzyżowaniu ulic Quattro Orologi i Gabriele D’Annunzio. Był ubrany w kombinezon roboczy; spadł z rusztowania. Jego koledzy uciekli z miejsca wypadku, razem z nadzorującym prace mierniczym. Nikt nie wezwał karetki pogotowia, obawiali się bowiem, że przyjedzie, zanim oni zdążą uciec. Zniknęli więc, a on leżał na ulicy, żył jeszcze, wypluwał krew z płuc. Ta wiadomość o kolejnym wypadku przy pracy, jednym z trzystu, jakie każdego roku zdarzają się na budowach w całym kraju, wbiła się jak cierń w moje ciało. Śmierć Iacomina wzbudziła we mnie wściekłość z rodzaju tych, które bardziej niż zdenerwowanie przypominają atak astmy. Najchętniej zrobiłbym tak, jak bohater filmu *La vita agra* Luciana Bianciardiego, który pojechał do Mediolanu z zamiarem wysadzenia w powietrze wieżowca Pirellone, jednego z symboli miasta, żeby w ten sposób upamiętnić śmierć czterdziestu ośmiu górników zmarłych w wyniku eksplozji w kopalni. Wydarzyło się to w maju 1954 roku w Riboli, a szyb, w którym podczas eksplozji znajdowali się górnicy, nazywany był przez wszystkich „Camorra”, z powodu strasznych warunków pracy, jakie tam panowały. Może i ja powinienem był wybrać sobie jakiś budynek do wysadzenia, ale

gdy tylko zaczęła dusić mnie astma gniewu, zanim pozwoliłem, aby owładnęła mną schizofrenia zamachowca, zabrzmiało mi w uszach *Io so* („Ja wiem”) Piera Paola Pasoliniego, jego sławne okarżenie partii chrześcijańsko-demokratycznej, które ukazało się w 1974 roku w „Corriere della Sera”. *Io so* brzmiało mi w głowie jak muzyczny dżingiel, od którego nie potrafisz się uwolnić. I tak, zamiast szukać budynku, który mógłbym wysadzić w powietrze, pojechałem do Casarsy, na grób Pasoliniego. Pojechałem sam, chociaż takie rzeczy powinno się robić w towarzystwie, żeby pozbawić je patosu. W grupie wiernych czytelników, na przykład, albo z dziewczyną. Mnie jednak zależało na tym, żeby znaleźć się tam samemu.

Casarsa to piękne miejsce, jedno z tych, w których łatwo możesz sobie wyobrazić, że można żyć z pisania. Jest to jednocześnie jedno z tych miejsc, których nie masz ochoty opuścić, żeby przenieść się poza granicę piekła. Znalazłem się nad grobem Pasoliniego wcale nie po to, żeby oddać mu hołd. Pier Paolo Pasolini. Imię pojedyncze i potrójne, jak napisał o nim w swojej poezji Giorgio Caproni. Nie jest moim świeckim świętym ani literackim Chrystusem. Pojechałem tam, bo chciałem zobaczyć to miejsce. Miejsce, w którym można zastanowić się, bez uczucia wstydu, nad siłą słowa. Nad możliwością pisania o mechanizmach władzy bez opowiadania pojedynczych historii, bez zatrzymywania się na szczegółach. Zastanowić się, czy można, jak pisał Pasolini, wymienić nazwiska, jedno po drugim, wskazać twarze bandytów, po czym oddzielić je od kryminalnych anegdot, potraktować jako elementy architektury przemocy. Czy można podążać tropem rzeczywistości, jak świnie wytresowane do szukania trufli, bez metafor, bez eufemizmów, jedynie z pomocą ostrego instrumentu, jakim jest pismo.

W Neapolu wsiadłem do pociągu, który zawiózł mnie do Pordenone. Nazwa tego wyjątkowo niespiesznego pociągu – Marco Polo – ostrzega przed długością dystansu, jaki ma do przebycia. Odległość, która dzieli Friuli i Kampanię po tej podróży wydaje się rzeczywiście ogromna. Z Neapolu wyjechałem o 19.50, we Friuli znalazłem się dopiero następnego dnia o 7.20, mając za sobą bardzo zimną noc, która nie przyniosła mi ani chwili snu. Z Pordenone pojechałem autobusem do Casarsy. Tam przeszedłem przez miasteczko z opuszczoną głową, jak można spacerować, kiedy zna się dobrze drogę i potrafi się dojść do celu nawet patrząc tylko na czubki własnych butów. Oczywiście, zgubiłem się. Straciłem sporo czasu

na błądzeniu po miasteczku, aż w końcu trafiłem na via Valvasone, na cmentarz, gdzie leży Pasolini i jego rodzina. Zaraz przy wejściu, po lewej stronie, widać ogrodzony kwadrat nagiej ziemi z dwiema niewielkimi płytami białego marmuru. „Pier Paolo Pasolini (1922–1975)”. Z boku, bardzo blisko, grób matki. Poczułem się mniej samotny. Zacząłem powoli przeżuwać swój gniew, trzymając ręce ściśnięte w pięści, z paznokciami wbitymi w skórę. Rozpocząłem formułowanie mojego *io so, io so* moich czasów.

Io so – ja wiem i mam dowody. Wiem, gdzie zaczynają się fortuny i skąd bierze się ich zapach. Zapach sukcesu i zwycięstwa. Wiem, czym pachnie zysk. Prawda słowa karmi się wszystkim i wszystko dla niej jest dowodem. Nie musi przedstawiać dowodów przeciwstawnych ani przeprowadzać dochodzeń. Prawda słowa obserwuje i słucha, waży i ocenia. Wie. Nie skazuje na więzienie, nie przejmuje się, jeżeli świadkowie odwołują swoje zeznania. Nie istnieją dla niej skruszeni bandyci. Ja wiem i mam dowody. Wiem, na których stronach podręcznika ekonomii teoria rozpływa się, a matematyczne fraktale zamieniają się w materię, w przedmioty, w broń, czas i kontrakty. Ja wiem. Dowodów, jakimi dysponuję, nie zapisałem w pamięci pendrive’a zakopanego gdzieś pod ziemią. Nie mam nagranych kaset wideo, schowanych w jakimś garażu wysoko w górach. Nie posiadam dokumentów powielonych przez służby specjalne. Moje dowody są nie do odparcia, bo są subiektywne, zarejestrowane przez źrenice moich oczu, opowiedziane słowami i wzmocnione emocjami odbitymi od metalu i drewna. Ja patrzę, słucham, dotykam, mówię i mogę wszystkiemu dać świadectwo jednym słowem wyszeptanym do ucha każdego z tych, którzy słuchają miłych melodii władzy, gładkich zdań ułożonych w rymy parzyste: „To kłamstwo”. Prawda jest subiektywna; zresztą gdyby dało się ją sprowadzić do jakiegoś obiektywnego wzoru, nie byłaby niczym więcej, jak tylko chemią. Ja wiem i mam dowody. Opowiadam więc o tym. O prawdzie.

Staram się zawsze powściągnąć niepokój ogarniający mnie, ilekroć wchodzę po schodach, wsiadam do wind, czyszczę buty na słomiankach i przekraczam progi mieszkań. W takich momentach zastanawiam się zawsze, w jaki sposób zbudowano domy, w których akurat się znajduję. Nie potrafię o tym nie myśleć. A gdy jeszcze do tego mam przy sobie kogoś, do kogo mogę mówić, z trudem hamuję się, żeby nie zacząć mu opowiadać,

jak wznosi się piętro za piętrem aż po dach i jak buduje się balkony. Nie dlatego, żebym miał poczucie winy uniwersalnej, nie dlatego, żebym chciał wziąć moralny odwet za tych, którzy zostali wymazani z pamięci historycznej. Raczej dlatego, że staram się zapomnieć o głęboko zakorzenionej we mnie brechtowskiej wizji rąk i nóg historii. Krótko mówiąc, do zburzenia Bastylii doprowadziły wiecznie puste miski ludu paryskiego, a nie odezwy żyrondystów i jakobinów. Nie potrafię o tym myśleć inaczej. Zawsze miałem ten nawyk. Jak ktoś, kto patrząc na obraz Vermeera, zastanawia się, kto wymieszał farby i naciągnął płótno na blejtram albo kto oprawił perły w kolczykach sportretowanej dziewczyny, zamiast podziwiać sam obraz. Prawdziwa perwersja. Nie potrafię zapomnieć, jak rozrabia się cement, kiedy widzę schody, a mając przed oczami rząd okien, nie myśleć o tym, jak montuje się rusztowania. Nie potrafię udawać. Widząc ściany, wyobrażam sobie zaraz zaprawę i kielnię murarską. Może dzieje się tak dlatego, że ludzie urodzeni pod pewnymi szerokościami geograficznymi mają swoisty stosunek do pewnych substancji. Ta sama materia może być postrzegana w różny sposób w różnych częściach świata. Przypuszczam, że w Katarze zapach ropy naftowej kojarzy się z luksusowymi rezydencjami, okularami słonecznymi i eleganckimi limuzynami. Ten sam kwaśny zapach węgla kamiennego ludziom w Mińsku przywodzi pewnie na myśl zabrudzone pyłem, ciemne twarze, woń ulatniającego się gazu oraz szare od dymu mury domów, podczas gdy Belgom będzie się kojarzyć z zapachem czosnku i cebuli, charakterystycznym dla kuchni emigrantów z Włoch i z północnej Afryki, pracujących w ich kopalniach. Na południu Italii takie samo znaczenie ma cement. Cement. Ropa naftowa południowych Włoch. Wszystko pochodzi od cementu. Nie istnieje imperium ekonomiczne na Południu, które w swojej historii nie zetknęłoby się z budownictwem. Przetargi na wykonanie robót i samo wykonawstwo, kamieniołomy, roboty ziemne, kruszywo sypkie, zaprawa, cegły, murarze, rusztowania... To wszystko należy do instrumentarium sukcesu włoskiego przedsiębiorcy. Przedsiębiorca, którego imperium nie opiera się na solidnych cementowych fundamentach, nie ma szans. Budownictwo jest branżą, w której najłatwiej i najszybciej można zarobić pieniądze, zyskać sobie zaufanie, zaangażować ludzi do pracy na czas jednej kampanii wyborczej, wypłacić zarobki i ich odprawić, zebrać kapitał, powielić wizerunek własnej twarzy na setkach

plakatów i wykleić nimi frontowe ściany budowanych przez siebie domów. Przedsiębiorca budowlany musi mieć cechy mediatora i drapieżnego ptaka. Kiedy trzeba, musi z nieskończoną cierpliwością zbierać papierki wymagane przez biurokrację, wypełniać żmudnie dziesiątki formularzy, czekać na decyzje i pozwolenia, które skapują powoli jak krople tworzące stalaktyty. Jednocześnie powinien być jak drapieżny ptak, zdolny poszybować na tereny, na których przed nim nie było nikogo, wejść w ich posiadanie za marne grosze, po czym trzymać je tak długo, aż będzie mógł sprzedać każdy centymetr kwadratowy za wielokrotnie wyższą cenę. Przedsiębiorca-drapieżnik wie, jak używać dzioba i szponów. Banki włoskie zgadzają się udzielać przedsiębiorcom budowlanym maksymalnych kredytów; mogłoby się wydawać, że powstały właśnie po to, by finansować budownictwo. A jeżeli przedsiębiorca budowlany nie potrafi się wykazać żadnymi sukcesami, a domy, które zamierza postawić, nie wystarczą jako gwarancja, zawsze się znajdzie jakiś przyjaciel, który za niego poręczy. Konkret cementu i cegły ma dla banku siłę przekonywania nieporównywalną z niczym innym. Badania naukowe, rolnictwo, laboratoria, rzemiosło – wszystko to w wyobrażeniach bankowców jest sferą zasnutą mgłą, nieważką, pozbawioną ciężaru. Izby mieszkalne, piętra, kafelki, instalacje elektryczne i telefoniczne – oto konkrety, które do nich przemawiają. Ja wiem i mam dowody. Wiem, jak zabudowano połowę włoskiego terytorium. A nawet więcej niż połowę. Znam te ręce, te palce, te projekty. Znam piasek. Piasek, dzięki któremu wzniesiono domy i wieżowce, całe dzielnice i eleganckie wille. W Castelvolturno wszyscy pamiętają niekończące się sznury ciężarówek, którymi wywożono piasek zagrabiony rzece Volturno. Ciężarówka za ciężarówką sunęły drogami, obserwowane z poboczy przez miejscowych chłopów, którzy nigdy dotąd nie widzieli tak ogromnych mamutów ze stali i gumy. To byli ci sami chłopi, którzy wytrzymali, nie poddali się i nie wyemigrowali jak ich sąsiedzi. Teraz na ich oczach wywożono stąd to, co od zawsze do nich należało. Ten piasek znajduje się obecnie w murach domów w Abruzji, w Varese, Asiago, Genui, a rzeka Volturno nie wpływa już do morza, to morze wpływa do rzeki. Teraz w Volturno łowi się labraksy i nie ma już chłopów. Bez ziemi, zaczęli hodować bawolice, po bawolicach przyszedł czas na otwieranie małych firm budowlanych, w których przyjmowali do pracy młodych Nigeryjczyków, zatrudnianych dotąd sezonowo

w rolnictwie. Jeśli ktoś odmawiał dołączenia do klanowych konsorcjów, spotykała go śmierć. Ja wiem i mam dowody. Niektóre przedsiębiorstwa budowlane dostają pozwolenie na eksploatację niewielkiej ilości materiałów naturalnych. Wykorzystują to, żeby nadgryzać i zaraz potem pożerać całe góry. Pokruszone i wymieszane z cementem góry i pagórki docierają wszędzie. Od Teneryfy po Sassuolo. Po deportacji materiałów następuje deportacja ludzi. W gospodzie w San Felice a Cancello poznałem don Salvatore, doświadczonego majstra murarskiego. Nie miał dużo więcej niż 50 lat, ale wyglądał na 80; jak żywy trup. Opowiedział mi, że przez dziesięć lat miał za zadanie dosypywać do betoniarek pyły pozostałe na filtrach kominów przemysłowych. Mieszanie ich z cementem pozwoliło przedsiębiorstwom związanym z klanem proponować na przetargach ceny na poziomie chińskim. Teraz garaże, schody, mury mają w sobie trujące substancje. Nic się nie wydarzy, dopóki jakiś robotnik, może emigrant z północnej Afryki, nie wciągnie do płuc zbyt dużej dawki pyłów i nie zachoruje śmiertelnie kilka lat później, oskarżając zły los, że zesłał na niego raka.

Ja wiem i mam dowody. Włoscy przedsiębiorcy, którzy osiągnęli sukces, zaczynali od cementu. Oni sami są częścią cyklu cementu. Ja wiem, co robili, zanim zamienili się w partnerów fotomodelek, w menedżerów na jachtach, w zarządców grup finansowych, we właścicieli wydawnictw prasowych. Wiem, że przed tym wszystkim i za tym wszystkim stoi cement. Firmy podwykonawcze, piasek, kruszywo, ciężarówki przewożące robotników, którzy pracują nocą i znikają rano, przegniłe rusztowania, fałszywe ubezpieczenia. Lokomotywy gospodarki włoskiej opierają się na murach. Powinno się zmienić Konstytucję Republiki. Powinno być w niej napisane, że państwo włoskie opiera się na cemencie i budowlańcach. To oni są ojcami. Nie Ferruccio Pani, nie Luigi Einaudi, nie Pietro Nenni ani komendant Valerio. To budowlańcy wyciągnęli Włochy z afery Sindony, uchronili od konsekwencji bezapelacyjnego wyroku Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Cementownie, umowy o roboty budowlane, domy i wydawnictwa prasowe.

Praca na budowie to najczęściej ostatni etap kariery kamorysty. Po latach zabijania ludzi na zlecenie, wymuszania haraczów, ochraniania handlarzy narkotyków ląduje się w budownictwie albo przy zbieraniu śmieci. Zamiast w ramach prewencji wyświetlać filmy i organizować

pogadanki w szkołach, należałoby zabrać młodziutkich kamorystów na wycieczkę po placach budowy i pokazać, jaki los ich czeka. Jeżeli zdołają uniknąć więzienia i śmierci, zestarzeją się jako murarze, plując krwią i wapnem. W tym samym czasie przedsiębiorcy i różni kombinatorzy, którzy w mniemaniu bossów podlegali ich władzy, będą otrzymywać zamówienia na miliony euro. Ta praca zabija. Bezustannie. Przyczyną jest ogromne tempo realizacji inwestycji budowlanych, oszczędności na środkach bezpieczeństwa i przedłużanie godzin pracy. Nieludzkie dniówki: 9-12 godzin dziennie, łącznie z sobotą i niedzielą. 100 euro tygodniowo, plus nadgodziny: 50 euro za każde 10 godzin pracy nocą lub w niedzielę. W młodszym wieku można wytrzymać nawet 15 godzin na dzień. Czasem z pomocą kokainy. Śmierć na budowie uruchamia ciąg wielokrotnie wypróbowanych procedur. Zwłoki są usuwane z placu budowy i przenoszone na miejsce, gdzie można zaaranżować wypadek drogowy. Wkłada się je na przykład do samochodu, który następnie spada w przepaść przy drodze. Jeszcze lepiej, jeżeli przy tym pojazd spłonie. Odszkodowanie wypłacane przez towarzystwo ubezpieczeniowe jest przekazywane rodzinie, jako forma odprawy. Nierzadko przy takich akcjach któryś z uczestników może również ucierpieć, na przykład wtedy, gdy trzeba obić samochód o mur, z trupem w środku, zanim podłoży się w nim ogień. Jeżeli w chwili wypadku majster jest na budowie, wszystko działa jak w zegarku. Kiedy go nie ma, robotnicy często ulegają panice. Zdarza się wtedy, że bliskiego śmierci kolegę, już prawie trupa, zostawiają na ulicy przy szpitalu. Przywożą go samochodem, kładą ostrożnie na ziemi i uciekają. W wyjątkowych wypadkach, gdy gnębią ich wyrzuty sumienia, wzywają pogotowie ratunkowe. Każdy z tych, którzy porzucają w ten sposób zwłoki kolegi, wie, że gdyby to jego ciało roztrzaskało się, zmiażdżyło czy nadziało na jakieś żelastwo, czekałby go ten sam los. Możesz być pewny, że w razie wypadku ten, kto pracuje obok ciebie, przyjdzie ci natychmiast z pomocą, ale jeżeli sytuacja będzie beznadziejna, dobije cię, żeby nie mieć problemów. Ten, kto pracuje obok ciebie, może stać się twoim katem albo odwrotnie: ty staniesz się katem dla niego. Wszyscy budowlańcy wiedzą, że tak to właśnie funkcjonuje. A najlepsze gwarancje dają firmy z Południa. Pracują i znikają; i wszystkie problemy rozwiązują własnym sumptem, bez szumu. Ja wiem i mam dowody. A te dowody opierają się na liczbach. Na budowach na północnych peryferiach Neapolu w ciągu siedmiu miesięcy

zmarło w wypadkach przy pracy piętnastu robotników. Spadli z rusztowań, dostali się pod koparkę, zgniótł ich dźwig, którym manewrował przepracowany operator. Trzeba się śpieszyć. Nawet jeżeli wydaje się, że realizacja jakiejś inwestycji budowlanej trwa długo, na placu budowy wciąż zmieniają się firmy: jeden podwykonawca kończy i zaraz musi przekazać plac następnemu. Zarabiają, zamykają kasę i przenoszą się w inne miejsce. Ponad 40 procent przedsiębiorstw budowlanych, które działają we Włoszech, pochodzi z Południa, z okolic Aversy, Neapolu i Salerno. Na Południu może powstać z niczego imperium finansowe, tam nie został jeszcze zakończony proces akumulacji pierwotnej. Na Południu, od Apulii po Kalabrię, należałoby rozwiesić transparenty z napisem „Witajcie!”, żeby jak najserdeczniej przyjąć przedsiębiorców startujących w igrzyskach cementu, których wkrótce będzie się przyjmować w salonach Rzymu i Mediolanu. Oprócz powitania przydałyby im się także życzenia powodzenia, ponieważ panuje już tutaj niemały ścisk i nie wszystkim uda się utrzymać na powierzchni ruchomych piasków. Ja wiem. I mam dowody. Nowi przedsiębiorcy budowlani, właściciele banków i jachtów, książęta tabloidów, królowie prostytutek, ukrywają swoje dochody. Może mają jeszcze sumienie. Może wstydzą się wyjawić, skąd biorą się ich zarobki. W kraju, który uważają za modelowy, to znaczy w Stanach Zjednoczonych, przedsiębiorca, któremu udało się osiągnąć sukces finansowy, zaprasza analityków rynkowych i młodych ekonomistów, by odkryć przed nimi tajniki swojego powodzenia, opowiedzieć, jakie kroki musiał przedsięwziąć, by zwyciężyć na rynku. Tutaj natomiast panuje milczenie. A przecież pieniądze są tylko pieniędzmi. Zwycięscy biznesmeni z okolic Aversy, z ziemi skażonej kamorrą, na pytanie, jak osiągnęli swój sukces, odpowiadają bezczelnie: „Kupiłem za dziesięć i sprzedałem za trzysta”. Ktoś powiedział, że na Południu można żyć jak w raju. Wystarczy tylko patrzeć zawsze w niebo, nigdy w dół. Ale to niemożliwe. Tutaj ludzi wywłaszczono z przestrzeni wzrokowej. Perspektywę zamykają balkony, strychy, mansardy, domy przyklejone jeden do drugiego, całe splątane dzielnice. Tutaj nie patrzysz w niebo, bo nie masz nadziei, że coś ci z niego spadnie. Tutaj trzymasz się blisko ziemi. Zapadasz się głęboko. I wiesz, że zawsze można się zapaść jeszcze głębiej. Kiedy stawiam stopy na stopniach schodów, kiedy wchodzę do pokojów, kiedy wjeżdżam windami, nie mogę niczego nie czuć. Bo ja wiem. To jakaś obsesja. Więc kiedy znajduję się

wśród przedsiębiorców, którzy osiągnęli sukces, nie czuję się dobrze. Chociaż to przecież bardzo eleganccy, kulturalni panowie, którzy mówią spokojnym głosem i głosują na lewicę. Mimo to w ich towarzystwie czuję zapach wapna i cementu, wydzielają go spinki do mankietów od Bulgariego, jedwabne skarpetki, półki z książkami. Ja wiem. Ja wiem, kto zabudował mój kraj i kto dalej w nim buduje. Wiem, że dzisiejszej nocy ze stacji w Reggio Calabria odjedzie pociąg, który piętnaście minut po północy zatrzyma się w Neapolu, po czym skieruje się prosto do Mediolanu. Będzie zatłoczony. Na stacji w Mediolanie będą czekać minibusy i fiaty punto, które zawiozą przybyłych mężczyzn na budowy. Emigracja bez zameldowania, której nikt nie będzie badać ani szacować, ponieważ jej ślady pozostaną tylko w pyle wapna. Tylko tam. Ja wiem, jaka jest prawdziwa konstytucja moich czasów, skąd się bierze finansowy sukces przedsiębiorców. Ja wiem, ile jest ludzkiej krwi w każdej ścianie nośnej. Ja wiem i mam dowody. I nikogo nie poślę do więzienia.

Don Peppino Diana

Opór przeciw hegemonii klanów z Casal di Principe, z San Cipriano, z Casapesenna i z wszystkich innych terenów opanowanych przez kamorrę, od Parete do Formi, kojarzy mi się zawsze z białymi prześcieradłami. Z białymi prześcieradłami zwisającymi z wszystkich balkonów, przywiązanymi do każdej poręczy, przymocowanymi do wszystkich okien. Biel, śnieżnobiała chmura. Pojawiła się na znak żałoby i gniewu w dniu pogrzebu Don Peppina Diany. Miałem wtedy 16 lat, wydarzyło się to w marcu 1994 roku. Tego ranka obudziła mnie, jak zawsze, moja ciotka, z niezwykłą u niej gwałtownością. Obudziła mnie, ściągając ze mnie jednym ruchem prześcieradło, którym byłem owinięty, podobnie jak kiedy odpakowuje się kiełbasę z papieru. Prawie spadłem z łóżka. Ciotka nic nie mówiła, tylko chodziła, tupiąc głośno, jakby chciała wyładować swój gniew na obcasach. Przywiązała moje prześcieradło do poręczy schodów tak mocno, że nawet tornado nie mogłoby go oderwać. Otwierała szeroko okna, wpuszczając do środka hałasy ulicy i wypuszczając na zewnątrz hałas domowy. Pootwierane były nawet szafy. Pamiętam rzesze skautów przechodzących ulicą, którzy zgubili gdzieś swoją beztroskę dzieci z porządnych rodzin i wyglądali, jakby do żółto-zielonych chust przywiązali wściekłą furię. Bo Don Peppino był jednym z nich. Nigdy potem nie widziałem skautów do tego stopnia wyprowadzonych z równowagi, tak mało zważających na porządek i zasady poprawnego zachowania, których przestrzegają podczas swoich dalekich wędrówek. Moje wspomnienie o tym dniu jest w plamy, jak sierść dalmatyńczyka. Niezwykła historia Don Peppina Diany to jedna z tych historii, które raz zasłyszane, należy zachować w jakiejś części własnego ciała. W głębi gardła, w zaciśniętej pięści, w piersi, w tętnicach.

Don Peppino studiował w Rzymie, tam miał zostać i robić karierę, z dala od miejsca swojego urodzenia, z dala od brudnych interesów. Miał robić karierę kościelną, jak przystało na dobrego syna mieszczańskiej

rodziny. Jednak niespodziewanie zdecydował się wrócić do Casal di Principe, jakby nie potrafił strząsnąć z siebie jakiegoś wspomnienia, przyzwyczajenia czy zapachu. Albo też jakby stale dręczyła go potrzeba działania, jakby nie mógł znaleźć spokoju, dopóki jej nie zrealizuje albo przynajmniej nie spróbuje tego zrobić. Don Peppino trafił do kościoła pod wezwaniem św. Mikołaja z Bari. Ten kościół, wybudowany w nowoczesnym stylu, świetnie pasował do jego wyobrażenia o obowiązku duszpasterskim. Don Peppino chodził po mieście w dżinsach, bez sutanny, używanej jeszcze wtedy na co dzień przez księży, których autorytet kojarzył się z głęboką czernią ich stroju. Nie śledził rodzinnych kłótni, nie upominał mężczyzn za ich wyskoki, nie pocieszał zdradzanych żon. Nie pasował do wizerunku prowincjonalnego duszpasterza. Postanowił zgłębić dynamikę władzy na swojej rodzinnej ziemi. Nie chciał jednak zajmować się tragicznymi skutkami jej działania, czyszczeniem ran; pragnął zahamować postępującą gangrenę, zrozumieć mechanizm przerzutów nowotworu, poznać i zniszczyć źródło zła, które zamieniło jego rodzinną ziemię w kopalnię pieniędzy i naznaczyło ją krwią setek trupów. Od czasu do czasu publicznie palił cygara. Gdzie indziej ten fakt nie miałby żadnego znaczenia, ale w tych okolicach księża publicznie hołdowali idei wyrzeczeń oraz umartwienia i dopiero za zamkniętymi drzwiami swoich pokoi folgowali swoim słabościom. Don Peppino zdecydował, że jego publiczny wizerunek będzie tożsamy z jego prawdziwym obliczem, jakby chciał dać przykład przejrzystej postawy ludziom, którzy muszą przybierać pozy przystające do spełnianych funkcji i podpierają się pseudonimami mającymi dodać im mocy i ważności. Don Peppino miał obsesję działania. Dla pierwszych imigrantów z Afryki założył ośrodek pomocy, w którym znajdowali nocleg i pożywienie. Dzięki temu nie wpadali od razu – jak to się później zdarzało – w macki kamorry, gotowej zrobić z nich swoich żołnierzy. Włożył w ten projekt swoje oszczędności uzbierane dzięki pracy nauczyciela. Oczekiwanie na dotacje państwowe bywa tak długie, że w końcu może stać się usprawiedliwieniem dla zaniechania wszelkich działań. Od kiedy wyświęcono go na księdza, był świadkiem rządów kilku bossów. W tym czasie miało miejsce morderstwo Bardellina, potem okres rządów Sandokana i Cicciotta di Mezanotte, naprzemienne masakry stronników Bardellina i kamorystów z klanu Casalesi, a następnie wzajemne wybijanie się bossów ze zwycięskiej grupy.

Pozostał w zbiorowej pamięci pewien epizod z tych czasów. W jasny dzień, o szóstej po południu, kolumna złożona z około dziesięciu samochodów przedefilowała wolno ulicami San Cipriano, Casapesenna i Casal di Principe. Ludzie ze zwycięskiej drużyny Sandokana chcieli pokazać w ten prowokacyjny sposób swoją przewagę poplecznikom wrogiego stronnictwa. Ja byłem wtedy małym chłopcem, ale moi kuzyni przysięgają, że widzieli to na własne oczy. Kamoryści przejeżdżali wolno pod oknami mieszkań przeciwników, wychyleni z okien, siedząc na ich ramach bądź stojąc w otwartych drzwiach i przytrzymując się ręką dachu. Wszyscy z odkrytymi twarzami, z karabinami maszynowymi w rękach. Z domów, pod którymi defilowali, wychodzili sprzymierzeni kamoryści, każdy z bronią w ręku, i dołączali do nich pieszo. Prawdziwa manifestacja siły zwycięskiego ugrupowania kamorystów wobec pokonanych. Zatrzymywali się pod domami przeciwników. Pod domami tych, którzy ośmielili się przeciwstawić ich dominacji.

– Wyjdźcie z domu, wy gówniani mężczyźni! Zejdźcie tu do nas, jeżeli macie jaja!

Ta defilada trwała co najmniej godzinę. Kolumna samochodów jeździła po mieście i nikt jej w tym nie przeszkadzał. Na trasie przejazdu słychać było tylko hałas błyskawicznie spuszczanych żaluzji sklepów i barów. Przez dwa następne dni ludzie zachowywali się tak, jakby ogłoszono godzinę policyjną. Nikt nie wychodził z domu, nawet po chleb. Don Peppino zrozumiał, że przyszedł czas na rozpoczęcie otwartej walki. Należało utworzyć wspólny front i nakreślić plan działania. Nie wystarczy walczyć pojedynczo, trzeba zmobilizować okoliczne kościoły. Napisał manifest, podpisany potem przez wszystkich księży z Casal di Principe. Nikt się tego nie spodziewał. Był to tekst religijny i chrześcijański, który sugestywnie odwoływał się do ludzkiej godności, przez co stawał się przesłaniem uniwersalnym, wykraczającym poza wymiar religijny. Słowa manifestu przemawiały z taką siłą, że wzbudziły w bossach większy strach niż akcje Antymafii, sądowe sekwestry kamieniołomów i betoniarek czy stenogramy podsłuchanych rozmów telefonicznych na temat zlecanych zabójstw. Był to tekst mocny, żywy i miał romantycznie poruszający tytuł: „Przez miłość dla mego ludu nie będę milczeć”. Rozdał go w dzień Bożego Narodzenia. Nie powiesił go na drzwiach kościoła jak Luter, nie zamierzał reformować Kościoła rzymskiego. Don Peppino miał całkiem inne problemy. Musiał

znaleźć drogę, która przedarłaby się przez terytorium kamorry, która doprowadziłaby do załamania jej władzy ekonomicznej i kryminalnej.

Don Peppino wydrążył tę drogę w skorupie słowa, wygrzebał z jamy składni potencjał, który może mieć słowo wyrażone publicznie, w sposób jasny, otwarty i przemawiający do wszystkich. Nie dał racji indolentnym intelektualistom, którzy twierdzą, że słowo straciło wszelką moc, że odbija się już tylko pustym echem. Postawił na słowo-konkret, słowo-materię złożoną z atomów, słowo, które może spełniać realną funkcję w procesie wydarzeń, jak ostrze oskarda albo zaprawa murarska przy budowie. Don Peppino szukał słowa, które byłoby jak wiadro wody wylane na zbrukane spojrzenia. Milczenie na tych ziemiach nie jest tym samym, co omerta, zmowa milczenia, kojarząca się z nasuniętymi na oczy kaszkietami i spuszczonym wzrokiem. Ma wiele więcej wspólnego z powszechnym przekonaniem, że: „mnie to nie dotyczy". Postawa nader częsta w tych, i nie tylko w tych stronach, która znaczy tyle, co głos oddany na status quo. W tej sytuacji słowo jest krzykiem. Świadomym, ostrym, wymierzonym przeciw szybie pancernej z zamiarem rozbicia jej w drobny mak.

„Uczestniczymy bezsilnie w bólu wielu rodzin, których synowie skończyli jako ofiary lub mocodawcy organizacji mafijnych. [...] Kamorra jest dzisiaj formą terroryzmu: budzi strach, narzuca swoje prawa i robi wszystko, by stać się nieodłączną częścią społeczności Kampanii. Kamoryści narzucają przemocą, z bronią w ręku, reguły nie do przyjęcia. Codziennością są haracze, wskutek których nasze tereny straciły możliwość autonomicznego rozwoju i są coraz bardziej zależne od pomocy finansowej z zewnątrz; codziennością są dwudziestoprocentowe łapówki przy inwestycjach budowlanych, które zniechęcają najbardziej upartych przedsiębiorców, nielegalne transakcje, handel środkami odurzającymi, które wielu młodych ludzi sprowadzają na margines społeczny i czynią z nich siłę roboczą na usługach organizacji przestępczych, krwawe konflikty w łonie kamorry, które spadają na rodziny jak niszczące plagi, zły przykład dla naszej młodzieży, prawdziwe szkoły przemocy i zbrodni [...]".

Don Peppino uważał za swój obowiązek przypominać, że wobec rosnącej potęgi klanów nie można ograniczać posługi kapłańskiej do ciszy konfesjonałów. Wybrał zatem z Pisma Świętego zdania proroków, którymi podparł swoją tezę o konieczności działania, wyjścia na ulice i głośnego oskarżania zła.

„Nie możemy zapominać o naszym proroczym obowiązku ujawniania zła. Bóg wzywa nas do bycia prorokami.

Prorok jest strażnikiem: widzi niesprawiedliwość, ujawnia ją i przypomina o pierwotnym zamiarze Boskim (Ezechiel 3, 6–18);

Prorok przypomina przeszłość i korzysta z niej, by w teraźniejszości przyjmować to, co nowe (Izajasz 43);

Prorok wzywa do życia, a sam solidaryzuje się z bliźnimi w cierpieniu (Jeremiasz 8,18–23);

Prorok wskazuje jako najważniejszą drogę sprawiedliwości i prawdy (Jeremiasz 22,3; Izajasz 58).

Księży, naszych pasterzy i współbraci, prosimy o to, by mówili o wszystkim jasno i otwarcie w swoich kazaniach i przy wszelkich okazjach, przy których potrzebne jest ich odważne świadectwo. Od Kościoła żądamy, by nie zaniechał swojej proroczej misji, by głosił dobrą nowinę i otwarcie oskarżał zło, czym przyczyni się do kształtowania nowej świadomości i do przekonania ludzi do życia w poszanowaniu sprawiedliwości, solidarności, wartości moralnych i obywatelskich”.

Manifest nie oszczędził władz politycznych. Don Peppino uważał, że nie tylko są one często wspierane przez klany, ale że łączą je z kamorrą podobne cele. Wskazał też najważniejsze problemy społeczne. Był przekonany, że wybór kamorry nie jest spowodowany wrodzoną skłonnością do zła, jest raczej skutkiem panujących na tych ziemiach warunków, chorych mechanizmów, gangrenowatych, łatwych do zdefiniowania przyczyn. Nigdy dotąd przedstawiciel Kościoła ani nikt inny na tych ziemiach nie określił tych przyczyn tak jasno:

– tradycyjnie nieufny stosunek mieszkańców Południa do instytucji państwowych, spowodowany nieudolnością polityków w rozwiązywaniu problemów, które od zawsze nękają tę część Włoch, w szczególności problemów związanych z pracą, z opieką zdrowotną i z oświatą;

– posądzenie części polityków, często w pełni uzasadnione, o porozumienie z kamorrą dla pozyskania głosów wyborczych od członków klanów, a nawet dla korzyści materialnych, w zamian za obietnicę ochrony i wyświadczanie przysług mafii;

– poczucie stałego zagrożenia oraz braku bezpieczeństwa, wynikające z niedostatecznej sprawności systemu ochrony prawnej osoby i mienia, powolnego działania machiny sądowniczej i niejasnej legislacji [...]. Prowadzi to nierzadko do proszenia klanów o ochronę lub do zaakceptowania propozycji opieki;

– brak jasnych zasad na rynku pracy, przez co znalezienie zatrudnienia kojarzy się raczej z procesem mafijno-kumoterskim niż z dochodzeniem należnych praw określonych w stosownej legislacji;

– brak lub niski poziom edukacji społecznej, która powinna być prowadzona także przez ośrodki duszpasterskie. Niemożliwe jest bowiem wychowanie dobrego, dojrzałego chrześcijanina, który nie jest jednocześnie dojrzałym człowiekiem i obywatelem.

Don Peppino pod koniec lat 80. zorganizował marsz przeciw kamorze. Stało się to po zbiorowym napadzie na posterunek karabinierów w San Cipriano d'Aversa. Tłum ludzi wdarł się tam z zamiarem zniszczenia biur i pobicia karabinierów za to, że odważyli się interweniować w bójce dwóch mieszkańców miasteczka podczas koncertu zorganizowanego z okazji święta jego patrona. Posterunek w San Cipriano jest usytuowany w ciasnym zaułku, z którego sierżant i jego podwładni nie mogli uciec. Sytuację uspokoili dopiero *capozona* klanu pracujący na tym terenie, posłani przez bossów dla uratowania karabinierów. W owym czasie klanem rządził jeszcze Antonio Bardellino, a Ernesto, jego brat, był burmistrzem w miasteczku.

„My, pasterze Kościoła w Kampanii, nie mamy zamiaru ograniczać się tylko do sygnalizowania tych problemów, ale zamierzamy, w ramach naszych kompetencji i możliwości, przyczynić się do ich rozwiązania, także poprzez reformę oraz uzupełnienie treści i metod działania pastoralnego".

Don Peppino podał w wątpliwość wiarę i religijność bossów, negował możliwość współistnienia chrześcijańskiego credo oraz gospodarczej, militarnej i politycznej władzy klanów. Na ziemi kamorry nie zauważa się sprzeczności między przesłaniem chrześcijaństwa a działalnością kamorry. Konieczność zabijania wrogów i zdrajców jest uważana za dopuszczalne naruszenie boskich praw, „nie zabijaj” zapisane na mojżeszowych tablicach w rozumieniu bossów nie obowiązuje, jeżeli motywacją zabójstwa jest wyższa konieczność, to znaczy ochrona klanu i ochrona interesów jego kierownictwa, to znaczy dobro organizacji, a więc dobro wszystkich. Pan Bóg na pewno zrozumie i wybaczy grzech morderstwa popełniony dla wyższej konieczności.

W San Cipriano d’Aversa Antonio Bardellino przyjmował do klanu nowych członków, przeprowadzając zanikający już rytuał nakłuwania, stosowany także przez cosa nostrę. Polegał on na tym, że opuszkę palca prawej ręki kandydata na kamorystę nakłuwano szpilką i wytoczoną krwią plamiono wizerunek Madonny z Pompei. Następnie obrazek opalano nad świecą, a potem obecni przy rytuale najważniejsi stowarzyszeni, stojący wokół stołu, przekazywali go sobie z rąk do rąk. Jeżeli żaden z nich nie odmówił ucałowania wizerunku Madonny, kandydat stawał się automatycznie członkiem klanu. Religia stanowi stałe odniesienie w organizacjach mafijnych, i to nie tylko jako pozostałość tradycji albo w sytuacjach, gdy trzeba odegnać jakieś nieszczęście czy odwrócić zły los. Jest to często autentyczna potrzeba duchowa ludzi mafii, która ma wpływ na ich najbardziej intymne wybory. Rodziny mafijne, a zwłaszcza bossowie o szczególnej charyzmie, często myślą o swoim działaniu jak o ciężkim krzyżu niesionym dla dobra innych. Uważają, że muszą wziąć na własne sumienie ból i ciężar grzechu dla dobra organizacji i ludzi, którymi kierują.

W Pignataro Maggiore klan Lubrano sfinansował odnowienie fresku przedstawiającego Matkę Boską. Jest ona nazywana Madonną Kamorry, bo modlili się do niej wszyscy bossowie ukrywający się w tym małym miasteczku przed wymiarem sprawiedliwości, wśród nich także najważniejsi bossowie cosa nostry, zbiegli z Sycylii. Nietrudno wyobrazić sobie Totò Riinę, Michele Greca, Luciana Liggio czy Bernarda Provenzano, jak klęczą przed freskiem Madonny i proszą o oświecenie w swoich działaniach oraz o pomoc w ucieczkach.

Kiedy Vincenzo Lubrano został uniewinniony, zorganizował pielgrzymkę do San Giovanni Rotondo, żeby podziękować Ojcu Pio, którego uważał za cudownego sprawcę swojego uniewinnienia. Posągi przedstawiające Ojca Pio naturalnej wielkości, a także kopie Chrystusa z otwartymi ramionami z góry Pão de Açucar w Rio, wykonane z terakoty i brązu, stoją w willach wielu bossów kamorry. W Scampi, gdy dokonuje się podziału narkotyków na mniejsze porcje, często tnie się haszysz seriami po 33 sztaby, jak lata Chrystusa, potem zatrzymuje się na 33 minuty, robi się znak krzyża i kontynuuje pracę. To coś w rodzaju hołdu dla Zbawiciela, dla zapewnienia sobie dobrych zarobków i spokoju. Podobnie dzieje się z torebkami kokainy, które *capozona* przed przekazaniem dealerom często kropi wodą poświęconą w Lourdes, w nadziei, że dzięki temu nikogo nie zabiją; a za złą jakość towaru odpowiada osobiście.

Kamorra jest systemem, który dotyczy nie tylko ludzkiego życia w sensie materialnym, ale rości sobie prawo do ludzkich dusz. Don Peppino postanowił postawić wreszcie jasno pewne sprawy: słowa, znaczenia, wartości.

„Kamorra nazywa «rodziną» klan zoganizowany dla osiągnięcia zbrodniczych celów, w którym najważniejszą regułą jest reguła absolutnej wierności i w którym nie ma miejsca na najsłabszy przejaw niezależności. Za zdradę zasługującą na śmierć uważa się nie tylko odstąpienie od klanu, ale nawet nawrócenie na uczciwość. Kamorra robi wszystko, by rozprzestrzenić i utrwalić taki właśnie model «rodziny», używając do tego celu nawet sakramentów świętych. Dla chrześcijanina, którego ukształtowało Słowo Boże, rodzina jest wspólnotą miłości, przy czym miłość rozumie on jako serdeczną, bezinteresowną służbę; służbę, która nobilituje zarówno tego, kto ją spełnia, jak i tego, kto z niej korzysta. Kamoryści utrzymują, że są pobożni, i udaje im się czasem przekonać do tego nie tylko wiernych, ale nawet niektórych źle przygotowanych do swojej misji lub po prostu naiwnych duszpasterzy”.

Manifest dotykał też tematu sakramentów świętych. Podkreślał, że należy absolutnie oddzielić sakramenty komunii świętej, chrztu i małżeństwa od

strategii kamorry. Oddalić symbole religijne od praktyk kamorry, takich jak zawieranie sojuszów czy układów. Miejscowi księża na samą myśl o tym, że mogliby otwarcie wystąpić przeciw uświęconym tradycją religijnym praktykom kamorystów, oblewali się potem ze strachu i najchętniej uciekliby gdzieś daleko, ściskając się ręką za żołądek. Który z nich nie zgodziłby się na to, by boss kamorry trzymał do chrztu dziecko któregoś z członków klanu? Kto odmówiłby udzielenia sakramentu małżeństwa, nawet gdyby doskonale wiedział, że jest zawierane tylko dla scementowania sojuszu między rodzinami? Ale Don Peppino postawił sprawę jasno:

„Nie pozwólcie, żeby w sakramentach wymagających udziału ojca chrzestnego rolę tę spełniał człowiek, o którym powszechnie wiadomo, że jego uczciwość w życiu prywatnym i publicznym oraz dojrzałość chrześcijańska są wątpliwe. Nie dopuszczajcie do sakramentów świętych osób bez odpowiedniego przygotowania, tylko dlatego, że wywierają na was nacisk”.

Don Peppino wystąpił przeciwko władzy kamorry w czasie, gdy Francesco Schiavone, Sandokan, ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości w bunkrze pod swoją willą, w czasie gdy rodziny z klanu Casalesi prowadziły wojnę między sobą, a cement i śmieci dawały możliwość zarabiania dużych pieniędzy i rozszerzania granic ekonomicznego imperium kamorry. Don Peppino nie chciał grać roli księdza pocieszyciela, który odprowadza na cmentarz trumny żołnierzy klanu, a matkom w żałobie mówi: „Odwagi!”. W jednym z wywiadów stwierdził: „Musimy wstrząsnąć ludźmi, otwierać ich rany, jeżeli to może doprowadzić w nich do przełomu”. Zdeklarował także swoją pozycję polityczną. Oświadczył, że będzie się ostro przeciwstawiać władzy powiązanej w jakikolwiek sposób z przestępczymi organizacjami gospodarczymi; będzie za to wspierać konkretne projekty służące pozytywnym reformom i na pewno nikt nie powinien liczyć na jego bezstronność. „Partie często mylnie utożsamia się z ich kandydatami, tymczasem przynależność partyjna polityków popieranych przez kamorrę jest przypadkowa, dla nich nie liczą się ideały polityczne, tylko rola, jaką chcieliby odegrać, i miejsce, jakie chcieliby zająć”. Celem Don Peppina nie było zwyciężenie kamorry. Jak sam często

powtarzał: „wygrani i przegrani jadą na jednym wozie”. Chciał zrozumieć, zmienić, zaświadczyć, ujawnić, zrobić elektrokardiograf władzy ekonomicznej, by znaleźć sposób na zniszczenie serca napędzającego władzę klanów.

Nigdy w życiu nie czułem się szczególnie pobożny, ale słowa Don Peppina dotykały sfer przekraczających wymiar religijny. Ustanawiały nowy model współistnienia religii oraz polityki. Wyrażały ufność, że można chwycić rzeczywistość w zęby i nie puścić, chyba że rozszarpując ją przy tym na strzępy. Były to słowa zdolne do wytropienia drogi pieniądza, podążając za jego stęchłym zapachem.

Mówi się, że pieniądz nie śmierdzi, ale to dotyczy tylko pieniądza znajdującego się w posiadaniu władcy. Zanim jednak trafi do jego rąk – *pecunia olet.* I jest to smród latryny. Don Peppino żył w miejscu, gdzie pieniądze zostawiają ślad swojej woni, ale tylko przez chwilę. Zanim przeniosą się w inne rejony, zanim znajdzie się legalne usprawiedliwienie ich istnienia. Tak nikłe zapachy można rozpoznać, tylko dotykając nosem powierzchni, która je wydziela. Don Peppino Diana wiedział, że musi przyłożyć twarz do ziemi, dotykać nią ludzkich pleców i spojrzeń, nie oddalać się, bo tylko tym sposobem może wszystko zobaczyć i przekazać innym, może zrozumieć, gdzie i jak gromadzą się kapitały, jak dochodzi do zabójstw, aresztowań, do faidy i milczenia. I przez cały czas trzymać w gotowości słowo – jedyne narzędzie zdolne zmienić rzeczywistość jego czasów. To słowo, słowo niezdolne do milczenia, stało się jego wyrokiem śmierci. Mordercy nie wybrali przypadkowego dnia. Był to dzień imienin Don Peppina, 19 marca 1994 roku, świętego Józefa. Wczesny poranek. Don Peppino znajdował się w zakrystii. Nie ubrał się jeszcze do mszy, nie było więc od razu widać, że to on.

– Don Peppino?

– Tak, to ja...

To były jego ostatnie słowa. Pięć strzałów zabrzmiało echem w nawach kościoła, dwie kule trafiły go w twarz, pozostałe przeszyły głowę, szyję i dłoń. Zabójcy celowali w twarz, z bliska. Łuska jednego z nabojów przyczepiła się do swetra pod kurtką. Jedna z kul uderzyła w pęk kluczy, który nosił przyczepiony do paska spodni. Don Peppino przygotowywał się do odprawienia porannej mszy. Miał 36 lat.

Wśród pierwszych, którzy zobaczyli jego martwe ciało na podłodze kościoła, był Renato Natale, burmistrz Casal di Principe, wybrany z listy partii komunistycznej. Rozpoczął urzędowanie zaledwie cztery miesiące wcześniej. To nie był przypadek, to morderstwo miało rzucić cień na jego krótką, bardzo krótką kadencję. Natale był pierwszym burmistrzem Casal di Principe, który w swoim programie za sprawę priorytetową uznał walkę z kamorrą. Demonstracyjnie nie brał udziału w posiedzeniach rady miejskiej, bo jego zdaniem służyły tylko do zatwierdzania decyzji powziętych w całkiem innym miejscu. Pewnego dnia karabinierzy wtargnęli do domu jednego z radnych, Gaetana Corvino, i znaleźli tam wszystkich członków kierownictwa klanu Casalesi. Zebranie klanu zorganizowano pod nieobecność gospodarza, który był wtedy na posiedzeniu rady miejskiej. Z jednej strony interesy miasta, z drugiej interesy robione kosztem miasta. Tak czy inaczej, robienie interesów jest jedynym powodem, dla którego warto się rano podnosić z łóżka; wyciąga cię za piżamę i stawia na nogi.

Na Renata Natale patrzyłem zawsze z daleka, tak jak patrzy się na ludzi, którzy stają się mimowolnie symbolami zaangażowania, oporu i odwagi. Symbolami prawie metafizycznymi, nierealnymi; archetypami. Nieśmiało, jak niedorostek, obserwowałem, jak zabiega o otwarcie ambulatorium dla imigrantów, jak mówi publicznie o ciemnych latach faidy, o władzy klanu Casalesi, o nieczystych interesach z cementem i śmieciami. Nieraz próbowano go zastraszyć, grożono mu śmiercią, zapowiadano, że jeżeli nie przestanie, ucierpi na tym jego rodzina, on jednak dalej otwarcie oskarżał zło i robił to, używając wszelkich sposobów. Rozklejał na przykład na murach miasta afisze, z których wszyscy mogli się dowiedzieć, jakie są ostatnie posunięcia klanu, co zdecydował, co wymusił, co narzucił. Im bardziej ewidentna była jego wytrwałość i odwaga, tym bardziej rosła jego metafizyczna nietykalność. Kto zna historię polityczną tych rejonów, wie, jaki ciężar gatunkowy mają tutaj zaangażowanie i silna wola.

Od kiedy wprowadzono prawo, które pozwala na rozwiązanie rad gminnych z powodu udowodnionych związków z mafią, w prowincji Caserty rozwiązano aż 16 zespołów gminnej administracji, a pięć z nich było po dwa razy zarządzanych komisarycznie. Carinola, Casal di Principe, Casapesenna, Castelvolturno, Cesa, Frignano, Grazzanise, Lusciano, Mondragone, Pignataro Maggiore, Recale, San Cipriano, Santa Maria la

Fossa, Teverola, Villa di Briano, San Tammaro. Burmistrzowie takich miasteczek, z programem skoncentrowanym na walce z kamorrą, którzy jakimś sposobem zdołali zwyciężyć w wyborach, pomimo praktyki pozyskiwania głosów wyborczych od członków mafii w zamian za różne przysługi i pomimo stosowania przez kamorrę strategii ekonomicznych, zdolnych skutecznie opleść każde ugrupowanie polityczne, wiedzą, że muszą się liczyć z ogromnymi trudnościami. Muszą liczyć się z ograniczeniami lokalnych administratorów, z niskim budżetem oraz absolutną marginalizacją. Muszą zacząć od niszczenia, od zdejmowania cegły za cegłą. Skromny budżet prowincjonalnego miasteczka muszą przeciwstawić kapitałom spółek międzynarodowych, nielicznych karabinierów z miejscowych małych posterunków wysłać przeciw bateriom ogniowym klanów.

Tak było w 1988 roku, kiedy Antonio Cangiano, radny z Casapesenna, sprzeciwił się „ustawianiu" przez klan niektórych przetargów. Grozili mu, chodzili za nim krok w krok, w końcu strzelili mu w plecy na głównym placu miasteczka, na oczach wszystkich. On nie pozwolił ludziom z klanu Casalesi dojść tam, gdzie zamierzali, teraz Casalesi sprawili, że on nie będzie mógł chodzić. Cangiano spędzi resztę życia na wózku inwalidzkim. Podejrzani o dokonanie tego zamachu zostali uniewinnieni w 2006 roku.

Casal di Principe nie jest jednym z sycylijskich miasteczek okupowanych przez mafię, gdzie także na pewno nie jest łatwo przeciwstawić się kryminalnej przedsiębiorczości; tam jednak każdy przejaw oporu jest filmowany przez dziesiątki kamer telewizyjnych i opisywany przez dziennikarzy, tych sławnych i tych, którzy dopiero są na drodze do sławy. Cała sytuacja jest stale pod obserwacją chmary specjalistów od walki z mafią z całego kraju, którzy, także we własnym interesie, potrafią nagłośnić wyniki własnej pracy. Natomiast tutaj wszystko, co robisz, pozostaje wewnątrz ograniczonych przestrzeni i wie o tym bardzo niewielu. Sądzę, że właśnie w tej samotności kształtuje się to, co można by nazwać odwagą, rodzaj panoplium, które nosisz na sobie, nie myśląc o tym, nawet go nie zauważając. Idziesz do przodu, robisz to, co do ciebie należy, reszta jest nieważna. Bo groźba niebezpieczeństwa nie zawsze polega na tym, że możesz dostać kulkę między oczy albo że ktoś może rozładować ciężarówkę krowiego nawozu pod twoimi drzwiami.

Robią to bez pośpiechu. Obrywają liście powoli, jeden na dzień, aż spostrzegasz, że jesteś nagi i walczysz z czymś, co nie istnieje, co jest tylko twoim urojeniem. Zaczynasz wierzyć w kalumnie, zaczynasz wierzyć, że jesteś nieudacznikiem, któremu własna frustracja każe nazywać kamorystami ludzi, którzy w odróżnieniu od ciebie osiągnęli sukces. Bawią się z tobą w bierki. Wyciągają wszystkie patyczki, nie ruszając ciebie, aż na końcu zostajesz sam i samotność wlecze cię za włosy. Ale tutaj nie możesz sobie pozwolić na taki stan ducha. To bardzo niebezpieczne, tracisz czujność, przestajesz rozumieć mechanizmy, symbole, wybory. Ryzykujesz, że przestaniesz zauważać cokolwiek. Musisz więc sięgnąć do twoich najgłębszych zapasów. Musisz znaleźć pokarm dla żołądka twojej duszy, żebyś mógł iść naprzód. Chrystus, Budda, działalność społeczna, moralność, marksizm, duma, anarchia, walka z przestępcami, czystość, nieskończona wściekłość, lokalny patriotyzm południowca. Cokolwiek. Nie tyle hak, o który można się zaczepić, ile podziemne korzenie nie do naruszenia. W bezskutecznej walce, w której jak wiesz, grasz na przegranej pozycji, jest coś, co musisz zachować i czego musisz być pewnym. I musisz mieć przekonanie, że te korzenie wzmocnią się dzięki twemu rozrzutnemu i daremnemu zaangażowaniu, które ma smak szaleństwa i obsesji. Nauczyłem się rozpoznawać takie zakorzenienie we własnej ziemi w spojrzeniu ludzi, którzy postanowili nie spuszczać oczu przed pewnymi potęgami.

Podejrzenia o morderstwo Don Peppina spadły od razu na grupę Giuseppe Quadrana, kamorysty, który opowiedział się po stronie przeciwników Sandokana. Było nawet dwóch świadków: fotograf, który znajdował się blisko miejsca zbrodni, bo przyszedł złożyć życzenia księdzu, oraz zakrystian kościoła św. Mikołaja. Jak tylko rozniosło się, że policja podejrzewa Quadrana, boss Nunzo De Falco, zwany ’O Lupo, czyli „wilk”, który znajdował się w Granadzie w Andaluzji, na terytorium odstąpionym mu przez klan Casalesi, zadzwonił do Kwestury w Casercie i poprosił o rozmowę z policją w sprawie pewnego członka jego grupy. Dwaj funkcjonariusze Kwestury udali się na spotkanie z ’O Lupo na jego terenie. Na lotnisku czekała na nich żona bossa, która wiozła ich potem kilometrami przez piękną Andaluzję. Nunzio De Falco nie czekał na policjantów w swojej willi w Santa Fe, przyjął ich w restauracji, w której prawdopodobnie wielu gości było jego ludźmi, gotowymi przystąpić do

akcji, gdyby tylko policjanci popełnili jakąś nieostrożność. Boss od razu wyjaśnił, że wezwał ich, by im przedstawić swoją wersję wydarzeń, coś w rodzaju interpretacji historycznej, nie zaś donosu czy zeznania. To ważne zastrzeżenie, konieczne, żeby nie dopuścić do splamienia imienia rodziny i zaszkodzenia jej autorytetowi. Nikt nie powinien przypuszczać, że zamierza współpracować z policją. Nie tracąc czasu na dłuższe wstępy, boss oświadczył, że Don Peppina Dianę zabili Schiavone, rodzina jego przeciwników. Zabili księdza tylko po to, żeby odpowiedzialnością za tę zbrodnię obarczyć rodzinę De Falco. ’O Lupo stwierdził, że on sam nigdy nie mógłby zlecić zamordowania Don Peppina, ponieważ jego brat Mario był do księdza bardzo przywiązany. To prawda, Don Diana prowadził z nim długie rozmowy i zdołał go przekonać, żeby nie wchodził do ścisłego kierownictwa klanu, a potem udało mu się wyrwać go z systemu kamorry. Był to jeden z największych sukcesów księdza i teraz boss De Falco używał go jako swojego alibi. Wersję De Falco potwierdzili dwaj inni kamoryści: Mario Santoro i Francesco Piacenti.

Także Giuseppe Quadrano znajdował się w Hiszpanii. Najpierw był gościem w domu De Falco, potem osiedlił się w małej miejscowości niedaleko Walencji. Chciał założyć własną grupę, próbował handlować narkotykami i w ten sposób przygotować grunt dla nowego włoskiego klanu przedsiębiorców-gangsterów w południowej Hiszpanii. Ale mu się nie udało. W gruncie rzeczy Quadrana stać było tylko na role drugoplanowe. Oddał się w ręce policji hiszpańskiej i zadeklarował gotowość współpracy z wymiarem sprawiedliwości. Zaprzeczył wersji wydarzeń opowiedzianej policjantom przez Nunzia De Falco. Quadrano zasugerował, że morderstwo księdza nastąpiło w konsekwencji faidy między jego grupą a rodziną Schiavone. Kiedy Quadrano pełnił funkcję *capozona* w Carinaro, Casalesi Sandokana w krótkim czasie zlikwidowali jego czterech ludzi, dwóch wujków i szwagra. Aby pomścić tę zniewagę, Chiadrano wraz z Mariem Santoro postanowili zastrzelić Alda Schiavone, kuzyna Sandokana. Przed przystąpieniem do realizacji tego zamiaru skontaktowali się jednak z De Falco. Żadna decyzja o akcji militarnej nie może być podjęta bez zgody bossów. De Falco zablokował wszystko, obawiał się bowiem, że po śmierci kuzyna Schiavone rozkaże zabić wszystkich jego krewnych, którzy zostali jeszcze w Kampanii. Jednocześnie obiecał wysłać swojego emisariusza, Francesca Piacentiego, z planem pewnej akcji. Piacenti przejechał dystans

między Granadą a Casal di Principe mercedesem, samochodem, który w latach 80. i 90. był symbolem tego terytorium. Wybitny dziennikarz, Enzo Biagi, był zbulwersowany danymi statystycznymi, jakie zebrał pod koniec lat 90. Wynikało z nich, że Casal di Principe znajduje się w europejskiej czołówce, jeżeli chodzi o liczbę nabywców samochodów marki Mercedes. Jednocześnie zauważył, że to miasteczko osiągnęło jeszcze jeden europejski rekord: Casal di Principe ma najwyższy wskaźnik morderstw. Stosunek liczby mercedesów do liczby zabitych jest wartością stałą i może służyć jako wskaźnik obecności kamorry na danym terytorium. Według pierwszej relacji Quadrana Piacenti przywiózł od bossa polecenie zabicia Don Giuseppe Diany. Nikt nie znał motywów tej decyzji, ale wszyscy założyli, że „'O Lupo wie, co robi". „Skruszony" Quadrano wyjawił, iż zbrodni miał dokonać Piacenti, pod warunkiem że będzie mu towarzyszył w tej akcji Santoro lub inny członek klanu. Mario Santoro wahał się, zadzwonił do De Falco, żeby mu powiedzieć, że jest przeciwny temu zabójstwu, ale w końcu się zgodził. Jeżeli nie chciał stracić pozycji pośrednika w narkotykowych interesach prowadzonych z Hiszpanią, nie mógł odmówić 'O Lupo, który udzielił mu tego przywileju. Jednak zamordowanie księdza, tym bardziej bez konkretnego motywu, nie było równie łatwe do zaakceptowania jak inne zabójstwa. W Systemie kamorry morderstwo jest koniecznością, znaczy tyle samo, co wpłacenie pieniędzy do banku, zakup koncesji czy zerwanie przyjaźni. Nie jest uczynkiem niezwykłym. Dla każdej rodziny, każdego bossa, każdego kamorysty zawiera się w powszedniości, jak codzienny świt i zmierzch. Ale zabójstwo księdza, który w dodatku pozostawał poza Systemem, poruszyło sumienia. Według zeznań Quadrana Piacenti się wycofał, tłumacząc się, że w Casal di Principe wszyscy go znają, nie może więc wziąć udziału w zamachu. Mario Santoro zgodził się, ale wymógł, by towarzyszył mu Giuseppe Delia Medaglia, członek klanu Ranucci z Sant'Antimo, z którym już nieraz przeprowadzał podobne akcje. Jak twierdzi „skruszony" Quadrano, umówili się na szóstą rano następnego dnia, ale noc poprzedzająca akcję nie była dla nikogo spokojna. Denerwowali się, nie mogli spać, kłócili się z żonami. Ksiądz budził w nich większy strach niż baterie ogniowe wrogich klanów.

Delia Medaglia nie stawił się o umówionej porze, ale w nocy udało mu się znaleźć kogoś innego na swoje miejsce: Vincenza Verde. Inni uczestnicy akcji nie byli szczególnie zadowoleni z tej zamiany, ponieważ Verde

cierpiał na epilepsję. Ryzykowali, że po oddaniu strzałów przewróci się na ziemię w konwulsjach, z językiem przegryzionym zębami i pianą na ustach. Próbowali więc zaangażować na jego miejsce Nicolę Gaglione, ale odmówił kategorycznie. Santoro poczuł się jak w labiryncie bez wyjścia. Nie potrafił wymyślić żadnego alternatywnego rozwiązania, skończyło się więc na tym, że Quadrano, jak zeznał, posłał z Mariem Santoro swojego brata Armanda. Akcja najprostsza z możliwych: samochód zaparkowany przed kościołem czeka na zabójców, którzy po oddaniu strzałów wychodzą bez pośpiechu z kościoła. Jakby odmówili w nim właśnie poranną modlitwę. Po dokonanej egzekucji nikt z grupy killerów nie śpieszył się z ucieczką. Quadrano był oczekiwany tego samego wieczoru w Hiszpanii, ale zrezygnował z podróży. Czuł się bezpieczny. Sądził, że nikt go nie będzie podejrzewać, bo zabójstwo Don Peppina nie miało nic wspólnego z militarnymi akcjami, jakie wykonywał do tej pory. Zabójcy nie znali motywów tej zbrodni, tym bardziej więc nie będą mogli ich odgadnąć karabinierzy. Ale gdy tylko policyjne śledztwo zaczęło zataczać szersze kręgi, Quadrano przeniósł się do Hiszpanii. Dowiedział się od Francesca Piacentiego, iż Nunzio De Falco, Sebastiano Caterino i Mario Santoro postanowili go zlikwidować. Być może podejrzewali, że będzie chciał współpracować z wymiarem sprawiedliwości. Ale w dniu zaplanowanego zamachu zobaczyli go w samochodzie z małym synkiem i dlatego go oszczędzili.

W Casal di Principe Sandokan coraz częściej słyszał, że kojarzy się go z zabójstwem księdza. W związku z tym powiadomił rodzinę Don Peppina, że gdyby jego ludzie złapali Quadrana, zanim złapie go policja, pokroiliby go na trzy kawałki i rzucili na dziedziniec przed kościołem. W ten sposób nie tyle wyraził chęć zemsty, ile odciął się od wszelkiej odpowiedzialności za śmierć księdza. Publiczna deklaracja niewinności Francesca Schiavone sprowokowała ludzi klanu De Falco do zorganizowania spotkania, podczas którego Giuseppe Quadrano zaproponował, by zastrzelić jednego z krewnych Sandokana, pokroić go na kawałki i zostawić w worku pod drzwiami kościoła Don Peppina. Byłby to w ich rozumieniu znak, że to Sandokan jest odpowiedzialny za morderstwo. Obydwa stronnictwa, choć nie znały nawzajem swoich intencji, znalazły identyczne rozwiązanie. Pokroić trupy i dostarczyć kawałki ciała w określone miejsce, oto najlepszy sposób na przesłanie czytelnej wiadomości, którą niełatwo będzie

zapomnieć. Kiedy mordercy Don Peppina rozmawiali o przesyłaniu informacji za pomocą pokrojonych zwłok, ja myślałem jeszcze o kampanii księdza, o tym, jak wierzył w moc słowa. Myślałem o tym, jak bardzo oryginalne i silne było jego pragnienie ulokowania słowa w centrum walki z mechanizmami władzy. Słowo naprzeciw betoniarek i karabinów. Bez metafory. Dosłownie. Słowo, które oskarża, daje świadectwo, jest. Słowo, któremu za całe uzbrojenie wystarcza to, że jest wypowiadane. Słowo-strażnik, słowo-świadek; prawdziwe pod warunkiem, że nigdy nie zamilknie. Jedyny sposób na uciszenie takiego słowa to zabić je.

Sąd w Santa Maria Capua Vetere w 2001 roku skazał wyrokiem pierwszej instancji Vincenza Verde, Francesca Piacentiego i Giuseppe Delia Medaglia na karę dożywocia. Giuseppe Quadrano od dłuższego już czasu dążył do zniesławienia Don Peppina. Podczas przesłuchań wymyślał różne motywy, jakie mogły skłonić zabójców księdza do dokonania tej zbrodni, a każdy z nich miał rozgnieść poświęcenie księdza ciężarem kryminalnych interpretacji. Zeznał, że Nunzio De Falco dał księdzu broń, którą ten bez pozwolenia przekazał Walterowi Schiavone i za to właśnie ciężkie uchybienie mógł zostać ukarany. Pojawił się też motyw zbrodni w afekcie, której ofiara, czyli ksiądz, musiał zginąć, bo uwodził kuzynkę bossa. Podobnie jak wystarczy nazwać kobietę dziwką, aby zakończyć dyskusję na jej temat, tak samo zaliczenie duchownego do kategorii dziwkarzy jest najpewniejszym sposobem, żeby szybko zaprzestano rozmów na jego temat. Na końcu pojawiła się historia o tym, że Don Peppino został zastrzelony, bo nie wypełnił swoich duszpasterskich obowiązków, odmawiając odprawienia w kościele pogrzebu jednego z krewnych Quadrana. Wymyślanie wszystkich tych nieprawdopodobnych, wręcz śmiesznych motywów miało oczywisty cel: nie dopuścić do tego, by Don Peppino został uznany za męczennika; zatrzymać szerzenie się jego idei; sprawić, by uznano go nie za ofiarę, a za żołnierza kamorry. Kto nie zna dynamiki władzy kamorry, może pomyśleć, że zabijając niewinnego człowieka, działa na własną szkodę, bo uwierzytelnia jego świadectwo i czyni je bardziej znanym. Potwierdza prawdy, które głosił. To błąd. Nigdy tak nie jest. Śmierć na ziemi kamorry przynosi zawsze podejrzenia. Niewinność jest tylko jedną z hipotez, jedną z ostatnich, jakie bierze się pod

uwagę. Jesteś winny, chyba że możesz udowodnić swoją niewinność. Podstawowe zasady współczesnego prawa na ziemi kamorry są odwrócone do góry nogami.

Temu, co dzieje się na tym terytorium, poświęca się tak mało uwagi, że wystarcza cień podejrzenia, a agencje prasowe nie piszą już o śmierci niewinnego człowieka. Jeżeli zaraz potem nie nastąpią kolejne zabójstwa, do tej sprawy media już nie wrócą. Zniesławienie Don Peppina było strategicznym posunięciem, które miało usunąć presję ciążącą na klanach, rozwiązać kłopotliwy problem, jaki stanowiła uwaga opinii publicznej całego kraju.

Pewien lokalny dziennik posłużył za pudło rezonansowe w akcji oczerniania Don Peppina. Z nagłówkami wydrukowanymi tak wytłuszczonym drukiem, że litery odbijały się na palcach przy przewracaniu stron gazety: „Don Diana był kamorystą”, a kilka dni później: „Don Diana w łóżku z dwiema kobietami”. Przesłanie było jasne: nikomu nie wolno występować przeciw kamorze. Kto, pomimo wszystko, odważy się na to, ma w tym zawsze jakiś prywatny interes i sam pewnie tarza się w plugastwie.

W obronie dobrego imienia Don Peppina stanęli jego przyjaciele, rodzina oraz osoby, które od dawna przyglądały się jego działaniom, jak na przykład dziennikarz Raffaele Sardo, który poświęcił jego pamięci książki i artykuły prasowe, a także Rosaria Capacchione, obserwatorka mechanizmów funkcjonowania klanów, która nieraz była świadkiem przebiegłości świadków koronnych i sporo wiedziała na temat skomplikowanej i bestialskiej dynamiki władzy kamorry.

W 2003 roku trybunał drugiej instancji podał w wątpliwość niektóre fragmenty zeznań Giuseppe Quadrana złożonych w procesie pierwszej instancji i oczyścił z zarzutów Vincenza Verde oraz Giuseppe Delia Medaglia. Stwierdzono, że zeznania Quadrano były prawdziwe tylko w części, od samego początku bowiem chciał zrzucić z siebie odpowiedzialność. Okazało się, że to on był zabójcą, rozpoznali go niektórzy świadkowie, potwierdziła to także ekspertyza balistyczna. Giuseppe Quadrano zastrzelił Don Peppina Dianę. Wyrok sądu drugiej instancji uniewinnił Vincenza Verde i Giuseppe Delia Medaglia. Na miejscu zbrodni znajdował się także Santoro, prowadził samochód. Francesco Piacenti dostarczył informacji na temat księdza i kierował całą akcją, w tym

właśnie celu przysłał go z Hiszpanii De Falco. Sąd apelacyjny potwierdził wyrok dożywocia dla Maria Santoro i Francesca Piacentiego. Quadrano nagrał swoje rozmowy telefoniczne z niektórymi kamorystami, podczas których raz po raz powtarzał, że nie ma nic wspólnego z zabójstwem księdza. Nagrania te przekazał policji. „Skruszony” kamorysta zrozumiał, że morderstwo zlecił De Falco i nie chciał, żeby dowiedziano się, że on był jedynie wykonawcą zlecenia. Prawdopodobnie wszyscy bohaterowie pierwszej wersji wydarzeń podanej przez Quadrana wystraszyli się i nie chcieli mieć nic wspólnego z zamachem na księdza. Czasem nie wystarczy być uzbrojonym w karabiny i pistolety, żeby stawić czoło bezbronnemu człowiekowi i jego prostym słowom.

Nunzia De Falco aresztowano w Albacete podczas podróży pociągiem relacji Walencja–Madryt. Zorganizował od podstaw potężną organizację kryminalną wraz z ludźmi z ’ndranghety oraz kilkoma Sycylijczykami, którzy odłączyli się od cosa nostry. Według informacji policji hiszpańskiej próbował także podporządkować sobie Cyganów zamieszkujących południową Hiszpanię i zrobić z nich regularną grupę przestępczą. ’O Lupo zbudował prawdziwe imperium. Wioski turystyczne, kasyna gry, sklepy, hotele. Poziom usług turystycznych na Costa del Sol poprawił się znacząco, odkąd klan Casalesi i neapolitańczycy postanowili zrobić z niego perłę masowej turystyki.

W styczniu 2003 roku De Falco został skazany na karę dożywotniego więzienia za zlecenie zabójstwa Don Peppina Diany. Kiedy odczytywano wyrok w auli sądowej, zachciało mi się śmiać. Udało mi się powstrzymać, choć od zduszonego śmiechu miałem już nadęte policzki. Tę niekontrolowaną wesołość wzbudziła we mnie absurdalność sytuacji, do jakiej doszło na tej sali. Nunzia De Falco alias ’O Lupo bronił w tym procesie adwokat Gaetano Pecorella, który był jednocześnie przewodniczącym Komisji Sprawiedliwości Izby Deputowanych oraz obrońcą największych bossów klanu Casalesi. Chciało mi się śmiać na myśl, że kamorra musi chyba posiadać niezwykłą moc, skoro udało jej się odwrócić relacje występujące w naturze oraz w dziecięcych bajkach. Oto ’O Lupo, czyli „wilk”, pozwalał, żeby bronił go mecenas Pecorella, którego nazwisko znaczy tyle, co „owieczka”. Byłem już chyba bardzo zmęczony i miałem nadwyrężone nerwy.

Nunzio De Falco ma swój pseudonim wypisany na twarzy. Wygląda naprawdę jak wilk. Zdjęcie policyjne wypełnia podłużna twarz obrośnięta rzadką, szczeciniastą brodą, ze spiczastymi uszami. Kędzierzawe włosy, ciemna karnacja, trójkątne usta. Przywodzi na myśl wizerunek wilkołaka znany z horrorów. Pomimo tego jedna z miejscowych gazet, ta sama, która pisała o związkach Don Peppina z klanem, poświęciła miejsce na pierwszej stronie, żeby omówić przymioty tego amanta, obiektu westchnień kobiet młodszych i starszych. Tytuł artykułu, który ukazał się 17 stycznia 2005 roku, mówi sam za siebie: „Nunzio De Falco, zdobywca serc niewieścich".

Casal di Principe (Ce)

„Nie są piękni, ale się podobają, bo są bossami. Tak już jest. Gdyby ktoś pokusił się o sporządzenie rankingu największych playboyów wśród bossów z naszej prowincji, pierwsze miejsca zajęliby bez wątpienia dwaj recydywiści z Casal di Principe, o których na pewno nie można powiedzieć, że są urodziwi. A już na pewno nie tak, jak Antonio Bardellino, który pozostaje najprzystojniejszym ze wszystkich. Chodzi o Francesca Piacentiego alias Nascone i Nunzia De Falco, znanego jako 'O Lupo. Jak gminna plotka głosi, pierwszy z nich miał pięć żon, drugi siedem. Naturalnie mamy tu na myśli nie tylko oficjalne związki małżeńskie, ale także dłuższe związki nieformalne, które zaowocowały potomstwem. I tak na przykład Nunzio De Falco ma, jak się wydaje, co najmniej dwanaścioro dzieci z różnymi kobietami. Ciekawym szczegółem jest to, że nie wszystkie te kobiety są Włoszkami. Jest wśród nich na pewno Hiszpanka, Angielka i Portugalka. Wynikałoby z tego, że zakładał rodziny we wszystkich miejscach, gdzie ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości. Jak marynarze? Prawie. [...] Nie przypadkiem świadkami na ich procesach były także niektóre z nich – kobiety piękne i bardzo eleganckie. Często przedstawicielki płci pięknej są przyczyną zmierzchu kariery bossów. Zdarzało się też, że nieświadomie pomagały organom ścigania w schwytaniu najniebezpieczniejszych z nich. Tak na przykład zdarzyło się w przypadku Francesca Schiavone, znanego pod przydomkiem Cicciarello, do którego policja dotarła, śledząc jego kochankę. [...] Krótko mówiąc, kobiety są «krzyżem i rozkoszą» także dla bossów".

Śmierć Don Peppina była ceną za pokój między klanami. W uzasadnieniu wyroku w procesie o jego zabójstwo postawiono podobną hipotezę. Dwie walczące ze sobą grupy musiały dojść do porozumienia i zostało ono prawdopodobnie zawarte nad ciałem Don Peppina. Jak nad ciałem baranka złożonego w ofierze. Jego śmierć rozwiązała problem wszystkich rodzin, a jednocześnie odwróciła uwagę policji od ich interesów.

Słyszałem o przyjacielu Don Peppina z młodzieńczych lat, Ciprianie, który napisał uroczystą mowę, zainspirowaną jednym z przemówień księdza i chciał ją przeczytać na jego pogrzebie. Tego ranka nie znalazł jednak w sobie dość sił, by wyjść z domu. Wyjechał z rodzinnych stron wiele lat wcześniej, zamieszkał pod Rzymem i zdecydował, że jego stopa nigdy więcej nie postanie w Kampanii. Powiedziano mi, że po śmierci Don Peppina zachorował i przeleżał wiele miesięcy w łóżku. Pytałem czasem o Cipriana jego ciotkę, odpowiadała mi zawsze przygnębionym głosem: „Zamknął się w sobie. Cipriano już całkiem zamknął się w sobie”.

Od czasu do czasu słyszy się o kimś, że zamyka się w sobie. W tych stronach to nie należy do rzadkości. Za każdym razem, gdy słyszę ten zwrot, przychodzi mi na myśl Giustino Fortunato, który na początku XX wieku postanowił osobiście poznać sytuację ludzi mieszkających w południowych Apeninach. W tym celu chodził miesiącami po tych okolicach, dotarł wszędzie, nocował w domach robotników sezonowych, wysłuchał opowieści najbardziej zagniewanych chłopów, poznając jak nikt inny głosy i zapachy Południa. Wiele lat później, kiedy był już senatorem, wracał czasem do odwiedzonych miejscowości, by prosić któregoś ze szczególnie zaangażowanych i zagniewanych chłopów o konsultację przy swoich projektach reformy. Często słyszał wtedy od ludzi: „On zamknął się w sobie”. Zamknąć się, zamilknąć, prawie oniemieć, uciec do środka siebie i nie chcieć już niczego wiedzieć ani rozumieć. Nic już nie robić. Nie opierać się, zostać pustelnikiem na chwilę przed pogrążeniem w kompromisach codziennej egzystencji. Także Cipriano zamknął się w sobie. Powiedziano mi, że zaczęło się to po rozmowie kwalifikacyjnej, jaką odbył, starając się o pracę kadrowca w pewnym przedsiębiorstwie spedycyjnym we Frosinone. Przedstawiciel firmy rekrutujący pracowników przeglądał życiorys Cipriana i zatrzymał się przy informacji o jego miejscu urodzenia.

– Tak, słyszałem o tej miejscowości! To miasto tego sławnego bossa... Sandokana, prawda?

– Nie, to miasto Don Peppina Diany!

– Kogo?

Cipriano wstał z krzesła i wyszedł. Żeby zarobić na życie, otworzył w Rzymie kiosk z gazetami. Dowiedziałem się, gdzie mieszka, od jego matki, którą spotkałem przypadkiem w kolejce w supermarkecie. Powiadomiła go chyba o tym, bo nie odpowiadał, gdy dzwoniłem z domofonu. Pewnie się domyślał, o czym chciałbym z nim rozmawiać. Czekałem pod jego domem godzinami. Byłem zdecydowany spać na chodniku, gdyby zaszła taka konieczność. Wreszcie zdecydował się wyjść. Ledwo się ze mną przywitał. Poszliśmy do małego parku blisko jego domu. Usiedliśmy na ławce. Cipriano otworzył zeszyt w trzy linie, jakich używa się w szkole podstawowej. Zobaczyłem zapisany tekst jakiejś przemowy. Byłem ciekawy, czy na kartkach zeszytu znalazłoby się też coś napisanego ręką Don Peppina, ale nie ośmieliłem się zapytać. Przemowę zamierzali podpisać razem, ale potem pojawili się mordercy, śmierć, oszczerstwa i bezgraniczna samotność. Zaczął czytać, a ton jego głosu przywiódł mi na myśl braci heretyków, średniowiecznych dulcynian chodzących po ulicach i głoszących zbliżanie się Apokalipsy:

„Nie pozwólmy, ludzie, żeby nasze ziemie stały się królestwem kamorry, żeby stały się jedną wielką Gomorą przeznaczoną do zniszczenia! Nie pozwólmy, ludzie kamorry, nie bestie przecież, tylko ludzie jak wszyscy, żeby to, co gdzie indziej staje się legalne, właśnie na tych ziemiach znajdowało swoją nielegalną energię, nie pozwólmy, żeby gdzie indziej budowano z tego, co tutaj jest niszczone. Utworzyliście pustynie wokół waszych willi; nie stawiajcie między tym, czym naprawdę jesteście, a tym, czym chcecie być, jedynie waszej niczym nieograniczonej woli. Pamiętajcie. «A wtedy Pan spuścił na Sodomę i Gomorę deszcz siarki i ognia od Pana z nieba; i tak zniszczył te miasta oraz całą okolicę wraz ze wszystkimi mieszkańcami miast, a także roślinność. Żona Lota, która szła za nim, obejrzała się i stała się słupem soli» (Księga Rodzaju 19, 24–26). Nawet jeżeli ryzykujemy, że zamienimy się w sól, musimy obejrzeć się za siebie i zobaczyć, co się dzieje, jakie klęski spadają na Gomorę, musimy być świadomi zniszczeń na tej naszej ziemi, gdzie życie jest tylko wartością dodaną lub odjętą od waszych operacji finansowych. Czy nie widzicie, że ta

ziemia jest Gomorą? Nie widzicie tego? Pamiętajcie. «Siarka, sól, spalenizna po całej jego ziemi! Nie obsieją jej, nie zakiełkuje, nie urośnie na niej żadna roślina, jak w zagładzie Sodomy, Gomory, Admy i Seboim, które Pan zniszczył w swym gniewie i zapalczywości» (Księga Powtórzonego Prawa 29, 22). Umiera się przez jedno «tak» lub jedno «nie», oddaje się własne życie na czyjś rozkaz, z czyjegoś wyboru. Skazujecie się na dziesiątki lat więzienia, żeby posiąść władzę nad życiem i śmiercią, zarabiacie góry pieniędzy i inwestujecie je w domy, w których nigdy nie zamieszkacie, w banki, których progu nigdy nie przekroczycie, w restauracje, których nie będziecie prowadzić, w firmy, którymi nie będziecie kierować. Posiadacie władzę śmierci i usiłujecie objąć władzę nad życiem, które tymczasem trwonicie, kryjąc się pod ziemią, otoczeni przez ochroniarzy. Zabijacie i dajecie się zabijać w rozgrywce szachowej, w której żaden z was nie jest królem. Królem jest ten, kto się na was bogaci, pozwalając wam wybijać się między sobą, aż w końcu nikt nie będzie mógł dać mu mata, a na szachownicy zostanie tylko jeden pionek. I tym pionkiem nie będzie nikt z was. To, co pożeracie tutaj, wypluwacie gdzie indziej, daleko stąd. Jak ptaki, które wymiotują pokarmem prosto w dzioby swoich piskląt. Tylko że wy nie karmicie waszych piskląt, karmicie sępy. I nie jesteście ptakami, tylko potulnymi bawołami gotowymi na rzeź na tej ziemi, gdzie krew i władza są wyznacznikami zwycięstwa. Nadszedł czas, żebyśmy przestali być Gomorą...”

Cipriano przerwał lekturę. Wyglądał, jakby zobaczył przed sobą wszystkich tych ludzi, którym chciałby rzucić te słowa prosto w twarz. Oddychał płytko, urywanie, jak astmatyk. Zamknął zeszyt i odszedł, nie pożegnawszy się ze mną.

Hollywood

Imieniem Don Peppina Diany nazwano w Casal di Principe pogotowie opiekuńcze dla dzieci i młodzieży. Siedzibą ośrodka jest dom skonfiskowany członkowi klanu Casalesi, Egidiowi Coppoli. To okazała willa i udało się podzielić jej obszerne wnętrza na wiele pokoi. Agrorinasce, stowarzyszenie na rzecz odnowy, rozwoju i bezpieczeństwa lokalnego, działające na terenie gmin Casapesenna, Casal di Principe, San Cipriano d'Aversa i Villa Literno, postarało się, żeby niektóre nieruchomości zarekwirowane kamorystom zostały przekształcone w obiekty użyteczności publicznej. Wille, które przeszły na własność gmin, dopóki nie zaczną żyć nowym życiem, zachowują piętno poprzednich mieszkańców. Nawet kiedy są puste, stanowią symbol ich władzy. Przejeżdżając przez okolice Aversy, można odnieść wrażenie, że ogląda się ilustracje z katalogu stylów architektonicznych ostatnich trzydziestu lat. Najbardziej imponujące domy przedsiębiorców budowlanych i właścicieli ziemskich są wzorem dla projektantów domów urzędników i drobnych handlowców. Różnią się tylko tym, że te pierwsze opierają się na czterech betonowych kolumnach doryckich, te ostatnie zaś mają najczęściej tylko dwie, o połowę krótsze kolumny. Tendencja do naśladownictwa sprawia, że całe terytorium jest usiane domami jednorodzinnymi, rywalizującymi ze sobą rozmiarami, wielością elementów i niedostępnością oraz charakteryzującymi się tym samym upodobaniem do udziwnień i osobliwości, jak na przykład kopia obrazu Mondriana na bramie wjazdowej.

Wille kamorystów to betonowe perły ukryte przy drogach całej prowincji Caserty, chronione przez wysokie mury i kamery. Są ich dziesiątki. Marmur, parkiet i kolumny, szerokie schody i kominki z inicjałami bossów wygrawerowanymi w granicie. Jedna z nich jest szczególnie sławna, może dlatego, że zbudowano ją z jeszcze większym niż inne rozmachem, albo po prostu dlatego, że wokół niej powstało dużo legend. Wszyscy mieszkańcy Casal di Principe nazywają ją Hollywood. To

mówi samo za siebie. Hollywood to dom Waltera Schiavone, brata Sandokana, który przez wiele lat był odpowiedzialny za interesy klanu związane z budownictwem. Nietrudno odgadnąć pochodzenie takiej a nie innej nazwy willi, wystarczy wyobrazić sobie jej przepych i rozmiary. Ale to niejedyna przyczyna, dom Waltera Schiavone ma z Hollywood związki o wiele bliższe. Mówi się w Casal di Principe, że boss zlecił swojemu architektowi zaprojektowanie domu identycznego z tym, w jakim mieszkał kubański gangster Tony Montana, bohater filmu *Człowiek z blizną*. Walter oglądał go wielokrotnie. Film wywarł na nim głębokie wrażenie, do tego stopnia, że boss zaczął identyfikować się z postacią graną przez Ala Pacino. Rzeczywiście, w jego twarzy o zapadniętych policzkach można, przy pewnej dozie wyobraźni, doszukać się niejakiego podobieństwa do amerykańskiego aktora. Wszystko to jednak ma lekki posmak gminnej plotki. Mówi się, że boss przekazał architektowi kasetę z filmem Briana De Palmy; dom miał wyglądać dokładnie jak ten z *Człowieka z blizną*. Cała ta historia wydawała mi się zawsze jedną z tych, które towarzyszą zwykle wstępowaniu bossów na kryminalny Parnas, a służą tworzeniu aury legendy, współczesnego mitu. Za każdym razem, gdy ktoś wspomina o Hollywood, zaraz znajduje się ktoś inny, kto w dzieciństwie widział, jak budowano ten dom, kto był którymś z chłopców przystających w pobliżu na swoich rowerach i przyglądających się, jak powoli rosła willa Tony'ego Montany przeniesiona prosto z ekranu. Jest to mało prawdopodobne, ponieważ w Casal di Principe budowę ekskluzywnych willi zaczyna się zwykle dopiero po wzniesieniu wysokiego murowanego ogrodzenia. Nigdy nie wierzyłem w tę historię z Hollywood. Widziana z większej odległości, willa Waltera Schiavone wygląda jak bunkier otoczony litym murem, zakończonym odstraszającymi metalowymi szpikulcami. Wszystkie wejścia są chronione pancernymi bramami. Trudno odgadnąć, co znajduje się za tymi murami, ale zastosowany system ochrony każe myśleć o czymś bardzo cennym.

Przy głównym wejściu na posesję Waltera Schiavone jest pewien element architektoniczny nawiązujący do stylu, w jakim zaprojektowano budynki ukryte za ogrodzeniem. Po dwóch stronach bramy, kojarzącej się z wjazdem na wiejską posiadłość, stoją doryckie kolumny uwieńczone tympanonem. Zupełnie nie pasują do zdyscyplinowanej surowości sąsiednich domów ani do grubych murów ogrodzenia, ani do pomalowanej

na czerwono bramy. Ten neopogański tympanon jest czymś w rodzaju znaku rodziny, rozpoznawalnym dla tych, którzy widzieli ukrytą willę. Pragnąłem zobaczyć ją na własne oczy, bo tylko w ten sposób mogłem się upewnić, czy to, o czym od lat opowiadano w mieście, istnieje naprawdę. Często zastanawiałem się, co zrobić, żeby znaleźć się wewnątrz murów, ale wydawało mi się to niemożliwe. Nawet po zasądzeniu sekwestru Hollywood było dozorowane przez ludzi klanu. Pewnego ranka, zanim jeszcze zapadła decyzja o nowym przeznaczeniu tej posiadłości, zebrałem się na odwagę i wszedłem na jej teren. Dostałem się tam tylnym wejściem, tak aby nie dostrzegł mnie nikt, komu mogłaby przeszkadzać moja obecność. Willa robiła imponujące wrażenie, jej nasłoneczniona fasada budziła podobne onieśmielenie, jakie odczuwa się, stojąc przed sławnym zabytkiem. Dwa piętra od frontu podtrzymywały kolumny zwieńczone tympanonami, z których większy był umieszczony nad mniejszym, a obydwa ozdobione niewielkimi wypukłymi półkolami. Zaraz za drzwiami wejściowymi, w holu na parterze, poczułem się, jakbym znalazł się w delirycznej wizji architektonicznej. Monumentalne schody po dwóch stronach olbrzymiej sali wznosiły się jak marmurowe skrzydła aż do balkonu ciągnącego się wzdłuż całej ściany pierwszego piętra. Wyglądało to dokładnie tak, jak w ostatniej scenie *Człowieka z blizną*, w której Tony Montana strzela z balkonu na szczycie schodów. I do tego jeszcze szaleństwo kolumn doryckich, różowych wewnątrz domu i niebieskozielonych na zewnątrz. Kolumny stojące po bokach budynku miały dodatkowe zdobienia z kutego żelaza. Cała posesja leży na 3400 metrach kwadratowych, zaś powierzchnia mieszkalna trzypiętrowej willi wynosi 850 metrów kwadratowych. Wartość nieruchomości pod koniec lat 90. została oszacowana na 5 miliardów lirów, teraz jej wartość rynkowa wynosiłaby 4 miliony euro. Na pierwszym piętrze zobaczyłem ogromne pokoje, każdy, zupełnie niepotrzebnie, z przynajmniej jedną łazienką. Niektóre łazienki były bardzo przestronne i luksusowe, inne niewielkie i przytulne. Były tam też pokoje dziecięce, z plakatami piosenkarzy i piłkarzy przyklejonymi jeszcze do ściany, obok małego obrazka z dwoma aniołkami, przy którym było może kiedyś wezgłowie łóżka. Wycinek z gazety: „Albanova ostrzy broń”. Albanova była drużyną z Casal di Principe i San Cipriano d’Aversa, rozwiązaną przez Antymafię w 1997, utrzymywaną za pieniądze klanu, drużyną-maskotką bossów. Te

nadpalone strzępki gazety przyklejone do ściany zostały po synu Waltera Schiavone, który zginął w wypadku drogowym, zanim jeszcze osiągnął pełnoletność. Z balkonu rozciągał się widok na ogród frontowy z wysokimi palmami. Był tam też sztuczny staw z drewnianym mostkiem prowadzącym na zieloną wysepkę porośniętą drzewami i krzewami, otoczoną suchym murem. Kiedy mieszkała tutaj rodzina Schiavone, po tej części posiadłości biegały psy, molosy, jeszcze jeden element inscenizacji mający dopełniać wizerunek władzy. Na tyłach willi rozciągał się trawnik, był tam też elegancki basen zaprojektowany w kształcie elipsy, ukośnie w stosunku do osi domu, żeby w upalne dni jak najlepiej wykorzystać cień rzucany przez palmy. W tej części ogrodu natknąłem się na kopię sławnej rzeźby *Wenus w kąpieli*, perły parku angielskiego Pałacu Królewskiego w Casercie. Bogini pochylała się nad powierzchnią wody z tym samym wdziękiem co Wenus Vanvitellego.

Dom został opuszczony po aresztowaniu bossa w 1996 roku, do którego doszło właśnie w tym miejscu. Walter nie zachował się jak jego brat, Francesco Schiavone, który ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości w luksusowym schronie, wybudowanym w głębokich podziemiach swojej willi w centrum Casal di Principe. Bunkier Sandokana o powierzchni 100 metrów kwadratowych nie miał drzwi ani okien, miał za to wideofon i był połączony z podziemnymi grotami i korytarzami, które mogły służyć jako droga ucieczki w razie zagrożenia. To bogato wyposażone, doskonale urządzone mieszkanie, oświetlone neonowymi lampami, których blask odbijał się od podłogi wyłożonej białą majoliką, było prawdziwie surrealistycznym miejscem. Prowadziły do niego dwa wejścia, z zewnątrz nie do zauważenia. Nie było tam żadnych drzwi, tylko bloki betonu przesuwające się po szynach. Kiedy istniała obawa, że policja zacznie przeszukiwać dom, boss przechodził z podziemnej jadalni przez ukryty właz do połączonych ze sobą naturalnych tuneli, których było jedenaście i które miejscami rozszerzały się, tworząc niewielkie groty. Była to ostatnia reduta Sandokana, ostatnia kryjówka, w której na wszelki wypadek przygotował sobie namiot polowy. Bunkier w bunkrze. DIA rozpoczęła w 1998 roku obserwację willi Sandokana, która trwała dziewiętnaście miesięcy, w końcu, żeby dostać się do bunkra, przecięto mur piłą elektryczną. Dopiero po aresztowaniu Sandokana udało się znaleźć zewnętrzne wyjście z kryjówki. Okazało się, że znajdowało się ono

w składziku na narzędzia przy domu na via Salerno, wśród plastykowych skrzynek i narzędzi ogrodniczych. W bunkrze nie brakowało niczego. Stały w nim dwie lodówki pełne jedzenia, które wystarczyłoby na dwanaście dni dla co najmniej sześciu osób. W jednym z pokojów całą ścianę zajmował sprzęt hi-fi, odtwarzacze wideo, projektory, wszystko najwyższej klasy. Specjalistyczne jednostki policji z Neapolu potrzebowały dziesięciu dni, żeby rozpracować system alarmowy oraz mechanizm zamykania obu wejść do bunkra. W łazience stała wanna jacuzzi. A wszystko to pod ziemią, w norze za betonowymi włazami.

Tymczasem Walter nie chował się pod ziemią. W okresie, w którym ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości, przyjeżdżał do Casal di Principe na najważniejsze zebrania. Wracał do domu w biały dzień, wraz ze swoją przyboczną strażą, pewny niedostępności swojej willi. Policja aresztowała go właściwie przypadkiem. Przeprowadzano rutynowe kontrole. Policja i karabinierzy wizytują często osiem, dziesięć, a nawet dwanaście razy dziennie domy ukrywających się kamorystów. Kontrolują, rozglądają się, przeszukują i liczą na to, że osłabią odporność nerwową rodziny i odbiorą jej ochotę do wspierania krewnego. Pani Schiavone przyjmowała zawsze policjantów z bezczelną gościnnością. Z uśmiechem na twarzy częstowała ich herbatą i ciasteczkami, choć za każdym razem spotykała się z odmową. Jednak pewnego popołudnia już przez domofon dało się poznać, że żona Waltera Schiavone jest bardziej podenerwowana niż zwykle. Ten fakt oraz dłuższy niż normalnie czas, jaki zajęło jej otwarcie bramy, wywołał u policjantów podejrzenie, że w domu dzieje się coś niezwykłego. Podczas gdy kręcili się po willi, pani Schiavone nie odstępowała ich ani na krok, chociaż zazwyczaj zostawiała ich samych i tylko pokrzykiwała do nich z dołu schodów, z holu na parterze, a jej głos roznosił się echem po całym domu. Natknęli się na stos wyprasowanych męskich koszul ułożony na łóżku, zbyt dużych, żeby mogły należeć do syna. Walter był w domu. Wrócił. Policjanci zaczęli go szukać w zakamarkach willi. Znaleźli go, gdy usiłował przeskoczyć przez mur. Ten sam mur, który kazał wybudować, by nikt nie miał dostępu do jego domu, teraz przeszkodził mu w ucieczce. Złapali go jak złodziejaszka, który wierzga w powietrzu nogami, nie znajdując zaczepienia na śliskim tynku.

Willa została od razu zajęta, ale przez sześć lat nikt tak naprawdę nie objął jej w posiadanie. Walter przekazał swoim ludziom polecenie, żeby opróżnili ją ze wszystkiego. Jeżeli nie mogła już należeć do niego, powinna przestać istnieć. Albo jego, albo niczyja. Rozkazał wyjąć drzwi z zawiasów, zedrzeć parkiet, wyrwać marmur ze schodów, rozbić cenne kominki, a nawet zniszczyć kafelki w łazienkach, wyrwać drewniane poręcze przy schodach, zdjąć lampy, opróżnić kuchnię, wynieść cenne, siedemnastowieczne meble, oszklone gabloty i obrazy. Rozkazał też poroznosić po całym domu opony samochodowe i zapalić je, żeby dym osmalił ściany, sufity i kolumny. Także w tym wypadku wydaje się, że chciał przekazać pewną wiadomość. Jedyną rzeczą, która pozostała nietknięta, była wanna na drugim piętrze, kaprys bossa. Wanna iście książęca, wybudowana w obszernym pokoju na górnym piętrze. Wchodziło się do niej po trzech stopniach, a woda nalewała się ze złoconego pyska lwa. Wanna stała przed łukowatym oknem z widokiem na ogród. Symbol władzy przedsiębiorcy i kamorysty. Nie pozwolił jej zniszczyć, jak malarz, który starł namalowany obraz, ale zostawił na płótnie swój podpis. Kiedy tak chodziłem powoli po Hollywood, pomyślałem, że to, co najpierw wydawało mi się naciągniętą legendą, było jednak prawdą. Doryckie kolumny, imponujące rozmiary budynku, podwójny tympanon na froncie, wanna w pokoju, a przede wszystkim szerokie schody w holu to wierne kopie elementów willi Człowieka z Blizną.

Kręciłem się po pokojach osmalonych dymem i czułem, jak moja klatka piersiowa nabrzmiewa czymś od wewnątrz, jakby wszystkie organy połączyły się w jedno wielkie serce. Czułem w każdej części ciała, że bije ono coraz silniej. Oddychałem głęboko, żeby się uspokoić, aż wyschła mi ślina w ustach. Jeżeli spotkałby mnie tutaj jakiś człowiek klanu pozostawiony z zadaniem pilnowania willi, pożałowałbym gorzko tego spaceru i nawet gdybym krzyczał jak zarzynane prosię, nikt by mnie nie usłyszał. Ale widocznie nie zauważyli mnie, a może nikt już willi nie pilnował. Rosła we mnie pulsująca złość, myślałem o moich przyjaciołach, którzy wyemigrowali z tej ziemi, zaciągnęli się do wojska albo dali się wciągnąć do klanów; myślałem o leniwych popołudniach na tych pustynnych terenach, o braku wszystkiego oprócz interesów do zrobienia, myślałem o skorumpowanych politykach, o imperiach budowanych na północy Włoch i w połowie Europy, podczas gdy tutaj zostały tylko śmieci

i dioksyna. Ogarnęła mnie przemożna chęć wyładowania na kimś lub na czymś tej mojej złości. Musiałem to zrobić, nie mogłem się powstrzymać. Stanąłem nogami na brzegu książęcej wanny i nasikałem do środka. Głupi gest, ale w miarę jak opróżniałem pęcherz, czułem się coraz lepiej. Przebywając w tej willi, miałem idiotyczne uczucie, jakby nie tylko potwierdziły się, ale urealniły plotki krążące wśród miejscowych. Wydawało mi się, że za chwilę z któregoś pokoju wyjdzie Tony Montana i zwróci się do mnie cynicznym, aroganckim tonem: „Wszystko, co mam na świecie, to moje jaja i moje słowo. Nie złamię go dla nikogo, zrozumiałeś?”. Ciekawe, czy Walter marzył o tym, żeby umrzeć jak Montana, żeby spaść, podziurawiony kulami, ze szczytu schodów na marmurową podłogę salonu, zamiast dożywać swoich dni w celi, cierpiąc na chorobę Basedowa, która doprowadza ciśnienie krwi do granicy eksplozji i wypycha oczy z oczodołów.

To nieprawda, że kino obserwuje przestępczy świat i podpatruje interesujące zachowania. Dzieje się dokładnie odwrotnie. Bossowie nowego pokolenia nie mają za sobą życia w kryminalnym świecie, nie spędzają całych dni na ulicy, nie mogą wzorować się na miejscowych bandytach, nie mają noża w kieszeni ani blizn na twarzy. Oglądają telewizję, uczą się, mają dyplomy uniwersyteckie, jeżdżą za granicę, a przede wszystkim studiują strategie inwestowania. Przypadek *Ojca chrzestnego* mówi sam za siebie. Przed nakręceniem tego filmu w środowisku zorganizowanej przestępczości na Sycylii i w Kampanii nikt nie używał określenia *padrino,* czyli właśnie „ojciec chrzestny” – jest to dosłowne tłumaczenie angielskiego *godfather.* Tymczasem słowem, jakim w tych stronach określało się głowę przestępczej rodziny, było zawsze *compare,* czyli raczej „kum”. Po wejściu filmu na ekrany włoskie rodziny mafijne na terenie Stanów Zjednoczonych zaczęły używać wyrażenia *padrino* zamiast staroświeckiego *compare* lub *compariello.* Młodzi Amerykanie włoskiego pochodzenia związani z mafią nosili wtedy ciemne okulary, garnitury w prążki i wyrażali się z dostojeństwem. Nawet boss John Gotti zrobił wszystko, by upodobnić się do Vita Corleone, a Luciano Ligio, boss cosa nostry, do zdjęć ustawiał się z wysuniętą dolną szczęką, jak Marlon Brando w *Ojcu chrzestnym.*

Maria Puzo zainspirowała historia i wygląd Alfonsa Tieriego, bossa neapolitańskiej dzielnicy ze sławnym targiem Pignasecca, a nie żaden mafioso z Sycylii. Alfonso Tieri po śmierci Charlesa Gambino został

superbossem najważniejszych włoskich rodzin mafijnych w Stanach Zjednoczonych. Antonio Spavone zwany ’O Malommo, czyli „zły człowiek”, kamorysta związany z Tierim, powiedział w wywiadzie dla pewnej amerykańskiej gazety: „O ile prawdą jest, że Sycylijczycy nauczyli milczeć niemowy, neapolitańczycy pokazali światu, jak się zachowywać, kiedy się rządzi. Pokazali, jak jednym gestem dać do zrozumienia, że lepiej rządzić, niż się pieprzyć. Większość archetypów kryminalistów, bandytów o największej charyzmie, pochodzi z niewielkiego obszaru w Kampanii. Stąd wywodził się także sam Al Capone, jego rodzina przybyła do Ameryki z Castellamare di Stabia. Był pierwszym bossem mafijnym, który zainspirował twórców filmowych. Jego przydomek: Scarface, czyli „człowiek z blizną”, który zawdzięczał szramie na policzku, został obrany w 1983 przez scenarzystę filmu Briana De Palmy za pseudonim kubańskiego gangstera. A dużo wcześniej, bo w 1932 roku, stał się tytułem filmu Howarda Hawksa. Al Capone pojawiał się osobiście na filmowym planie. Przybywał ze swoją obstawą za każdym razem, gdy kręcono sceny akcji na wolnym powietrzu i mógł się temu przypatrywać. Boss pilnował, żeby Tony Camonte, bohater filmu na nim wzorowany, nie został strywializowany. I chciał być jak najbardziej podobny do Tony’ego Camonte, zdawał sobie bowiem sprawę, że po wejściu filmu na ekrany kin Capone przestanie być modelem dla aktora – to Camonte stanie się emblematem Ala Capone.

Kino jest kopalnią wzorów do naśladowania. W Neapolu świetnym przykładem jest Cosimo Di Lauro. Wykreowany przez niego własny wizerunek przywodzi od razu na myśl film Brandona Lee *Kruk*. Kamoryści często nie posiadają wyrazistej osobowości, muszą więc grać, a wzory znajdują w kinie. Skopiowanie którejś z łatwo rozpoznawalnych hollywoodzkich masek to droga na skróty do osiągnięcia statusu człowieka, którego należy się bać. Wzory zaczerpnięte z kina mają wpływ także na kwestie techniczne, jak na przykład sposób trzymania pistoletu czy styl strzelania. Pewien weteran policji z Neapolu, specjalista od balistyki, opowiedział mi kiedyś, jak killerzy z kamorry imitują filmowych bohaterów:

„Po Tarantinie killerzy nie potrafią już strzelać jak Bóg przykazał! Nie trzymają lufy prosto, tylko na ukos, jak w filmach, i ten zwyczaj powoduje prawdziwe nieszczęścia. Strzelają w dół brzucha, w pachwiny, w nogi,

ciężko ranią, ale nie zabijają. I wtedy muszą poprawiać. Żeby skończyć z ofiarą, strzelają jej w kark. Jezioro krwi. Niepotrzebny ból, bezcelowe barbarzyństwo”.

Ochroniarki kobiet-bossów noszą się jak Uma Thurman w filmie *Kill Bill:* blond fryzurki i jaskrawożółte kombinezony. Pewna kobieta z neapolitańskiej dzielnicy Quartieri Spagnoli, Vincenza Di Domenico, która przez krótki czas współpracowała z policją, nosiła wiele mówiący pseudonim Nikita, jak morderczyni – bohaterka filmu Luca Bessona. Kino, szczególnie amerykańskie, wcale nie wydaje się odległą krainą, gdzie dzieją się rzeczy niezwykłe, ani miejscem, gdzie urzeczywistnia się to, co niemożliwe. Wręcz przeciwnie: jest najbliższym sąsiedztwem.

Wyszedłem z willi bez pośpiechu. Wyplątałem nogi z dzikich krzaków i chwastów, którymi zarósł angielski ogród, przedmiot dumy bossa. Zostawiłem otwartą furtkę. Jeszcze niedawno wystarczyło zbliżyć się do tego miejsca, żeby zostać od razu zauważonym przez strażników i ochroniarzy. Tymczasem teraz wyszedłem stąd spokojnie, z rękami w kieszeniach, ze spuszczoną głową, jak ktoś, kto wychodzi z kina i jest jeszcze ciągle pod wrażeniem tego, co zobaczył.

W Neapolu nie sposób nie zauważyć, jak wielki wpływ wywarł na zbiorową wyobraźnię film *Il camorrista* (Kamorysta) Giuseppe Tornatore. Wystarczy przysłuchać się rozmowom i z pewnością wychwyci się w nich zwroty, cytaty z filmu, wszyscy je rozpoznają i posługują się nimi od lat:

„Powiedz profesorowi, że ja go nie zdradziłem”.

„Ja wiem, kim on jest, ale wiem też, kim ja jestem”.

„Malacarne to mięczak”.

„Kto cię przysyła?”

„Ten, który może darować ci życie, ale równie dobrze może ci je zabrać”.

Melodia z filmu *Il camorrista* stała się czymś w rodzaju ścieżki dźwiękowej kamorry. Gwiżdże się ją, gdy przechodzi obok jakiś *capozona,* a czasem żeby tylko zdenerwować któregoś ze sklepikarzy. Już nie tylko muzyka, ale dialogi z filmu zawędrowały do dyskotek, gdzie tańczy się

w rytm zmiksowanych wypowiedzi Raffaele Cutola granego w filmie przez Bena Gazzarrę.

Dwaj chłopcy z Casal di Principe, Giuseppe M. i Romeo P., często zabawiali się powtarzaniem z pamięci dialogów z *Kamorysty.* Odgrywali czasem całe sceny z filmu: „Ile waży gołąbek? Tyle, co piórko na wietrze” – gdzie gołąbek oznacza kamorystę najniższej rangi. Żaden z nich nie miał jeszcze prawa jazdy, kiedy zaczęli prześladować rówieśników w swoim mieście i w San Cipriano d’Aversa. Nie mieli prawa jazdy, bo nie skończyli jeszcze osiemnastu lat. To byli dwaj chuligani. Bufoni i żałośni pozerzy, którzy zostawiali napiwki w wysokości podwójnej sumy rachunku. Rozchylone koszule, ukazujące liche owłosienie na piersiach, butny chód, brody zadarte wysoko, ostentacyjny pokaz nietykalności i władzy, istniejących tylko w ich wyobrażeniach. Chodzili wszędzie razem. Giuseppe był bossem, zawsze pół kroku przed kolegą. Romeo był jego obstawą, prawą ręką, wiernym człowiekiem bossa. Giuseppe nazywał go często Donnie, jak Donnie Brasco. Był to wprawdzie policjant, który inwigilował mafię, ale fakt, że był w mafii, siedział w niej głęboko, w oczach wielbicieli oczyścił go z grzechu pierworodnego. W Aversie byli postrachem świeżo upieczonych kierowców. Wybierali samochody z młodymi parami w środku. Wjeżdżali na nich od tyłu, a kiedy pasażerowie wysiadali z samochodu, żeby spisać dane dla towarzystwa ubezpieczeniowego, jeden z dwóch podchodził do dziewczyny i pluł jej w twarz. Potem już tylko czekali na reakcję jej chłopca, żeby pobić go do krwi. Młodocianym chuliganom zdarzało się też prowokować dorosłych, nawet tych, którzy naprawdę coś znaczyli. Wchodzili na ich terytorium i tam robili to, na co mieli ochotę. Pochodzili z Casal di Principe i to wystarczyło. Chcieli dać wszystkim do zrozumienia, że należy ich respektować, bo są bezlitośni, że każdy musi spuszczać przed nimi wzrok i nikt nie może się odważyć patrzeć im w twarz. Aż pewnego dnia przesadzili ze swoim pozerstwem. Wyszli na ulicę z karabinkiem maszynowym, znalezionym pewnie w arsenale któregoś z klanów, i podeszli do grupy chłopców. Musieli przedtem trenować, bo strzelając, udało im się nikogo nie trafić. Chodziło tylko o to, żeby poczuć zapach prochu i usłyszeć z bliska odgłos strzałów. Zanim zaczęli strzelać, jeden

z nich coś wyrecytował. Nikt nie rozpoznał, co to było, ale jeden ze świadków zeznał, że wyglądało to na Pismo Święte, pomyślał nawet przy tym, że chłopcy przygotowują się pewnie do bierzmowania. To rzeczywiście był fragment Pisma Świętego, ale ci dwaj nauczyli się go nie z katechizmu, tylko dzięki Quentinowi Tarantino. Wypowiedział go w filmie *Pulp fiction* Jules Winnfield na chwilę przez zastrzeleniem człowieka, który przyczynił się do zniknięcia cennej walizeczki Marcellusa Wallace'a:

„Ezechiel 25, 7. Ścieżka sprawiedliwych wiedzie przez nieprawości samolubnych i tyranię złych ludzi. Błogosławiony ten, co w imię miłosierdzia i dobrej woli prowadzi słabych doliną ciemności, bo on jest stróżem brata swego i znalazcą zagubionych dziatek. I dokonam srogiej pomsty w zapalczywym gniewie na tych, którzy chcą zatruć i zniszczyć moich braci; i poznasz, że Ja jestem Pan, gdy wywrę na tobie swoją zemstę".

Giuseppe i Romeo recytowali to jak w filmie, po czym strzelali. Ojciec Giuseppe był kamorystą, który przez pewien czas współpracował z policją, potem zaś wrócił do kamorry, do grupy Quadrano-De Falco, pokonanej przez rodzinę Schiavone. Krótko mówiąc: nieudacznik, który jednak łudził się, że jeżeli zacznie grać właściwą rolę, film jego życia się odmieni. Syn wraz z przyjacielem znali na pamięć dialogi z ważniejszych scen wszystkich filmów kryminalnych. Kiedy tłukli kogoś, robili to najczęściej z powodu spojrzenia. Na ziemi kamorry spojrzeniem można dokonać inwazji na czyjeś terytorium, na czyjąś przestrzeń prywatną, zdemolować drzwi i wejść gwałtem do mieszkania. Spojrzenie może być czymś więcej niż zniewagą. Zatrzymanie spojrzenia o chwilę za długo na czyjejś twarzy może być odebrane jako otwarte wyzwanie:

– Co jest? Masz coś do mnie? No, do ciebie mówię, masz coś do mnie?

I po tym fragmencie słynnego dialogu z *Taksówkarza* zaczynają się ciosy w twarz i w okolice mostka, takie, od których grzmi w klatce piersiowej i które słychać nawet z większej odległości.

Bossowie z klanu Casalesi wzięli sobie do serca przypadek dwóch młodocianych chuliganów. Nie zwykli łatwo tolerować bójek, kłótni i gróźb. Za dużo poirytowanych matek, skarg na policji, niepotrzebnych kłopotów. Wysyłają więc z ostrzeżeniem jakiegoś *capozona*, który przywołuje ich do porządku. Spotyka się z nimi w barze i mówi, że

szefowie powoli tracą cierpliwość. Ale Giuseppe i Romeo chcą dalej występować w swoim wymyślonym filmie. Biją, kogo mają ochotę, i sikają do baków motocykli miejscowych chłopców. Dostają drugie ostrzeżenie. Bossowie pragną z nimi porozmawiać osobiście, klan nie może tolerować takich zachowań na swoim terenie. Postawa paternalistyczna, charakterystyczna dla tych stron, generuje w tym przypadku potrzebę wymierzenia kary; muszą dostać lanie, i to publicznie, żeby zaczęli zachowywać się jak należy. Chłopcy nie stawiają się na wezwanie, dalej panoszą się w barach przed automatami do gry w wideopokera, a popołudnia spędzają przyklejeni do telewizora, oglądając ulubione filmy na DVD, z których uczą się zdań i gestów, uczą się, jak traktować ludzi i jakie nosić buty. Wierzą, że mogą każdemu stawić czoło. Nawet tym, którzy się liczą. Nie dość tego: wydaje im się, że jeżeli stawią czoło tym, którzy liczą się naprawdę, wtedy nareszcie zaczną wzbudzać strach u wszystkich. Podobnie jak Tony i Manny w *Człowieku z blizną* nie stawiają sobie żadnych ograniczeń. Nie idą na żadne układy, nie zaprzestają swoich wybryków i dalej sieją postrach, można by pomyśleć, że powoli stają się wicekrólami ziemi casertańskiej. Chłopcy nie mieli zamiaru dołączać do klanu. Nawet nie próbowali. Czekałaby ich zbyt długa droga. Nie byli zainteresowani żmudną, zdyscyplinowaną i milczącą wspinaczką od zera po szczeblach mafijnej kariery. Poza tym Casalesi od lat przeznaczali najwartościowszy młody narybek do sektora finansowego klanu, nie do grup militarnych. Giuseppe i Romeo byli dokładną antytezą nowego „żołnierza” kamorry. Myśleli, że dadzą radę utrzymać się samodzielnie na fali złej sławy swojej ziemi. Nie należeli do klanu, ale chcieli mieć przywileje kamorystów. Żądali, żeby w barach obsługiwano ich za darmo, benzyna do ich skuterów miała być obowiązkowym podatkiem właścicieli stacji, a ich matki miały robić zakupy, za nic nie płacąc. Jeżeli ktoś ośmielał się przeciwstawiać ich żądaniom, rozbijali szyby, bili sprzedawców owoców i ekspedientki. Wiosną 2004 roku emisariusze klanu umówili się z nimi na spotkanie na peryferiach Castelvolturno, blisko Parco Mare. Teren, na którym był tylko piasek, morze i śmieci, wszystko wymieszane. Być może skusili ich jakimś intratnym interesem albo nawet propozycją udziału w zbrojnej akcji. Byłaby to pierwsza prawdziwa strzelanina w ich życiu. Nie udało się bossom nastraszyć tych dwóch chłopców, postanowili więc, że podejdą ich po dobroci. Wyobrażam ich sobie, jak jechali na

swoich skuterach, zmuszając silniki do najwyższych obrotów, jak przypominali sobie wszystkie te fragmenty obejrzanych filmów, w których różne ważniaki są zmuszone schylić głowę przed uporem nowych bohaterów. Podobnie jak młodzi Spartanie, którzy wyruszali do walki, pamiętając o bohaterskich czynach Achillesa i Hektora, na tych ziemiach idzie się zabijać albo też idzie się, by zostać zabitym, mając w głowie sceny z *Człowieka z blizną, Chłopców z ferajny, Donniego Brasco* i *Ojca chrzestnego.* Za każdym razem, gdy jestem blisko Parco Mare, wyobrażam sobie scenę, którą zrekonstruowała policja i opisały gazety. Giuseppe i Romeo stawili się na miejscu długo przed umówioną godziną. Rozpaleni emocjami, czekali na samochód. Przyjechał, wysiadło z niego paru mężczyzn. Chłopcy poszli w ich kierunku, żeby się przywitać, ale mężczyźni od razu zatrzymali Romea i zaczęli bić Giuseppe. Potem przytknęli mu lufę pistoletu automatycznego do piersi i wystrzelili. Jestem przekonany, że Romeo miał w tamtej chwili przed oczami scenę z *Chłopców z ferajny,* w której Tommy DeVito zostaje zaproszony do udziału w kierowaniu amerykańską cosa nostrą, ale kiedy przychodzi na pierwsze spotkanie, gospodarze nie zapraszają go do sali, w której siedzą już wszyscy bossowie, tylko prowadzą do pustego pokoju obok i tam strzelają mu w głowę. To nieprawda, że kino jest fikcją, nieprawda, że nie można żyć filmowym życiem, i nieprawda, że po wyjściu z kina widz uświadamia sobie, iż rzeczywistość jest całkiem inna. Inny jest tylko jeden moment – moment, w którym Al Pacino wychodzi z fontanny, do której wpadł kaskader po strzałach z karabinu, i ociera twarz z wody i z koloru krwi, a Joe Pesci myje włosy i zatrzymuje sztuczny krwotok. Ale to już widza nie interesuje, więc o tym nawet nie myśli. Jestem przekonany, choć to moje przekonanie nigdy już nie znajdzie potwierdzenia, że kiedy Romeo zobaczył Giuseppe na ziemi, zrozumiał nareszcie różnicę między kinem a rzeczywistością, między scenografią a smrodem otaczającego ich powietrza, między własnym życiem a scenariuszem. Potem przyszła kolej na niego. Trafili go w gardło, wykończyli strzałem w głowę. W sumie obaj chłopcy nie mieli nawet trzydziestu lat. Klan Casalesi wyeliminował w ten sposób narośl drobnej przestępczości wykwitłą na filmowej pożywce. Kamoryści nie wezwali nawet policji ani pogotowia anonimowym telefonem. Pozwolili, żeby mewy rozdziobały ręce chłopców, a bezpańskie

psy kręcące się po zaśmieconej plaży obgryzły im wargi i nosy. Ale tego już filmy nie pokazują, kończą się chwilę wcześniej.

Nie ma różnicy między widzami kinowymi na ziemiach kamorry i gdziekolwiek indziej. Wszędzie modele filmowe są mitologiami do naśladowania. Tyle że w innych stronach może ci się podobać Człowiek z Blizną i możesz się nawet w głębi duszy z nim utożsamiać, tutaj możesz być Człowiekiem z Blizną. Ale wtedy musisz nim być aż do końca.

Na ziemiach kamorry nie brakuje także miłośników sztuki i literatury. Sandokan miał w swojej willi-bunkrze ogromną bibliotekę z dziesiątkami książek, które dotyczyły przede wszystkim dwóch tematów: historii Królestwa Obojga Sycylii i Napoleona Bonaparte. Schiavone interesował się rządami dynastii burbońskiej na południu Włoch i chełpił się, że jego przodkowie pełnili ważne funkcje na terenie Terra di Lavoro. Poza tym był zafascynowany geniuszem Napoleona, który zdobył połowę Europy, rozpocząwszy karierę od niskiego stopnia wojskowego. Prawie jak on sam, superboss jednego z najpotężniejszych klanów w Europie, który na początku był zwykłym szeregowcem kamorry. Sandokan ma za sobą epizod ze studiami medycznymi, a ukrywając się przed wymiarem sprawiedliwości, większość czasu spędzał na malowaniu religijnych ikon oraz portretów Bonapartego i Mussoliniego. Jeszcze dzisiaj można znaleźć w Casercie, w sklepach, w których nikt by się tego nie spodziewał, święte obrazy namalowane przez Sandokana, na których zamiast twarzy Chrystusa malarz umieścił swoją podobiznę. Schiavone chętnie czytał eposy. Homer, cykl arturiański, Walter Scott, to były jego ulubione dzieła. Upodobanie do twórczości Waltera Scotta poskutkowało ochrzczeniem jednego z licznych synów dumnym imieniem Ivanhoe.

To niejedyny przypadek, w którym potomkowie kamorystów zawdzięczają swoje imiona pasjom krewnych. Wśród członków rodziny bossa neapolitańskiej dzielnicy Sanità, Giuseppe Missa, jest Ben Hur, Gesù oraz Emiliano Zapata. Misso, który na procesach przybierał zawsze pozy hardego lidera politycznego, myśliciela-konserwatysty i buntownika, napisał ostatnio książkę *I leoni di marmo* (Marmurowe lwy). W Neapolu w ciągu kilku tygodni sprzedano setki egzemplarzy. Jest to opowieść o Neapolu w latach 80. i 90., z centralną figurą bossa, wychowanego w tym

mieście, który na kartach książki objawia się jako samotny bojownik na rzecz bliżej niezdefiniowanego kodeksu rycerskiego złodziei i bandytów, a przeciw kamorze wymuszeń i narkotyków. Podczas długiej kariery kryminalnej, przy okazji licznych aresztowań, zawsze znajdowano przy nim powieści Juliusa Evoli i Ezry Pounda.

Augusto La Torre, boss Mondragone jest znawcą psychologii, dzieł Carla Gustava Junga i Zygmunta Freuda. Na liście książek, o które prosił w więzieniu, są liczne pozycje naukowe z dziedziny psychoanalizy, a jego mowy podczas procesów są gęsto usiane cytatami z Lacana oraz rozważaniami na temat szkoły Gestalt. Wiedzę tę boss wykorzystał, dążąc do władzy, nieoczekiwanie okazała się ona skutecznym narzędziem przy zarządzaniu ludźmi i prowadzeniu interesów.

Tommaso Prestieri, jeden z najbardziej zaufanych ludzi Paola Di Lauro, jest wielkim miłośnikiem sztuki i kultury. To wyrafinowany znawca sztuki współczesnej, ale także impresario popularnych wykonawców piosenek neapolitańskich, tak zwanych *neo-melodici,* które często opiewają kamorystów. Wśród bossów nie brakuje kolekcjonerów sztuki. Pasquale Galasso miał w swojej willi coś w rodzaju prywatnego muzeum z blisko trzystoma obiektami o dużej wartości antykwarycznej. Wśród nich prawdziwym klejnotem był tron Franciszka I Burbońskiego. Luigi Vollaro o pseudonimie ’O Califfo, czyli „kalif” posiadał płótno swojego ulubionego malarza, Botticellego.

Tommasa Prestieriego zdołano aresztować dzięki jego miłości do muzyki. Policja zgarnęła go na koncercie w Teatro Bellini, w centrum Neapolu. Ukrywał się już wtedy od dłuższego czasu przed wymiarem sprawiedliwości. Po ogłoszeniu wyroku oświadczył: „Sztuka daje mi wolność. Nie będę zabiegał o to, żeby mnie wypuszczono z więzienia”. Tę równowagę ducha zawdzięcza chyba rzeczywiście obrazom i muzyce, bo trudno inaczej wytłumaczyć podobny spokój u człowieka, któremu niedawno zamordowano z zimną krwią dwóch braci.

Aberdeen, Mondragone

Boss-psychoanalityk, Augusto La Torre, był jednym z ulubieńców Antonia Bardellina. Jeszcze jako chłopiec zajął miejsce swojego ojca i stał się potężnym liderem klanu Chiuovi, jak go zwano w Mondragone. Klan ten panował niepodzielnie w północnej części prowincji Caserty, a także na południu Lacjum i wzdłuż Costa Domizia. Sprzymierzył się początkowo z przeciwnikami Sandokana, ale z czasem wykazał dużą prężność w interesach oraz zdolność skutecznego utrzymywania kontroli na swoim terytorium, a są to cechy, które mogą zmienić układ sił i charakter stosunków między rodzinami kamorry. W tym przypadku sprawiły, że pomimo wcześniejszych animozji rodzina La Torre zbliżyła się do klanu Casalesi, który zgodził się na wspólne działanie, pozostawiając jej jednocześnie dużą autonomię. Imię Augusto nie było przypadkowe. Synowie pierworodni w rodzinie La Torre zawsze nosili imiona imperatorów rzymskich. Tyle tylko, że w tym przypadku bieg historii został odwrócony, bo w dziejach Rzymu wystąpił najpierw August, a potem Tyberiusz, natomiast w rodzinie La Torre to ojciec Augusta miał na imię Tiberio.

Scypion Afrykański ze swoją willą niedaleko jeziora Patria, Hannibal walczący pod Kapuą, niezwyciężeni Samnici, pierwsi w Europie partyzanci, którzy atakowali legiony rzymskie i uciekali w góry, są obecni w świadomości zbiorowej rodzin na tej ziemi jak ludowe podania, historie z odległej przeszłości, z którą jednak czują się bardzo związani. Do całej tej wzniosłej, patriotycznej mitologii klanów nie bardzo pasuje sława Mondragone, stolicy mozzarelli. Ojciec kazał mi jeść zawsze jak najwięcej mozzarelli z Mondragone, ale tak naprawdę trudno ustalić, w którym rejonie mozzarelle są najlepsze. Różnią się smakiem. Smak mozzarelli z Battipaglia jest lekki i słodkawy, z Aversy – słony i wyrazisty, zaś smak mozzarelli z Mondragone jest po prostu czysty. Dla serowarów z Mondragone znakiem jakości mozzarelli jest posmak, jaki powinna

zostawić w ustach. Znawcy nazywają go *’o ciatto ’e bbufala*, to znaczy „oddech bawolicy”. Jeżeli po zjedzeniu kawałka mozzarelli nie zostanie ci w ustach ten lekki posmak bawolicy, mozzarella nie jest dobra. Bywałem czasem w Mondragone, lubiłem wtedy spacerować po pomoście. Tam i z powrotem, zanim go rozebrano. Było to latem jedno z moich ulubionych miejsc. Betonowy język wychodzący w morze, przy którym miały cumować łódki. Konstrukcja nikomu niepotrzebna i nigdy nieużywana.

Niespodziewanie Mondragone stało się sławne wśród wszystkich młodych ludzi z prowincji Caserty i z Niziny Pontyjskiej, którzy zamierzali wyemigrować do Wielkiej Brytanii. Wykorzystać to jako życiową szansę, wyjechać stąd daleko, ale nie w charakterze kelnera czy pomywacza w jakimś McDonaldzie albo barmana opłacanego kuflami z ciemnym piwem. Dlatego przyjeżdżali do Mondragone. Żeby porozmawiać z właściwymi ludźmi, takimi, którzy pomogą znaleźć na miejscu pracę w towarzystwie ubezpieczeniowym czy w biurze nieruchomości albo, w przypadku robotników niewykwalifikowanych czy wiecznych bezrobotnych, jakiekolwiek stałe zajęcie, dzięki któremu mogliby zacząć godnie żyć. Mondragone było bramą do Wielkiej Brytanii. Pod koniec lat 90. okazało się nagle, że jeśli ktoś miał znajomego w tym mieście, mógł liczyć na to, że zostanie oceniony zgodnie z tym, ile jest naprawdę wart, bez niczyjego wstawiennictwa i rekomendacji. To rzadkie, bardzo rzadkie, wręcz niemożliwe we Włoszech, a tym bardziej na Południu. W tych stronach, jeżeli chcesz, żeby ktoś wziął twoją kandydaturę pod uwagę i ocenił cię tak, jak na to zasługujesz, musisz mieć kogoś, kto cię zaproteguje, czyje wstawiennictwo sprawi, że zostaniesz zauważony. Zaprezentować się gdzieś bez protekcji, to jakby przyjść bez rąk i nóg. Słowem, jakby ci czegoś brakowało. Tymczasem w Mondragone zabierali twój życiorys i decydowali, do kogo w Wielkiej Brytanii go wysłać. Liczyły się twoje zdolności, a jeszcze bardziej to, jak chciałeś je wykorzystać. Ale tylko w Londynie lub w Aberdeen. Nie w Kampanii, nie w tej najbardziej prowincjonalnej prowincji Europy.

Pewnego razu jeden z moich przyjaciół, Matteo, zdecydował się wyrwać stąd raz na zawsze. Zaoszczędził trochę pieniędzy, obronił dyplom uniwersytecki, nawet z wyróżnieniem, i miał już dość obijania się po stażach i budowach, żeby zarobić na przeżycie. Dostał nazwisko człowieka w Mondragone, który mógł mu pomóc w wyjeździe do Anglii, a tam

skierowałby go na rozmowy kwalifikacyjne. Pojechałem z Matteo. Czekaliśmy bardzo długo przy plaży, gdzie umówiliśmy się z pośrednikiem. Było lato. Plaże w Mondragone są zawsze przepełnione. Przyjeżdżają tu ludzie z całej Kampanii, ci, których nie stać na wczasy na wybrzeżu Amalfi ani na wynajęcie mieszkania w letniskowej miejscowości, więc codziennie jeżdżą tam i z powrotem, między wnętrzem kraju a wybrzeżem. Aż do połowy lat 80. sprzedawało się tutaj na plażach mozzarellę wyławianą z serwatki w drewnianych skrzynkach. Plażowicze zajadali ją rękami, po których spływało mleko, chłopcy, przed wbiciem zębów w białą masę, zlizywali słony płyn z palców. Później przyszła moda na obwarzanki i kawałki orzechów kokosowych, i nikt już nie sprzedawał mozzarelli. Tego dnia czekaliśmy na pośrednika aż dwie godziny. Przyszedł do nas w końcu, świeżo opalony, ubrany tylko w obcisłe kąpielówki. Wytłumaczył, że później niż zwykle zjadł śniadanie, potem się wykąpał i musiał się wysuszyć, a to wszystko zabrało mu więcej czasu, niż przewidział. Takie było jego usprawiedliwienie; krótko mówiąc, zawiniło słońce. Pośrednik zaprowadził nas do pewnego biura turystycznego. I tyle. Myśleliśmy, że umówił nas z jakimś agentem czy ważną osobistością, a tu wystarczyło zostać wprowadzonym do biura turystycznego, i to wcale nie okazałego. Nie jednego z tych, gdzie na półkach leżą setki prospektów i informatorów turystycznych, tylko do takiej sobie, niepozornej klitki. Ze specyficznych usług tego biura mógł jednak skorzystać tylko ten, kogo wprowadził jakiś pośrednik z Mondragone. Gdyby wszedł do niego zwykły klient, zaoferowano by mu usługi zwykłego biura turystycznego. Młoda dziewczyna wzięła od Mattea jego curriculum vitae i zarezerwowała dla nas najbliższy wolny lot. Matteo miał wyjechać do Aberdeen. Wręczono mu kartkę z wykazem instytucji, do których mógł się zgłosić na rozmowę kwalifikacyjną. Nie dość tego – za drobną dopłatą agencja turystyczna miała go umówić na konkretne dni i godziny z osobami odpowiedzialnymi za nabór pracowników. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że biuro pośrednictwa pracy może działać tak sprawnie. Dwa dni później odlecieliśmy do Aberdeen. Szybka i tania podróż, o ile zaczyna się ją w Mondragone.

W Aberdeen poczuliśmy się jak w domu. A przecież trudno byłoby znaleźć miejsce bardziej różniące się od Mondragone niż to szkockie miasto. Trzeci co do wielkości ośrodek miejski w Szkocji, ciemny i szary,

chociaż deszcz nie pada tam tak często jak w Londynie. Zanim klany włoskie zainstalowały w Aberdeen swoje biznesy, nikt w mieście nie wpadł na to, że turystyka, wypoczynek i rekreacja mogą być niezłym interesem. W związku z tym wszystko, co się z nimi wiązało, restauracje, hotele i życie towarzyskie, było utrzymane w smętnym brytyjskim klimacie. Wszędzie te same odwieczne zwyczaje, kontuary pubów raz w tygodniu obwieszone ludźmi. Według neapolitańskiej Prokuratury Antymafii, Antonio La Torre, brat bossa klanu Chiuovi rozkręcił w Szkocji interes, który w ciągu niespełna kilku lat stał się przedmiotem dumy szkockiej przedsiębiorczości. Duża część działalności rodziny La Torre w Wielkiej Brytanii jest najzupełniej legalna, koncentruje się na zakupie i zagospodarowywaniu nieruchomości oraz handlu produktami spożywczymi produkcji włoskiej. Obroty tak duże, że trudno oddać je w liczbach. Matteo szukał w Aberdeen tego, czego odmawiano mu we Włoszech. Chodziliśmy po ulicach tego miasta z uczuciem satysfakcji. Po raz pierwszy w życiu to, że pochodzimy z Kampanii, mogło nam pomóc w osiągnięciu sukcesu. Znaleźliśmy się przy Union Terrace 27/29, przed restauracją „Pavarotti” zarządzaną przez klan, a zarejestrowaną na nazwisko Antonia La Torre. Jest to w Aberdeen eleganckie miejsce spotkań, reklamowane na portalach turystycznych jako lokal, w którym można świetnie zjeść i spokojnie porozmawiać o ważnych interesach. Przedsiębiorstwa zarządzane przez klan były także szeroko reklamowane w Paryżu, jako „made in Italy” najwyższej klasy. Brały udział w prestiżowych targach gastronomii „Italissima”, organizowanych w stolicy Francji, na których Antonio La Torre reklamował swoje usługi gastronomiczne pod własną marką. Należał do najwyżej cenionych w Europie szkockich przedsiębiorców.

Antonio La Torre został aresztowany w Aberdeen w marcu 2005 roku, z nakazu włoskiego wymiaru sprawiedliwości za udział w związku przestępczym typu mafijnego oraz za wymuszenia rozbójnicze. Przez lata udawało mu się uniknąć zarówno aresztowania, jak ekstradycji, bo chroniło go skutecznie szkockie obywatelstwo, a także to, że władze brytyjskie nie uznały części postawionych mu zarzutów. Szkocja nie chciała stracić jednego ze swoich najznakomitszych przedsiębiorców.

W 2002 roku sąd w Neapolu wydał nakaz tymczasowego aresztowania trzydziestu osób związanych z klanem La Torre. Z uzasadnienia nakazu wynikało, że kryminalne konsorcjum zarabiało olbrzymie sumy na haraczach, na podporządkowaniu sobie jednostek gospodarczych obecnych na swoim terytorium, a także na zamówieniach publicznych. Pieniądze inwestowano za granicą, w szczególności w Wielkiej Brytanii, gdzie powstała prawdziwa kolonia klanu. Kolonia ta nie niszczyła miejscowej gospodarki, nie wprowadzała na rynek pracy konkurencyjnej taniej siły roboczej, ale zenergizowała brytyjską gospodarkę, zaktywizowała sektor turystyczny, pobudziła eksport i import, przedtem mało popularny w tym mieście, oraz ożywiła rynek nieruchomości.

Innym potentatem finansowym o międzynarodowej sławie pochodzącym z Mondragone był Rockefeller. Nazywano go tak z powodu jego niezwykłych zdolności do biznesu, a także z powodu jego bogactwa. Rockefeller to Raffaele Barbato, 62 lata, urodzony w Mondragone, ale możliwe, że nawet on sam nie pamięta już swojego prawdziwego nazwiska. Ożenił się z Holenderką i w Holandii, aż do końca lat 80., prowadził interesy. Zarządzał dwoma kasynami, w których bywały osobistości o międzynarodowej sławie, od brata Boba Cellino, założyciela domów gry w Las Vegas, po bossów mafii pochodzenia słowiańskiego osiedlonych w Miami. Jego wspólnikiem był niejaki Liborio, Sycylijczyk, pozostający w zażyłych stosunkach z cosa nostrą, a także Emi, Holender, który później przeniósł się do Hiszpanii i tam otworzył hotel, kompleks apartamentów letniskowych i dyskoteki. Według zeznań „skruszonych” kamorystów: Maria Sperlongaro, Stefana Piccirillo i Girolama Rozzery, to właśnie Rockefeller poddał Augustowi La Torre myśl, żeby razem udać się do Caracas, do Wenezueli, tam na miejscu wejść w bezpośredni kontakt z handlarzami nakotyków i uzyskać od nich towar za ceny niższe od tych, które proponowali Kolumbijczycy, zaopatrujący klany z Neapolu i klan Casalesi. Prawdopodobnie Augusto La Torre zdołał osiągnąć dużą niezależność w narkobiznesie, do czego rodziny z klanu Casalesi rzadko dopuszczały. Rockefellerowi zawdzięczał Augusto La Torre spokojne życie w czasie, gdy ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości w Holandii. Rodak z Mondragone zapewnił mu bezpieczny kąt w klubie strzeleckim. W ten sposób boss, nawet z dala od swojej rodzinnej ziemi, mógł trenować strzelanie do rzutków, dzięki czemu nie wyszedł z wprawy. Rockefeller

zbudował międzynarodową sieć kontaktów, był biznesmenem znanym nie tylko w Europie, ale i w Stanach Zjednoczonych. Dzięki swojej działalności w branży hazardowej nawiązał łączność z mafią włosko-amerykańską, która coraz częściej spoglądała na Europę jako na miejsce swoich nowych inwestycji. Na rynku amerykańskim panoszyła się mafia albańska, która krok po kroku opanowała prawie całą branżę hazardową w Nowym Jorku. W tej sytuacji Amerykanie szczególnie chętnie szli na układy z rodzinami mafijnymi z Kampanii, które dzięki otwartym drzwiom w Mondragone mogły łatwo inwestować w turystykę i gastronomię zyski z handlu narkotykami. Rockefeller jest właścicielem pięknego ośrodka turystycznego przy plaży w Mondragone, zwanego kiedyś „Adam i Ewa", potem przemianowanego na „La Playa". W tym miejscu, według ustaleń prokuratury, liczni kamoryści spędzali przyjemnie czas, gdy ukrywali się przed wymiarem sprawiedliwości. Im wygodniejsza kryjówka, tym mniejsza pokusa, żeby oddać się w ręce sprawiedliwości i zacząć sypać. A dla „skruszonych" La Torre nie mieli litości. Francesco Tiberio, kuzyn Augusta, zadzwonił do Domenica Pensy, który był świadkiem w procesie przeciwko klanowi Stolder i niedwuznacznie poprosił go o opuszczenie miasta:

– Dowiedziałem się od Stolderów, że zeznawałeś przeciwko nim, a my tutaj nie chcemy kolaborantów. Lepiej więc, jeśli wyniesiesz się z Mondragone, inaczej ktoś przyjdzie i obetnie ci głowę.

Kuzyn Augusta potrafił jak nikt inny zastraszać przez telefon tych, którzy ośmielali się pomagać policji czy przekazywać jakiekolwiek informacje. Vittorio Di Telia usłyszał od niego, że powinien kupić sobie ubranie do trumny:

– Kup sobie czarną koszulę, łajdaku, bo jeżeli uważasz, że musisz mówić, to ja muszę cię zabić.

Zanim członkowie klanów zaczęli współpracować z wymiarem sprawiedliwości, nikt nie wyobrażał sobie, na jak ogromną skalę kamoryści z Mondragone prowadzili swoje interesy. Wśród przyjaciół Rockefellera był niejaki Raffaele Acconcia, który podobnie jak on, przeniósł się do Holandii. Był właścicielem sieci restauracji a jednocześnie, jak zeznał świadek koronny Stefano Piccirillo, znanym na całym świecie handlarzem

narkotyków. W Holandii wciąż jeszcze znajduje się kasa klanu La Torre, miliony euro fakturowane jako zyski z pośrednictwa i z transakcji handlowych, których śladów w toku śledztwa nigdy nie udało się odnaleźć. Zawartość tego domniemanego holenderskiego sejfu stała się w Mondragone symbolem bogactwa, symbolem, który zastąpił wszystkie dotychczasowe odniesienia. Ludzie nie mówią już: „wziąłeś mnie chyba za Bank Włoski”, zamiast tego mówią: „wziąłeś mnie chyba za Bank Holenderski”.

Klan La Torre, z bazą w Holandii i oparciem w Ameryce Południowej, zamierzał zdominować rynek kokainy w Rzymie. Dla wszystkich przedsiębiorców-kamorystów z okolic Caserty Rzym jest w handlu narkotykami i w obrocie nieruchomościami pierwszym punktem odniesienia. Pod tym względem Rzym jest rozszerzeniem terytorium prowincji casertańskiej. Drogi zaopatrzenia rzymskiego rynku obsługiwanego przez La Torre prowadziły z ich baz rozmieszczonych na Costa Domizia. Nadmorskie wille służyły za magazyny najpierw dla przemycanych papierosów, a potem dla każdego innego towaru. W tych stronach miał też swoją willę popularny aktor Nino Manfredi. Wiele razy przedstawiciele klanu proponowali mu kupno jego domu. Manfredi starał się wszelkimi sposobami stawić opór ich coraz bardziej natarczywym żądaniom, ale ponieważ jego dom znajdował się w strategicznym punkcie, w którym bardzo wygodnie mogły cumować motorówki, klan nie rezygnował. Do Manfrediego nie przychodzono już z propozycją kupna, tylko z żądaniem odstąpienia własności za sumę ustaloną przez klan. Manfredi zwrócił się nawet do bossa cosa nostry, nagłaśniając to w styczniu 1994 roku w dzienniku radiowym w pierwszym programie, ale kamoryści z Mondragone byli potężni i żaden sycylijski mafioso nie chciał mieć z tą sprawą nic wspólnego. Dopiero po wystąpieniu w telewizji aktorowi udało się przyciągnąć uwagę opinii publicznej i poinformować o naciskach, jakim poddała go kamorra, aby realizować własne interesy.

Handel narkotykami był zawsze prowadzony kanałami używanymi w handlu innymi towarami. Enzo Bocolato, kuzyn bossów La Torre, właściciel restauracji w Niemczech, postanowił zainwestować w eksport odzieży. Wspólnie z Antoniem La Torre oraz z pewnym libańskim przedsiębiorcą kupowali ubrania w Apulii, bo produkcja odzieżowa w Kampanii była zmonopolizowana przez klany z Secondigliano. Następnie

poprzez pośrednika handlowego, niejakiego Alfredo, sprzedawali je w Wenezueli. Jak wykazało śledztwo, Alfredo był jednym z najważniejszych w Niemczech handlarzy diamentów. Klany kamorystów z Kampanii przyczyniły się do tego, że diamenty, których ceny często się zmieniają, ale wartość nominalna zawsze pozostaje wysoka, szybko stały się korzystną inwestycją przy praniu brudnych pieniędzy. Enzo Boccolato miał znajomości na lotniskach w Wenezueli i we Frankfurcie, szczególnie wśród kontrolerów towarów, którzy prawdopodobnie nie tylko wysyłali i przyjmowali odzież produkowaną w Apulii, ale uczestniczyli także w konstruowaniu sieci służącej do przerzutu kokainy. Można by się spodziewać, że rodziny mafijne po zgromadzeniu znacznego kapitału zaprzestaną działalności przestępczej, pozwolą, żeby zmienił się ich kod genetyczny i zaczną funkcjonować w legalnym świecie. Tak jak rodzina Kennedy w Stanach Zjednoczonych, która w epoce prohibicji zarobiła ogromne pieniądze na przemycie alkoholu, po czym zerwała wszelkie stosunki z przestępczością. Ale siła włoskiej przedsiębiorczości kryminalnej polega właśnie na tym, że prowadzi swoją działalność stale dwoma torami, nigdy nie zrywa z przestępczością. W Aberdeen ten system nazywają *scratch.* Tak samo, jak kiedy rapperzy czy disc-jockeye zatrzymują na chwilę płytę gramofonową palcem, biznesmeni-kamoryści blokują na jakiś czas obrót krążka legalnego rynku. Blokują, „scratchują”, po czym puszczają swoją płytę na nowo, a ta kręci się jeszcze szybciej niż przedtem.

Podczas licznych dochodzeń neapolitańskiej Prokuratury Antymafii skoncentrowanych na działalności klanu La Torre stwierdzono, że za każdym razem, gdy legalne interesy wchodziły w fazę kryzysu, dołączano do nich drugi kanał. Gdy brakowało gotówki, produkowano fałszywe pieniądze, jeżeli potrzebowano w krótkim czasie dużych kapitałów, sprzedawano fałszywe obligacje państwowe. Konkurencję niszczono haraczami, towarem importowanym bez cła. Strategia „scratchowania” na płycie legalnej gospodarki pozwala na przywiązanie do siebie klientów stałymi cenami, na punktualne spłacanie kredytów bankowych, na nieprzerwaną konsumpcję i ciągły, niczym niezakłócony obrót kapitałów. „Scratchowanie” zmniejsza przepaść między prawem a imperatywem ekonomicznym, między tym, czego zabraniają przepisy, a tym, co narzuca chęć zysku.

Interesy prowadzone przez rodzinę La Torre za granicą nie mogły się obyć bez udziału miejscowych kryminalistów, i to na różnych poziomach klanowej struktury. Niektórzy Brytyjczycy stawali się wręcz pełnoprawnymi członkami klanu. Tak było w przypadku Brandona Queena, odbywającego obecnie karę więzienia w Anglii, który otrzymywał z Mondragone regularną pensję, łącznie z „trzynastką". W uzasadnieniu nakazu tymczasowego aresztowania z czerwca 2002 roku można przeczytać: „Augusto La Torre osobiście polecił wpisać Brandona Queena na listę osób pobierających od klanu pensję". Członkowie klanu mają zagwarantowaną ochronę fizyczną, wynagrodzenie oraz, w razie potrzeby, opiekę prawną opłacaną przez klan. Jednakże to, iż Queen otrzymał te gwarancje bezpośrednio od bossa, oznacza, że stanowił bardzo ważny element biznesowej machiny klanu. Był prawdopodobnie pierwszym brytyjskim kamorystą w historii przestępczości.

O Brandonie Queenie słyszałem już wiele lat temu. Nigdy go nie widziałem, nawet na zdjęciu. Kiedy już znalazłem się w Aberdeen, nie mogłem o niego nie zapytać. Interesował mnie ten szkocki kamorysta, zaufany człowiek Augusta La Torre, który znając jedynie składnię biznesu i gramatykę władzy, zrezygnował ze swoich powiązań z klanami szkockimi po to, by związać się z klanem z Mondragone. Przy lokalach należących do rodziny La Torre kręciły się zawsze grupki młodych ludzi. To nie byli rozleniwieni drobni przestępcy, czekający przy kuflach z piwem na okazję do jakiejś bójki czy drobnej kradzieży. To byli bystrzy młodzi mężczyźni, zatrudnieni w różnych legalnych przedsiębiorstwach. Transport, reklama, marketing. Na pytanie o Brandona nie odpowiadali mi wrogimi spojrzeniami ani wymijającymi półsłówkami, z czym spotkałbym się, gdybym gdzieś w okolicy Neapolu zapytał o członka kamorry. Zdawało się, że znają Brandona Queena od zawsze, a może stał się z czasem czymś w rodzaju lokalnego mitu, o którym wszyscy mówią. Queenowi się udało. Nie był skromnym pracownikiem sklepu, restauracji, biura nieruchomości, z comiesięczną pensją. Brandon Queen był kimś więcej, zrealizował marzenie wielu szkockich chłopców. Nie podlegał prawom legalnego świata. Stał się częścią Systemu, aktywnym elementem klanu, kamorystą w pełnym znaczeniu tego słowa. Choć wystartował przecież z niekorzystnej pozycji, urodziwszy się w Szkocji, gdzie wierzy się w jednowymiarową ekonomię, tę banalną, do której wszyscy mają dostęp, z regułami

i porażkami, z konkurencją i cenami. Byłem zaskoczony, że mój angielski zdeformowany włoskim akcentem nie kojarzył im się z niewydarzonym emigrantem, z wątłą karykaturą pięściarza z Bronxu, Jake'a La Motta, ani z intruzami naruszającymi ich prawa, przybyłymi, by wycisnąć z ich ziemi jak największe profity. Oni słyszeli w moim zniekształconym angielskim echa absolutnej władzy ekonomii, tej, która może decydować o wszystkim i o wszystkich, która nie stawia sobie ograniczeń, nawet za cenę dożywocia lub śmierci. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale podczas naszej rozmowy przekonałem się, że znają Mondragone, Secondigliano, Marano i Casal di Principe; znali je jakby z eposu o dalekim kraju, opowiedzianego przez kamorystów przewijających się przez ich miasto i restauracje, w których pracowali. Urodzić się na ziemi kamorry znaczyło dla tych moich szkockich rówieśników mieć przewagę na starcie, być naznaczonym piętnem wypalonym na skórze, które pomagało traktować świat jako arenę, gdzie biznes, broń, a nawet własne życie są środkami do zdobycia pieniędzy i władzy, to znaczy tego, dla czego warto żyć i oddychać, co pozwala znajdować się zawsze w centrum twoich czasów i niczym się nie przejmować. Brandonowi Queenowi udało się, chociaż nie urodził się we Włoszech, chociaż nigdy nie widział Kampanii, chociaż nie przejechał setek kilometrów drogami przy budowach, wysypiskach śmieci i fermach z bawolicami. Udało mu się uzyskać władzę. Został kamorystą.

Ta rozrośnięta międzynarodowa organizacja handlowa i finansowa zaciążyła na sprawności działania klanu na macierzystym terytorium. Augusto La Torre sprawował rządy silnej ręki. Działał bez litości, bo tylko w ten sposób mógł doprowadzić klan do potęgi. Broń w ogromnych ilościach sprowadzał ze Szwajcarii. W stosunku do lokalnych polityków prowadził różną taktykę w różnych okresach. Zaczął od agresywnego sterowania przetargami na zamówienia publiczne, następnie przeszedł do fazy utrzymywania sojuszów, sporadycznych kontaktów, dając rozkręconym interesom czas na okrzepnięcie, politykom zaś na podczepienie się pod jego biznesy. Rada gminna w Mondragone była pierwszą we Włoszech, którą rozwiązano w latach 90. z powodu infiltracji kamorry. W ciągu wielu lat polityka i mafia nigdy się w tym mieście naprawdę nie rozłączyły. Neapolitański kamorysta ukrywający się przed

wymiarem sprawiedliwości znalazł w 2005 roku schronienie w domu kandydata do rady z listy partii burmistrza kończącego swoją kadencję. Przez długi czas w radzie gminnej zasiadała córka lokalnego policjanta oskarżonego o ściąganie haraczów w imieniu klanu La Torre.

Augusto także w stosunku do miejscowych polityków był bezwzględny. Kontestatorzy poczynań rodziny otrzymywali zawsze przykładową, okrutną karę. W większości wypadków używano tej samej metody likwidacji przeciwników, dlatego w żargonie kryminalnym zaczęto ją z czasem nazywać *alla mondragonese*. Polegała na tym, że podziurawione dziesiątkami kul ciało spuszczano do studni artezyjskiej w jakimś odosobnionym miejscu, po czym wrzucano do niej granaty. Rozszarpane ciało przykrywała mokra ziemia. Tak Augusto La Torre postąpił z Antoniem Nugnesem, wiceburmistrzem z ramienia partii demokratyczno-chrześcijańskiej, który zniknął bez śladu w 1990 roku. Nugnes nie zgadzał się na to, by klan kierował przetargami na zamówienia publiczne i brał bezpośredni udział w decyzjach politycznych i administracyjnych. Jednak Augusto La Torre nie chciał z nikim zawierać żadnych układów. Pragnął sam, osobiście prowadzić wszystkie możliwe interesy. Augusto La Torre został bossem Mondragone w bardzo młodym wieku. W tej fazie swojej działalności nie poświęcał wiele czasu na rozważanie decyzji o akcjach militarnych. Najpierw kazał strzelać, potem się zastanawiał. Postawił sobie za cel zostać akcjonariuszem o największych udziałach rozbudowującej się kliniki prywatnej Incaldana. Nugnes posiadał spory pakiet akcji tej kliniki, jednej z najbardziej prestiżowych na obszarze między Lacjum a Kampanią, położonej o rzut kamieniem od Rzymu, mającej szansę przyciągnąć zamożną klientelę z południowego Lacjum, z Costa Domizia oraz z Niziny Pontyjskiej, z terenów niedostatecznie wyposażonych w kompetentne struktury medyczne. Augusto umieścił w zarządzie kliniki swojego człowieka, przedsiębiorcę, który wzbogacił się na wysypiskach śmieci. Boss chciał, żeby to on właśnie reprezentował interesy rodziny w klinice. Nugnes sprzeciwił się temu, zrozumiał bowiem, że klanowi nie chodziło tylko o udział w dużym interesie, ale o coś więcej. La Torre wysłał wtedy do Nugnesa swojego emisariusza z zadaniem złamania jego oporu i przekonania do proponowanych warunków. Dla polityka reprezentującego partię demokratyczno-chrześcijańską wejście w kontakt z bossem mafijnym, a nawet w układy z jego potęgą militarną i ekonomiczną nie było

niczym niezwykłym. Niezgoda na nawiązanie z nim jakichkolwiek stosunków znaczyłaby tyle samo, co rezygnacja burmistrza Turynu z wszelkich kontaktów z zarządem fabryki FIAT. Augusto La Torre był jednak fatalnym dyplomatą i nie zaproponował, że kupi za korzystną cenę udziały w klinice. On chciał je otrzymać za darmo. W zamian zagwarantował, że wszystkie jego firmy, które wygrałyby przetargi na usługi związane z funkcjonowaniem kliniki: sprzątanie, prowadzenie stołówek, transport, ochronę, będą pracować z najwyższym profesjonalizmem i za korzystne ceny. Zapewnił nawet, że jeżeli klinika przejdzie w jego ręce, bawolice z jego ferm będą dawały mleko jeszcze lepsze niż zwykle na mozzarelle, w które będzie zaopatrywać szpitalną kuchnię.

Nugnesa zabrano z jego gospodarstwa rolnego i zawieziono do wiejskiego domu w Falciano del Massico pod pretekstem spotkania z bossem. Według późniejszej relacji bossa, czekali tam na niego Jimmy albo raczej Girolamo Rozzera, Massimo Gitto, Angelo Gagliardi, Giuseppe Valente, Mario Sperlongano, Francesco La Torre oraz sam szef. Wiceburmistrz wysiadł z samochodu. Augusto, jak sam później zeznał, rozłożył szeroko ramiona na jego powitanie i powiedział do Jimmy’ego:

– Chodź, przyjechał wujek Antonio.

Polecenie jasne i ostateczne. Jimmy od tyłu wystrzelił do Nugnesa dwa razy, kule wbiły się w głowę w okolicach skroni, sam boss poprawił robotę. Ciało spuścili do studni artezyjskiej na polach, na głębokość 40 metrów, po czym wrzucili tam dwa granaty. Przez wiele lat nie wiadomo było, co się stało z Antoniem Nugnesem. Z całych Włoch nadchodziły sygnały, że widziano go w różnych miejscach, gdy on tymczasem leżał w studni, przykryty tonami ziemi. Dopiero trzynaście lat później Augusto i jego zaufani ludzie wskazali karabinierom miejsce, w którym należało szukać szczątków wiceburmistrza. Tego, który ośmielił się przeciwstawić rozwojowi przedsiębiorstwa rodziny La Torre. Kiedy karabinierzy znaleźli szczątki, stwierdzili, że należą do co najmniej dwóch ludzi. Cztery kości piszczelowe, dwie czaszki, trzy ręce. Przez ponad dziesięć lat ciało Antonia Nugnesa spoczywało obok ciała Vincenza Bocolato, kamorysty związanego z Raffaele Cutolem, który po jego klęsce zbliżył się do klanu La Torre.

Na wyrok śmierci zarobił sobie Boccolato listem, wysłanym z więzienia do swego przyjaciela, w którym ciężko znieważył Augusta. Boss natknął się

na ten list przez przypadek, kiedy w salonie domu jednego ze swoich ludzi przeglądał z nudów papiery leżące w jakimś kącie. Zauważył tam swoje imię i zaciekawiony zaczął czytać list pełen obraźliwych i krytycznych słów. Augusto wydał wyrok śmierci na Vincenza Boccolato, zanim jeszcze skończył lekturę. Zadaniem wykonania egzekucji obarczył Angela Gagliardiego, który także kiedyś należał do klanu Raffaele Cutola. Mógł być pewny, że Boccolato wsiądzie do jego samochodu bez najmniejszych podejrzeń. Przyjaciele są najlepszymi killerami, wykonają robotę porządnie i czysto, bo nie muszą biegać za ofiarą, gdy ta ucieka, krzycząc ze strachu. Cicho, kiedy najmniej się tego spodziewa, lufę pistoletu przytyka się do karku i po prostu się strzela. Boss chciał, żeby egzekucje przebiegały w przyjacielskiej, intymnej atmosferze.

Augusto La Torre nie mógł znieść myśli, że ktoś mógłby robić sobie z niego żarty, nie mógł absolutnie dopuścić, żeby ktoś, wypowiadając jego imię, roześmiał się przy tym. Nikt nie powinien sobie na to pozwalać. Tymczasem Luigi Pellegrino, którego wszyscy nazywali Gigiotto, był jednym z tych, co lubią plotkować na temat lokalnych osobistości. Na ziemi kamorry to wcale nie należy do rzadkości, że plotkuje się o seksualnych upodobaniach bossów, o orgiach organizowanych przez *capozona*, o puszczalskich córkach mafijnych biznesmenów. Zwykle bossowie tolerują to, mają o wiele ważniejsze sprawy na głowie, a poza tym to naturalne, że życie ludzi władzy wzbudza ciekawość. Gigiotto rozsiewał plotki o żonie bossa, opowiadał, że widział ją z jednym z najbardziej zaufanych ludzi Augusta. Widział, jak na spotkania z kochankiem odwoził ją osobisty kierowca bossa. Najważniejsza osobistość klanu La Torre, ten który wszystkim rządzi i wszystko kontroluje, jest rogaczem, i nawet tego nie zauważył. Gigiotto opowiadał te swoje historie z wciąż nowymi szczegółami. Czy to była prawda, czy też nie, w mieście przekazywano sobie z ust do ust plotkę o żonie bossa, która zdradza go z jego zaufanym człowiekiem, i wszyscy wiedzieli, kto ją rozpuścił: Gigiotto. Pewnego dnia Gigiotto szedł chodnikiem po centrum Mondragone, kiedy usłyszał skuter jadący dziwnie blisko krawężnika. Gdy tylko uświadomił sobie, że motor zwalnia, poderwał się do biegu. Ze skutera zaczęto strzelać, ale Gigiotto, biegnąc zygzakiem między ludźmi i latarniami, umknął przed kulami, choć killer siedzący za motocyklistą opróżnił cały magazynek. Wtedy motocyklista ruszył w pogoń za uciekinierem, aż dopadł go w barze.

Gigiotto próbował schronić się za kontuarem, ale zabójca wyjął pistolet i strzelił mu w głowę w obecności dziesiątek ludzi, którzy chwilę po zabójstwie zniknęli, cicho i szybko. Według dochodzeń o zabiciu Gigiotta zdecydował Giuseppe Fragnoli, jeden z liderów klanu, nie pytając nawet bossa o zgodę, bo chciał jak najszybciej wyrwać ten zły język, który oczerniał jego szefa.

W wyobrażeniu Augusta Mondragone okoliczne pola, wybrzeże i morze powinny być jednym wielkim laboratorium pozostawionym całkowicie do dyspozycji jego oraz przedsiębiorców należących do jego konsorcjum, terytorium dostarczającym materiału, który może zamienić się w zysk. Boss klanu narzucił absolutny zakaz rozprowadzania narkotyków w Mondragone oraz na Costa Domizia. Polecenie o najwyższym priorytecie, które dotyczyło zarówno jego podwładnych, jak i wszystkich innych. Zakaz miał chronić miejscowych przed zgubnymi skutkami zażywania kokainy i heroiny, ale narodził się przede wszystkim z obawy, że członkowie klanu najniższej rangi, rozprowadzając narkotyki, mogliby się wzbogacić na własną rękę, znajdując w ten sposób dość finansowej energii, by przeciwstawić się liderowi rodziny. Narkotyki sprowadzane przez klan La Torre z Holandii były dostarczane na rynek rzymski i nie miały absolutnie wstępu na terytorium klanu. Mieszkańcy Mondragone musieli wsiąść do samochodu i przejechać się aż do Rzymu, jeżeli chcieli kupić haszysz, kokainę lub heroinę, w którą zaopatrywały stolicę klany z Neapolu, Casalesi, a także sami kamoryści z Mondragone. Koty goniące za własnym ogonem. Klan utworzył coś w rodzaju komórki przeciwnarkotykowej, znanej pod skrótem GAD. Kiedy ludzie z GAD-u widzieli kogoś ze skrętem w ustach, łamali mu przegrodę nosową; jeżeli żona odkrywała w kieszeni męża torebkę z kokainą, wystarczyło, żeby dała o tym znać komuś z GAD-u, a oni pomagali mu zerwać z nałogiem, sprawiając tęgie lanie i zabraniając właścicielom stacji benzynowych napełniać bak jego samochodu, żeby nie mógł jeździć do Rzymu.

Pewien emigrant z Egiptu, Hassa Fakhry, szczególnie drogo zapłacił za swoje oddanie heroinie. Pracował przy świniach. Tych czarnych, casertańskich. Rzadka rasa, świnie o bardzo ciemnej maści, ciemniejszej niż u bawołów, niskie i włochate, z harmonijką tłuszczu. Wyrabia się z nich znakomite kiełbasy, smaczne szynki i wyśmienite kotlety. Praca przy oporządzaniu świń jest nieludzka. Całymi dniami czyści się łajno i zarzyna

prosiaki powieszone głową w dół, zbierając krew do miski. W Egipcie Hassa był kierowcą, ale pochodził z chłopskiej rodziny, umiał więc obchodzić się ze zwierzętami. Ale nie ze świniami. Był muzułmaninem i świnie wzbudzały w nim podwójny wstręt. Tak czy inaczej, lepiej oporządzać świnie, niż całymi dniami zgarniać gnój bawolic, jak to robili Hindusi. Świnie wydalają mniej niż połowę tego, co wydalają bawoły, a poza tym chlewy są nieporównywalnie mniejsze niż obory. Wszyscy Arabowie o tym wiedzą i zgadzają się na pracę przy świniach, by nie mdleć ze zmęczenia przy oporządzaniu bawołów. Hassa zaczął zażywać heroinę, jeździł pociągiem do Rzymu, kupował działki i wracał do swojego chlewu. Wkrótce uzależnił się od narkotyków i nie wystarczało mu pieniędzy, więc jego dealer poradził mu, żeby spróbował rozprowadzać narkotyki w Mondragone, gdzie nikt ich dotąd nie sprzedawał. Zgodził się i zaczął wystawać z towarem pod barem „Domizia”. Szybko znalazł klientów i zarabiał w dziesięć godzin tyle, co przez sześć miesięcy pracy przy świniach. Wystarczył jednak jeden telefon właściciela baru, żeby przerwać tę działalność. Tak to się robi w tych stronach: dzwoni się do znajomego, który dzwoni do kuzyna, który powiadamia któregoś z powinowatych, a ten już wie, komu przekazać informację. Łańcuch, o którym wiadomo tylko, gdzie się zaczyna i gdzie się kończy. Po paru dniach ludzie z GAD-u udali się prosto do jego domu. Nie chcieli, żeby uciekł im między świnie i bawoły, bo wtedy sami musieliby biegać po błocie i łajnie, przez domofon podali się więc za policjantów. Wsadzili go do samochodu i pojechali, ale inną drogą niż ta, która prowadziła na komisariat. Kiedy tylko Hassa Fakhry zrozumiał, że jedzie na śmierć, dostał dziwnego ataku alergii. Jakby strach wywołał wstrząs anafilaktyczny; jego ciało spuchło, wyglądało to tak, jakby ktoś gwałtownie wpompował w nie powietrze. Sam Augusto La Torre opowiadał sędziemu, że był zaskoczony jego przemianą: oczy Egipcjanina zmniejszyły się, jakby jakaś siła wsysała je do czaszki, pory wydzielały pot gęsty jak miód, a z ust toczyła się ślina o konsystencji twarożku. Zabiło go ośmiu mężczyzn, ale strzeliło do niego tylko siedmiu. Świadek koronny, Mario Sperlongano, wyznał podczas przesłuchania: „Wydawało mi się zupełnie nieporzebne strzelać do trupa”. Ale tak było zawsze, Augusto był szczególnie wrażliwy na punkcie swojego imienia i tego, co ono symbolizowało. Musiał mieć zawsze obok siebie, na każdej akcji, wszystkich swoich legionistów, legionistów kamorry. W egzekucjach,

które mogły być wykonane rękami jednego czy najwyżej dwóch katów, musieli brać udział wszyscy jego najbardziej zaufani ludzie. Często wymagał od każdego z obecnych, żeby oddał strzał nawet wtedy, gdy ofiara dawno już nie żyła. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Augusto uważał, że wszyscy jego ludzie powinni uczestniczyć w akcjach, nawet kiedy to było zupełnie zbyteczne. Obawa, że ktoś mógłby się wycofać, kazała mu działać zawsze w grupie. Mogło się przecież zdarzyć, że interesy, jakie klan prowadził w Amsterdamie, Aberdeen, Londynie czy Caracas zrobią na którymś z kamorystów zbyt silne wrażenie i przyjdzie mu ni z tego, ni z owego do głowy, żeby spróbować działać na własną rękę. Tutaj bestialstwo ma ogromne znaczenie w interesach; rezygnacja z niego oznacza utratę wszystkiego. Po zmasakrowaniu ciała Fakhry strzałami pokłuli je gęsto igłami strzykawek do insuliny, takich samych, jakich używają heroiniści. Komunikat zapisany na skórze, który wszyscy od Mondragone po Formię na pewno od razu właściwie odczytają. Boss nie robił dla nikogo wyjątków. Kiedy Paolo Montano zwany Zumpariello, jeden z najbardziej zaufanych członków brygady ogniowej klanu, zaczął narkotyzować się kokainą i nie potrafił przestać, Augusto polecił jego przyjacielowi, Ernestowi Cornacchii, umówić go z nim na spotkanie w opuszczonym wiejskim domu. Cornacchia miał wystrzelić do Zumpariella cały magazynek pistoletu, ale Zumpariello stał zbyt blisko Augusta i kamorysta obawiał się, że zrani bossa. Widząc jego wahanie, boss wyciągnął swój pistolet i zabił Montana. Jeden z naboi trafił rykoszetem w biodro Cornacchii, kamorysty, który wolał sam zarobić kulkę, niż ryzykować, że zrani bossa. Zumpariello także został wrzucony do studni artezyjskiej i wysadzony w powietrze, *alla mondragonese*. Legioniści zrobiliby wszystko dla Augusta La Torre, więc poszli za nim nawet wtedy, gdy został świadkiem koronnym. Boss zdecydował się na ten krok w styczniu 2003 roku, po aresztowaniu jego żony. Złożył zeznania obciążające jego samego oraz jego najbardziej zaufanych ludzi odpowiedzialnością za śmierć około czterdziestu osób, wskazał na polach otaczających Mondragone miejsca, w których należało szukać szczątków ciał rozerwanych granatami na dnie studzien, przyznał się do dokonania dziesiątek wymuszeń rozbójniczych. Jego zeznania koncentrowały się raczej na militarnych akcjach klanu niż na jego działalności gospodarczej. Krótko potem najwierniejsi: Mario Sperlongano, Giuseppe Valente,

Girolamo Rozzera, Pietro Scuttini, Salvatore Oabona, Ernesto Cornacchia i Angelo Gagliardi poszli w jego ślady. Bossowie kamorry, kiedy już znajdą się za kratkami, muszą milczeć, jeżeli chcą zachować autorytet i formalną władzę, chociaż rygor ciężkiego więzienia nie pozwala na bezpośrednie kierowanie klanem. Ale przypadek Augusta La Torre jest szczególny. Ponieważ jego ludzie postąpili tak samo jak on, nie musiał się obawiać, że ktoś zacznie mordować członków jego rodziny, mszcząc się za zdradę. Zresztą współpraca Augusta La Torre z wymiarem sprawiedliwości nie nadwyrężyła zbytnio potęgi imperium ekonomicznego klanu z Mondragone. Pomogła jedynie w odtworzeniu dynamiki zabójstw oraz historii zorganizowanej przestępczości na wybrzeżu południowego Lacjum oraz prowincji Caserty. Jak wielu bossów kamorry, Augusto La Torre mówił o przeszłości. Bez „skruszonych" kamorystów historia kryminalnej władzy nie zostałaby nigdy napisana. Prawda faktów, szczegóły, mechanizmy wydarzeń bez „skruszonych" bandytów wychodzą na jaw dopiero po dziesięciu, dwudziestu latach. To tak, jakby człowiek dowiadywał się dopiero po swojej śmierci, jak działały jego narządy.

Współpraca Augusta La Torre oraz członków jego sztabu głównego z wymiarem sprawiedliwości może mieć straszne konsekwencje. Jeśli za swoje zeznania kamoryści zyskają złagodzenie wymiaru kary, może się zdarzyć, że kierownictwo klanu La Torre w ciągu zaledwie kilku lat znajdzie się na wolności i zacznie na nowo korzystać ze swojej nienaruszonej władzy ekonomicznej, przenosząc ją na stałe do sfery legalnej, a władzę militarną przekazując innym, na przykład klanom albańskim. Wygląda na to, że zdecydowali się wykorzystać swoją znajomość faktów i przekazać je z zgodnie z prawdą, z najdrobniejszymi szczegółami, żeby uniknąć kary dożywotniego więzienia lub śmierci przy zmianach w kierownictwie klanu i móc dalej wygodnie żyć z legalnej działalności. Augusto nie potrafił znieść życia w celi, nie byłby w stanie wytrzymać dziesiątek lat w zamknięciu jak wielcy bossowie, przy których wyrósł. Domagał się, żeby więzienna kuchnia respektowała jego wegetariańską dietę, skierował też prośbę do lokalnej telewizji w Umbrii, gdzie znajdowało się jego więzienie, żeby nadano w dowolnym terminie, wieczorową porą, przed snem, wszystkie trzy części *Ojca chrzestnego.* Był

bowiem Augusto La Torre wielkim miłośnikiem kina, a w celi nie mógł mieć magnetowidu.

Decyzja lidera klanu z Mondragone o podjęciu współpracy z wymiarem sprawiedliwości wzbudzała w prokuratorach zawsze mieszane uczucia. Ich zdaniem boss nie był w stanie zrezygnować z roli superbossa. Wydawało się, jakby jego nowa pozycja, pozycja „skruszonego" kamorysty, była dla niego tylko inną formą sprawowania władzy. Świadczyć o tym może list, jaki starał się przekazać swojemu wujkowi. Uspokaja go w nim, że ochronił go przed wmieszaniem w sprawy klanu, nie zaniedbuje jednak sposobności, by zamieścić w nim otwartą groźbę oraz przestrzec adresata i dwóch innych krewnych przed dopuszczeniem do powstania w Mondragone sprzysiężenia przeciw bossowi: „Twój zięć i jego ojciec czują się bezpieczni pod ochroną ludzi, którzy wyprowadzają na spacer swoje własne zwłoki".

Boss, chociaż „skruszony", wysyłał z więzienia w Aquili prośby o pieniądze, potrafił też, pomimo ścisłych kontroli, poprzez matkę i swojego kierowcę, Pietra Scuttiniego, przesyłać rozkazy i żądania. Żądania te zdaniem prokuratury nie były niczym innym jak szantażami i wymuszeniami. Słowa listu skierowanego do właściciela jednej z największych serowarni na Costa Domizia, choć grzeczne i uprzejme, świadczą o tym, że ich autor wciąż jeszcze czuje się panem jego życia i śmierci:

„Drogi Peppe, proszę Cię o wielką przysługę, bo jestem w dużych kłopotach. Proszę Cię o pomoc w imię naszej starej przyjaźni, z żadnego innego powodu, i nawet jeżeli mi odmówisz, możesz być pewny, że zawsze będę się starał cię obronić. Potrzebuję pilnie 10 tysięcy euro, następnie zaś musisz mi dać znać, czy możesz mi przesyłać miesięcznie 1000 euro, których potrzebuję, żeby móc przebywać z moimi dziećmi...".

Poziom życia, do jakiego byli przyzwyczajeni członkowie rodziny La Torre, bardzo się różnił od poziomu egzystencji, jaki państwo zapewnia świadkom koronnym. Zrozumiałem, jakimi kapitałami obracała rodzina, dopiero po lekturze listy dóbr zasekwestrowanych w 1992 roku z nakazu prokuratury w Santa Maria Capua Vetere. Zabezpieczono wtedy nieruchomości, których dzisiejsza wartość wyniosłaby około 230 milionów euro oraz dziewiętnaście przedsiębiorstw wartych około 323 milionów euro, do których należy dodać następne 133 miliony euro, na jakie wyceniono ich wyposażenie. Obiekty wyszczególnione na liście znajdowały

się na Costa Domizia, między Neapolem a Gaetą. Były wśród nich serowarnia, cukrownia, cztery supermarkety, dziewięć nadmorskich willi, rozległe tereny z zabudowaniami, luksusowe samochody i motocykle. Każdy z zakładów produkcyjnych zatrudniał około sześćdziesięciu osób. W nakazie sądowego sekwestru figurowała również spółka, która wygrała przetarg na zbieranie śmieci i odpadów z terenu gminy Mondragone. Sądowy sekwestr był gigantyczną akcją, która dotyczyła ogromnego potencjału gospodarczego. Potencjał ten jednak był niczym w porównaniu w rzeczywistym obrotem finansowym klanu. Zajęto między innymi ogromną willę, o której mówiło się nawet w Aberdeen. Cztery poziomy na nadmorskim klifie, blisko plaży Ariana w Gaecie, z basenem wyposażonym w podwodny labirynt, zaprojektowana na wzór willi Tyberiusza. Nie tego, który był ojcem bossa klanu z Mondragone, ale cesarza rzymskiego, który przeniósł się na Capri i stamtąd rządził imperium. Nigdy nie byłem w tym domu, o istnieniu tego imperialnego mauzoleum dowiedziałem się z plotek oraz z akt sądowych. Morskie wybrzeże w tej okolicy mogłoby być rozległym polem do popisu dla zdolnych architektów o oryginalnych pomysłach. Zamiast tego z czasem powstały tam bezładne skupiska byle jakich domków letniskowych, wzniesionych w pośpiechu, by przyciągnąć turystów z południowego Lacjum i z Neapolu. Bez planu przestrzennego zagospodarowania, bez zezwoleń. Skończyło się na tym, że w domkach letniskowych od Castelvolturno po Mondragone zamieszkali imigranci z Afryki, a zaprojektowane na papierze parki oraz tereny, na których miały być wybudowane następne osiedla domków, zamieniły się w nielegalne wysypiska śmieci. Ani jednej oczyszczalni ścieków w żadnej z nadbrzeżnych miejscowości. Zaśmiecone plaże opłukiwane przez brązowawą wodę morską. W ciągu zaledwie kilku lat zniknęła najmniejsza nawet szansa na zachowanie piękna tych okolic. Latem niektóre lokale na Costa Domizia zamieniają się w prawdziwe burdele. Niektórzy z moich znajomych, przygotowując się na wieczorne polowanie, pokazywali sobie pustą przegródkę w portfelu, bez prezerwatywy. Do Mondragone można było spokojnie pojechać na bzykanko bez kondomu.

To Augusto La Torre był kondomem Mondragone. Boss postanowił roztoczyć kontrolę także nad zdrowiem fizycznym swoich poddanych. Mondragone stało się enklawą, do której nie miała dostępu zakaźna choroba wzbudzająca w ludziach największy strach. Podczas gdy na całym świecie

AIDS zbierał coraz więcej ofiar, północna część prowincji casertańskiej pozostawała pod ścisłą kontrolą. Klan skrupulatnie sprawdzał wszystkie analizy. Prowadził listę zarażonych, jego teren musiał być czysty. Od razu więc dowiedziano się, że jeden z kamorystów pozostający w bliskich stosunkach z Augustem, Fernando Brodella, był nosicielem wirusa HIV. Mógł stanowić spore niebezpieczeństwo, bo utrzymywał stosunki z miejscowymi dziewczętami. Nikt nie pomyślał o tym, żeby skierować go do dobrego lekarza czy zapłacić za kurację. Na to mogli liczyć na przykład członkowie klanu Bidognetti, którym klan pokrywał koszty operacji w najlepszych europejskich klinikach i koszty leczenia u najzdolniejszych lekarzy. Brodella został zamordowany z zimną krwią. Likwidować chorych, żeby przeszkodzić rozprzestrzenianiu się zarazy – taki był rozkaz klanu. Choroba zakaźna, która w dodatku jest przekazywana trudną do upilnowania drogą kontaktów seksualnych, mogła być wyeliminowana tylko poprzez odseparowanie osób zakażonych. Można mieć gwarancję, że chorzy nikogo nie zarażą, jeżeli odbierze się im życie.

Inwestycje klanu w Kampanii też musiały mieć wszelkie gwarancje. La Torre kupili dom w Anacapri, w którym miał siedzibę miejscowy posterunek karabinierów. W ten sposób mogli być pewni, że comiesięczne komorne będzie wpływało punktualnie. Kiedy jednak zorientowali się, że zarobią więcej, wynajmując dom turystom, nie przedłużyli karabinierom umowy wynajmu, podzielili go na sześć apartamentów, z ogrodem i parkingiem, i przekształcili go w ośrodek wypoczynkowy. Zanim pojawiła się Antymafia i go zasekwestrowała. Inwestycje czyste, bezpieczne, bez ryzyka podejrzenia o spekulację.

Po tym, jak Augusto La Torre rozpoczął współpracę z wymiarem sprawiedliwości, nowy boss klanu, Luigi Fragnoli, zaufany człowiek Augusta, zaczął mieć problemy z niektórymi kamorystami, jak na przykład z Giuseppe Mancone, zwanym Rambo. Lekkie podobieństwo do Sylvestra Stallone, mięśnie napompowane w siłowni i pragnienie rozkręcenia narkotykowego interesu. Mógłby w szybkim czasie usunąć starych bossów, których autorytet został poważnie osłabiony po podjęciu współpracy z policją. Według ustaleń Prokuratury Antymafii, klan La Torre wystosował do klanu Birra z Ercole prośbę o wypożyczenie paru killerów. I tak

w sierpniu 2003 roku pojawili się w Mondragone dwaj mordercy z Ercole. Przyjechali na jednym z tych dużych skuterów, które nie są może najwygodniejsze w użyciu, ale za to wyglądają tak groźnie, że trudno z nich zrezygnować w akcjach. Nigdy wcześniej nie byli w Mondragone, ale bez trudu stwierdzili, że osoba, której szukają, jest w barze „Roxy", jak zwykle. Skuter zatrzymał się. Zsiadł z niego młody mężczyzna, podszedł pewnym krokiem do Rambo, wystrzelił do niego cały magazynek i wrócił na siedzenie motoru.

– W porządku? Załatwione?

– Tak, załatwione. Jedź już, jedź.

Niedaleko baru stała grupka młodych kobiet, które umawiały się właśnie na święto *ferragosto* 15 sierpnia. Na widok zbliżającego się szybkim krokiem mężczyzny od razu odgadły, na co się zanosi. Potem też nie pomyliły odgłosu strzałów z hałasem petard. Rzuciły się na ziemię, z twarzami zwróconymi do chodnika, w obawie, że killer uzna je za potencjalnych świadków. Ale jedna z nich nie przymknęła oczu. Jedna z nich patrzyła na killera, nie rozpłaszczyła piersi na asfalcie, nie zakryła sobie twarzy rękami. Była przedszkolanką, miała trzydzieści pięć lat. Kobieta złożyła zeznania, opowiedziała szczegóły wydarzenia, opisała zbrodniarza. Wśród dziesiątek powodów, dla których mogła wybrać milczenie, udać, że nic się nie stało, wrócić do domu i żyć tak samo jak przedtem, był strach, a także poczucie daremności takich gestów, które mogą najwyżej doprowadzić do aresztowania killera, jednego z wielu. Jednak przedszkolanka z Mondragone wśród rozlicznych przyczyn, dla których powinna wybrać milczenie, znalazła jedną motywację, która zwyciężyła: prawda. Prawda jako coś najbardziej naturalnego, jak codzienny gest, oczywista i potrzebna jak oddychanie. Złożyła zeznania, nie żądając niczego w zamian. Nie zażądała miesięcznej pensji ani ochrony, nie wyznaczyła ceny za swoje słowa. Powiedziała to, co widziała, opisała twarz killera, wystające kości policzkowe i gęste brwi. Po strzelaninie skuter błądził po mieście, wjeżdżał w zamknięte uliczki, zawracał, zmieniał kierunek. Mordercy nie zachowywali się jak profesjonaliści, raczej jak jacyś zwariowani turyści. Podczas procesu, który był możliwy tylko dzięki zeznaniom przedszkolanki, na dożywotnie więzienie został skazany Salvatore Cefariello, dwadzieścia cztery lata, killer wynajmowany do mokrej roboty przez klan z Ercolano. Prokurator, który przesłuchał młodą

przedszkolankę, nazwał ją „różą na pustyni”, różą, która wyrosła na ziemi, gdzie prawda należy do tych, którzy mają władzę, gdzie prawdę rzadko można usłyszeć i gdzie najczęściej służy ona jako towar wymienny za osobistą korzyść.

A jednak to zeznanie zmieniło jej życie na gorsze. Stało się tak, jakby zaczepiła nitką o gwóźdź i jakby całe jej życie pruło się teraz, w miarę rozwoju wypadków sprowokowanych jej odważnym zeznaniem. Miała wkrótce wyjść za mąż, ale narzeczony ją porzucił, straciła pracę, została przeniesiona do miejscowości, w której łatwiej było zapewnić jej ochronę i dostawała od państwa pensję w wysokości minimum socjalnego, część rodziny zerwała z nią kontakty, a jej spadła na ramiona bezgraniczna samotność. Samotność, która eksploduje w codziennym życiu, kiedy chcesz zatańczyć, a nie masz z kim, kiedy nikt nie odpowiada na twoje telefony, a przyjaciół zostaje coraz mniej, aż w końcu nikt już się do ciebie nie odzywa. Spotkało ją to nie dlatego, że jej zeznanie wzbudziło w ludziach strach, nie dlatego, że jej oskarżenie mordercy wywołało oburzenie. Logika zmowy milczenia, logika omerty nie jest taka prosta. Gest młodej nauczycielki był dla ludzi nie do przyjęcia dlatego, że wykonała go instynktownie, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem, jedyna możliwa. Spontanicznym oskarżeniem mordercy udowodniła, że wierzy w istnienie prawdy. A na tej ziemi, gdzie prawdą jest tylko to, na czym się zarabia, a kłamstwem to, na czym się traci, taka postawa jest dla ludzi niezrozumiała. Dlatego otaczający ją ludzie poczuli się niezręcznie, jakby obnażeni pod spojrzeniem kobiety, która sprzeciwiła się tym samym regułom, na które oni zawsze się zgadzali. Zgadzali się, nie czując wstydu, bo cóż, tak już musi być. Tak było zawsze i samemu niczego się nie zmieni, lepiej więc dać sobie spokój, iść tą samą drogą co zwykle i żyć tak, jak ci na to pozwalają.

W Aberdeen zobaczyłem na własne oczy rozmiary sukcesu włoskiej przedsiębiorczości. Przypatrywanie się tym odległym odgałęzieniom, kiedy zna się korzenie, z których wyrastają, robi na człowieku niesamowite wrażenie. Nie wiem, jak to opisać, ale kiedy masz przed sobą wszystkie te restauracje, biura, domy i towarzystwa ubezpieczeniowe, czujesz się, jakby ktoś złapał cię za łydki i podniósł wysoko, odwracając głową w dół

i potrząsał tobą silnie, aż wypadną ci z kieszeni wszystkie drobiazgi, drobne monety, klucze od mieszkania i wszystko, co może wydostać się z kieszeni i z ust, nawet dusza, jeżeli dałoby się ją sprzedać i na niej zarobić. Odgałęzienia kapitału rozeszły się promieniście we wszystkich kierunkach, wchłaniając energię z korzeni. Wiedzieć o tym to nie to samo, co zobaczyć. Odprowadziłem Mattea na rozmowę kwalifikacyjną. Oczywiście przyjęto go do pracy. Chciał, żebym został z nim w Aberdeen.

– Roberto, pomyśl tylko, tutaj wystarczy być tym, kim się jest naprawdę.

Matteo musiał pochodzić z Kampanii, jeżeli miał być oceniany w Aberdeen tylko na podstawie swojego curriculum, swojego dyplomu, swojej chęci do pracy. To samo pochodzenie, które w Szkocji stawiało go na równi z wszystkimi innymi, we Włoszech sprawiało, że uważano go za człowieka wybrakowanego, bez protekcji, bez wartości, przegranego na samym starcie, bo nie ustawił swojego życia na właściwym torze. Matteo nagle wybuchnął radością, jakiej nigdy u niego nie widziałem. Im bardziej rozpalał się jego entuzjazm, tym większa melancholia mnie ogarniała. Nigdy nie umiałem czuć się daleki, wystarczająco daleki od ziemi, na której się urodziłem, nie czułem się daleki od ludzkich zachowań, których nienawidziłem, daleki od mechanizmów, które miażdżyły ludzkie życia i ludzkie marzenia. Kiedy rodzisz się w pewnych miejscach, jesteś jak pies myśliwski, który od szczeniaka czuje w nosie zapach zająca. Biegniesz za zającem, choć wcale tego nie chcesz, a kiedy już go dogonisz i możesz go złapać, zaciskasz zęby i pozwalasz, żeby uciekł. Potrafiłem znajdować trop, śledzić z nieuświadomionym, obsesyjnym uporem szlaki i drogi i nieznośnie łatwo ogarniać rozumem terytoria podboju.

Pragnąłem już tylko wyjechać ze Szkocji. Wyjechać i nigdy tam nie wracać. Zrobiłem to tak szybko, jak to było możliwe. W samolocie nie potrafiłem zasnąć. Duchota i ciemność za oknami ściskały mnie za gardło jak ciasno zawiązany krawat z węzłem na wysokości jabłka Adama. Możliwe, że uczucie klaustrofobii nie było spowodowane tylko minimalnymi rozmiarami samolotu i ciasnym siedzeniem ani ciemnością za oknem, ale raczej wrażeniem, że jestem wciśnięty w rzeczywistość podobną do kurnika pełnego głodnych, stłoczonych ptaków gotowych jeść, żeby potem zostać zjedzonymi. Jakby wszystko było jednolitą przestrzenią, w której wszędzie używa się tego samego, przez wszystkich zrozumiałego

języka. Jakby wszędzie było tak samo, a zatem ucieczka jest niemożliwa i wiesz, że albo weźmiesz udział w wielkiej bitwie, jaka rozgrywa się wokół ciebie, albo nie będziesz istnieć. Wracałem do Włoch, a w głowie miałem obraz dwóch torów przystosowanych do niewyobrażalnych prędkości, po których w jednym kierunku podróżują kapitały, żeby zasilić wielką gospodarkę europejską, a w drugim, na południe, przewozi się to, co gdzie indziej przeszkadza. Wszystko to wjeżdża i wyjeżdża przez naciągnięte oczka gospodarki otwartej oraz elastycznej i, dzięki stale powtarzającemu się cyklowi transformacji, może tworzyć potęgę i dobrobyt gdzieś daleko od miejsc, w których ten cykl się rozpoczyna, nie wpływając w najmniejszym nawet stopniu na ich rozwój.

Śmieci wzdęły brzuch Południa Włoch jak ciąża. Ale ten brzuch nigdy żadnej ciąży nie donosi, poroni pieniądze, po czym zaraz zalęgnie się w nim nowy płód. I znowu poroni, i znowu się wezdmie, aż ciało ulegnie zniszczeniu, arterie się zamkną, oskrzela zatkają, połączenia nerwowe się przerwą. Wciąż i wciąż, i wciąż.

Ziemia płomieni

Nie jest trudno wyobrażać sobie różne rzeczy. Stworzenie w myślach wizerunku człowieka, gestu albo czegoś, co nie istnieje, nie jest skomplikowane. Nawet przedstawienie sobie własnej śmierci nie stanowi dużego problemu. Naprawdę trudno jest dopiero wyobrazić sobie system ekonomii we wszystkich jej przejawach. Strumienie kapitału, stopy procentowe, kontraktacje, długi, inwestycje. Bez twarzy, których obraz stanowiłby dla wyobraźni punkt oparcia, bez konkretów, które utkwiłyby w pamięci. Można wyobrazić sobie różne efekty działań gospodarczych, ale nie przychody pieniężne, konta bankowe, pojedyncze operacje finansowe. Kiedy próbujesz wyobrazić sobie system ekonomii, zwykle kończy się na tym, że zaciskając silnie oczy dla lepszej koncentracji, widzisz na ekranie powiek jedynie psychodeliczne deformacje.

Ja jednak uparcie starałem się zwizualizować go w myślach, z nadzieją, że odda sens procesu produkcji i sprzedaży, kupna i obniżek cen, chociaż na próżno szukałem jakiegoś jasnego schematu, zwięzłego organigramu, ikonicznego symbolu. Być może jedynym sposobem na wyobrażenie sobie systemu ekonomii jest sprawdzenie, co gospodarka zostawia na swojej drodze, co porzuca za sobą jak płaty martwej skóry, nie zatrzymując ani na chwilę swego biegu.

Wysypiska śmieci są najbardziej konkretnym emblematem każdego cyklu ekonomicznego. Gromadzi się na nich wszystko to, co zostało wytworzone. Są następstwem konsumpcji, czymś więcej niż ślad, jaki każdy produkt zostawia na skorupie ziemskiej. Południe kraju jest końcową metą odpadów toksycznych, niepotrzebnych resztek, odchodów produkcji. Według ustaleń Legambiente, największej organizacji pozarządowej zajmującej się we Włoszech ochroną środowiska naturalnego, gdyby zebrać razem niezarejestrowane odpady, osiągnęłyby one ciężar 14 milionów ton i utworzyłyby górę o wysokości 14 600 metrów usypaną na powierzchni trzech hektarów. Mont Blanc mierzy 4810 metrów, Mount Everest

8844 metry. Ta góra śmieci, których śladu nie znajdziesz w żadnym oficjalnym wykazie, byłaby największą górą na kuli ziemskiej. I tak właśnie wyobraziłem sobie DNA systemu ekonomicznego, operacje handlowe, rachunki buchalterów, dywidendy z zysków – w postaci ogromnej góry śmieci. Kawałki tej góry, jak po jakiejś gigantycznej eksplozji, leżą porozrzucane w większości na południu Włoch, w czterech regionach o najwyższym wskaźniku przestępstw przeciwko środowisku naturalnemu: w Kampanii, Kalabrii, Apulii i na Sycylii. To te same regiony, w których działa najwięcej organizacji przestępczych, gdzie wskaźnik bezrobocia jest najwyższy i skąd pochodzi najwięcej kandydatów do akademii wojskowych i do pracy w policji. To zawsze ta sama lista, od lat, niezmiennie.

W trzech ostatnich dekadach ziemia casertańska między rzeką Garigliano a jeziorem Patria, obszar władzy klanu Mazzoni, wchłonęła tony odpadów, toksycznych i zwykłych. Tereny najbardziej dotknięte skutkami kupczenia trucizną leżą między Grazzanise, Cancello Arnone, Santa Maria La Fossa, Castelvolturno i Casal di Principe, na powierzchni 300 kilometrów kwadratowych oraz w okolicach Neapolu, między Giugliano, Qualiano, Villarica, Nola, Acerra i Marigliano. Nigdzie indziej w zachodnim świecie nie składuje się więcej nielegalnych śmieci i trujących odpadów niż tutaj. Ten biznes przyniósł w ciągu czterech lat klanom i ich pośrednikom zysk w wysokości 44 miliardów euro i zanotował w ostatnich latach wzrost na poziomie 29,8 procent, porównywalny tylko ze wzrostem obrotu na rynku handlu kokainą. Od końca lat 90. klany kamorry prowadzą w skali całego kontynentu w branży gospodarki odpadami. Już w 2002 roku w raporcie parlamentarnym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych odnotowano przejście od prostego zbierania śmieci do zawierania między pewnymi firmami z branży porozumień, których celem było przejęcie pełnej kontroli nad całym cyklem gospodarki odpadami. Obydwa odgałęzienia klanu Casalesi, zarówno część dowodzona przez Sandokana, jak grupa prowadzona przez Francesca Bidognettiego, alias Cicciotto di Mezzanotte, podzieliły między siebie biznes śmieciowy, który daje tak nieograniczone możliwości, że pomimo stałych napięć nigdy nie doszło między nimi na tym tle do otwartych konfliktów. A Casalesi nie są sami. Jest też klan Mallardo z Giugliano, wyjątkowo sprawnie transferujący do strefy legalnej dochody z nielegalnych interesów, który sprowadza na swój teren ogromne ilości odpadów. Niedaleko Giugliano odkryto

niedawno opuszczone kamieniołomy zamienione w nielegalne składowisko śmieci. Stosy odpadków, które mogłyby wypełnić około dwudziestu ośmiu tysięcy tirów. Gdyby wszystkie te załadowane śmieciami tiry stały jeden za drugim, dotykając się zderzakami, zajęłyby drogę od Caserty do Mediolanu.

Bossowie nie mieli żadnych wewnętrznych oporów przed nasączaniem rodzinnej ziemi trucizną, przed zanieczyszczaniem terenów otaczających ich wspaniałe wille. Życie mafijnego bossa jest krótkie, dominacja klanu, stale zagrożona aresztowaniami, faidami, zamachami i wyrokami dożywocia, nie może trwać długo. Obsianie własnej ziemi śmieciami, otoczenie rodzinnych miast górami toksycznych odpadów może stanowić problem tylko dla kogoś, kto liczy na dłuższe panowanie i kto posiada minimalne choćby poczucie odpowiedzialności społecznej. W biznesach robionych tu i teraz nie bierze się pod uwagę ich odległych, negatywnych skutków, liczy się tylko jak najwyższy zysk. Kierunek handlu śmieciami jest przeważnie ten sam: północ-południe. Od końca lat 90. z Brescii wyjechało 18 tysięcy ton toksycznych odpadów, kóre potem zostały wyładowane między Neapolem a Casertą, zaś milion ton w ciągu czterech lat dostało się do Santa Maria Capua Vetere. Po rozdrobnieniu śmieci komunalnych w zakładach utylizacji odpadów w Mediolanie, Pawii i Pizie wysyłano je następnie do Kampanii. Prokuratury w Neapolu i w Santa Maria Capua Vetere, dzięki dochodzeniom koordynowanym przez oskarżyciela publicznego Donata Ceglie, odkryły w styczniu 2003 roku, że w ciągu czterdziestu zaledwie dni do Trentola Ducenta niedaleko Caserty przywieziono z Lombardii ponad 6,5 tysiąca ton odpadów.

Na polach w prowincjach Neapolu i Caserty znajdziesz każdy rodzaj śmieci, są jak papierek lakmusowy przemysłu włoskiego. Odwiedzając wysypiska i nieczynne wyrobiska pełne śmieci, można przekonać się, jaki los spotkał wyroby przemysłowe wyprodukowane we Włoszech w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Zawsze lubiłem jeździć na mojej vespie przy wysypiskach, po drogach zalanych grubo betonem, żeby umożliwić dojazd śmieciarek. To jakby oglądać pozostałości minionych cywilizacji, warstwy operacji handlowych; patrzeć na piramidy produkcji i wyobrażać sobie, ile kilometrów przebyły wszystkie te odpady przywiezione z najprzeróżniejszych miejsc pochodzenia. Wszystko to, co nie jest już nikomu potrzebne, na tej ziemi dostanie obywatelstwo. Zdarzyło się kiedyś, że pewien rolnik orał traktorem niedawno zakupiony kawałek ziemi.

W pewnym momencie silnik zaczął się krztusić, jakby gleba w tym miejscu była twardsza niż gdzie indziej. Niespodziewanie pod lemieszem ukazały się strzępy papieru. To były pieniądze. Tysiące banknotów, setki tysięcy. Rolnik zeskoczył z traktora i zaczął gorączkowo zbierać kawałki pieniędzy, jakby to był złodziejski łup, ukryty po jakimś napadzie. Tymczasem były to tylko tony pociętych, wyblakłych banknotów Banku Włoskiego, które wyszły z obiegu. Liry skończyły swój żywot pod ziemią, ołów zawarty w resztkach starego środka płatniczego pozostanie na polu kalafiorów.

Niedaleko Villaricca karabinierzy odkryli nielegalne składowisko papierowych ścierek używanych do czyszczenia krowich wymion w setkach gospodarstw hodowlanych w Lombardii, Emilii-Romanii i Wenecji Euganejskiej. Krowie wymiona muszą być często czyszczone, dwa, trzy albo cztery razy dziennie. Oborowi muszą je przecierać za każdym razem, gdy podłączają do nich przyssawki dojarki mechanicznej. Krowy często dostają infekcji, ich wymiona wydzielają wtedy ropę i krew. Ale dalej są dojone, trzeba je tylko czyścić co pół godziny, w przeciwnym razie ropa i krew może się dostać do mleka i zmarnuje całą cysternę. Kiedy przejeżdżałem obok wzgórz utworzonych z krowich ścierek, czułem zapach skwaśniałego mleka. Może to była tylko autosugestia, może żółtawy kolor papierowej góry wpłynął na moje zmysły. Faktem jest, że składowane przez dziesiątki lat śmieci zmieniły zapach tej ziemi, przekształciły naturalne formy terenu, utworzyły nieistniejące wcześniej wzgórza i wypełniły masą o nowej konsystencji góry nadgryzione kamieniołomami. Spacerując po bezdrożach Kampanii, poznaje się zapachy wszystkich produktów przemysłowych. Widok tej ziemi wymieszanej z krwią żylną i tętniczą przemysłu kojarzy się z kulą plasteliny, jaką dzieci czasem zlepiają z różnokolorowych resztek. Niedaleko Grazzanise składowano śmieci z ulic Mediolanu. Przez dziesiątki lat tutaj właśnie zwożono zawartość kubłów, do których mediolańscy zamiatacze wrzucali to, co rano znajdowali na ulicach miasta. Każdego dnia 800 ton śmieci z prowincji Mediolanu przewozi się do Niemiec. Ale produkcja całkowita to 1300 ton. Różnica wynosi 500 ton, o których nikt nie wie, gdzie się codziennie podziewają. Najprawdopodobniej te śmieci-widma leżą na polach Południa. Duży wpływ na stopień skażenia lokalnego środowiska naturalnego mają tonery do drukarek, co odkryto w 2006 roku podczas akcji „Madre Terra” (Matka Ziemia), kierowanej przez prokuraturę z Santa Maria Capua Vetere. Między

Villa Literno, Castelvolturno i San Tammaro ciężarówki oficjalnie przewożące kompost wyładowywały nocą tonery z drukarek używanych w biurach w Toskanii i Lombardii. Kwaśny zapach przybierał na intensywności w czasie deszczu. Gleba była nasączona sześciowartościowym chromem, który wdychany przedostaje się do czerwonych ciałek krwi, odkłada się we włosach i powoduje wrzody, trudności w oddychaniu, niewydolność nerek i raka płuc. Każdy metr kwadratowy ziemi zawiera odmienny ładunek odpadów. Pewnego razu do mojego przyjaciela dentysty zgłosiło się kilku chłopców z czaszkami. Czaszki były najprawdziwsze, ludzkie. Chcieli, żeby wyczyścił im zęby. Każdy z małych Hamletów trzymał w jednej ręce czaszkę, w drugiej pieniądze, którymi chciał zapłacić za usługę. Dentysta wyrzucił ich z gabinetu i zadzwonił do mnie zdenerwowany: „Skąd oni, do diabła, wzięli te czaszki? Gdzie je znaleźli?”. Wyobrażał sobie apokaliptyczne sceny, obrzędy satanistów, dzieci czczące Belzebuba. Roześmiałem się. Odgadłem od razu, skąd pochodzą czaszki. Przejeżdżałem kiedyś vespą niedaleko Santa Maria Capua Vetere i złapałem gumę. Dętkę przedziurawiła jakaś biała, ostro zakończona żerdź. Pomyślałem najpierw, że to kość udowa bawołu, ale miała zbyt małe rozmiary. To była kość udowa człowieka. Cmentarze przeprowadzają co jakiś czas ekshumacje, wyjmują z ziemi kości tych, których młodsi grabarze nazywają „arcytrupy”, czyli zmarłych pogrzebanych więcej niż czterdzieści lat wcześniej. Dyrekcja cmentarza jest zobowiązana powierzyć specjalnym służbom usunięcie ludzkich szczątków wraz z resztkami trumien, zniczy itd., ale jest to bardzo kosztowne, więc płaci się grabarzom za wykopanie kości, po czym ładuje się wszystko na ciężarówkę. Ziemię, zbutwiałe deski i kości. Dziadkowie i pradziadkowie, przodkowie mieszkańców nie wiadomo jak bardzo odległych miejsc, spotykają się po śmierci na polach casertańskich. NAS z Caserty, czyli specjalna jednostka karabinierów zajmująca się zwalczaniem przestępczości przeciw zdrowiu obywateli, odkryła w 2006 roku rozmiary tego procederu. Wiedzieli o nim także okoliczni mieszkańcy, bo przechodząc obok pewnych miejsc, żegnali się znakiem krzyża, jak przy cmentarzu. Chłopcy zabierali matkom z kuchni gumowe rękawiczki. Kopali w ziemi rękami i łyżkami w poszukiwaniu nietkniętych czaszek i żeber. Za czaszkę z białymi zębami można dostać od sprzedawców na pchlich targach nawet 100 euro. Kompletny szkielet klatki piersiowej, ze wszystkimi żebrami, osiąga cenę

300 euro. Kości piszczelowe, udowe i kości ramion nie sprzedają się. Kości dłoni tak, ale trudno je skompletować, bo gubią się w ziemi. Za czaszki z czarnymi zębami dostaje się 50 euro. Nie ma na nie dużego popytu. Wydaje się, że klientów zniechęca nie tyle skojarzenie ze śmiercią, ile raczej przypomnienie, że szkliwo na zębach gnije.

Klany są w stanie sprowadzić z Północy na Południe dokładnie wszystko. Biskup Noli zdefiniował południowe Włochy jako nielegalne wysypisko śmieci bogatej, uprzemysłowionej części kraju. Żużel z wytopu aluminium, niebezpieczne pyły z filtrów kominów przemysłowych, szczególnie z zakładów metalurgicznych, elektrociepłowni i spalarni śmieci, resztki farb i lakierów, ścieki zanieczyszczone metalami ciężkimi, azbest, skażona gleba zdjęta z rekultywowanych gruntów, która przeniesiona na gleby nieskażone powoduje ich zanieczyszczenie. I jeszcze toksyczne odpady wytworzone przez historyczne już zakłady petrochemiczne, jak Enichem z Priolo, trujące błoto z zakładów garbarskich w rejonie Santa Croce nad rzeką Arno, szlam z oczyszczalni ścieków w Wenecji i Forli, która stanowi własność spółki z przeważającym udziałem kapitału państwowego.

Mechanizm nielegalnego usuwania odpadów toksycznych puszczają w ruch przedsiębiorcy – zarówno ci, którzy kierują wielkimi zakładami przemysłowymi, jak właściciele małych firm, bo wszystkim zależy na tym, żeby pozbyć się za jak najmniejsze pieniądze materiałów, z których nie będą już mieli żadnych profitów, a tylko same straty. Drugi etap reprezentują licencjonowani właściciele składowisk, którzy fałszują dokumenty, odbierają odpady niebezpieczne, a potem często mieszają je z odpadami zwykłymi, co pozwala zaliczyć je do innej kategorii według klasyfikacji EWC, European Waste Catalogue, katalogu odpadów Wspólnoty Europejskiej.

Żeby zmienić kategorię odpadów, przemianować je z odpadów toksycznych na nieszkodliwe śmieci, niezbędni są chemicy, którzy dostarczają formularze z fałszywymi kodami analiz. Następnie do gry wchodzą przewoźnicy, którzy przemierzają kraj, żeby dotrzeć z ładunkiem do wyznaczonego miejsca. Ostatnim ogniwem łańcucha są osoby zajmujące się bezpośrednio likwidacją odpadów. Mogą to być administratorzy licencjonowanych wysypisk śmieci lub zakładów, w których z odpadów

produkuje się kompost służący potem do użyźniania gleby, ale mogą to też być właściciele nieczynnych wyrobisk lub terenów rolniczych wykorzystywanych do nielegalnego składowania odpadów. Wystarczy wolny teren i jego właściciel, żeby mogło powstać nielegalne wysypisko. Cały ten mechanizm nie mógłby funkcjonować, gdyby nie urzędnicy państwowi, którzy zamiast kontrolować działanie całego systemu i sprawdzać legalność poszczególnych operacji dopuszczają do łamania przepisów, a często wydają licencje na prowadzenie wysypisk śmieci osobom, o których wiadomo, że mają powiązania z organizacjami przestępczymi. Klany nie muszą wchodzić w układy z politykami, nie muszą sprzymierzać się z partiami. Wystarczy jeden urzędnik, jeden technik, jeden podwładny, ktokolwiek, kto chce sobie dorobić i bez problemów, dzięki elastyczności całego systemu, można osiągnąć cel: interes kwitnie z korzyścią dla każdego. Łączeniem wszystkich tych elementów w jedną całość zajmują się „stakeholderzy”. To oni są prawdziwymi mózgami biznesu związanego z nielegalną utylizacją odpadów toksycznych. Najlepsi stakeholderzy Włoch pochodzą z terytorium między Neapolem, Salerno a Casertą. Określenie „stakeholder” oznacza w żargonie biznesowym osobę zaangażowaną w projekty ekonomiczne danej firmy, która dzięki swoim działaniom ma wpływ – pośredni lub bezpośredni – na ich wyniki. Stakeholderzy działający w sferze gospodarki odpadami toksycznymi stali się szybko przedstawicielami warstwy menedżerskiej. Nierzadko, w okresach bolesnej stagnacji, kiedy szczególnie dotkliwie doskwierało mi bezrobocie, słyszałem od życzliwych mi ludzi: „Skończyłeś studia, jesteś zdolny, dlaczego nie zostaniesz stakeholderem?”.

Dla młodych ludzi z wyższym wykształceniem z południa Włoch, których ojcowie nie są notariuszami lub adwokatami, jest to pewna droga do wzbogacenia się i osiągnięcia satysfakcji zawodowej. Wystarczą studia uniwersyteckie i dobra prezencja. Spędzają parę lat w USA lub w Anglii na studiowaniu gospodarki środowiskowej, po czym wracają i stają się pośrednikami. Poznałem jednego z nich. Jednego z pierwszych, jednego z najlepszych. Zanim go poznałem, zanim miałem okazję posłuchać go i przyjrzeć się jego pracy, nie wyobrażałem sobie, jaką kopalnią złota są śmieci. Miał na imię Franco i poznałem go w pociągu do Mediolanu. Dyplom zrobił oczywiście na uniwersytecie Bocconi, najlepszej uczelni

ekonomicznej we Włoszech, a potem został w Niemczech ekspertem od odnowy środowiska naturalnego. Do najważniejszych umiejętności stakeholdera należy dokładna znajomość katalogu EWC i zręczność w lawirowaniu między jego normami. Musi wiedzieć, jak postępować z odpadami toksycznymi, jak omijać przepisy, jak dojść na skróty do przedsiębiorców i jak z nimi rozmawiać. Franco pochodził z Villa Literno i chciał wciągnąć mnie do tej pracy. Opowiedział mi, na czym polega. Zaczął od wyglądu zewnętrznego, od nakazów i zakazów decydujących o sukcesie stakeholdera. Jeżeli tracisz włosy, jeżeli masz łysinę, ratowanie się pożyczką lub tupecikiem jest absolutnie wykluczone. Nie wolno nosić długich włosów z boków głowy i przykrywać nimi pustych miejsc. Głowa powinna być ogolona, dopuszczalny jest najwyżej króciutki meszek. Franco mówił, że stakeholder zaproszony na jakąś imprezę musi pojawić się na niej w towarzystwie kobiety i nie może pozwolić sobie na emablowanie obecnych tam pań. Jeżeli nie ma narzeczonej, powinien wynająć osobę towarzyszącą, elegancką, najwyższej klasy.

Stakeholderzy od śmieci przychodzą do właścicieli zakładów chemicznych, garbarni i wytwórni wyrobów plastykowych i proponują swoje ceny. Przedsiębiorcy włoscy nie uważają wydatku na utylizację odpadów za wydatek konieczny. Od stakeholderów usłyszysz zawsze tę samą metaforę: „Mniej im przeszkadza własne gówno niż odpady, których utylizacja kosztuje ich mnóstwo pieniędzy”. Stakeholderzy absolutnie nie mogą dać do zrozumienia, że oferowana przez nich usługa nie jest legalna. Pośredniczą w nawiązaniu kontaktu między przemysłowcami a klanem, a następnie, choć już z pewnego dystansu, koordynują kolejne etapy likwidowania odpadów.

Istnieją dwa typy producentów niebezpiecznych odpadów. Pierwszy reprezentują ci, którzy chcą za wszelką cenę zaoszczędzić na cenie utylizacji i nie interesuje ich, czy firma, która proponuje im usługę, jest godna zaufania. Ich odpowiedzialność kończy się dla nich z chwilą, gdy beczki z trucizną opuszczają teren zakładów. Producenci drugiego rodzaju są sami bezpośrednio wmieszani w nielegalne transakcje i na własną rękę pozbywają się niebezpiecznych odpadów. W obydwu przypadkach pośrednictwo stakeholderów jest potrzebne, bo potrafią zagwarantować sprawny transport, wskazują miejsca składowania odpadów i pomagają skontaktować się z osobami, które mogą zmienić klasyfikację ładunku.

Biurem stakeholdera jest jego samochód. Wystarczy mu telefon komórkowy i laptop, żeby przenosić z miejsca na miejsce tysiące ton śmieci. Jego zarobek zależy od kontraktów z przedsiębiorstwami, od tego, ile kilogramów odpadów musi zniknąć. Cennik stakeholdera jest zróżnicowany. Likwidacja rozpuszczalników, którą zajmuje się pośrednik związany z klanem kosztuje 10–30 eurocentów, pięciosiarczku fosforu – 1 euro za kilogram. Utylizacja śmieci zmiecionych z ulic kosztuje 55 eurocentów, opakowań z resztkami substancji toksycznych – 1 euro i 40 eurocentów, a wywiezienie skażonej gleby może kosztować nawet 2 euro i 30 eurocentów za kilogram. Usunięcie pozostałości z cmentarzy – 15 eurocentów, pozbycie się niemetalowych części samochodów – 1 euro i 85 eurocentów za kilogram, łącznie z transportem. W ceny są wliczone dodatkowe życzenia klienta i ewentualne problemy z transportem. Stakeholderzy mają do czynienia z ogromnymi ilościami odpadów, co gwarantuje im bardzo wysoki margines zysku.

Dzięki akcji „Houdini” przeprowadzonej w 2004 roku wyszło na jaw, że przez jedno tylko składowisko w Wenecji Euganejskiej przechodziło w ciągu roku 200 tysięcy ton nielegalnych śmieci. Średnio ceny na rynku za utylizację niebezpiecznych odpadów zgodnie z europejskimi normami wahają się od 21 do 62 eurocentów za kilogram. Klany pomagają pozbyć się odpadów za 9 lub 10 eurocentów za kilogram. Stakeholderom z Kampanii w 2004 roku udało się doprowadzić do usunięcia 800 ton ziemi zanieczyszczonej węglowodorem, własności pewnych zakładów chemicznych, po 25 eurocentów za kilogram, łącznie z transportem. Oszczędność rzędu 80 procent w stosunku do cen oficjalnych.

Przewaga stakeholderów współpracujących z kamorrą nad pośrednikami pracującymi dla firm legalnych polega na tym, że oferują pełny pakiet usług, podczas gdy ci drudzy nie tylko żądają wyższych cen, ale nie zapewniają transportu. Stakeholderzy prawie nigdy nie są członkami klanu. To niepotrzebne. Korzyść z tego odnoszą obydwie strony. Stakeholderzy mogą pracować dla różnych rodzin jako wolni strzelcy, nie mają kontaktu z bronią ani szczególnych obowiązków, nie ryzykują, że staną się pionkami w jakiejś niebezpiecznej grze. W każdej większej akcji prokuratura nakrywa kilku z nich, ale wykręcają się zawsze lekkimi wyrokami. Trudno

udowodnić ich udział w przestępstwie, bo nie uczestniczą bezpośrednio w żadnej fazie nielegalnego likwidowania odpadów.

Z czasem nauczyłem się patrzeć na świat oczami stakeholderów. Jest to zupełnie inny punkt widzenia niż na przykład budowniczych. Budowniczy widzi puste miejsca jako przestrzeń, którą można czymś zająć, on zapełnia to, co jest puste, natomiast stakeholder musi znaleźć próżnię w tym, co jest pełne.

Franco na spacerze nie podziwiał krajobrazu, tylko zastanawiał się, jak w niego coś wcisnąć. Tak jakby przestrzeń była ogromnym dywanem, a on musiał znaleźć przy jego brzegach, gdzieś w górach czy na okolicznych polach, miejsca, w których mógłby łatwo te brzegi unieść i wmieść pod dywan jak najwięcej śmieci. Pewnego razu, podczas naszej wspólnej przechadzki, Franco zwrócił uwagę na małą, nieczynną stację benzynową i pomyślał od razu, że puste zbiorniki pod powierzchnią ziemi mogłyby pomieścić dziesiątki pojemników z chemikaliami. Doskonały sarkofag. Tak spędzał życie: na bezustannym poszukiwaniu próżni. Jakiś czas później Franco zrezygnował z pracy stakeholdera, z przemierzania setek kilometrów samochodem, z rozmów z przedsiębiorcami z północno-wschodnich Włoch, z jeżdżenia na zawołanie po całym kraju. Zaczął prowadzić kurs kształcenia zawodowego. Najważniejszymi studentami Franka byli Chińczycy. Przyjeżdżali z Hongkongu. Stakeholderzy ze Wschodu nauczyli się od swoich włoskich kolegów pertraktować z przedsiębiorstwami z całej Europy, oferować niskie ceny i szybkie rozwiązanie wszelkich problemów. Kiedy w Anglii wzrosły koszty utylizacji odpadów, pojawili się tam od razu Chińczycy, uczniowie mistrzów z Kampanii. W Rotterdamie holenderska policja portowa odkryła w marcu 2005 roku tysiąc ton miejskich śmieci komunalnych pochodzących z Anglii, przygotowanych na odtransportowanie do Chin jako makulatura przeznaczona do recyclingu. Każdego roku opuszcza Europę milion ton zużytej aparatury high-tech, która kończy swą podróż w Chinach. Stakeholderzy rozprowadzają ją po prowincji Guiyu, znajdującej się na północny wschód od Hongkongu. Leży tam pogrzebana w ziemi, utopiona w sztucznych zbiornikach wodnych. Podobnie jak w prowincji Caserty. Skażenie Guiyu nastąpiło błyskawicznie, przedostało się do wód gruntowych i jej mieszkańcy muszą sprowadzać wodę pitną z sąsiednich prowincji. Marzeniem stakeholderów z Hongkongu jest

wykorzystanie portu w Neapolu jako węzła handlowego dla odpadów europejskich, pływającego wysypiska śmieci, miejsca, w którym można upchać w kontenerach odpady przeznaczone do pogrzebania na chińskich ziemiach.

Stakeholderzy z Kampanii byli najlepsi. Pobili konkurencję z Kalabrii, z Apulii i z Rzymu, ponieważ mogli kierować odpady na wysypiska, które dzięki kamorze w Kampanii były tańsze niż gdziekolwiek indziej. W ciągu trzydziestu lat handlu śmieciami radzili sobie z likwidowaniem najróżniejszych odpadów, mając przed sobą zawsze jasny cel: obniżyć koszty i zwiększyć ilość zamówień. A zarobić można było na każdym etapie cyklu usuwania odpadów, co wykazało szczególnie wyraźnie dochodzenie „Król Midas" przeprowadzone w 2003 roku. Wzięło ono swoją nazwę od podsłuchanej rozmowy telefonicznej, w której człowiek „z branży" chwalił się: „Wystarczy, że tylko dotkniemy śmieci, a zamieniamy je w złoto".

Kiedy siedziałem w samochodzie z Frankiem, przysłuchiwałem się jego rozmowom telefonicznym. Udzielał porad, jak i gdzie pozbyć się odpadów toksycznych. Mówił o miedzi, arsenie, rtęci, kadmie, molibdenie, po czym przechodził na szlam ściekowy z garbarni, odpady medyczne, śmieci komunalne i zużyte opony. Radził, jak je usunąć, miał w głowie całą listę osób i miejsc, do których można się skierować w tej sprawie. Myślałem o kompoście wymieszanym z trucizną, myślałem o wykopanych w polach sarkofagach na beczki z wysoce toksycznymi chemikaliami. Krew odpłynęła mi z twarzy. Franco zauważył to:

– Ta robota budzi w tobie wstręt, prawda, Roberto? Ale wiesz chyba, że stakeholderzy wprowadzili ten gówniany kraj do Europy? Wiesz o tym czy nie? Wiesz, ilu robotników nie straciło pracy, bo ich zakłady zaoszczędziły dzięki mnie?

Franco urodził się w miejscu, w którym od dziecka dobrze go szkolono. Wiedział, że w interesach albo się wygrywa, albo przegrywa, trzeciego wyjścia nie ma. A on nie chciał przegrać, nie chciał też, żeby przegrali ci, dla których pracował. Jednak to, co sobie wmawiał, i co próbował mnie wmówić, wszystkie jego usprawiedliwienia były dla mnie nie do przyjęcia. Kłóciły się z moim postrzeganiem problemu niebezpiecznych odpadów. Jeżeli zsumować dane uzyskane w toku śledztw przeprowadzonych przez prokuratury w Neapolu i w Santa Maria Capua Vetere od końca lat 90. do dzisiaj, można się przekonać, że firmy, które zwróciły się do kamorry

w sprawie likwidacji odpadów, zarobiły na tym około 500 milionów euro. Zdawałem sobie sprawę, że dochodzenia sądowe odkryły na pewno tylko niewielki procent wykroczeń, dostawałem więc lekkiego zawrotu głowy. Wiele przedsiębiorstw z północnych Włoch zawdzięcza swój rozrost i rozwój, a także konkurencyjność na rynkach europejskich klanom neapolitańskim i casertańskim, które pomogły im uwolnić się od uciążliwych kosztów utylizacji odpadów. Schiavone, Mallardo, Moccia, Bidognetti, La Torre i wszystkie inne rodziny zaoferowały kryminalną usługę, która przyczyniła się do znacznego ożywienia włoskiej gospodarki. Dzięki akcji „Kasjopea" w 2003 roku wyszło na jaw, że raz w tygodniu 40 tirów załadowanych po brzegi odpadami wyjeżdżało z północy na południe, gdzie zsypywano, zakopywano lub pozbywano się w jakikolwiek inny sposób ładunku kadmu, cynku, resztek lakierów, szlamu z oczyszczalni ścieków, plastyku, arsenu, żużlu hutniczego i ołowiu. Handlarze śmieciami obrali sobie kierunek północ–południe. Niektóre firmy z Lombardii i Wenecji Euganejskiej za pośrednictwem stakeholderów nabyły w prowincji Neapolu i Caserty tereny, które przekształcono potem w ogromne wysypiska śmieci. Ocenia się, że w ostatnich pięciu latach zutylizowano w Kampanii nielegalnie blisko trzy miliony ton śmieci wszystkich rodzajów, z czego milion w samej prowincji Caserty. W planie zagospodarowania przestrzennego dominiów kamorry ziemia casertańska została przeznaczona na miejsce pochówku śmieci.

W geografii nielegalnego handlu odpadami ważne miejsce zajmuje Toskania, region szczycący się najwyższym w całych Włoszech poziomem społecznej świadomości ekologicznej. Stwierdzono to w trakcie co najmniej trzech dochodzeń: „Król Midas", „Mucha" oraz „Rolnictwo biologiczne" w 2004 roku. Z Toskanii nie tylko pochodzą ogromne ilości odpadów utylizowanych w sposób niezgodny z prawem. Region ten jest też bazą operacyjną dla osób zaangażowanych na różnych etapach w tę kryminalną działalność, od stakeholderów poprzez chemików aż po właścicieli zakładów przerabiających odpady organiczne na kompost, którzy przyzwalają na sporządzanie mieszanek. Okazuje się jednak, że odpady toksyczne rozmieszcza się na coraz większym terytorium. W toku różnych dochodzeń wyszło na jaw, że docierają one także do regionów, które dotąd

wydawały się czyste, jak Umbria i Molise. Dzięki akcji „Mucha” koordynowanej przez prokuraturę z Larino odkryto, iż do Molise sprowadzono nielegalnie 120 ton wysoce toksycznych odpadów z zakładów metalurgicznych. Kamorra jest odpowiedzialna za skruszenie 320 ton zużytej nawierzchni drogowej o bardzo wysokiej zawartości smoły i przekonanie właściciela kompostowni, by wymieszał ten toksyczny materiał z glebą i naniósł go na pola w Umbrii. Zarabia się ogromne sumy na każdym etapie takiego recyclingu. Dlaczego ukrywać niebezpieczne odpady, jeżeli można zrobić z nich nawóz i zarobić dodatkowe pieniądze na sprzedaży trucizny? Cztery hektary ziemi uprawnej w nadmorskiej strefie Molise były użyźnione trującym szlamem z garbarni. W tej samej okolicy znaleziono 9 ton zboża o bardzo wysokiej zawartości chromu. Handlarze odpadów wybrali wybrzeże Molise, między Termoli a Campomarino, na zlikwidowanie niebezpiecznych odpadów pochodzących z różnych zakładów produkcyjnych północnych Włoch. Wenecja Euganejska jest prawdziwym centrum składowania toksycznych śmieci, świadczą o tym wyniki dochodzeń koordynowanych w ostatnich latach przez prokuraturę w Santa Maria Capua Vetere. Przedsiębiorcy z tego regionu od lat napędzają nielegalny handel odpadami na terenie całego kraju. Odlewnie metali z Północy, by pozbyć się żużlu pozostałego po produkcji, pozwalają, by został on wymieszany z kompostem, którym nawozi się pola uprawne.

Stakeholderzy z Kampanii często wykorzystują kanały, których kamorra używa w handlu narkotykami. Dzięki temu jest im łatwiej znaleźć nowe ziemie do rozkopania i nowe sarkofagi do napełnienia. Dochodzenie „Król Midas” wykazało, że wielu ludzi zajmujących się procederem likwidowania odpadów nawiązywało kontakty za granicą i przemycało śmieci do Albanii i Kostaryki. Podobnych możliwości jest dużo. Transport odpadów w kierunku wschodnim, do Rumunii, gdzie Casalesi posiadają tereny o powierzchni setek hektarów. Albo do krajów afrykańskich, do Mozambiku, Somalii i Nigerii. Do wszystkich krajów, w których kamorra miała zawsze kontakty i oparcie wśród miejscowych kryminalistów. Niezapomniane wrażenie zrobiła na mnie reakcja kolegów Franka, stakeholderów z Kampanii, na wiadomość o tsunami. Gdy oglądali sceny katastrofy na ekranach telewizorów, mieli twarze pobladłe z niepokoju, jak gdyby życie ich żon, dzieci lub kochanek znajdowało się w niebezpieczeństwie. Tymczasem w niebezpieczeństwie było coś jeszcze

cenniejszego: ich interesy. Fala wywołana trzęsieniem ziemi na dnie morza pozostawiła na plażach Somalii, między Obbią a Warsheikh, setki beczek napełnionych substancjami toksycznymi lub radioaktywnymi, ukrytych tam w latach 80. i 90. Zainteresowanie środków masowego przekazu mogło spowodować zablokowanie na jakiś czas biznesu i zamknięcie na dłużej tego kanału. Ale to ryzyko szybko minęło. Akcje humanitarnej pomocy ofiarom katastrofy odwróciły uwagę mediów od beczek z trucizną, które wydostały się z ziemi i unosiły na powierzchni morza obok trupów. Morze stawało się coraz powszechniej używanym składowiskiem odpadów. Napełniano nimi ładownie statków, po czym aranżowano wypadek i zatapiano statki. Korzyść była podwójna. Towarzystwa ubezpieczeniowe płaciły odszkodowania, a odpady pozostawały na dnie morza.

Podczas gdy klany znajdowały w każdym zakamarku miejsce na śmieci, administracja regionu Kampanii, po dziesięciu latach rządów komisarycznych zasądzonych na skutek stwierdzenia infiltracji mafijnej, nie była w stanie pozbyć się swoich brudów. W Kampanii składowano nielegalnie odpady z całych Włoch, a tymczasem miejscowe śmieci wysyłano do Niemiec, gdzie koszty utylizacji były pięćdziesiąt razy wyższe od tych, które kamorra proponowała swoim klientom. W różnych dochodzeniach stwierdzono, że w samej prowincji Neapolu na osiemnaście przedsiębiorstw zajmujących się likwidowaniem odpadów piętnaście jest powiązanych bezpośrednio z klanami mafijnymi.

Południe jest pokryte śmieciami i rozwiązanie tego problemu wydaje się niemożliwe. Przez lata zbierano odpady w ekopaki, ogromne bryły rozdrobnionych śmieci owiniętych białymi taśmami. Zutylizowanie dostępnymi obecnie środkami nagromadzonych dotąd pak trwałoby pięćdziesiąt sześć lat. Zaproponowano, jak na razie, jedno rozwiązanie: spalarnie. Jedna z nich miała powstać w Acerra, ale projekt ten wywołał ostre protesty mieszkańców, co uniemożliwiło jego realizację. Stosunek klanów do spalarni jest ambiwalentny. Z jednej strony są przeciwne ich budowie, bo chcą dalej zarabiać na wysypiskach i pożarach, permanentny kryzys pozwala narzucać wyśrubowane ceny za wynajem należących do nich terenów, na których składowane są ekopaki. Jednak na wypadek, gdyby podjęto decyzję o budowie spalarni, klany przygotowały się już do

udziału w przetargach na prace budowlane oraz na zarządzanie tymi placówkami. To, co nie dotarło jeszcze do śledczych przeprowadzających dochodzenia sądowe, zrozumieli zwykli ludzie. Podejrzliwi, zdenerwowani, przerażeni. Obawiają się, że ekologiczne spalarnie śmieci zamienią się w czynne na okrągło piece na odpady pochodzące z połowy kraju, w których zarządzające nimi klany mafijne będą spalać, co się da, i nikt nie będzie pamiętać o obietnicach na temat bezpieczeństwa ekologicznego. Tysiące ludzi protestuje za każdym razem, gdy administracja zamierza otworzyć nieczynne już wysypiska śmieci. Ludzie boją się, że zaczną do nich zewsząd przyjeżdżać odpady toksyczne zarejestrowane jako odpady zwykłe, są więc gotowi na każde poświęcenie, byle tylko nie pozwolić składować trucizny przy własnym domu.

Kiedy w lutym 2005 roku w Basso dell'Olmo niedaleko Salerno komisarz regionalny zarządził ponowne otwarcie nieczynnego wysypiska śmieci, mieszkańcy zorganizowali się spontanicznie w pikiety i nie przepuszczali ciężarówek kierujących się na wysypisko. Trzymali wartę stale, uparcie, za wszelką cenę. Carmine Iuorio, 34-latek, zamarzł, trzymając straż pewnej szczególnie zimnej nocy. Rano, kiedy ludzie przyszli go obudzić, miał sine wargi i oszronioną brodę. Nie żył od co najmniej trzech godzin.

Hałdy, nieczynne wyrobiska, naturalne zagłębienia pełne śmieci to śmiertelne niebezpieczeństwo dla okolicznych mieszkańców. Kiedy składowiska są pełne, podkłada się ogień. Jest w prowincji Neapolu okolica, którą wszyscy nazywają „ziemią płomieni". Trójkąt Giugliano–Villaricca–Qualiano. Jest tam trzydzieści dziewięć składowisk śmieci, w tym dwadzieścia siedem z odpadami niebezpiecznymi. Te liczby rosną każdego roku o 30 procent. Ogień to wypróbowana metoda, po którą sięga się regularnie. Najlepsi w podpalaniu są romscy chłopcy. Klany płacą 50 euro za spalenie jednej kupy śmieci. Sposób jest prosty. Chłopcy okalają stos odpadów taśmami z kaset wideo, polewają śmieci benzyną i ciągną taśmy tak, by mogły posłużyć za lont. Z daleka zapalają lont płomieniem zapalniczki i w ciągu kilku sekund wszystko zamienia się w słup ognia, jakby ktoś spuścił na to miejsce bombę napalmową. Do płomieni wrzucają jeszcze odpady z odlewni, resztki klejów i osad z nafty. Gęsty czarny dym

i ogień zanieczyszczają dioksyną każdy centymetr kwadratowy gruntu. Miejscowe rolnictwo, które eksportowało owoce i jarzyny aż do Skandynawii, upadło prawie całkowicie. Owoce rodzą się chore, ziemie są jałowe. Ale kamorra czerpie korzyści także z gniewu hodowców i z rozkładu rolnictwa, ponieważ zdesperowani właściciele gruntów uprawnych sprzedają je za bezcen i w ten sposób klany nabywają tanio nowe tereny pod wysypiska śmieci. Ciche, powolne uśmiercanie mieszkańców tych ziem wymyka się spod kontroli, bo ci, którym zależy na tym, by żyć jak najdłużej, szukają pomocy w szpitalach na północy kraju. Główny Instytut Zdrowia podał do publicznej wiadomości, że w Kampanii zachorowalność na raka wśród mieszkańców miast z wielkimi składowiskami odpadów toksycznych wzrosła w ostatnich latach o 21 procent. Ropa w oskrzelach, zaczerwieniona tchawica, potem tomografia komputerowa w szpitalu, ciemne plamy na płucach i diagnoza: rak. Jeżeli wypytać chorych z Kampanii, skąd pochodzą, otrzyma się mapę składowisk odpadów toksycznych.

Postanowiłem kiedyś przejść pieszo całą ziemię płomieni. Zakryłem nos i usta chustką, zawiązując ją tak, jak to robią romscy chłopcy, gdy podpalają śmieci. Wyglądają przy tym jak kowboje na zadymionej pustyni. Chodziłem po ziemi zżartej dioksyną, zasypanej toksycznymi ładunkami ciężarówek i znów trawionej ogniem, tak aby doły ze śmieciami nigdy się całkiem nie zapełniły.

Dym, w którym się poruszałem, nie był gęsty, na skórze pozostawał lepki nalot, który dawał wrażenie wilgoci. Na terenie położonym niedaleko płomieni wybudowano osiedle domków jednorodzinnych, rozmieszczonych na betonowej bazie w kształcie litery X. Wybudowano je na zamkniętym wysypisku odpadów. Wysypisku nielegalnym, które – po tym, jak napełniono je aż po brzegi, wypaliwszy wcześniej to, co się dało – nie było już nikomu potrzebne. Kamorze udało się doprowadzić do zaklasyfikowania tych terenów do kategorii gruntów budowlanych. Zresztą przedtem oficjalnie były to grunty pod uprawę. Na nich wybudowano urocze domki. W związku z tym, że podłoże było niestabilne, ziemia mogła się obsuwać lub niespodziewanie rozstąpić, postarano się, żeby zbrojenie betonu podparło strukturę domków i zabezpieczyło je przed zawaleniem.

Domy sprzedano tanio. Wszyscy wiedzieli, że stoją na tonach śmieci. Ale urzędnicy, emeryci, robotnicy, przed którymi nagle pojawiła się możliwość zamieszkania pod własnym dachem, nie chcieli myśleć o tym, na czym opierają się fundamenty.

Pejzaż ziemi płomieni przywodził na myśl czas apokalipsy, permanentnej, powtarzającej się, nużąco rutynowej, jakby obrzydliwość starych opon i sączącej się do ziemi trucizny na nikim już nie robiła wrażenia. Dochodzenia wykazały, w jaki sposób klany chroniły się przed ingerencją policji lub służb leśnych przy wyładowywaniu materiałów toksycznych. To stara metoda, stosowana przez partyzantów we wszystkich częściach świata. Jako strażników wykorzystuje się pasterzy. Wybiera się najbystrzejszych i płaci im się, żeby chodząc po okolicy z owcami, kozami czy krowami, zwracali bardziej uwagę na obcych niż na swoje trzody. Mieli informować o każdym podejrzanym samochodzie, a ich narzędziami pracy były ich własne oczy oraz telefony komórkowe. Często widziałem, jak wędrowali po okolicy ze swoimi mizernymi, posłusznymi stadami. Zbliżyłem się do nich kiedyś. Zależało mi na tym, żeby zobaczyć, gdzie uczy się nieletnich chłopców prowadzić ciężarówki. Kierowcy często odmawiali dojeżdżania z toksycznym ładunkiem do samego wysypiska, dlatego, jak wykazało w 2003 roku dochodzenie „Eldorado”, coraz częściej używano do tego młodych chłopców. Kierowcy nie chcieli wystawiać się na niebezpieczeństwo kontaktu z toksycznymi odpadami. Nic dziwnego, właśnie od wypadku jednego z nich rozpoczęło się w 1991 roku pierwsze ważne śledztwo w sprawie handlu niebezpiecznymi odpadami. Mario Tamburino trafił do szpitala z oczami, które wyglądały jak żółtka jaj, spuchły tak bardzo, że powieki się nie domykały. Był oślepiony, z dłoni zniknęła warstwa naskórka, piekły go żywym ogniem, jakby ktoś oblał je benzyną i podpalił. Beczka z odpadami toksycznymi otworzyła się blisko jego twarzy i to wystarczyło, żeby stracił wzrok i prawie spalił się żywcem. Ogień bez płomieni. Po tym wypadku kierowcy zgadzali się na transportowanie beczek jedynie w przyczepach tirów, tak żeby nigdy nie mieć z nimi bezpośredniego kontaktu. Najniebezpieczniejszym ładunkiem był fałszowany kompost, nawóz zmieszany z toksynami. Wystarczyło raz wciągnąć do płuc jego opary, by uszkodzić sobie na zawsze układ oddechowy. Ostatni etap, przeładowanie beczek z tirów na mniejsze ciężarówki i przewiezienie ich na składowisko, był najbardziej ryzykowny.

Nikt nie chciał tego robić. Beczki, układane na ciężarówkach jedna na drugiej, często się wgniatały i przez uszkodzone powierzchnie wydobywały się trujące gazy. Kierowcy przyjeżdżali więc swoimi tirami i nawet nie wychodzili z szoferki. Czekali, aż zostaną rozładowane, a na składowisko zawozili je nieletni chłopcy. Napotkany pasterz pokazał mi drogę o dużym nachyleniu, na której ćwiczyli się w prowadzeniu ciężarówek. Uczyli się hamować na spadzistej drodze, z dwiema poduszkami za siedzeniem, żeby sięgać pedałów. Mieli po czternaście, piętnaście, szesnaście lat. 250 euro za kurs. Werbowano ich w jednym z barów. Właściciel wiedział o tym. Nie miał wprawdzie odwagi przeciwstawić się tej praktyce, ale opowiadał o tym każdemu, kto tylko chciał go słuchać przy filiżance cappuccino i rogaliku.

– To, co im każą wozić... Im więcej tego wdychają, tym szybciej się wykończą. Posyłają ich na śmierć, nie do pracy.

Młodzi kierowcy, kiedy mówiono im o śmiertelnym ryzyku, jakie niesie z sobą ich zajęcie, czuli się dumni, że wypełniają tak ważną misję. Wypinali piersi, patrzyli arogancko zza okularów słonecznych. Czuli się dobrze, coraz lepiej. Nikt z nich nie myślał o tym, jak będzie wyglądać za mniej więcej dziesięć lat, nie wyobrażał sobie, że będzie musiał się poddać chemioterapii, będzie wymiotować żółcią, a jego żołądek, wątroba i jelita zmienią się w papkę.

Wciąż padał deszcz. Ziemia szybko nasiąkła wodą, nie była w stanie wchłonąć jej więcej. Pasterze, nieporuszeni tym faktem, przeszli powoli pod daszek z blachy falistej i usiedli pod nim. Przypominali trzech wychudzonych derwiszów. Patrzyli nieruchomo na drogę, podczas gdy ich owce wspinały się na górę śmieci w poszukiwaniu schronienia przed deszczem. Jeden z pasterzy naciskał od dołu kijem na blaszany dach, nachylając go, żeby się na nich nie lało. Byłem kompletnie przemoczony, ale cała ta woda, która na mnie spadała, nie była w stanie złagodzić uczucia pieczenia rozchodzącego się od żołądka aż po gardło. Myślałem o tym, czy ludzkie uczucia na pewno muszą przegrać z tą potężną machiną władzy, czy możliwe jest działanie, jakiekolwiek działanie, które pozwoliłoby uratować się przed wmieszaniem w interesy kamorry, żyć poza narzuconym przez nią systemem. Przeżywałem męczarnie, zastanawiając się, czy można zrozumieć, odkryć, dowiedzieć się, nie narażając się przy tym na pożarcie lub starcie na pył. A może trzeba wybierać: wiedzieć i ryzykować własne życie albo nie wiedzieć i dzięki temu wieść spokojną egzystencję.

Chwilami obawiałem się, że nie pozostało nic innego, jak zapomnieć i nie widzieć. Słuchać oficjalnych wersji wydarzeń nieuważnie, z roztargnieniem i reagować na nie jedynie głębokim westchnieniem. Zastanawiałem się, czy istnieje coś, co może dać nadzieję na szczęśliwe życie, a może po prostu powinienem zaprzestać marzeń o uniezależnieniu i anarchistycznej wolności i wyjść na arenę. Włożyć sobie pistolet do spodenek i zacząć robić interesy, te prawdziwe. Przekonać samego siebie, że stanowię część tkanki łącznej moich czasów i zagrać o wszystko. Rządzić i pozwolić, żeby inni mną rządzili, stać się bestią zysku, finansowym drapieżcą, samurajem klanu. Zamienić własne życie w pole bitwy, na którym nie możesz się starać przeżyć, możesz tylko spodziewać się śmierci po tym, jak było ci dane rządzić i walczyć.

Urodziłem się na ziemi kamorry, w miejscu, gdzie popełniono więcej zabójstw niż gdziekolwiek indziej w Europie, gdzie do biznesu jest na stałe przypisana bezwzględność, gdzie nie ma wartości nic, z czego nie rodzi się władza, gdzie każdy dzień wydaje się ostateczną bitwą. Na ziemi kamorry masz stale wrażenie, że nigdy nie osiągniesz spokoju, że tkwisz w środku wojny, na której każdy twój gest może być uznany za ustępstwo, gdzie każda ludzka potrzeba może okazać się słabością, gdzie wszystko trzeba sobie zdobyć, odrywając mięso od kości. Na ziemi kamorry walka z klanami nie jest walką klas, staraniem o należne prawa, o odzyskanie obywatelstwa. Nie wiąże się z szacunkiem dla samego siebie, z obroną własnej godności. To coś o wiele bardziej elementarnego, coś brutalnie cielesnego. Na ziemi kamorry poznanie mechanizmu władzy klanów, ich inwestycji, ich drogi do sukcesu jest równoznaczne ze zrozumieniem, na czym polega specyfika naszych czasów, w każdym wymiarze i w każdym położeniu geograficznym, nie tylko na tej ziemi. Walka z kamorrą staje się walką o życie, jak gdyby egzystencja sama w sobie – potrawy, które jesz, usta, które całujesz, muzyka, jakiej słuchasz, książki, które czytasz – nie mogła nadać sensu twemu istnieniu, a pomagała tylko w przetrwaniu. Jeżeli więc decydujesz się na to, żeby wiedzieć, robisz to nie z powodu twojego zaangażowania społecznego, a tylko dlatego, że wiedzieć i rozumieć to konieczność. Jedyna możliwość, by uważać się za ludzi zasługujących na to, by chodzić po ziemi.

Moje nogi tkwiły głęboko w bagnie. Woda podeszła na wysokość ud. Czułem, że wciąga mi pięty coraz głębiej. Przede mną na powierzchni wody unosiła się duża lodówka. Rzuciłem się na nią, objąłem mocno ramionami i płynąłem razem z nią. Przypomniałem sobie ostatnią scenę z filmu *Papillon* ze Steve'em McQuinnem, nakręconego na podstawie powieści Henri Charrière'a. Czułem się jak Papillon, kiedy płynął na worku z orzechami kokosowymi, wykorzystując prądy morskie, żeby uciec z Cayenne. Idiotyczne skojarzenie, ale są w życiu takie momenty, kiedy nie masz innego wyjścia, jak tylko poddać się własnemu szaleństwu, jak czemuś, na co nie masz wpływu, co po prostu musisz przetrzymać, nic więcej. Miałem ochotę wrzeszczeć ze wszystkich sił, rozdzierając sobie płuca, rozrywając tchawicę jak Papillon. Chciałem krzyczeć na cały głos, jaki został mi jeszcze w gardle: „Przeklęci łajdacy! Ja jeszcze żyję!".

Posłowie

Gdy *Gomorra* ukazała się we Włoszech w 2006 roku, wywołała ogólny szok i powszechną dyskusję, choć właściwie nie ma w niej niczego, o czym nie byłoby wiadomo wcześniej z kronik kryminalnych w prasie, z dzienników radiowych i telewizyjnych. Ma się jednak wrażenie, jakby dopiero ta książka, napisana przez 27-letniego dziennikarza, otworzyła ludziom oczy. Wybitny intelektualista, niedawno zmarły dziennikarz Enzo Biagi stwierdził: „Saviano nie tylko obnażył potwora, ale potrafił wytłumaczyć jak nikt dotąd, na czym polega jego potworność".

Wszyscy o wszystkim wiedzieli, ale nikt dotąd nie opowiedział o tym w taki sposób. *Gomorra* to formalna hybryda, nazywana przez niektórych „docufiction", łącząca cechy reportażu śledczego, analizy socjologicznej, eseju, raportu dziennikarskiego, osobistego dziennika i innych gatunków. Ale *Gomorra* to przede wszystkim literatura – i tym Saviano tłumaczy siłę jej oddziaływania: „Podczas powodzi najpierw zaczyna brakować wody pitnej. Podobnie jest ze społeczeństwem medialnym. W powodzi informacji istotne wiadomości toną. Pisarz może przeobrazić powódź w wodą pitną. Chciałem przedstawić rzeczywistość w formie powieści. Tak jak Truman Capote w Z *zimną krwią*, jak Primo Levi pisał o Auschwitz czy Michael Herr o Wietnamie. Wszystko musiało się zgadzać. Nazwiska, fakty i moje odczucia".

Pisał tę powieść „od wewnątrz", z perspektywy chłopca, który od najmłodszych lat oddychał atmosferą wojny, bo urodził się i wychował w Casal di Principe, bastionie kamorry; chłopca, który w wieku 12 lat nauczył się od ojca używać broni palnej, a pierwszego w życiu trupa zobaczył na ulicy, w drodze do szkoły. Pisał ją od wewnątrz, bo często sam był świadkiem wydarzeń, o których opowiedział. Materiały do książki zbierał przez 6 lat, starając się być zawsze tam, gdzie coś się działo. Ładował w neapolitańskim porcie kartony z przemycanym towarem, obserwował pracę dealerów na ulicach Secondigliano, jako pomocnik

fotografa brał udział w uroczystościach rodzinnych kamorystów, studiował akta dochodzeniowe, uczestniczył w procesach sądowych, przemierzał na swojej vespie „ziemię płomieni”.

Słuchał, patrzył, dotykał – był, a potem nie potrafił już pisać obiektywnie, nie potrafił ukryć swojego gniewu i swojej obsesji. Wrażliwość pisarza jest centralnym punktem książki, wokół którego, niby w kalejdoskopie, elementy codziennego życia na ziemi kamorry układają się w przerażające obrazy. Rezultat trafnie skomentował amerykański recenzent *Gomorry:* „Na obwolucie zamiast informacji o liczbie sprzedanych egzemplarzy powinno zostać zamieszczone ostrzeżenie: Uwaga! Ta książka może poważnie uszkodzić twoją obojętność”.

Dla Włochów nie przeczytać *Gomorry* oznacza nie dopuszczać do siebie świadomości, że we współczesnych czasach, na wyciągnięcie ręki istnieje rzeczywistość, w której trudno żyć, oddychać, pracować, obserwować, a także mówić, a nawet myśleć o tym, co się widzi. Rzeczywistość, w której podstawowa moralność jest luksusem, a każdą przeszkodę w uzyskaniu zysku eliminuje się bez skrupułów. To znaczy łudzić się, że kamorra jest jedynie częścią neapolitańskiego folkloru, a nie potężnym systemem opartym na bazie kryminalnej oraz na logice liberalnego kapitalizmu, zagrażającym zarówno Włochom, jak Polakom, tak samo Kolumbijczykom mającym na co dzień do czynienia z narkobiznesem, jak spokojnym mieszkańcom szkockiego Aberdeen. Krótko mówiąc, we Włoszech nie przeczytać *Gomorry* po prostu nie wypada. Stąd ogromna popularność tej książki: od razu weszła na listy bestsellerów, na której królowała przez wiele miesięcy. W krótkim czasie sprzedano 600 tysięcy egzemplarzy, do dziś ta liczba się podwoiła.

Zainteresowano się nią również za granicą. Została przetłumaczona na wiele języków, wydana w ponad 40 krajach. W Niemczech, jeszcze przed sukcesem jej ekranizacji na festiwalu w Cannes, sprzedano ponad 200 tysięcy egzemplarzy, we Francji, Szwecji, Danii, Finlandii i Hiszpanii tygodniami zajmowała pierwsze miejsca w czytelniczych rankingach. W sumie liczbę sprzedanych na świecie egzemplarzy szacuje się na mniej więcej dwa miliony.

W listopadzie 2007 znalazła się na liście 100 najlepszych książek non fiction ogłaszanej każdego roku przez „New York Timesa”. Recenzent tego dziennika określił jej autora jako Salmana Rushdiego przestępczości zorganizowanej. Porównanie to odwołuje się przede wszystkim do ceny, jaką obydwaj autorzy musieli zapłacić za swoją odwagę. Zarówno autor *Szatańskich wersetów,* jak Roberto Saviano doświadczyli, co znaczy żyć w stałym śmiertelnym zagrożeniu i izolacji od świata, poruszać się wszędzie z policyjną eskortą, podróżować opancerzonym samochodem, nie mieć stałego adresu. Dla Saviano ta sytuacja trwa od dwóch lat i nie wydaje się, żeby mogła się wkrótce zmienić. Kamoryści dali mu już znać, że przygotowali dla niego „drewniany płaszcz”, co w ich żargonie oznacza trumnę, a że zgodnie ze znanym powiedzeniem, mafia jest nierychliwa, ale pamiętliwa *(tardariella ma non scordariella),* ochrona policyjna może być Robertowi Saviano jeszcze długo potrzebna.

Włoski pisarz otrzymał ochronę po interwencji Umberta Eco, który w głównym wydaniu dziennika telewizyjnego zaapelował: „Nie zostawiajmy Roberta Saviano samego, jak kiedyś sędziów Falcone i Borsellino (obydwaj zginęli z rąk mafii sycylijskiej – A.P.-Z.). Na nic się zdają wyrazy solidarności ludzi pióra. Tutaj jest potrzebna interwencja sił porządku publicznego”. Eco zdecydował się na to wystąpienie po serii pogróżek, jakie autor *Gomorry* otrzymał w odpowiedzi na swoją prowokację, na publiczne wyzwanie bossów kamorry. Doszło do tego, kiedy zaproszony do rodzinnego miasteczka na uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego ze sceny ustawionej na głównym placu wykrzyczał nazwiska bossów miejscowego klanu Casalesi i wezwał mieszkańców Casal di Principe do buntu. Liczba kuzynów i pociotków miejscowych mafiosów przysłuchujących się spod sceny na placu słowom Roberta Saviano była na pewno imponująca.

Do pisarza zaczęły napływać wyrazy poparcia i solidarności od przedstawicieli świata kultury, polityki i instytucji państwowych, a także od tysięcy zwykłych ludzi. Ci ostatni wyrażali i do dziś wyrażają swoje poparcie przede wszystkim w sieci, gdzie Saviano był znany jeszcze przed wydaniem *Gomorry* jako autor demaskatorskich artykułów publikowanych na stronie internetowej „Nazione Indiana”. Charakter wypowiedzi internautów oddać może następujący zapis: „Za to, że opowiedział nam o tym, kim jesteśmy albo kim możemy się stać, Roberto Saviano żyje od

dwóch lat w śmiertelnym niebezpieczeństwie, odizolowany od świata, pod stałą ochroną policji. Ale ludziom takim jak on grozi jeszcze większe niebezpieczeństwo niż ryzyko śmierci: zapomnienie, odsunięcie na margines, niezrozumienie, obojętność. Czytajcie *Gomorrę*!”.

Saviano dostał od kamorry swoisty rodzaj dożywocia, nie za to nawet, że napisał o niej książkę i zapełnił ją faktami, cyframi i nazwiskami, ale za to, że ta książka stała się bestsellerem. Często powtarza w wywiadach: „Gdyby *Gomorra* wyszła w nakładzie 5 tysięcy egzemplarzy, jak planowałem na początku, nie potrzebowałbym ochrony policji. Pogróżki zaczęły przychodzić do mnie po sprzedaniu stutysięcznego egzemplarza. Tego nie mogli mi wybaczyć. Bo mafia obawia się zainteresowania, prosperuje najlepiej, gdy otacza ją milczenie i obojętność. (...) Organizacje przestępcze nie boją się, że ktoś o nich napisze, ale że ktoś o nich przeczyta, a to duża różnica. Kiedy słowa krążą wśród ludzi, mogą zmienić ich myślenie i skłonić do reakcji”. I wtedy może się okazać, że pisarz stanowi dla przestępców większe niebezpieczeństwo niż policja i prokuratorzy.

Po odczytaniu 19 czerwca 2008 roku werdyktu sądu apelacyjnego w Neapolu, który utrzymał w mocy 16 wyroków dożywotniego więzienia dla bossów klanu Casalesi, do Roberta Saviano podszedł Federico Cafiero De Raho, prokurator od początku zaangażowany w śledztwo przeciw kamorystom z Casal di Principe. „To wszystko twoja zasługa” – powiedział do pisarza i choć ten zaczerwienił się na te słowa i odrzekł od razu, że jest to tylko i wyłącznie zwycięstwo prokuratorów do walki z mafią, sam pewnie czuł, że jest w tych słowach dużo prawdy. Przed ukazaniem się *Gomorry* mało kto słyszał o klanie Casalesi, nigdy nie pisano o kamorystach na pierwszych stronach gazet, a przy ogłoszeniu wyroku pierwszej instancji procesu „Spartakus” obecnych było tylko kilku przedstawicieli miejscowej prasy. Trzy lata później olbrzymia popularność książki Saviano sprawiła, że sąd apelacyjny w Neapolu przeżył prawdziwy najazd mediów włoskich i zagranicznych. Saviano w artykule dla dziennika „La Repubblica” stwierdził, że ma to pierwszorzędne znaczenie w walce z kamorrą. Nazwiska bossów, nazwy ich przedsiębiorstw, opisy zbrodni, skala ich biznesów staną się znane także poza terytorium, z którego się wywodzą i wzrośnie świadomość niebezpieczeństwa wynikającego

z bierności wobec działań zorganizowanej przestępczości. Zaapelował też do prawników i dziennikarzy, by nie przestawali obserwować z najwyższą uwagą działań kamorystów i nagłaśniali informacje o ich poczynaniach.

Kamoryści zaczynają się bać. Casalesi do tej pory nigdy nie dostawali wyroków dożywocia, bossowie nie umierali w więzieniu, ale dożywali swych dni na wolności. Teraz boją się samotności, izolacji od swojego świata, tego, że nie będą mieli wpływu na działania klanu. Boją się utraty władzy.

„To dopiero początek drogi" – takie słowa usłyszeli od Roberta Saviano dziennikarze na gorąco, zaraz po ogłoszeniu wyroku. To przekonanie potwierdził w zakończeniu artykułu w „La Repubblica" cytatem z Biblii: *La notte sta per finire ma l'alba non è ancora arrivata* (Noc się kończy, ale świt jeszcze nie nadszedł).

Po wyprowadzeniu przestępców z sali sądowej dawno niewidziany kolega dziennikarz podszedł do pisarza i na koniec krótkiej rozmowy, chcąc może wykazać się dowcipem, powiedział: „Teraz na tej sali został już tylko jeden człowiek z wyrokiem dożywocia. Jesteś nim ty, Roberto". Pisarz próbował się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu to wychodziło.

Dwa miesiące wcześniej, na pytanie dziennikarki hiszpańskiej gazety „La Naciòn", czy żałował kiedyś, że napisał *Gomorrę*, Saviano odpowiedział z bolesną szczerością: „Tak, czasem tego żałuję. Publicznie powtarzam wszędzie, że gdybym mógł się cofnąć w przeszłość, zrobiłbym to samo, ale nie jest to cała prawda. Tak mówi Roberto pisarz. Ale kiedy zostaję sam, wcale nie jestem tego taki pewny".

Alina Pawłowska-Zampino

[1] Książka powstała w 2008 r., Michaił Kałasznikow zmarł w 2013 r., (przyp. red.).

===bVlqWG9Xb1l2R3JGckd2QXhLfFMefw1mRhR1EWYHaRpxGA==